

Jack Higgins

Zabójcza ziemia

(The killing ground)

Sean Dillon 14

Tłumaczył Jakub Kowalczyk



Dla Henriety z wyrazami miłości

Pole walki jest miejscem umarłych.

Ci, co pragną umrzeć, żyć będą.

Ci, którzy mają nadzieję na przeżycie, zginą.

- Wu Qi

Amerykańska ambasada w Londynie

Blake Johnson, główny doradca do spraw bezpieczeństwa prezydenta USA Jake'a Cazaleta i szef tajnego wydziału Białego Domu, znanego jako Podziemie, został powitany w londyńskiej ambasadzie USA na Grosvenor Square z największymi honorami. Asystent, sympatyczny kapitan marynarki ubrany w mundur, na którym lśniły baretki medali za walkę w Bośni, Iraku i Afganistanie, zaprowadził go wprost do ambasadora.

- Pan ambasador wydaje koktajl, w większości dla tych, którzy nie zostali zaproszeni na konferencję do Brukseli.

- Czyli konkretnie dla kogo? - zapytał Blake.

- Dla tych wszystkich oficjeli drugiego sortu, jakich pełno w każdej ambasadzie w Londynie, panie majorze.

- Rozumiem. Ale ja nie jestem majorem, Wietnam skończył się dawno temu.

- Jak się było w piechocie morskiej to się jest w niej do śmierci, panie majorze. Mój ojciec służył w Wietnamie, a mój dziadek w Afryce Północnej i zdobywał Normandię.

- Muszą być z pana dumni. Zresztą ten Krzyż Marynarki Wojennej mówi sam za siebie.

- Bardzo dziękuję. Powiadomię ambasadora, że pan przyszedł.

Blake nalał sobie szkockiej z karafki stojącej na stoliku i podszedł powoli do okna wychodzącego na taras, spoglądając na Grosvenor Square i mokre od deszczu ulice, błyszczące w świetle latarni. Stał pod niewielkim daszkiem wdychając świeże powietrze i smakując alkohol, gdy nagle otworzyły się drzwi. Odwrócił się i ujrzał w nich ambasadora, Franka Marsa, z którym przyjaźnił się od lat. Razem, jako młode chłopaki, służyli w Wietnamie. Mars podszedł do niego i mocno uściśnął mu dłoń.

- Dobrze cię widzieć Blake, choć muszę przyznać, że sprawiłeś mi niespodziankę. Myślałem, że poleciałeś z prezydentem do Brukseli.

- Wiesz, na początku nie planowałem przyjazdu, ale prezydent uznał, że jego spotkanie z premierem i prezydentem Putinem może jednak dotyczyć również i mnie, więc zdecydował, że z nim polecę. Jeszcze dzisiaj spotkam się z Charlesem Fergusonem i razem tam się wybieramy.

Charles Ferguson był szefem grupy do zadań specjalnych zwanej czasem „prywatną armią premiera”. Blake przeprowadził z nim wiele różnych operacji, których zresztą było ostatnio coraz więcej.

Mars ponownie napełnił szklanki i stanął obok Blake'a patrząc na plac.

- Znam to miejsce od tylu lat a od niedawna muszę patrzeć na te ohydne betonowe bloki, które nas niby chronią. Wiesz co, terroryści dokonali tego, czego nie udało się dokonać Roskom w czasach zimnej wojny.

- Nie wspominaj, proszę, o zimnej wojnie - powiedział Blake. - To wszystko co dzieje się teraz, te lata konfliktów, te atomowe łodzie podwodne, ten cały rak komunizmu, Zachód przeciwko Wschodowi, to wszystko przecież przez nią.

- Źle zrobiliśmy w Berlinie w 1945 - stwierdził smutno Mars - pozwalając Roskom zająć to miasto. To właśnie wtedy poczuli po raz pierwszy, że mogą po nas jeździć. Pamiętam swoją pierwszą podróż do Berlina Wschodniego. Ta ich pogarda i poczucie pewności siebie wisiły w powietrzu.

Blake wskazał ręką posąg Eisenhowera stojący na cokole po lewej stronie placu.

- A co o nim myślisz? W końcu to on, Roosevelt i Winston Churchill są za to odpowiedzialni.

- Nie zapominaj, że Stalin też miał tam sporo do powiedzenia - zaznaczył Mars.

Blake pokiwał głową.

- A teraz mamy Władimira Putina. Myślisz, że zimna wojna wróci?

Frank Mars położył mu rękę na ramieniu.

- Blake, przyjacielu, nie tylko wróci, ona już wróciła. Od kiedy Putin został prezydentem Federacji Rosyjskiej powoli realizuje swój plan. Widzimy tylko, jak odkrywa go po trochu i że ma na niego pieniądze z gazu i ropy. Moim zdaniem on jest w stanie zrobić wszystko. I jest w nim coś jeszcze, co sprawia, że jest bardziej niebezpieczny, niż się można spodziewać.

- Co takiego?

- To prawdziwy patriota. - Mars dopił drinka. - Ale nie mówmy już o tym. Chodź, przedstawię cię moim gościom.

* * *

Goście ambasadora okazali się rzeczywiście mniej znaczącymi osobistościami i byli to głównie pomniejsi attache. Ważniejsze osoby albo już były w Brukseli albo dopiero tam leciały. Po krótkiej rozmowie z kilkoma dyplomatami Blake stanął w rogu sali, szybko dołączył do niego Mars.

- Rozumiem, że jeśli dzisiaj lecisz dalej, to nie nocujesz w naszym apartamencie na South Audley Street.

- Zgadza się. Mam spakowany bagaż i jestem już umówiony z Seanem Dillonem i Billy'm Salterem. Mają mnie podwieźć na Farley Field, gdzie będzie czekał Ferguson.

- O, czy to znaczy, że Ferguson pozwolił młodemu Salterowi zostać agentem?

- Rzeczywiście. Ferguson musiał pewnie wyczyścić całą jego kryminalną przeszłość, żeby dopuścić go do grupy. On i Dillon tworzą niezły zespół.

- Pewnie tak. Gangster z East Endu i najniebezpieczniejszy bojownik, jakiego kiedykolwiek miała IRA. To dopiero połączenie!

Gdy tak rozmawiali, Blake zauważył, że obserwuje ich mężczyzna o słowiańskich rysach, ubrany w elegancki garnitur i z wyrazem niezwykłego podekscytowania na twarzy. Widać było, że już wypił sporo alkoholu, ale nadal, co chwilę brał z tac noszonych przez kelnerów kolejny kieliszek.

Mars przysunął się do Blake'a i szepnął:

- To pułkownik Borys Łuskow, główny attache do spraw gospodarczych w rosyjskiej ambasadzie. Jednocześnie jest szefem komórki GRU. Oni zawsze są kimś więcej niż mają napisane na wizytówce. Chcesz zamienić z nim słowo?

- Jeśli muszę.

Mars pomachał ręką, Łuskow przełknął kolejną wódkę i podszedł do nich z wyciągniętą ręką przymilnie uśmiechnięty.

- To wielki zaszczyt, panie ambasadorze.

- Borys, myślałem, że jesteś w Brukseli.

- Co robić, Bruksela jest zarezerwowana dla ważniejszych niż ja - powiedział i spojrzał pytająco na Blake'a.

- Pan Johnson leci właśnie dziś wieczorem do Brukseli. Zdaje się, że bez niego nasz prezydent nie porozmawia z twoim szefem.

- Blake Johnson? Pańska sława dociera znacznie wcześniej niż pan. - Łuskow uściśnął

rękę Johnsona spoconą i lekko drżącą dłonią.

- Tak, choć można powiedzieć, że to będzie jakby kolejny dzień w biurze - odpowiedział Blake, mając już dosyć tego człowieka. - Bardzo przepraszam. Frank, jeszcze raz dziękuję za propozycję noclegu. Następnym razem na pewno się u ciebie zatrzymam.

- Oczywiście.

Łuskow patrząc, jak Blake schodzi do szatni po płaszcz, usunął się w kąt sali i wyjął z kieszeni telefon.

- Jedzie do ambasady, teraz. Tak. Ruszajcie. - Rozłączył się i zbiegł na dół.

* * *

Blake podziękował w recepcji ambasady za propozycję podwiezienia, wziął parasol i zszedł po schodach. Wyszedł na plac i skręcił w kierunku South Audley Street. Po drodze zadzwonił do Seana Dillona, który siedział obok Billy'ego kierującego aston martinem należącym do jego wuja, Harry'ego Saltera.

- Gdzie jesteś? - zapytał Sean.

- Idę do ambasady. Mam ochotę się przejść bo lubię deszcz, rozumiesz. Lubię miasto w deszczu.

- Ale jesteś głupi. Przecież wiesz, że wszyscy ciebie znają. W ambasadzie nie wydarzyło się nic podejrzanego?

- W sumie nie, ale był tam gość o nazwisku Borys Łuskow. Jak się dowiedziałem, szef tutejszej GRU.

- Idiota - skwitował Sean. - Nie pomyślałeś, że od momentu, w którym tu wylądowałeś GRU chodzi za tobą krok w krok? - i rozłączył się.

- Gdzie on jest? - zapytał Billy ściągając czapkę.

- Niedaleko ambasady. Jedź najszybciej, jak możesz. Może nawet go wyprzedź. Teraz prosto tą uliczką i skręć tam. Ktokolwiek ma złe zamiary, pewnie zaparkował niedaleko. Ja idę, jak chcesz to chodź ze mną. Masz sprzęt przy sobie?

- A jak myślisz?

Wysiedli i zaczęli iść obok zaparkowanych samochodów wyprzedzając Blake'a, który

szedł z parasolem nad głową. Obydwaj całkowicie go zignorowali, skręcili za budynek i zauważyli wolno jadący mały samochód. Dillon wyjął z kieszeni walera z tłumikiem, złapał za drzwi jadącego samochodu i zrównał z nim krok. Samochód jednak nie zwolnił, więc otworzył drzwi i wskoczył do środka. Siedziało w nim dwóch mężczyzn. Pasażer trzymał w ręku browninga, więc Dillon wytrącił mu go z ręki, chwilę później pojawił się Billy, otworzył drugie drzwi i zabrał kierowcy colta wetkniętego za pasek.

- Co jest? Co to jest? - protestował kierowca, ale widać było, że udawał głupiego.

- Nie lubię mieć do czynienia z baranami - powiedział Billy. - A ty?

- Całkowicie - odpowiedział Dillon.

W tym momencie zza rogu wyszedł Blake.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Kolejny osioł. Idź dalej i weź bagaże, spotkamy się po drodze - nakazał mu Dillon. - No idź już.

- Miałem towarzystwo? Wiedziałem, że mogę na was polegać. - Uśmiechnął się szeroko i wszedł do budynku.

- Rozważcie obydwaj swoje położenie - powiedział Dillon, ci z ociąganiem wyprostowali ręce.

Billy sprawnie ich obszukał i znalazł plik banknotów pięćdziesięciofuntowych.

- Razem dwa tysiące. Musiało być więcej. Na sto procent.

Dillon przystawił pistolet do ucha pierwszego z mężczyzn.

- Kto wam to zlecił?

- Wypchaj się - odpowiedział pasażer z londyńskim akcentem. Kierowca milczał.

- Głupota i arogancja to śmiertelne połączenie. - I odstrzelił facetowi pół lewego ucha.

Mężczyzna zaczął na przemian kłąć i jęczeć.

- Jeśli chcesz jeszcze móc założyć kolczyk w drugie, to gadaj - zagroził Dillon. - Włożył dwa tysiące w kieszeń gościa. - Zabieraj to sobie i mów, kto wam zlecił robotę.

- George Moon - odpowiedział sapiąc. Prowadzi pub Harvest Moon na Trenchard Street w Soho. Zleca różne fuchy.

- Te brudniejsze też, co? Pewnie siedzi w tym gównie po uszy.

- A jemu kto zlecił? - Billy zwrócił się do kierowcy. - Czy też nie wiecie?

- Jakiś Rusek. Moon powiedział, że nazywa się Łuskow. Spotkał się z nami w pubie w

Kensington przy High Street, niedaleko rosyjskiej ambasady.

- I chodziło o zabicie Blake'a Johnsona?

- Mniej więcej.

- Spadać. Najlepiej prosto do szpitala - powiedział Dillon podając mu chusteczkę.

Po chwili już ich nie było.

- Hojny jesteś, zostawiłeś im dwa kawałki - powiedział Billy.

- Kto smaruje, ten jedzie, Billy. Mały ból, mała nagroda.

W drzwiach hotelu pojawił się Blake z torbami. Zszedł i wkładając je do bagażnika zapytał:

- Są ofiary?

- No tak to my nie działamy!

- Kto to był? - zapytał Blake.

- Jacyś frajerzy zatrudnieni przez Łuskowa.

- Ciekawe. No, ale nie wymyślił tego sam.

- Nie przejmuj się - powiedział Billy. - Jeszcze się nim zajmiemy. I to z dużą rozkoszą.

Ruszyli. Dillon zapalił papierosa i wyciągnął się na siedzeniu.

- Grzej na Farley Field, Billy. Ferguson nie będzie zadowolony, jeśli Blake się spóźni.

* * *

Deszcz lał jak z cebra. Piloci Fergusona, major Lacey i kapitan Parry kręcili się przy samolocie, tymczasem generał popijał kawę i whisky stojąc przy oknie niewielkiego pawilonu. Patrzył w deszcz i rzeczywiście nie był zadowolony.

- Spóźniliście się.

- Cóż, jeśli to może zdjąć z generalskiej twarzy wyraz niezadowolenia, to mamy bardzo ciekawe informacje - odpowiedział Dillon.

Ferguson zmienił się w jednej chwili.

- Co się stało?

- Dwóch dżentelmenów o zdecydowanie nieprzyjaznych zamiarach, chciało przenieść Blake'a w zaświaty.

- Mów wszystko po kolei. Billy, przynieś mi jeszcze jednego drinka. - Ferguson napił się whisky i słuchał opowieści, zaś Blake stał obok i wytrzeszczał oczy. - Chcę się dowiedzieć, o co tu chodzi? Jakiś mocno podrzędny pułkownik pracujący dla rosyjskiego wywiadu wojskowego, chce ustrzelić najważniejszego człowieka od bezpieczeństwa prezydenta USA i wszystko, co mu się udaje, to wynajęcie jakichś niedojdów? Oj, poleci czyjaś głowa.

- Pewnie - stwierdził Billy. - Ale co to ma do nas?

- Musimy dowiedzieć się, kto to zlecił Łuskowowi, ale zaczekamy z tym do mojego powrotu. Będę za cztery dni. Putin leci z Brukseli do Niemiec, a premier z prezydentem będą w tym czasie starać się nalać Francji oleju do głowy.

- Z tymi Francuzami to chętnie sam bym im pomógł - mruknął Billy.

- Bardzo śmieszne. Mam dla was tymczasem inną robotę. Dostaliśmy informację, że w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin może tu przylecieć paru nieprzyjemnych gości. Nie wiem kto i skąd, ale sprawdzić trzeba. Sean, znasz sporo ludzi z widzenia, jedź z Billy'm na Heathrow i przetrzepcie kontrolę paszportową, popatrzcie kto przylatuje z podejrzanych miejsc. Mamy tam co prawda swoich ludzi, ale oni nie mają takiego doświadczenia i nosa, jak wy.

Dillon skinął głową.

- Jest już późno - powiedział Blake - musimy lecieć, generale. - Wstał i ruszył w kierunku samolotu, a Ferguson powiedział:

- Gdyby coś się działo, pošlę gulfstreama z powrotem. Użyjcie go, gdybyście potrzebowali. Zajrzyjcie też do kryjówki w Holland Park. Major Roper ma nowy sprzęt komputerowy i bezpośrednie połączenie z satelitami. Mocna rzecz - spodoba się wam. I jest tam Greta, dla niej to też będzie ciekawe doświadczenie.

Generał mówił o major Grecie Nowikowej, Rosjance, służącej do niedawna w armii rosyjskiej, wcześniej działającej w Czeczenii i Iraku. Pewne okoliczności sprawiły, że zdecydowała się na współpracę z Fergusonem.

Drzwi się zaniknęły, samolot ruszył w kierunku pasa startowego, więc Billy z Dillonem wsiedli do samochodu i odjechali. Po chwili Dillon zadzwonił do Harry'ego Saltera, który siedział w swoim pubie Dark Man.

- Jesteś sam?

- Są tu Roper i Greta, i to już wszyscy. Walczymy ze stekami, a sierżanci Henderson i Doyle wcinają w budce rybę z frytkami. Mają na sobie najlepsze cywilne ciuchy i starają się nie

wyglądać na żandarmów. Ale słabo im to idzie. Przyjeżdżacie?

- Nie, ale możesz coś dla mnie zrobić.

- Mów.

- Powiedz Roperowi, że Łuskow kręcił się po ambasadzie. Pił strasznie.

- Tiaa. Nie należy w takich sytuacjach podchodzić do niego z ogniem. To głupek.

- Tak, jednak ten głupek zdołał zgarnąć kilku bandziorków, żeby załatwili Blake'a, który bez sensu i w deszczu poszedł na piechotę South Audley Street. Głupio zrobił, bo doskonale wiedział, że sezon łowiecki na niego jest zawsze otwarty.

- Na pewno. I co się wydarzyło?

- Właściwie niewiele. Załatwiliśmy to z Billy'm małą, delikatną perswazją, która skończyła się tylko tym, że jeden z nich nie ma połowy ucha. Ale całość wymyślił Łuskow, a nasz stary znajomy, George Moon ich wynajął. Zapłacił im pewnie ze dwa kawałki. - Dillon opowiedział Harry'emu resztę.

- George Moon? Nie zdawałem sobie sprawy, że on jeszcze dycha. Miał fajniutką dziewczynę w pubie, Ruby. Ona była w porządku, on już nie. Dobra, załatwione. To przyjeżdżacie?

- Nie, Ferguson dał nam zadanie do wykonania.

- No to bawcie się dobrze. - Harry rozłączył się i kiwnął do swoich ochroniarzy, Joe Baxtera i Sama Halla. - Nalejcie mi dużą szkocką. Greta, masz ochotę na wódkę?

Greta Nowikowa była nader atrakcyjną kobietą. Miała na sobie czarną jedwabną bluzkę, spodnie i buty do kolan. Włosy sięgające ramion, miała związane.

- Dlaczego nie...

- Dużą?

- Dla Rosjan nie ma innej.

- Pewnie tak. Co dla majora?

Roper siedział w swoim wózku ubrany w marynarską kurtkę z podniesionym kołnierzem, który zakrywał jego pooraną bliznami twarz. Nawet nie zdążył otworzyć ust, gdy Dora wniosła drinki na tacy.

- Dziękuję, Dora - powiedział Harry. - Co my bez ciebie zrobimy? Dora wraca do siebie za dwa tygodnie, do Australii - wyjaśnił. - Córki czekają. Może więcej nie przyjechać. Twoje zdrowie, Dora.

Greta wypła do dna.

- Dopij swoją whisky. Widzę przecież, że już chcesz wrócić do swoich maszyn. Zawsze z nim tak jest - zwróciła się do reszty. - Je kanapki, pije butelkę szkockiej dziennie, pali, prawie w ogóle nie śpi i tylko patrzy w te swoje ekrany.

- Tak - stwierdził Roper. - To się nazywa życie.

- To chodźmy, panowie. Harry, jedziemy. - Greta wyszła do sierżantów.

Henderson i Doyle podprowadzili Ropera na wózku inwalidzkim do specjalnie zmodernizowanego minibusa, załadowali go i za chwilę wszyscy jechali do Holland Park.

- Jeszcze jednego, szefie? - zapytał Baxter.

Harry pokręcił głową.

- Nie, dzięki, mamy coś do załatwienia. Pamiętacie George'a Moona?

- Jasne. I jego chłoptasia, Wielkiego Harolda - odparł Baxter. - Kilka lat temu chcieli wepchnąć Ropera z wózkiem pod samochód.

Sam Hall się roześmiał.

- Pamiętam, major strzelił wtedy Haroldowi w kolano, a Moonowi w udo. Policji powiedzieli, że ich napadli, ale gliny nie miały wtedy dla nich współczucia.

- A o co teraz chodzi?

- George Moon wynajął w imieniu jednego ruskiego fagasa, który nie lubi Dillona i Billy'ego, dwóch gości, żeby sprzątnęli Blake'a Johnsona. I to za marne dwa kawałki.

- Ktoś oberwał? - zapytał Baxter.

- Jeden z nich stracił pół ucha, a drugi wszystko wyśpiewał Dillonowi.

- Czyli George Moon ma kłopoty.

- Można tak powiedzieć. - Harry wstał. - To jedźmy zobaczyć, co słyhać w jego Harvest Moon, miejscu słynnym z tego, że zamiast piwa leje się tam szczyzny. Pamiętajcie, żeby nie jechać z pustymi rękami.

* * *

Ulica Trenchard Street wyglądała, jakby ją przeniesiono z czasów wiktoriańskich, a pub Harvest Moon jeszcze bardziej. Podjechali pod niego uliczką wybrukowaną kocimi łbami. Nad

drzwiami pubu pobłyskiwał metalowy półksiężyc.

- Zaczekaj w samochodzie. Możesz być tu potrzebny - powiedział Harry do Sama Halla i wysiadł z Baxterem.

Hall przytaknął, zapalił papierosa i czekał. Drzwi pubu otworzyły się i usłyszeli szorstki głos:

- Mówiłem, żebyś zamknęła.

Ruby Moon wyszła na deszcz, zakładając kurtkę. Wielki Harold wyszedł za nią i złapał ją za włosy, aż krzyknęła z bólu.

- Czekaj, zaraz będziesz wrzeszczała naprawdę - powiedział, a potem dwa razy uderzył ją w twarz. - Tobie się przyda prawdziwa szkoła. Zaraz dostaniesz za swoje.

Harry przechylił się do Joego Baxtera.

- Patrz. Małpolud przybył, żeby polować na ludzi. I jeszcze leje dziewczyny.

Harold szarpnął dziewczynę, która zaczęła płakać ze złości.

- Ale nie uda mu się - powiedział Harry. - Zdjął płaszcz i okrył ją. - Wiesz, kim jestem?

Przestała płakać.

- Chyba tak.

- A może znasz mojego bratanka, młodego Billy'ego?

- Jeśli jest tym, o którym myślę, to tak.

- To dobrze. Idź do pokoju, weź co jest niezbędne, włóż do jakiejś torby i wracaj. Resztę zabierzesz kiedy indziej. Dora odchodzi z mojego pubu, Dark Man w Cable Wharf, a ty możesz go przejąć. Pośpiesz się.

- A ten bydlak? Nie puści mnie.

- No tak, zapomniałem o nim.

Harry wyciągnął rękę do Baxtera, który podał mu colta z tłumikiem, i gdy Wielki Harold próbował wejść do środka, przestrzelił mu udo. Harold upadł na schody.

- Daj mi jakiś ręcznik - powiedział. - I pośpiesz się, dziewczyno.

Pobiegła szybko na górę.

George Moon oglądał całe zajście przez półotwarte drzwi i gdy Harry wszedł do niego, zobaczył gabinet pełen regałów z książkami. Moon był niewysokim, łysawym i ogólnie antypatycznie wyglądającym facetem. Poza tym strasznie się pocił. Wrócił za biurko i opadł ciężko na fotel.

- Harry, stary przyjacielu, to naprawdę ty?

- Stary przyjacielu? Chyba ci odbiło!

Salter położył colta na biurku i podszedł do kredensu.

- Whisky, dużą. Joe, jak masz ochotę, to sobie też nalej.

- Jasne - powiedział Baxter.

Moon nawet nie drgnął, żeby sięgnąć po broń.

- Nie mam czasu, George, stary przyjacielu - powiedział Harry. - Kilku frajerów chciało dzisiaj stuknąć mojego kumpla, na szczęście Dillon i mój Billy zapobiegli temu zamiarowi.

- Jak tu siedzę, Harry, przysięgam, że...

- Cisza. Bo mi niedobrze. Potwierdź, że jeden Rusek o nazwisku Łuskow zamówił u ciebie dwóch bandziorów.

- W porządku. Zgadza się. Za dwa tysiące załatwiłem mu dwóch odpowiednich ludzi. Ja tylko pośredniczyłem.

- Za dwa kawałki? Jesteś chory? Mów prawdę. - Harry przystawił pistolet do spoconej twarzy. - Bo odstrzelę ci łeb. Zrobię to, jak tu stoję.

- Powiem, powiem. Spotkali się ze mną w Hyde Parku, jechaliśmy daimlerem, Łuskow prowadził. Pasażer też był Ruskiem, palił cygaro, pił wódkę prosto z butelki i cały czas rechotał. Miał paskudną szramę od lewego oka do nosa. Dał mi teczkę z dziesięcioma kawałkami.

- Dałeś im dwa, a sobie zabrałeś osiem? Ty złodzieju.

- Harry, a co miałem zrobić. - Usiłował uspokoić sytuację. - Ale dowiedziałem się, kim był ten drugi. Widziałem go kiedyś w barze w Dorchester i kelner powiedział mi, jak on się nazywa. To Maks Czoków.

- No tak, dziesięć tysięcy to już inna rozmowa. - Harry odwrócił się do Baxtera. - Zobacz, czy sejf jest otwarty!

Moon zajęczał.

- Proszę, Harry.

Sejf był rzeczywiście otwarty, w drzwiczkach tkwił nawet klucz. Baxter wyjął teczkę, której zawartość mówiła sama za siebie.

- Świetnie. Ruby kupi sobie parę fajnych rzeczy. Zaprowadź ją do samochodu.

- Tak jest, szefie.

Baxter wyszedł, a Harry podszedł do drzwi i przystanął na chwilę.

- No właśnie, zapomniałem, że Ruby przestaje u ciebie pracować. - Strzelił Moonowi w prawe udo. - Dobrze by było, gdybyś poszedł z tym do szpitala. Straszne mamy czasy, napady, rabunki, naprawdę straszne. - Spojrzał mu w oczy. - Rozumiemy się?

Wyszedł i po chwili było słycać tylko odjeżdżający samochód. Moon jęknął i sięgnął po telefon.

* * *

Gdy już siedzieli w bentley'u, Harry podał Ruby teczkę.

- Chyba musisz założyć sobie konto.

Ruby spojrzała na zawartość.

- Mój Boże, to nie może być prawda.

- Ale jest. Będzie ci się podobać w moim pubie, bo ja traktuję pracowników jak należy.

Witaj w klubie, słonko.

* * *

Na Heathrow nie było zbyt wielkiego ruchu, głównie dlatego, że było już dość późno. Służby paszportowe i celne, choć traktowały Dillona i Billy'ego z największą podejrzliwością wiedziały, że lepiej nie sprzeciwiać się ich obecności.

Siedzieli tam już od kilku godzin, ale nie wydarzyło się nic szczególnego i nie pojawił się nikt interesujący. W pewnym momencie coś na tablicy przylotów, gdzie wciąż zmieniały się informacje, przykuło uwagę Dillona.

- Popatrz, Billy - powiedział. - Hazard.

Billy przestał się uśmiechać i zadrżał na wspomnienie ciężkich chwil, jakie przeżył w tamtym miejscu.

- Mój Boże, niezapomniana Kate Raszid.

- Aż tak ją zapamiętałeś?

- To była kobieta. - Billy pokręcił głową na wspomnienie osoby, która przysięgła ich

zabić i prawie jej się to udało. - Za nic nie chciałbym znaleźć się tam po raz drugi.

- Ale to było dawno - powiedział Dillon. - Choć pamiętając jej dokonania, może warto sprawdzić, kto przylatuje nocą z Hazaru do Londynu. Chodź.

* * *

Ponieważ kolejka się wydłużała, poproszono pasażerów z Hazaru, aby przeszli do innej sekcji, co nawet sprawnie uczynili.

Wśród nich był niejaki Caspar Raszyd, wysoki, przystojny mężczyzna o dość jasnej karnacji i jasnej, prawie blond, brodzie. Miał ze sobą walizkę na kółkach i teczkę.

- Wygląda jak Beduin - stwierdził Billy.

- Bo nim jest. Chodź, podejźmy do niego.

Gdy się zbliżyli, funkcjonariusz właśnie otwierał jego paszport.

- Pan Caspar Raszyd? Pański adres?

- Gulf Road, Hampstead - odpowiedział Raszyd.

- Kraj urodzenia?

- Anglia.

- Chciałby pan rzucić okiem?

Funkcjonariusz podał paszport Dillonowi. Raszyd czekał spokojnie, podczas gdy ten przeglądał dokument.

- W porządku - powiedział oddając paszport Raszydowi, który się uśmiechnął i odszedł. - Śmieje się, można powiedzieć, pełną gębą.

- Pewnie tak. Poza tym wygląda w porządku.

- Ale nie z tego powodu się śmieje. On to robi, bo myśli, że udało mu się uniknąć, a ja się uśmiecham, bo udało mi się go znaleźć. On coś ukrywa, Billy. Nie wiem co, ale na pewno coś ukrywa. Chodź.

* * *

Raszid był zmęczony lotem i zapomniał o ostrożności. Wypożyczony samochód, do którego podszedł, był zaparkowany na parterze tuż przy wyjeździe. Raszid otworzył samochód, potem bagażnik. Dillon z Billy'm byli na tyle blisko, że zauważyli, jak podnosi koło zapasowe i matę, która znajdowała się pod nim.

- Łap go, Billy - krzyknął Dillon i zaczął biec w jego kierunku. Raszid usłyszał ich i odwrócił się. Dillon wyjął walizkę. - Ręce na kark. Zobacz, co tam schował, Billy.

Billy podniósł matę, pod którą leżała szmata z narzędziami i rewolwer. Podniósł go.

- Smith&Wesson. Załadowany.

- Skuj go.

Billy sprawnie nałożył Raszidowi kajdanki.

- Bierzemy go do środka? - zapytał.

- Nie. Za bardzo mnie interesuje.

- Dlaczego?

- Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby wiedzieć, że gość ma złe zamiary. W paszporcie widać było, że w zeszłym tygodniu poleciał z Londynu do Kairu. Pojechał pociągiem do Mombasy, stamtąd promem popłynął do Hazaru. Nawet nie spędził tam całego dnia, tylko od razu wrócił do Londynu. Po co to wszystko? Dlaczego nie leciał od razu z Londynu?

- To o to chodzi. - Billy kiwnął głową. - Pewnie dlatego, żeby nikt go nie zauważył.

- A przy jeździe w kółko jest o to łatwiej.

- Dlaczego nie chciałeś, Raszid, żeby ciebie ktoś wysledził?

- Ponieważ - wystękał Raszid, dysząc z emocji i zdenerwowania - nie mogłem. Zabiliby mnie i ją by zabili. Nie miałem wyboru.

- Chwila - powiedział Billy. - A o kim teraz mówisz?

- O al-Kaidzie. I Armii Boga.

Gdy tylko wypowiedział te dwie nazwy, Billy'emu i Dillonowi dreszcz przeleciał po plecach.

- A co oni chcą od ciebie? - zapytał Dillon.

- Wezwali mnie. Ten gość mówił idealnym angielskim i nie gorszym arabskim. Powiedział mi, że byłem śledzony i mogą mnie zabić w każdej chwili. Powiedział też, żebym traktował go jak jakiegoś maklera. Nie dał mi numeru do siebie, ale mówił, że oni będą rozmawiać ze mną osobiście. Dlatego pojechałem do Hazaru i dlatego jechałem dookoła.

Powiedzieli, że nikt nie może się dowiedzieć. Pistolet dali mi już tutaj. Włożyli mi go do biurka, ale nie wiedziałem co z nim zrobić, więc owinąłem go w szmatę i schowałem w samochodzie. Nie jestem terrorystą uwierzcie mi.

- Po co cię wezwali?

Twarz Raszida wykrzywił grymas.

- Żebym mógł porozmawiać z córką. Moją jedyną córką Sarą. Ma trzynaście lat. Ci ludzie byli nasłani przez mojego ojca. On jest staroświecki i gdy nam powiedział, że zamierza wydać naszą córkę - trzynastoletnią dziewczynkę - za jakiegoś swojego kuzyna, człowieka, o którym nigdy nie słyszałem, odmówiliśmy, i ja i żona. Ona też jest Brytyjką, lekarzem. A gdy odmówiliśmy, porwał ją i przywiózł do siebie. Teraz Sara jest w Iraku.

- Cholera - zaklął Billy.

- Proszę, nie wiem kim jesteście, ale na pewno jesteście jakimiś urzędnikami czy funkcjonariuszami. Pomóżecie mi? Nie jestem terrorystą, ale dobrze poznałem Armię Boga. Powiem wam wszystko, co wiem, jeśli tylko pomożecie mi odzyskać córkę. Proszę.

- Dobra, zdejmij mu kajdanki. - Dillon zapalił papierosa. - Zostaw ten samochód. Pojedziesz naszym.

Billy rozkuł Raszida.

- To dokąd?

- Do Ropera.

Londyn
Bruksela

W Holland Park powitał ich sierżant Doyle, który akurat był na nocnej zmianie.

- Mamy nieoczekiwanego gościa - powiedział Dillon. - Obudź Hendersona. A ty, Billy, zaprowadź Raszida do pokoju przesłuchań i niech tam czeka. Zobaczę, czy Roper nie śpi.

Roper oczywiście nie spał i był zajęty szukaniem czegoś w internecie, z głośników leciał Cole Porter. Roper nucił sobie pod nosem i czuł się wspaniale. Obok w fotelu siedziała Greta i przeglądała „New Statesmana”.

- Cześć, przyjdźcie za chwilę obydwójcie do pokoju przesłuchań.

Szybko się zebrałi i po chwili patrzyli przez szybę na Raszida siedzącego samotnie.

- To Caspar Raszid, doktor elektroniki na Uniwersytecie Londyńskim. Ma czterdzieści dwa lata, urodził się w Londynie, a jego żona, Molly, jest lekarzem. Mam nadzieję, że zapamiętałeś, Roper. Chciałbym pełną analizę tego, co zostanie nagrane podczas przesłuchania. Proszę też o pełną asystę.

- Oczywiście. Zaczniemy naturalnie po dobroci - powiedział Roper i włączył światła po obu stronach szyby, żeby Raszid mógł także ich widzieć.

- Dobry wieczór panu, jest pan dla nas połączeniem wywiadu cywilnego i wojskowego. Ja nazywam się Roper, ta pani obok to major Greta Nowikowa z GRU, a Dillona i Billy'ego Saltera już pan zna.

- Jestem pod wrażeniem - rzucił Raszid.

- Należymy wszyscy do grupy, która jest osobiście nadzorowana przez premiera. Nie obowiązują nas zwykłe zasady, więc proszę zapamiętać, że całkowita szczerść będzie się panu bardzo opłacać - dodał Dillon.

Billy się zaśmiał:

- Jedyna zasada, jaką mamy, to taka, że nie mamy żadnych. Po prostu szkoda nam na nie czasu.

- Rozumiem - spokojnie odpowiedział Raszid.

Greta nagle rzuciła po arabsku:

- Co to za bzdury? Analiza i wykresy z urzędzenia majora Ropera nie pasują do żadnego Araba, jakiego spotkałam. Coś tu nie tak.

Raszid odpowiedział w przyzwoitym rosyjskim.

- Cóż, jestem w dostatecznym stopniu Arabem, choć preferuję określanie się jako Beduin. Jestem członkiem klanu Raszidów, z Pustej Ćwierci, z pustyni Ar-Rab al-Chali. - Dalej mówił po angielsku. - Mój ojciec był londyńskim kardiologiem i pochodził z zamożnej rodziny z Bagdadu. Ale pieniądze nic dla niego nie znaczyły.

- A pan wyrzekł się wiary? Islamu? - dopytywała się Greta. - Nie wierzę.

- Rodzice wrócili do Bagdadu prawie trzynaście lat temu. Moje małżeństwo z chrześcijanką było dla nich wstydem i dyshonorem. Mało tego, moja babcia przepisała mi, ku ich zgryzocie, cały swój majątek, więc byłem od nich niezależny. Nawet zostawiła mi dom w Hampstead, w którym się urodziłem.

- I to wszystko bez żadnych nacisków ze strony innych muzułmanów? - teraz odezwał się Dillon.

- Żadnych? Ile ich było! Stałem się chrześcijańskim muzułmaninem, pariasem. Elektronika, w której się specjalizuję, ma zastosowanie we współczesnych rozwiązaniach kolejowych i jestem znanym ekspertem w tej dziedzinie. Z tego względu często jeżdżę do muzułmańskich krajów. Wielokrotnie wywierano na mnie naciski, i na uniwersytecie i podczas moich wyjazdów. Zdarzały się rzeczy, które by wami wstrząsnęły.

- Na przykład? - zapytał Roper.

- Nie powiem. Przynajmniej dopóki moje warunki nie zostaną spełnione. Mogę tylko powiedzieć, że osiem miesięcy temu, gdy byłem tydzień w Algierze a żona miała w szpitalu kilka operacji pod rząd, porwano mi córkę ze szkoły, zawieziono ją do jednego z aeroklubów pod Londynem, skąd agenci Armii Boga, wspierani przez al-Kaidę, wywieźli ją do willi mojego ojca w Amara, na północ od Bagdadu.

- Dobry Boże, tam jest przecież wojna - powiedziała Greta. - Dlaczego tam siedzi, zamiast postarać się stamtąd wydostać, zwłaszcza że to bogaty człowiek?

- Podobno doznał jakiegoś oświecenia, jest zafascynowany Osamą. Pozwolił Sarze raz zadzwonić do nas, ale zapowiedział, że nigdy już jej nie zobaczymy. Od tamtej pory próbowałem wszystkiego i nic nie wskórałem.

- I w tym miejscu opowieści pojawiają się my - powiedział Roper.

- Nikt w żadnym urzędzie nie jest w stanie mi pomóc. Ten piękny kraj, jakim był Irak, teraz jest piekłem - powiedział Raszid.

- Interesuje mnie, dlaczego pański ojciec, człowiek bogaty i wpływowy, chce pozostać w obszarze działań wojennych. Pani major ma rację.

- Poświęcił się wspomaganie tamtej strony, tyle mogę wam powiedzieć. To, czego przez ostatnie miesiące dowiedziałem się o Armii Boga i jej powiązaniach z al-Kaidą na Bliskim Wschodzie, bardzo by pana zainteresowało panie Dillon, szczególnie, że jest pan Irlandczykiem.

- Nie dolewa pan teraz oliwy do ognia? Co to, do cholery, znaczy?

- Teraz nic wam nie powiem. Wiecie, czego żądam.

- A pańska żona? - wtrąciła się Greta.

- Nie pięknie, jest zbyt silna. Jest doświadczonym chirurgiem. Operuje dzieci.

- I nigdy nie wiedziała o problemach z muzułmanami i Armią Boga?

- Myślałem, że uda mi się ją przed tym ochronić, ale porwanie Sary wszystko zmieniło.

Na szczęście ma swoją pracę, to jej powołanie i ostoja.

Nastała dłuższa cisza.

- Da się coś zrobić? - Dillon zapytał Ropera.

- No cóż, pomijając taki drobiazg, jakim jest wojna, trzeba się będzie tam rozejrzeć. Dobrze, że Ferguson jest w Brukseli, więc nie musimy mu o niczym mówić. Niech Henderson zaprowadzi tego biedaka do celi. Może będzie też chciał wziąć prysznic.

Gdy Raszid wstawał, Roper jeszcze raz zapytał:

- A pański wyjazd do Hazaru. Myślał pan, że ma on sens, tymczasem ludzie z Armii Boga zabawili się pańskim kosztem, tak?

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Rozumiem - powiedział Roper. - Chciałem się tylko upewnić.

* * *

Roper, który lubił myśleć o sobie jako o najgenialniejszym strategu wszechczasów, siedział w sali komputerowej popijając szkocką i paląc jednego papierosa za drugim, ale nie

pozwalał sobie na odpoczynek.

Najpierw zebrał informacje o Molly Raszid. Była znanym i uznanym chirurgiem-pediatrą i leczyła w kilku szpitalach. Tamtego feralnego dnia przeprowadzała operację na sercu w szpitalu na Great Ormond Street i wróciła do domu o północy.

Sprawdził też dane Raszidów w Iraku. Posiadłość przy drodze prowadzącej na północ od Bagdadu, tuż za wioską Amara, była, według źródeł amerykańskich nienaruszona i zamieszкана przez głowę rodziny, osiemdziesięcioletniego Abdula i dwie, trzy podstarzałe kobiety oraz pięciu lub sześciu młodych mężczyzn, którzy na pewno byli uzbrojeni. Znalazło tam również schronienie wiele osób, których domy zostały zbombardowane. Zauważył z radością, że wspomniano też o trzynastoletniej Sarze. Wyglądało więc na to, że cały czas tam przebywa. Roper wezwał Raszida z powrotem do pokoju przesłuchań.

- Co się stało? - zapytał Raszid.

- Zadzwonimy teraz do pańskiej żony.

- Mogę z nią porozmawiać? - Raszidowi zaświeciły się oczy.

- Nawet na to nalegam. Niestety rozmowa będzie prowadzona przez system głośnomówiący, dlatego sugeruję, żeby opowiedział jej pan wszystko co, jak przypuszczam, jeszcze nie nastąpiło.

W głośnikach dało się słyszeć sygnał wybierania numeru a potem kobiecy głos.

- Caspar? To ty? - Głos był ciepły i spokojny.

- Doktor Molly Raszid? - zapytał Roper.

- Tak, kto mówi? - W głosie zagościła niepewność.

- Nazywam się Giles Roper, major.

Zanim zdążył powiedzieć następne słowo, Molly się wcięła.

- Mój Boże, spotkałam pana kiedyś na obiedzie dobroczynnym w szpitalu na Great Ormond Street. To pan jest tym bohaterem z medalami za rozbijanie bomb! - Przerwała.

- Tym na wózku inwalidzkim - dokończył za nią Roper.

- Tak. Czemu pan dzwoni do mnie o tej porze?

- Proszę pani, jest tutaj pani mąż.

Raszid się wtrącił.

- To prawda. Wróciłem z Hazaru. Słuchaj Molly, ci ludzie mogą pomóc nam odzyskać Sarę.

* * *

Gdy skończył mówić, wszyscy milczeli. Raszid przedstawił wszystko szczerze i bardzo wyczerpująco.

- Co pani o tym myśli, pani doktor? - zapytał Roper.

- Jestem wstrząśnięta. Wiedziałam na temat nacisków ze strony islamskich radykałów więcej, niż podejrzewał mój mąż. Jestem pewna, że nie chciał, żebym wiedziała o tym wszystkim, a ja nie wyprowadzałam go z błędu. Jak to żona. Porwanie Sary wszystko zmieniło. Nieskuteczność jakichkolwiek środków prawnych, aby ją stamtąd wyrwać, była bardzo ciężkim doświadczeniem.

- Pani mąż chce iść na układ. Jeśli odzyskamy państwa córkę, on przekaze nam informacje, które, jak twierdzi, są dla nas bardzo wartościowe i dotyczą al-Kaidy i Armii Boga. Uważa pani, że możemy mu zaufać?

- Panie majorze, on mnie nigdy nie oszukał. Mój mąż jest Beduinem, to człowiek honoru.

- Oznacza to także, że zostanie tutaj w zamknięciu, aż do zakończenia operacji. Pani też sugeruję zorganizowanie sobie jakiejś ochrony, pani doktor. Żyjemy w niebezpiecznych czasach.

- Nie, dziękuję. Mój grafik operacji w szpitalu nie pozwala na to.

- Jednak po tym, co pani mąż przekazał nam na temat ludzi, o których na razie nic więcej nie chce powiedzieć, uważam, że powinna pani mieć ochronę. Możemy tu zaproponować jakiś kompromis - powiedział Dillon. - Major Greta Nowikowa, nasza koleżanka, oficer, która ma już kilka wojen za sobą mogłaby jeździć z panią.

Molly Raszid zamilkła, wahając się.

- Molly, zgódź się - poprosił ją mąż.

- W porządku. Czy mogę zobaczyć Caspara?

- Tak. Pani major przywiezie panią do nas. - Rozłączył się. - Starczy na dziś, życzę dobrej nocy. Henderson odprowadź, proszę, Raszida.

* * *

Po przesłuchaniu wszyscy się zebrali, żeby dokładnie przedyskutować sytuację. Greta

nalala sobie herbaty i wódki.

- Moim zdaniem - powiedział Dillon - powinniśmy zrobić tak: ty, Roper, zajmiesz się całą logistyką, Henderson i Doyle będą pilnować Raszida. I tak nie znieśliby innego żandarma w tym miejscu, a ty, Greta, będziesz opiekować się Molly Raszid.

- Powiem wam, że nawet ją polubiłam - powiedziała Greta sięgając po wódkę.

- A to oznacza, że do Iraku jedziemy we dwóch, Billy - powiedział Dillon.

- Żeby znowu ratować świat - odpowiedział Billy.

- Czyli robić to, co przystoi wielkim - dodał Dillon. - Powiedz mi Roper, ale szczerze, jak widzisz całą tę akcję?

- To proste, w odpowiednim momencie wywalisz drzwi kopniakiem i wejdziecie tam z Billy'm z bronią w ręku.

- Bardzo śmieszne.

W tym momencie zadzwonił kodowany telefon Ropera. Dzwonił Harry Salter.

- Harry! Co słychać? - zapytał Roper.

- Są wszyscy u ciebie?

- Jeszcze tak.

- Daj mnie na głośnomówiący, to powiem co słychać.

- Trwało to krótką chwilę. - Pamiętacie George'a Moona i tego łobuza Wielkiego Harolda?

- Jeśli mam być szczerzy, to nigdy o nich nie zapomniałem - powiedział Roper.

- To słuchajcie i ucicie się, szczeniaki. - Głos Harry'ego lekko drżał, gdy opowiadał, co zdarzyło się w Harvest Moon.

Billy jęknął.

- Ruby? Ruby Moon w Dark Manie?

- Na szczęście leży już bezpiecznie w łóżku. Ale mogło być gorzej, Billy. To z ciebie zrobi mężczyznę, chłopaku. Nie tak się mówi?

- Nie w szkole, do której mnie wysłałeś.

- To była jedna z najlepszych szkół w Londynie. Chciałem zrobić z niego dżentelmena, nauczyć go manier a co z niego wyrosło to sami widzicie.

- Wyrósł z niego gangster-dżentelmen! - zaśmiał się Roper. - Ale to pasuje Billy'emu.

- Dobra, wracaj do domu Billy. Czuję, że coś tam pitrasicie. Chodź, zrobisz przyjemność

staremu wujowi jak opowiesz, co się dzieje.

- Zobaczymy się za dwadzieścia minut - odpowiedział i rozłączył się. Spojrzał na Ropera i Dillona. - To jak robimy?

- Trzymamy Fergusonona w całkowitej nieświadomości - powiedział Roper. - Ja załatwię fałszywe papiery, pewnie znowu będziecie korespondentami wojennymi. Przygotuję też lot z Farley Field. Dillon, ty masz za zadanie powiedzieć Lacey'owi i Parry'emu, że to nieoczekiwany lot, ściśle tajny i tak dalej. Broń na lotnisko dowiezie kwatermistrz. Znam też firmę o nazwie Recovery, która pomoże wam we wszystkim w Bagdadzie. Zadzwoń do nich, żeby się upewnić. Dam wam jutro znać. A teraz zjeżdżajcie.

- Boże. Znowu tytanowe kamizelki.

Billy wyszedł, za nim poszli Dillon z Gretą i patrzyli, jak Henderson wypuszcza Billy'ego przez elektronicznie zamykaną bramę. Kiedy odjechał, wrócili do środka.

- Chyba pójde spać - powiedziała Greta i w tym samym momencie w głośnikach zadudnił poirytowany głos Fergusonona.

- Halo! Jest tam kto?

* * *

Greta aż podskoczyła, Roper położył palec na ustach nakazując milczenie, a Dillon nalewał do szklaneczek whisky.

- Jestem szefie. My nigdy nie zamykamy interesu - powiedział Roper.

- Co słyhać w Brukseli? - dodał Dillon.

- Straszne nudy, ale taka jest polityka. A jeśli chodzi o premiera, to zaczynają się dla niego ciężkie czasy.

- Druga zimna wojna? - zapytał Dillon.

- Chyba tak to przez chwilę odebraliśmy. Generał Wołkow nie opuszczał Putina na krok, natomiast jeśli chodzi o tego głupka Łuskowa, to jeszcze zdążymy się nim zająć. A u was spokojnie?

- Absolutnie Wysoki Sądzie, nudzimy się nawet.

- Ten irlandzki kawał ma długą brodę, Dillon. No dobrze, skoro to wszystko, to dobranoc.

Zadzwoń jutro. - Rozłączył się.

- Ja też się położę - oznajmił Dillon zwracając się do Ropera. - Znając ciebie, od razu zabierzesz się za robienie fałszywek.

- Nic tak nie przepędza nocy jak odrobina oszustwa. Nawet chyba Dickens tak kiedyś napisał - i odwrócił się do swojego ulubionego komputera. - Sean a ten tajemniczy człowiek al-Kaidy, Makler. Wierzysz, że on istnieje?

- Oczywiście.

Roper uśmiechnął się.

- Cieszę się. Bo ja też.

* * *

Władimir Putin, który przebywał w rosyjskiej ambasadzie w Brukseli, popijał wódkę z generałem Wołkowem, swoim najbardziej zaufanym człowiekiem do spraw bezpieczeństwa, i Maksem Czekowem.

- To jak tam, Czeków, idą interesy Belov International, wszystko w porządku? - zapytał prezydent.

- Oczywiście, towarzyszu prezydencie. Dzięki przedwczesnej śmierci Bielowa, przejęliśmy pola naftowe i gazociągi od Syberii do Norwegii i przez Morze Północne do Wielkiej Brytanii.

- I jesteśmy w stanie zamknąć te gazociągi w dowolnym momencie - dodał Wołkow kiwając głową.

- Powolutku, powolutku. Jeszcze zabawimy się z nimi - wtrącił Czeków. - Wy myślicie o tym, jak o bombie atomowej za starych czasów, której wszyscy się bali. - Pokręcił głową. - Teraz możemy osiągnąć znacznie więcej zakręcając w odpowiednim czasie odpowiednie kurki.

- Tak - powiedział Putin. - Trzeba przyznać, że ludzie Fergusona sprawili nam nadzwyczajny podarunek, lokując Bielowa na dnie Morza Irlandzkiego.

- A co z jego irlandzkimi posiadłościami?

- Drumore Place - odpowiedział Czeków. - Byłem tam dwa razy. Zostało zaprojektowane pod przemysł lekki. Jest tam przyzwoity pas dla samolotów i helipad. I mała, przyjemna

przystań. Tak czy inaczej, to miejsce może się nam jeszcze przydać. - Uśmiechnął się. - A gdybyście się chcieli tam kiedyś wybrać, to na miejscu jest całkiem przyjemny pub George.

- To dziwne. - Putin, kiedyś pułkownik KGB, znał doskonale historię Wielkiej Brytanii i Irlandii. - Król Jerzy w osiemnastym wieku raczej uciskał irlandzkich chłopów, bo byli katolikami. Nienawidzili go za to, a tu nazywają pub jego imieniem?

- Zapytałem o to samo właściciela, człowieka o nazwisku Ryan - odpowiedział Czeków. - Powiedział mi, że to ich pub od dawien dawna i chcą żeby tak pozostało. A druga rzecz, to może oni wszyscy i są katolikami, ale ich prawdziwą religią jest IRA.

- Tak, tak. - Putin spojrział na swój kieliszek. - Ci brutalni, byli członkowie IRA, są teraz dla nas bardzo użyteczni. No dobrze! - Podniósł szkło. - Wypijmy za świetlaną przyszłość Belov International. - Skinął do Czekowa. - I oczywiście za jego dyrektora zarządzającego.

Wypili do dna, a potem jeszcze po jednym. W pewnym momencie Czeków przeprosił i wyszedł. Wołkow ponownie napełnił kieliszki.

- Co o nim myślisz? - zapytał Putin.

- O Czekowie? Poradzi sobie. Ma piękny wojskowy życiorys. Wiedzieliście, że on jest z tych, co to zabijają z uśmiechem na ustach? Poza tym jest na tyle bogaty, że z mojego punktu widzenia można mu zaufać - nie popadnie w przesadną zachłanność.

- To dobrze. A teraz, Wołkow, sprawa tej żenującej historii z Blake'em Johnsonem. Powinniście chyba sprawdzić przydatność swoich ludzi. Branie na muszkę tak wartościowego celu ma sens tylko wtedy, jeśli jesteście pewni, że się uda. Nie może być mowy o jakimkolwiek błędzie. Poza tym wszędzie słyszę o tym przekłętym Dillonie!

- Tak jest, towarzyszu prezydencie, wszystko rozumiem. A jeśli chodzi o Dillona - to jest naprawdę wyjątkowy.

- A co? U nas nie ma takich? Co się stało, dajmy na to, Igorowi Lewinowi?

Wołkow się zawahał.

- Zaczął być nieprzewidywalny, towarzyszu prezydencie. Pod koniec sprawy Bielowa zbiegł do Dublina z dwoma sierżantami GRU, Czomskim i Popowem. Czomski, jak mi się wydaje, studiuje prawo na Trinity College w Dublinie. Sytuacja nie jest prosta.

- Jesteście w błędzie - powiedział Władimir Putin. - To wszystko jest bardzo proste. Zadzwońcie do nich i powiedzcie, że potrzebuje ich prezydent i Rosja. A jeśli to nie pomoże - no to mamy sposoby na takich co uciekają prawda? Co do Fergusona i jego komandy, to mam ich

już naprawdę dosyć. Trzeba ich załatwić raz na zawsze. Za każdym razem, gdy chcemy coś zrobić, to pojawiają się oni. Naszym celem jest nieporządek, chaos, anarchia, i co za tym idzie - rozkład porządku społecznego. A oni nam w tym przeszkadzają. Pamiętajcie też o naszych arabskich przyjaciółach, niech załatwią za nas brudną robotę. Ich ulubioną bronią jest bomba, a to oznacza straty wśród cywilów, więc zapłonie ogień nienawiści w Europie do wszystkiego, co muzułmańskie. Oczywiście macie moje pełne poparcie.

Wołkow usiłował się uśmiechnąć.

- Jestem za wszystko bardzo wdzięczny, towarzyszu prezydencie.

- Napijmy się jeszcze po jednym, potem jesteście wolni.

- Z przyjemnością.

Wołkow wstał, napełnił kieliszki stojące na stoliku obok i wrócił z nimi.

- Tak sobie jeszcze pomyślałem - powiedział Putin. - Ten Arab, którego prowadzicie w Londynie, profesor Dreg Chan, człowiek od Armii Boga. On jest w tyłu komisjach w parlamencie i ma tyle politycznych koneksji, że wydaje się być nietykalny. Poradziłby sobie pewnie i z morderstwem. - Zaśmiał się. - Co myślicie? - Podniósł kieliszek. - Za zwycięstwo i za mateczkę Rosję.

Wypili do dna.

* * *

Molly, którą wezwano w pół do trzeciej nad ranem do izby przyjęć w szpitalu Warley General, dowiedziała się, że nie dość, że brakuje dwóch chirurgów, to jeszcze będzie musiała sobie poradzić z tłumem pijanych ludzi i ofiarami jakiegoś ataku, w tym wieloma kobietami. Pacjenci tłoczyli się i przepychali między sobą.

Na dyżurze był też Abu Hassim, główny portier. Młody człowiek, niewysoki, ale silny i szorstki w obyciu potrafił poradzić sobie w takim tłumie. Abu urodził się w Streatham, mówił typowym londyńskim cockney'em, ale pozostał w stu procentach Arabem.

Znał dobrze Molly, bo mieszkał przy sklepie osiedlowym prowadzonym przez jego wuja i ciotkę, oddalonym o kilkaset metrów od domu Molly. Ona również знаła go wystarczająco dobrze, żeby kiwnąć do niego głową na przywitanie.

Była zmęczona i było jej strasznie gorąco. Gdy próbowała przepchać się przez tłum, dostrzegł ją jakiś facet w wieku około trzydziestu lat, bardzo pijany i głośno domagający się lekarza.

- A to co za laleczka? - wrzasnął łapiąc ją i próbując pocałować.

- Zostaw mnie, cholera, w spokoju - wrzasnęła odpychając go.

- Suka! - Krzyknął i uderzył ją w twarz.

Tłum ruszył do przodu, gdy jakaś ręka wyciągnęła ją z niego. To był Abu Hassim, który pouczył tamtego:

- Tak się kobiety nie traktuje. - Zrobił krok do przodu i mocno uderzył głową pijanego.

Pijak odleciał do tyłu, Abu złapał go za kurtkę i rzucił na krzesło.

Molly wytarła twarz papierowym ręcznikiem.

- To nie było politycznie poprawne zagranie, ale bardzo dziękuję. Abu Hassim, prawda?

- Tak, pani doktor. Przepraszam za to wszystko, dobrze, że w ogóle tu byłem.

- O tak. Ale dla pana to chyba codzienność, prawda? Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma za co. Do zobaczenia rano.

- A nie, rano mam wolne.

- O, to gratulacje.

Wyszedł na mokrą od deszczu ulicę. Na przystanku autobusowym było pusto o tej porze. Czekał. Po kilku minutach z głównej bramy wyjechała land roverem Molly. Zatrzymała się przed nim i otworzyła drzwi.

- Proszę wsiadać. Przynajmniej tak się mogę odwdziaczyć.

- Dziękuję ślicznie. - Wsiadł okazując trochę przesadnie wdzięczność.

- Widziałam, jak wychodzi pan ze sklepiku na Delamere Road - powiedziała Molly.

- Tak, mój wuj i ciotka go prowadzą.

- A pan skąd jest?

- Stąd. Z Londynu.

- Och, przepraszam - roześmiała się niepewnie.

- Nie ma za co przepraszać. Lubię swoją sytuację.

Z jakiegoś powodu poczuła, że musi zapytać.

- Pańscy rodzice...

- Nie żyją - dokończył Abu. - Pochodzili z Iraku. Dwa lata temu wrócili tam z powodów

rodzinnych i zginęli w bombardowaniu.

Była wstrząśnięta.

- Och, to straszne.

- Jest takie powiedzenie: tak daleko trzeba zajść, a tak mało na to czasu. - Był bardzo spokojny. - Ale, jak my mówimy: Inshallah, wszystko w rękach Allacha.

- Na pewno. - Zatrzymała się przed sklepem. - Do zobaczenia.

Była bardzo miła i od razu ją polubił. Szkoda, że była celem, ale z woli Boga miał do wypełnienia zadanie. Wysiadł.

- Dobranoc, pani doktor. Niech Bóg panią chroni. - Podeszedł do bocznych drzwi sklepu, a Molly odjechała. Była zmęczona i gdy przed samochodem otworzyła się w końcu brama garażu, odetchnęła z ulgą że jest już w domu.

* * *

Abu i jego wuj objęli się na powitanie.

- Paskudna noc, a ty cały zmokłeś. Załóż to. - Starzec podał mu szlafrok. - Zrobię herbaty. Ciotkę wezwali do Birmingham. Jej bratanica właśnie rodzi. - Krzątał się przy kuchni. - Opowiedz mi, co się wydarzyło.

- Nasza zwierzyna, mąż doktor Molly, Caspar Raszid przyleciał samolotem z Hazaru i został aresztowany. - Abu wziął do rąk kubek z herbatą. - Akurat było tam dwóch naszych sprzątających. Widzieli, jak przejęło go dwóch facetów, którzy najprawdopodobniej byli jakimiś urzędnikami. Potwierdził to jeden z naszych braci pracujący w pobliskim biurze paszportowym. Powiedział, że nazywają się Dillon i Salter. Jeszcze inni widzieli, jak wsiadł z nimi do samochodu i odjechał.

- A potem?

- Nie wiem, ale mam numery rejestracyjne.

- Skąd się tego wszystkiego dowiedziałeś?

- Mój kontakt wezwał mnie do szpitala, żebym zobaczył, co się dzieje z żoną Raszida. Policja na pewno skontaktuje się z nią. - Pokręcił głową. - Polubiłem ją. To dobra kobieta, dlaczego musi być jedną z nich?

Zamiast wyjaśnić, wuj zapytał:

- Osłabłeś w swym postanowieniu?

- Ani trochę, nie przed Allahem - obruszył się Abu. - Idę spać. Rano ona ma wolne, więc będzie trudno obejrzyć dom. Jutro zresztą zobaczymy.

Wuj objął go jeszcze raz.

- Jesteś dobrym chłopcem. Śpij dobrze.

* * *

Wuj Ali zauważył, że z biegiem lat śpi mu się coraz lżej, dlatego coraz częściej drzemał tylko na kanapie przy ogniu. Teraz też tam siedział myśląc o obecnej sytuacji i doszedł do wniosku, że ma ogromne szczęście, bo z wiekiem wzmacnia się w nim wiara i że Allah podarował mu taką siłę. Nagle zadzwonił telefon.

- Widzę, że nie śpisz Ali, mój bracie?

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Abu wykonał dobrą robotę, zaznajamiając się z tą kobietą. Powiedz mu, żeby wziął jutro wolne i obserwował ją. Jednemu z moich agentów z Heathrow udało się śledzić Caspara Raszida aż do Holland Park, gdzie go trzymają. Niestety, tam jest solidna ochrona.

Człowiekiem, który zadzwonił do Alego, był profesor Dreg Chan zawodowo zajmujący się studiami porównawczymi religii. W tej dziedzinie był światowej klasy specjalistą ale szczególnie względami cieszył się właśnie w Londynie, gdzie był członkiem niezliczonych komisji rządowych i międzywyznaniowych. Miał jednak ogromny sekret, mianowicie brzemienne w skutki spotkanie przed laty w Afganistanie z Osamą bin Ladenem, które zmieniło jego postrzeganie świata, i które w końcu doprowadziło do założenia Armii Boga.

- Dowiemy się wszystkiego, co będzie możliwe, ale, jeśli mam rację, próba wejścia do środka będzie stratą czasu. Moi specjaliści od komputerów z uniwersytetu sprawdzili, kto jest właścicielem samochodu i okazało się, że jest nim znany w swoim czasie przestępca, Harry Salter. Niewiarygodnie bogaty, choć informatorzy mówią że nadal bawi się w stare rzeczy. Wiesz, co on mówi ludziom? Że przemysł papierosów daje te same zyski, co przemysł heroiny, ale w przypadku złapania dostaje się tylko sześć miesięcy.

- Londyn to naprawdę niezwykle miejsce.

- Ma też bratanka, Billy'ego Saltera, ale w sieci nic nie znaleźliśmy. Być może władze wyczyściły informacje o nim. Rozpuszczę wici. Tak czy inaczej, zrób co w twojej mocy i niech Bóg będzie z tobą.

Ali Hassim westchnął, wyciągnął ramiona i oparł się o kanapę.

* * *

Mniej więcej godzinę wcześniej Billy przyjechał do Dark Mana. Wiedział, że frontowe drzwi będą zamknięte, więc wszedł od razu przez boczne wejście i przeszedł do baru, gdzie znalazł Harry'ego siedzącego przy ogniu i Ruby, która właśnie podawała mu kawę. Oboje spojrzeli na niego, Ruby usiłowała się uśmiechnąć, bała się, że Billy będzie dla niej niemiły. Ale potraktował ją zupełnie inaczej.

- Głupio robiłaś znosząc to tak długo, Ruby. On był zawsze świnią i w dodatku tak przystojny, jak psie łajno. Mam do zakomunikowania mojemu wujowi niezbyt dobre wiadomości. Jeśli chcesz, możesz zostać z nami, jesteś teraz częścią zespołu. Poza tym, jeśli już tu mieszkasz, to możesz olać każdego faceta.

- Czy to ma być komplement?

- Tak. A teraz cicho. - Spojrzał na Harry'ego. - Znowu lecimy do Bagdadu.

- Wspaniale - powiedział Harry. - Żołnierze stamtąd wracają a mój bratanek i jakiś narwany Irlandczyk robią dokładnie odwrotnie.

- Opłaci się. - I opowiedział wszystko po kolei. - To jeszcze dzieciak, ma trzynaście lat, więc jeśli Roper wymyśli jak ją stamtąd wyrwać, to ja w to wchodzę. A tak szczerze, to im bardziej myślę, jaka tam czeka ją przyszłość, tym bardziej jestem zdecydowany. - Wstał. - Idę spać, bo zaraz padnę.

Harry i Ruby siedzieli w ciszy, w końcu powiedział:

- Uparty jest ten mój bratanek. Co o tym myślisz, Ruby?

- Przede wszystkim potrzebuje po prostu się wyspać. - Zabrała filiżankę do baru. - Ale chcę powiedzieć, że jest wspaniały i że ja też pójdę spać.

Wyszła.

* * *

Była szósta rano gdy Greta Nowikowa jechała przez stosunkowo puste, zalane deszczem ulice. Granatowy mini cooper, który miał już kilka lat, jak dla niej, był idealnym samochodem. Dom Molly udało jej się znaleźć od razu. Był zbudowany w stylu edwardiańskim i pięknie zdobiony. Zadzwoiła do Ropera.

- Jestem na miejscu.

- Dam jej znać.

Po chwili usłyszała dźwięk otwieranej bramy. Oczom Greta ukazała się alejka wysadzana topolami i stojący na końcu działki dom, z tarasem i ogromnymi oknami.

- Jest fantastyczny - zachwyciła się Greta. - Wart co najmniej cztery albo pięć milionów.

- Zgadza się, jest wart dokładnie cztery i pół. Ale kiedy był kupowany, kosztował sto siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów, tak podskoczyły ceny nieruchomości od tamtego czasu.

Molly Raszid otworzyła frontowe drzwi i wyszła na taras.

- Witam, pani major.

- Jest przepiękny.

- Dom? Tak, dobrze się nam tu mieszka. Mój mąż uwielbia to miejsce, tak samo córka.

W środku panował porządek, jakby nic się nie wydarzyło. Greta obejrzała wiszące wszędzie obrazki i podłogę wyłożoną pięknym kamieniem, ciepłym od ogrzewania podłogowego.

- Kuchnia jest na końcu korytarza - powiedziała Molly. - Zrobię herbatę, chyba, że woli pani kawę.

- Jestem Rosjanką, stanowczo wolę herbatę.

- Jeśli o to chodzi, to wspaniale jest mieć męża Beduina. Raszidowie znają się na herbacie jak mało kto. Zapraszam za pięć minut. Proszę w tym czasie obejrzeć cały dom. Ciekawa jestem, czy zgadnie pani, dlaczego w sypialni nie ma łazienki.

Greta przeszła od sypialni do sypialni, obejrzała łazienki i garderoby, wszystkie pięknie zdobione, oraz ogromnego pluszowego misia wielkości człowieka, stojącego na półpiętrze. W końcu trafiła do największej sypialni, która była prawdziwym dziełem sztuki i obok której również była garderoba. Zwróciła uwagę na lustrzane drzwi od szaf. Zaczęła je po kolei otwierać i nagle jedna z nich okazała się przejściem do ukrytej łazienki. Greta zamknęła ją i zeszła na dół.

Molly siedziała przy stole i nalewała herbatę.

- Udało się? Może będzie łatwiej, jak będziemy mówiły sobie po imieniu?

- Na pewno. Znalazłam ją ale nie musiałam długo szukać. Rozumiem, że to skrytka?

- Cóż, na szczęście nigdy nie trzeba było jej używać. Już sama myśl o ewentualnej konieczności skorzystania z niej trochę mnie przeraża. Dlaczego to wszystko właśnie nam się przydarzyło?

- Twój mąż to człowiek dość znany w pewnych środowiskach, dlatego jest celem ciemnej strony muzułmańskiego świata. Byłby traktowany dobrze, gdyby publicznie popierał ekstremizm. Zamiast tego odwraca się od wiary i gardzi nią przez to dla nich jest zdrajcą. Fundamentalisci, przynajmniej wielu z nich, nie chcą przyznawać się do brytyjskości, nawet jeśli się tu urodzili. - Wstała. - Jedźmy już.

Kilka minut później wyjeżdżały przez główną bramę.

- Jak daleko jest do sklepu tego Abu?

- Pięć minut, nie dalej. Ruch o tej porze jest niewielki. Będziemy przejeżdżać obok niego, więc ci go pokażę.

Gdy dojechały, zatrzymały się na chwilę po przeciwnej stronie ulicy. Przed sklepem stała żółta półciężarówka służb oczyszczania miasta. Obok niej stało dwóch Arabów w żółtych pelerynach, za chwilę podszedł do nich trzeci, też w żółtej pelerynie, pchając przed sobą żółty wózek z łopata i miotłą. Zamienili ze sobą kilka słów i samochód odjechał.

- To dziwne - powiedziała Molly.

- Co takiego?

- Ten trzeci gość to był Abu. A mówił, że ma dzisiaj zmianę.

- Może ma drugi etat - odpowiedziała Greta, ale sama w to nie wierzyła. - Zadzwoń do Ropera.

Oddzwonił po piętnastu minutach.

- Strasznie jesteście nerwowe, miłe panie. W tamtej okolicy jest co najmniej kilka takich samochodów. Mają comiesięczne kontrole stanu urządzeń.

- W porządku - powiedziała Greta. - Zobaczymy się niedługo. Co ze śniadaniem?

- Załatwione. Tony's Cafe na Arch Street, tuż za rogiem. Dowożą jedzenie. Zimna jajecznica, stary bekon i tosty, które w swoim życiu wiele przeszły. Chyba trzeba będzie zatrudnić kucharkę, ale ja takiej władzy nie mam. Brak mi geniuszu generała Charlesa

Fergusona, odznaczonego Orderem za Wybitną Służbę i Krzyżem Wojskowym, który jako jedyny jest w stanie poradzić sobie z wyborem pani w średnim wieku o rumianych policzkach, żeby prowadziła przyzwoitą stołówkę, tak, jak to robiła do tej pory pani Grant. Szkoda, że już jej nie ma wśród nas, pogrzeb odbył się chyba trzy tygodnie temu.

- Jesteś wariatem, Roper.

- Od kiedy cię poznałem, dziewczyno. To zaszczyt ci pomagać. Dopóki nie...

Greta śmiała się w głos.

- Wariat.

- Żartuje sobie z siebie - powiedziała Molly.

- Pewnie tak. Tyle osób uchronił od śmierci i co ma za to? Spaloną twarz i strzaskany kręgosłup. Nadal siedzi w nim pięć odłamków. Do tego żona, która go opuściła. Powiedział mi o tym Dillon, gdy za dużo wypił. Chyba nie dawała już sobie rady.

- Może była młoda, słaba i zbyt delikatna. To się zdarza, niestety. Ale to, co on robił potwierdza, że jest niezwykłym człowiekiem. Pomyśl, że pod tym co widać, kryje się człowiek naznaczony cierpieniem. Wiele przeszedł.

- Pewnie tak. Wiesz, ty jesteś bardzo miła i masz dobre serce, a ja tylko służyłam w Czeczenii, Afganistanie i Iraku. Jeszcze nie odkryłam wielu rzeczy i tego, co mogą dla mnie znaczyć, ale kiedy to się stanie, dam ci znać.

- Tak mi przykro - wtrąciła Molly.

- Niepotrzebnie. Tak naprawdę, to nawet mi się to podoba. Zastanawiam się tylko nad przyszłością - odpowiedziała i skręciła w kierunku Holland Park.

* * *

Śniadanie, zapakowane w pudełko owinięte folią odebrał sierżant Doyle. Potem zaprowadził Molly do męża. Pozostali zebrali się w sali konferencyjnej i po jakimś czasie Roper poprosił Raszidów, żeby do nich dołączyli.

- Skończymy pić kawę, a potem wprowadzę was w szczegóły - powiedział. - Oczekuję wizyty pewnych osób, które są nam potrzebne, żebyśmy w ogóle mogli myśleć o tej sprawie.

Chwilę później zadzwonił dzwonek do drzwi i sierżant Doyle wprowadził dwóch

przystojnych, wąsatych mężczyzn w skórzanych kurtkach, które od razu zdradzały, że są to piloci. Roper ich przedstawił.

- To są major Lacey i kapitan Parry, obydwaj odznaczeni Krzyżem Wojsk Powietrznych. Będą pilotować gulfstreama. Obydwaj wykonują dla nas, że się tak wyrażę, powietrzne zadania.

- Siedem dni w tygodniu. W obie strony - uśmiechnął się Lacey.

Dillon wyjął z kieszeni piersiówkę Bushmillsa, odkręcił kapsel i napił się prosto z butelki.

- Mała poprawka. Nasi piloci mają po dwa krzyże.

Obydwaj spojrzeli na niego osłupiali.

- Harry codziennie czyta „Timesa”. Wygląda na to, że dzisiaj rano pisali coś o tajnych operacjach i o was. Nie mam pojęcia, skąd się dowiedzieli - dodał Billy.

- No, to za więcej szczęśliwych lądowań - dokończył Dillon spełniając toast.

Wszyscy zaczęli gratulować pilotom, aż w końcu Roper otworzył teczkę i wyjął z niej dokumenty.

- Majorze, to dla pana. Szczegóły lotu do Bagdadu. Przypomnijcie sobie tamtą robotę sprzed półtora roku. Pasażerami będą Billy i Dillon zaś cel wyprawy opisany jest w dokumentach. Zaczekacie na nich, a w powrotnej drodze będzie jeszcze jeden pasażer, trzynastoletnia dziewczynka nielegalnie przetrzymywana w Iraku. Dillon i Billy mają ją przejąć i przywieźć do domu.

- Sytuacja w Bagdadzie nadal jest nienajciekawsza - powiedział Lacey. - Przez ostatnie dwa tygodnie zestrzelono tam siedem śmigłowców. Ale oczywiście zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

- Zdajemy sobie z tego sprawę.

- Kiedy mamy wyruszać?

- W przeciągu, powiedzmy, dwudziestu czterech godzin.

- W porządku, majorze. Czy coś jeszcze?

Roper nadał głosowi nutę tajemniczości.

- Panie majorze, zapewne widział pan wiele filmów wojennych, w których bohater poproszony o coś szalonego, dowiaduje się, że to „coś” pomoże wygrać wojnę. Tu mamy właśnie taką sytuację. Konsekwencje udanej akcji będą dla nas niewymownie korzystne.

Spowaźnieli.

- Pozwólcie nam zatem działać. Jedziemy prosto na Farley.

* * *

Dillon spojrział na Raszida.

- Caspar, powinieneś wiedzieć, że Billy i ja spotkaliśmy się już z Raszidami w zeszłym roku. Konkretnie z Paulem, Earlem Loch Dhu i jego siostrą, lady Kate, którzy wtedy przewodzili rodowi.

- Kiedy jeszcze żyli - dodał Billy.

Caspar zeszywniał.

- Mielicie coś z tym wspólnego? To był szok dla nas wszystkich.

- Nie mówiąc już o tamtym moście kolejowym. Znasz go pewnie, jak on się nazywa - Bacu? Zbudowany podczas drugiej wojny światowej nad wąwozem o szerokości prawie dwustu metrów. O mało co nie wyleciał w powietrze.

Raszid był bardzo zdenerwowany.

- Earl i jego siostra zostali zamordowani, czyli to wy ich zabiliście?

- Przyjacielu, nie mówisz nam o swoich sekretach, my nie będziemy zdradzać ci naszych.

Piękny widok jest z tego mostu - westchnął Billy.

- Chcecie przez to powiedzieć, że to była egzekucja? - zapytała Molly.

- A zauważyliście tę interesującą bliznę na twarzy Billy'ego? - zapytał Dillon. - To robota Kate Raszid, do tego były trzy kule, dwie w biodrze, trzecia w szyi. W takich sytuacjach zapomina się o etykietce, poza tym nie można było inaczej. Uwierzcie mi, to byli źli ludzie.

- A dobrymi w tej sprawie jesteśmy my, pani doktor - dodał Roper. - Dziwny jest ten świat, prawda? Bardzo dziękuję państwu, jesteście wolni.

* * *

W drzwiach pojawił się Doyle, żeby ich odprowadzić do pokoju.

- Greta - zawołał Roper - chodź i zobacz, co ma dla nas satelita. Willa Raszidów znajduje się w Amarze, na północ od Bagdadu, i dzięki mojemu wspaniałemu sprzętowi mogę wam ją pokazać. Niesamowite, co te satelity potrafią. Patrzcie i podziwiajcie.

Widać było, że posiadłość należy do bogatego człowieka. Nie było widać żadnych śladów

zniszczeń, dom otaczały kępy palm, obok rósł pomarańczowy zagajnik, a dalej drzewa cytrynowe i oliwne. Po Tygrysie, do którego przylegała posiadłość, płynęły łodzie.

- Cisza i spokój.

- Nikt by nie pomyślał, że tam toczy się teraz wojna - powiedział Billy. - Spójrzcie uważnie. Na tarasie jest kilka kobiet. Przed nim rozciąga się gaj pomarańczowy i cytrynowy, więc musi być przynajmniej kilku robotników, dalej jest dobrze strzeżona główna brama. Trzech tutaj i założę się, że każdy z nich ma kałasznikowa. No i kilka namiotów.

- Twardy orzech do zgryzienia.

- Ale nie niemożliwy. - Rzeką szybko przepłynęła kilkunastometrowa motorówka. - Z powodu tego, co się dzieje w mieście, kwitnie handel łodziami, bo nie muszą obawiać się min. A na miejscu są byli ludzie z piechoty morskiej, jest SAS, Zielone Berety, tam są wszyscy.

- A masz tam kogoś konkretnego? - dopytywał się Dillon.

- Jednego łobuza o imieniu Jack Savage. Był chorążym w specjalnej jednostce marynarki. Specjalizował się w operacjach przeciwko IRA zatapiając trawlerzy i podejrzane statki na Morzu Irlandzkim. Kiedyś wynegocjowałem dla niego spore pieniądze, więc załatwi nam wszystko na miejscu. Spotkacie się z nim w Bagdadzie.

- Gdzie?

- W klubie nad rzeką. Prowadzi go z żoną Rawan Savage, z domu Rawan Feleyah, która jest Druzyjką. Klub nazywa się River Room. Już powiadomiłem go o całej operacji. Przedstawi wam plan działania na miejscu.

- Czyli podejście od strony rzeki?

- Tak. Po niej stale płyną, szczególnie nocą, różne łodzie i różni ludzie. I z różnymi zamiarami.

Dillon pokiwał głową i spojrzął na Billy'ego.

- Zawieź mnie do Wapping, opowiemy wszystko Harry'emu. On lubi takie opowieści.

- Pewnie też będzie chciał polecieć - ostrzegł go Billy. - Już nie raz takie rzeczy robił.

- Greta. - Dillon odwrócił się do niej. - Może już czas oderwać naszą panią doktor od męża.

Greta poszła do ich pokoju. Na jej widok Molly i Caspar wstali.

- Już czas. Niestety, nie zobaczycie się aż do czasu zakończenia całej operacji. Nic na to nie poradzimy.

- Taka jest widać wola Allacha - powiedział Caspar.

- Często się odwołujesz do Boga, jak na tak mało religijnego człowieka.

- To prawda, ale wszyscy jesteśmy zależni od wyroków Opatrzności. Czy to będzie krwawa wyprawa?

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to nie.

- A jeśli pójdzie źle, to ktoś zginie, prawda? Czy Sara też może zginąć?

- Zawsze jest jakieś ryzyko, ale posłuchajcie. Powiem wam, kim jest człowiek, który pojedzie ratować wasze dziecko, czyli Sean Dillon. Kiedyś był najlepszym i najstraszniejszym bojownikiem, jakiego miała IRA.

- Dlaczego już nie jest?

- Kiedy była wojna w Bośni, leciał tam prywatnym samolotem wioząc lekarstwa i sprzęt medyczny dla dzieci. Został zestrzelony nad Serbią i trafił w ich ręce. Praktycznie czekał na śmierć, kiedy pojawił się Charles Ferguson, który zaszantażował Dillona, aby pracował dla niego, potem dobił targu z tymi, którzy go przetrzymywali.

- Kim są ludzie, którzy wypełniają twój świat? - Molly Raszid była zszokowana i przerażona.

- To ludzie przygotowani na to, żeby zrobić wszystko, co konieczne. Musimy jechać. Mówiłaś, że masz być w szpitalu.

- Tak.

- Chcesz jeszcze zajrzeć do siebie?

- Nie. Mam wszystko.

- Dobrze. Najpierw cię podrzucę, a potem sprawdzę czy wszystko w porządku w domu. Zobaczymy się po południu. Gdyby coś się działo, zadzwonię na komórkę.

Podróż spędziły w milczeniu. Gdy były już pod szpitalem, Molly Raszid zabrała parasolkę, otworzyła ją i przez chwilę stała milcząca. W końcu zapytała:

- Pewnie kiedyś zabiłaś człowieka.

- Wiele razy - odpowiedziała łagodnie Greta. - Po prostu pracuję w takiej branży. Ty przecież też ocierasz się o śmierć. Nie przywykłaś do niej?

Molly Raszid uśmiechnęła się smutno.

- Wyobrażałam sobie, że to co robię, jest postrzegane jako ratowanie życia, ale chyba jestem niedoinformowana.

Odwróciła się i ruszyła w stronę wejścia do szpitala, z którego wyszedł Abu.

- Abu? - zapytała. - Dokąd pan idzie? Myślałam, że ma pan dyżur?

Uśmiechnął się do nich obu.

- Dzień dobry. Nie, dzisiaj po południu mam wolne. Umówiłem się z kolegą. - W tym momencie pojawiła się żółta półciężarówka, którą prowadził Arab o dziobatej twarzy. - To Dżamal. Czasem mu pomagam, gdy mam czas.

Dżamal, który wyglądał na wiecznie rozgniewanego, niechętnie kiwnął głową na powitanie, Abu usiadł obok niego i odjechali. Greta pożegnała się z Molly i, jakby kierowana przecuciem, pojechała prosto do domu Raszidów. O tej porze ruch był niewielki, więc w miarę szybko tam dotarła. Wjechała do garażu, zamknęła drzwi i weszła na górę lokując się przy najwyżej położonym oknie. Kilka minut później ujrzała żółtą półciężarówkę zatrzymującą się pod domem. Wysiadł z niej Abu, a samochód odjechał kawałek dalej i zaparkował pod drzewami.

Greta pokiwała głową. Postanowiła pozwolić Abu włamać się do domu, żeby sprawdzić co planuje, albo czego będzie szukał. Domyślała się, że chodzi mu o informacje o Casparze Raszidzie. Nagle usłyszała stuk okna w spiżarni. Szybko poszła do największej sypialni i schowała się w ukrytej łazience.

Słyszała, jak Abu kręci się po domu, aż w końcu znalazł się w sypialni. Wtedy wyjął komórkę i zadzwonił do Dżamala. Mówił po arabsku, ale dla Grety, która dość długo stacjonowała w Iraku i sama nieźle mówiła w tym języku, nie stanowiło to problemu.

- Nie ma nikogo. Nie, czekaj na mnie, masz rozkazy. Przejrzę dokładnie mieszkanie i zobaczę, czy znajdę coś dla profesora Chana. Zostań koło kanału.

Greta wyjęła z kabury waltera, nakręciła tłumik na lufę I wyszła na korytarz. Abu stał po jego przeciwnej stronie, trzymając luźno w prawej ręce pistolet.

- Niespodzianka - powiedziała cicho po arabsku. - Dziękuję, że zadzwoniłeś. Doktor Raszid nie ma teraz w domu, jest tylko jej ochrona.

Odwrócił się kompletnie zaskoczony i oszołomiony. Dalej mówiła po angielsku.

- Caspara Raszida też nie ma w domu. My go mamy, co pewnie nie daje spać Armii Boga. A tak przy okazji, kim jest profesor Chan?

Nagle jego twarz przeszył grymas, podniósł rękę, ale Greta była szybsza. Strzeliła mu prosto między oczy. Abu upadł na plecy ginąc na miejscu.

Greta postąpiła tak, jak jej powiedziano. Zadzwoiła do Ropera z kodowanego telefonu.

- Gdzie jesteś? Co się dzieje?

- Mam ciało do zabrania. Jestem w domu Raszidów, sama. Ten Abu włamał się tutaj, miał broń, więc nie miałam wyboru.

- Zaraz tam przyjadą. Za parę godzin zostanie zeń garstka prochu.

- Mam jej powiedzieć, co się tu stało?

- Raczej nie. Molly jest inna niż my. Jest niewinną kobietą i trupy i takie rzeczy to nie jej świat.

* * *

Kilku facetów w czarnych uniformach, którzy pojawili się po parunastu minutach, zachowywało się bardzo profesjonalnie, jakby całe życie byli grabarzami. Głowę Abu obwiązano, włożono go w czarny worek, a jeden z nich dokładnie umył korytarz. Na szczęście podłoga była wyłożona lakierowanym drewnem.

- Nikt nie zauważy, pani major. - Wyjął dywanik i położył go. - Gotowe.

Odprowadziła ich wzrokiem, potem zbiegła na dół i podeszła ścieżką między drzewami do samochodu, w którym siedział Dżamal.

Zerwał się gdy postukała pistoletem w szybę.

- Nie próbuj żadnych sztuczek - powiedziała po arabsku. - Armia Boga straciła jednego człowieka. Osobiście zastrzeliłam Abu, a moi ludzie zabrali jego ciało. Jeśli był grzeczny, to hurysy już mu w niebie grzeją pościel. Jeśli nie, to wszyscy jesteście w niezłych tarapatach.

- Kim pani jest? - zawołał po angielsku.

- Wywiad brytyjski. Mam wiadomość do przekazania.

Powiedz swojemu szefowi, profesorowi Chanowi, że go dopadniemy. Jego mała armia ma się zaraz zwijać, albo wszyscy skończycie jak Abu. Jasne?

Dżamal nie powiedział ani słowa, tylko czoło zrosił mu pot. Greta odwróciła się i odchodząc usłyszała uruchamiany silnik i pisk opon odjeżdżającego samochodu.

* * *

Po chwili zadzwonił jej kodowany telefon. Usłyszała Ropera.

- Załatwione. Nawet wymieniliśmy okno i posprzątaaliśmy szkło, więc nie będzie śladu, że cokolwiek się stało. U ciebie wszystko w porządku?

- Tak. Powiedz mi Roper, czy nazwisko profesora Chana jest ci znane? To nazwisko było znane i Abu i Dżamalowi, kierowcy samochodu.

- Nie, kompletnie nic mi to nie mówi.

- Myślę, że gdybyś przepuścił nazwisko tego profesorka przez komputer, to dowiedzielibyśmy się o nim ciekawych rzeczy.

- Dlaczego nie.

Zrobił to od razu i zrozumiał, że otworzył puszkę Pandory.

* * *

Kiedy Molly Raszid wyszła ze szpitala, była już prawie ósma, deszcz nadal padał. Wsiadła do samochodu.

- Ale jestem skonana.

- Miałaś ciężki dzień? - zapytała Greta.

- Okropny. Operacja za operacją. Teraz chcę tylko coś zjeść i od razu iść spać. A ty?

- Dzień, jak co dzień. Nuda. - Zaśmiała się. - Jedźmy w takim razie do domu.

Bagdad

Roper zaproponował Jackowi Savage'owi tak dobry interes, że tamten od razu siadł i zaczął zapisywać szczegóły. Najbardziej istotne dla niego było wynagrodzenie w dolarach. Obydwaj znali się doskonale jeszcze z Irlandii Północnej, Roper wsławił się tam rozbieraniem bomb zaś Savage - nocnymi morskimi pościgami za przemytnikami broni. Gdy doszli do omawiania warunków, jakie stawiał Roper, Savage dowiedział się o Dillonie i Billy'm, o Sarze Raszid i planach jej odbicia. Savage'owi było tak naprawdę wszystko jedno, co tamci zamierzali. Mógł na tej akcji zarobić tak dużo, że nie zastanawiał się ani chwili.

Jednak jego żona, Rawan Savage, patrzyła na to nieco inaczej. Kilka lat temu ekstremiści spalili baręk, na której mieszkali jej rodzice. Abdul Raszid wykorzystał swoje kontakty i wywiózł ich z Iraku do Jordanii. Dlatego miała wobec niego zwyczajny dług wdzięczności.

Kiedy Savage opowiedział żonie o planach jego gości, dała mu jasno do zrozumienia, że w ogóle nie zgadza się na tę akcję.

- Posłuchaj - powiedział. - Takiej okazji nie możemy wypuścić z ręki. Powiązania z brytyjskim wywiadem zapewnią nam dostatnią przyszłość. Nie widzisz tego?

- Pazerny głupek - krzyknęła. - Myślisz tylko o pieniądzach, tak? Nie chcę cię widzieć! Śpisz dzisiaj na pokładzie.

- I tak nic nie tracę. Dla mnie jak znalazł. - Złapał kilka koców, butelkę szkockiej i wyszedł trzaskając drzwiami.

Roper, niestety, jednego nie wiedział, że po wielu nieudanych próbach ucieczki, dziadek najzwyczajniej przykuwał Sarę do ściany. Poza tym przez większość czasu siedziała zamknięta na klucz w swojej sypialni. Tylko od czasu do czasu pozwalano jej spacerować po ogrodzie i sadzie, ale była wtedy pilnie strzeżona przez mężczyzn z kałasznikowami. Poza tym zawsze był przy niej Hussajn, kuzyn który miał ją w przyszłości poślubić.

Pomimo tego Sara była traktowana i przez strażników i przez służbę z szacunkiem, ponieważ jej dziadek był nie tylko bogaty, ale i dość wpływowy, a jego powiązania z Osamą bin Ladenem i Armią Boga były szeroko znane.

Jego miłość wobec Sary była prawdziwa i bardzo głęboka, szczególnie po śmierci żony, która razem z ponad siedemdziesięcioma osobami zginęła w centrum Bagdadu podczas wybuchu samochodu-pułapki. To, że Sara była tylko w połowie Arabką nie miało dla niego znaczenia, bardziej bolało go to, że jego własny syn odwrócił się od religii, a tego nie potrafił wybaczyć.

Sara, która była bardzo dojrzała jak na swój wiek, siedziała przez większość czasu w pokoju i, nie mając nic lepszego do roboty, uczyła się arabskiego. Dużo też rozmyślała o swoim położeniu. Dziadek powiedział jej, że w końcu i oni będą musieli emigrować z Bagdadu, tak jak wielu jego znajomych. Ich celem miał być Hazar, gdzie żył brat dziadka, Dżamal, głowa rodu w tamtym państwie. Raszidowie z Hazaru byli bogaci i wielu z nich żyło w Pustej Ćwierci, jednej z najdzikszych pustyń na świecie. Ona gwarantowała im spokój i bezpieczeństwo.

Tak miała najprawdopodobniej wyglądać jej najbliższa przyszłość. Ale w tej chwili nie myślała o tym, tylko spacerowała po tarasie, a wiatr rozwiewał jej piękny, jedwabny szal, którym owinęła twarz. Była piękna i w pełni tego świadoma. Hussajn wciąż ją adorował zaś ona umiejętnie to wykorzystywała.

- Chcesz wrócić do swojego pokoju?

- Jeszcze nie. A to kto? - Wskazała na starą łódkę, która skręciła i podpłynęła do brzegu. Gdy łódź dobiła do pomostu, Sara zobaczyła, że przyплыnęła nią kobieta ubrana w zachodnim stylu - w oliwkową bluzkę i oliwkowe spodnie, ze związanymi włosami. Pod lewym ramieniem trzymała torbę. Kobieta rzuciła linę, którą podniósł jeden z mężczyzn i zawiązał na kołku. Łódź nosiła angielską nazwę - „Eagle”.

- Hussajn, co u ciebie? - zapytała Rawan, wychodząc na brzeg.

- Wolalbym kończyć medycynę, ale jest jak jest. Wojna, wojna, cholerna wojna. Poznajcie się. To jest Sara. Saro, to jest Rawan Savage.

Rawan spojrzała na Sarę.

- Słyszałam, że jesteś tu już kilka miesięcy, ale nigdy nie miałam okazji cię poznać. Jesteś rzeczywiście piękną młodą kobietą. - Rozmowa toczyła się po angielsku.

- Urodziłaś się w Bagdadzie? - zapytała Sara.

- Tak, w rodzinie Druzów. Hussajn, muszę porozmawiać z twoim wujem. Mogę?

- Oczywiście. Jest w gaju pomarańczowym.

- To na razie - pożegnała Sarę i weszła na schody prowadzące do sadu, gdzie wśród drzewek siedział Abdul Raszid.

Starzec powitał ją serdecznie. W czasie rozmowy pochylał się ku niej. Kiedy skończyła, położył jej rękę na głowie, jakby ją błogosławił. Rawan wstała i wróciła do łodzi. Abdul zawołał Hussajna.

- Poczekaj na mnie - powiedział do Sary i wbiegł po schodach. - Tak, wuju?

- Dopilnuj, żeby Sara poszła do pokoju i poślij do niej kobiety, żeby pomogły się jej spakować.

- Spakować?

- Przygotowywałem się do tego dnia od miesięcy, Hussajnie. Czas ruszać w drogę. Sara będzie potrzebować pomocy jakiejś kobiety, więc weź ze sobą Jasmine. Zabierzemy dwa land rovery i ze trzech ludzi do ochrony. Ty dowodzisz całością.

- Dokąd jedziemy?

- Do Kuwejtu. To tylko sześćset kilometrów szosą. Zaraz dam ci teczkę, w której są wszystkie niezbędne informacje. Moi ludzie w Kuwejcie przygotowują wszystko, żebyś mógł polecieć od razu do Hazaru, do mojego brata Dżamala.

- Ale wuju, czemu tak nagle?

- Rawan przywozła złe nowiny. Powiedziała, że jej mąż planuje razem z dwoma Anglikami, niejakim Dillonem i Salterem, porwać Sarę i zawieźć ją z powrotem do Londynu.

- To niemożliwe, nie zrobią tego - krzyknął Hussajn.

- Oczywiście, że nie. Przygotuję im odpowiednie powitanie. Rawan powiedziała, że przylatują dzisiaj po południu.

- To ja się z nimi rozprawię.

- Nie. Mam nadzieję, że dam sobie radę. Sara to mój największy skarb. A ty jesteś jedynym, któremu ufam. Przysięgnij mi, że będziesz strzegł jej jak oka w głowie, zawsze.

- Na Allacha, przysięgam.

- Idź i niech Bóg będzie z tobą. - Hussajn odszedł.

W istocie nie był przeciętnym młodym Irakijczykiem. Miał dwadzieścia trzy lata, ciemne włosy i niebieskie oczy, dzięki nim mógł bez trudu uchodzić za Europejczyka. Szczupłej budowy, ale silny i bardzo inteligentny, a kiedy gniew błyskał mu w oczach, zmieniał się w prawdziwego wojownika, którego na co dzień nikt w nim nie widział.

Hussajn studiował medycynę na Harvardzie. Kiedy wybuchła wojna w Zatoce natychmiast spakował się z zamiarem powrotu do domu, ale został aresztowany na lotnisku

Logan w Bostonie. Prawnicy wyciągnęli go z więzienia dopiero po sześciu miesiącach i po powrocie dowiedział się, że jego rodzice zginęli trzy miesiące wcześniej podczas bombardowania.

Wuj pomógł mu otrząsnąć się po tych wydarzeniach, zapewnił wsparcie finansowe, założył konta w Paryżu i Londynie, a potem skontaktował z ludźmi, których Hussajn - jego zdaniem - powinien był odwiedzić i poznać. Oni pokierowali jego przyszłością wysyłając go na szkolenie do obozu na algierskiej pustyni. Stworzyli z niego wojownika powszechnie znanego w arabskim świecie, i nie tylko, jako Młot Boży. To właśnie tam Hussajn zapuścił bujną czuprynę i brodę, które z czasem stały się jego znakiem rozpoznawczym.

Nie był fanatykiem religijnym. Tak naprawdę, to nie był prawie w ogóle religijny, jednak tamte wydarzenia pomogły mu odkryć jego prawdziwe powołanie: bycie żołnierzem. Ludzie, których poznał, nauczyli go wszystkiego, co było niezbędne w tym fachu. Gdy zakończył szkolenie, był specjalistą od wszystkich rodzajów broni, materiałów wybuchowych, walki wręcz, samochodów i wymyślnych zabójstw. Nauczył się pilotować samolot, a znajomość medycyny okazała się dodatkowym atutem.

Hussajn pracował, między innymi, dla kilku organizacji terrorystycznych operujących w Czeczenii i Kosowie. Jego specjalnością były zabójstwa i doszedł w tym do mistrzostwa. W Iraku, który pogrążał się w coraz większym zamęciu, działał jako samodzielny snajper. Strzelał nie tylko do amerykańskich i brytyjskich żołnierzy, ale i do irackich polityków, bo nie widział między nimi różnicy. Na koncie miał już dwadzieścia siedem zabójstw, jednak wszystko się zmieniło, gdy jego wuj porwał Sarę.

* * *

Roper żegnał się z gotowymi do lotu Dillonem i Billy'm.

- Macie wszystko? - zapytał.
- Oczywiście - odpowiedział Billy i zapiął torbę. - A o czym mielibyśmy zapomnieć?
- Gdyby wam czegoś zabrakło, dzwońcie. Dowieziemy pod wskazany adres.
- Bardzo śmieszne.
- Billy, jedzcie na wojnę, a jak wiem z doświadczenia, na wojnie wszystko może się

zdarzyć. Postarajcie się, żeby nie odstrzelili wam tyłków.

- Dobra, ty za to pomyśl o Fergusonie. Co będzie, jak zadzwoni i powie, że potrzebuje samolot?

- Myślisz, że mnie wywali? Wątpię. - Roper się uśmiechnął. - Po pierwsze jestem inwalidą, po drugie mam medale. Nie odważy się. A jeśli chodzi o gulfstreama, to przecież sam powiedział Dillonowi, że gdyby coś się działo to mamy z niego korzystać.

- No tak. Ale lot do Bagdadu to jednak przegięcie.

- Będziemy się martwić, jak zadzwoni. Jedźcie już, sierżant Doyle czeka na was w land roverze. Tylko nie spieprzcie tej akcji.

- Bardzo chcemy, wiesz?

Dziesięć minut później zadzwonił Ferguson.

- Co słyhać?

- Co słyhać na przodku, tak?

- Nie rozumiem. To jakaś reprimenda?

- Można by odnieść wrażenie, że nie wysiłał się pan za bardzo, generale, zajmując się najważniejszymi sprawami świata?

- Mylisz się mój drogi, i to bardzo. Przez pół nocy rozmawialiśmy na ważne tematy. Za chwilę zaczyna się kolejna konferencja. Masz coś do zameldowania?

- Nic a nic. Jak gdyby każdy terrorysta w tym kraju zawinął się i umarł. Chłopaki polerują paznokcie.

- Jesteś niepoprawny, Roper. - W tle dał się słyszeć dzwonek. - Muszę iść. Będę w kontakcie.

- Tak jest, będziemy czekać.

Roper nalał sobie dużą szkocką, zapalił papierosa i kontynuował poszukiwania informacji na temat tajemniczego profesora Chana.

* * *

Kwatermistrz przywiózł na Farley Field sprzęt i broń. W skrzyni były dwa kałasznikowy, kilka coltów z grzybkującymi nabojami i kaburami na kostkę oraz tytanowe kamizelki

kuloodporne.

- Jest wszystko, co chcieliśmy, panie chorąży. Nic nie zostawiliśmy przypadkowi.

- My tak nie działamy, panie Dillon. Życzę szczęścia, panowie.

Wchodzili po stopniach, Parry już wyciągał rękę, żeby zamknąć drzwiczki, gdy rozległ się klakson i pod samolot zajechał aston martin, z którego wysiadł Harry. Wbiegł po schodkach i wziął Billy'ego w objęcia.

- Trzymaj się tam.

Dillon pokiwał głową.

- Zawsze wiedziałem, że w głębi serca jesteś sentymentalny - powiedział.

- Myśl co chcesz, abys tylko go przywiózł z powrotem całego.

Weszli do gulfstreama. Parry zamknął drzwiczki i dołączył do Lacey'a siedzącego w kabinie. Billy i Dillon usiedli w fotelach i zapięli pasy. Po kilku minutach samolot wystartował.

* * *

Lecieli już dwie godziny, gdy zadzwonił Roper.

- Wszystko w porządku?

- Tak. A u ciebie? - zapytał Dillon.

- Okazało się, że profesor Chan ma bardzo ciekawy życiorys. Nazywa się Dreg Chan; najpierw kształcił się u siebie, w Pakistanie, potem dostał stypendium na Oksfordzie. Teraz jest całkowicie zanglicyzowany i najwyraźniej posiada albo spory majątek albo stały dostęp do gotówki. A zaczynał jako pomocniczy wykładowca etyki na uniwersytecie w Leeds.

Billy się roześmiał.

- Niesamowita sprawa.

- Ano widzisz. Rzucił to po roku i przeniósł się do USA na uniwersytet w Chicago, i po kolejnym roku - do Berkeley w Kalifornii.

- Słyszysz Billy - wtrącił Dillon - nie mógł się oprzeć Hollywoodowi.

- Potem, gdy dostał posadę w ONZ, wrócił na wschodnie wybrzeże. W tej chwili jest sekretarzem Komisji Międzynarodowej do spraw Harmonii Rasowej.

- Niech zgadnę. Na koniec wrócił do starej, dobrej Anglii, czyli do Londonistanu -

zaśmiał się Dillon.

- Tak jest. Mało tego, zaczął robić w polityce. Komitet Wartości Socjalistycznych - to pozwoliło mu wypłynąć na szersze wody i skumpłować się z szeroko rozumianymi lewicowcami. Jest też w Komisji Międzywyznaniowej w Izbie Gmin, ponadto sponsorują go liczni biskupi anglikańscy. Po tym, jak trzech członków Armii Boga aresztowano w Yorkshire za podłożenie bomby na dworcu autobusowym, która zabiła trzy i raniła czternaście osób, oficjalnie wstrzymał swoje poparcie dla niej. Twierdzi jednak, że ci zamachowcy byli sfrustrowanymi odszczepieńcami, zaś sama organizacja jest pokojowo nastawiona i zajmuje się wyłącznie edukacją.

- A ty co o nim myślisz? - zapytał Billy.

- Uważam, że to bardzo niebezpieczny typ, a te komitety to tylko zasłona dymna dla jego działalności. W życiu nie byłem niczego tak pewien jak tego - dodał. - Nie mamy, niestety, żadnego dowodu, nawet cienia informacji o działalności terrorystycznej tego człowieka. Nic, czym mógłby zainteresować się wydział antyterrorystyczny policji.

- Poza tym, gdy Greta wspomniała o Chanie dodając informację o zabiciu Abu, to kierowca był przerażony - zauważył Dillon.

- I nie zaprzeczył - dodał Billy.

- Ale to nie wszystko - powiedział Roper. - Na razie nie będę wam zdradzał, czego się jeszcze dowiedziałem. Aha, dzwonił Ferguson.

- Mówił coś? - zapytał Dillon.

- Że idzie na konferencję z premierem i z innymi wielkimi tego świata.

- A powiedział kiedy wraca?

- Nie. Ale wróci najdalej za kilka dni, więc wszystko w waszych rękach. Będziemy w kontakcie.

* * *

Na godzinę przed lądowaniem w Bagdadzie niebo zaczęło się ściemniać. Samolot zszedł na pułap dziesięciu kilometrów. Ruch w powietrzu był całkiem spory i Parry wyszedł z kabiny, żeby ich o tym poinformować.

- Lądujemy w nocy, o tej porze te głąby na dole niewiele widzą co się dzieje pod lotniskiem - rebelianci są niestety groźni, szczególnie, że mają ręczne wyrzutnie. Sporo helikopterów już tu stracili.

- To jakie jest wyjście? - zapytał Billy. - Zastosujemy stary amerykański trik z Wietnamu.

Podlatujemy na pięciu kilometrach, a potem dajemy nura i wyrównujemy w ostatnim momencie.

- Nie brzmi to, jak dla mnie, najlepiej.

- Ale działa. RAF tak latał w Kosowie i to większymi samolotami. Wiem, że byliście już tutaj wcześniej, ale teraz w Bagdadzie jest o wiele gorzej, to piekło, nie miasto. Nie wiem, czy jest teraz gorsze miejsce na świecie. Uważajcie na siebie przez cały czas i pamiętajcie - tutaj nie można ufać nawet własnej babci.

- Ostatnim razem tak robiliśmy - powiedział Dillon. - Wtedy opiekował się nami kapitan Robson, prawdziwy policjant.

- Nadal tam jest, ale jest już majorem. Nawet meldował się przed chwilą przez radio. Wszystko na was czeka.

- Mieliśmy też bezpieczny samochód, którym kierował sierżant Parker. Fajny gość. Przyjął wtedy na siebie cały ogień. Spotkamy się z nim?

- Niestety nie. Zginął w wybuchu miny-pułapki w zeszłym miesiącu. Pójdę już do Lacey'a.

- Jezu - powiedział Billy. - Co to za miejsce.

Gdy spoglądał na miasto przez okna, zauważył eksplozję i pióropusz czarnego dymu.

- Przestań Billy, widziałeś gorsze. - Dillon wyjął butelkę i pociągnął spory łyk whisky.

- Nie wiem, Dillon, chyba nie. - Billy oparł się o fotel i zamknął oczy.

* * *

Na lotnisku odebrał ich Robson. Poszli do najbliższej kawiarni i gdy usiedli, kelner w białej tunice podał herbatę.

- Tu jest naprawdę gorąco - powiedział Robson. - Ale wy już jesteście zaprawieni. - Spojrzał na Lacey'a i Parry'ego. - Macie już po dwa krzyże. Co wy tu robicie? Chcecie sami

wygrać wojnę?

- Mniej więcej - odparł Lacey.

Nalał herbatę i spojrzał na Dillona i Billy'ego.

- Nie będę pytał, po co przyjechaliście. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Tak, jak poprzednio, gulfstream będzie czekał w pełnej gotowości przez cały czas. Mam dla was najlepsze, czerwone przepustki, otwierają wszystkie drzwi. Musicie być wysoko postawieni. Nawet szef lotniska nie ma takiej.

- Przykro nam słyszeć o śmierci sierżanta Parkera - powiedział Dillon.

- To rzeczywiście nieszczęście, ale takie rzeczy, niestety, zdarzają się przez cały czas. Tym razem jednak nie będziecie potrzebowali takiej osoby. Wiem, że zabiera was Jack Savage. Znamy się dobrze.

- Ktoś wymawia moje imię nadaremno?

Odwrócili się i zobaczyli stojącego w drzwiach niewysokiego gościa z blond włosami i złamanym nosem. Na ramieniu trzymał płaszcz.

- Chodź tu, draniu - zawołał Robson. - To rozkaz.

* * *

Mówi się, że w Bagdadzie każda ulica jest bazarem, choć w przypadku wielu z nich były to same ulice, bez budynków. Wieśniacy jednak nadal przyjeżdżali, przywożąc ze wsi na osiołkach i sprzedając nie tylko swoje produkty, ale dosłownie wszystko, co zostawia po sobie wojna, nawet laptopy i telewizory.

Przeciskali się przez wąskie uliczki w kierunku rzeki, aż w końcu wjechali na podwórko za starym, kolonialnym budynkiem z, o dziwo, nadal działającą fontanną. Nad drzwiami widniał napis z żarówek - „The River Room”. Wysiedli, Savage pstryknął palcami na dwóch chłopców, którzy wzięli bagaże i wnieśli je do środka.

- Ten znak - zapytał Billy. - Nadal się świeci?

- Brakuje mu połowy żarówek. Lubię go, bo przypomina mi Londyn, Savoy, stary River Room.

- Dlaczego tu siedzisz? - zapytał Dillon. - Teraz każdy dzień tutaj może być twoim

ostatnim.

- To właśnie mnie tu trzyma. Poza tym można tu zarobić, jak nigdzie w świecie. Chodźcie do środka.

Poszli za nim. W środku panował półmrok, podłoga była wyłożona arabskimi płytkami, na niej stały wykonane z bambusa stoły i kosze. Nawet bar był z bambusa i dodatkowo miał lustra, które sprawiały wrażenie, że stoi w nim każdy alkohol świata. Barman, który polerował szkło, był wielki i gruby, miał na sobie białą koszulę i spodnie przepasane szkarłatnym pasem.

- Czego się napijecie? - zapytał Savage.

- Billy niczego, jest abstynentem. A ja chętnie Bushmillsa.

- To dwa, Farouk. Przypomni mi stare lata w Irlandii Północnej. A więc to pan jest ten słynny Sean Dillon.

- A pan to ten zły Jack Savage. - Dillon spojrział na Billy'ego. - Miał pan naprawdę niezłą fuchę. Najpierw gonił pan przemytników, a potem sprzedawał ich towar radykałom z IRA.

- Nie wtedy, kiedy byłem w marynarce. Nie jak nosiłem mundur. To nie byłoby honorowo.

- Honorowo, co ja słyszę. - Do sali weszła Rawan Savage. - Poproszę wódkę, dużą. Boże, jak tu gorąco. - Wyszła na balkon, oni za nią.

Kilka minut później Farouk przyniósł drinki.

- Zdrowie nowych przyjaciół. - Rawan podniosła kieliszek i przechyliła go. Wydawało się, że wypila wódkę do dna, ale tylko udawała. Oddała szklanekę Faroukowi, ten bez słowa zabrał ją z powrotem.

Na rzece niewiele było łodzi. Pod nimi bujała się na wodzie motorówka o pięknej nazwie „Eagle”.

- Kilkaset metrów w tamtą stronę jest dom Abdula Raszida. Chcecie go obejrzeć? - zapytała Rawan.

- Zamknij się, Rawan - warknął Savage.

- Tak jest, kapitanie. - Zasalutowała z ironią.

- Nie będę powtarzał - krzyknął Savage. - Radzę ci być cicho.

- Aha... - Spojrzała na Dillona. - Wiem, po co tu przyjechaliście i wcale mi się to nie podoba.

- Naprawdę? - zapytał Dillon.

- Chcecie porwać trzynastoletnią dziewczynkę jej dziadkowi.

- Prawda jest taka - wtrącił Billy - że rzeźona dziewczynka została wcześniej porwana jej rodzicom z Londynu.

Ale Rawan nie chciała tego słuchać i poszła do baru, gdzie stał Farouk, dziwnie spokojny. Klienci, było ich czterech, siedzieli przy stole. Jeden z nich położył na stoliku obok kałaznikowa, a drugi trzymał taki sam karabin przewieszony przez ramię, dwóch pozostałych trzymało ręce w kieszeniach.

Nagle przez drzwi wślizgnęła się kobieta, mokre ubranie przylegało jej do ciała. Była przestraszona i szybko podeszła do Rawan.

- Chyba mamy niedobre wieści - powiedziała Rawan. - To Bibi, jedna z dziewczyn usługujących Sarze. Co się stało, Bibi? Ruszyli bez ciebie?

Kobieta zapłakała gorzko, opadła na kolana i zaczęła szybko mówić po arabsku.

- Wspaniale. Chyba ktoś popsuł zabawę i ostrzegł Abdula Raszida. Kilka godzin temu wysłał Sarę z Hussajnem Raszidem, jej przyszłym mężem, do Kuwejtu. Stamtąd mają polecieć prywatnym samolotem do Hazaru, gdzie jest reszta klanu Raszidów. Bibi słyszała tę rozmowę. A wy jesteście już martwi, Hussajn już o to zadba.

Zaległa cisza.

- Ciekawe, kto mu powiedział? - zapytał Savage.

- A jak myślisz? Mam ciebie dosyć, Jack, i to już od dawna. Żebyś tak zgnił w piekle - wrzasnęła Rawan.

Nagle, gdzieś niedaleko, coś wybuchło i wszyscy instynktownie padli na ziemię. Dźwięk wybuchu przebiegł echem po rzece. W barze zadzwonił telefon.

Farouk odebrał i słuchał chwilę, a potem podał go Savage'owi.

- To Omar, chłopak, który obserwuje willę Raszidów. Widział konwój wyjeżdżający dwie godziny temu do Kuwejtu.

- No i?

- Stary Raszid jechał swoim mercedesem w towarzystwie dwóch ludzi. Wyleciał w powietrze, kiedy wyjeżdżał przez bramę. - Twarz Farouka mówiła wszystko: Zginął przez takich jak ty, którzy przychodzą między nas i niszczą wszystko, czego dotkną.

Jego myśli były tak czytelne i ostrzegawcze, że Dillon bez namysłu wyjął colta z kabury i strzelił Faroukowi między oczy, grzybujący nabój rozsadził mu czaszkę. W tym samym

momencie wyjął zza paska waltera z tłumikiem i zastrzelił jednego z Arabów, który zaczął podnosić kałasznikowa.

Billy również wyjął swojego waltera i zastrzelił trzeciego faceta, który zaczął do niego mierzyć. Ten opadł na swojego towarzysza, który nieumyślnie strzelił mu jeszcze w plecy.

- Nie strzelaj, nie strzelaj - wrzasnął z najlepszym irlandzkim akcentem, na jaki go było stać, a gdy Billy się zawahał, domniemany Irlandczyk otworzył w jego kierunku ogień. Dillon strzelił zabijając go na miejscu.

- Nigdy więcej tego nie rób, Billy. Nie opłaca się.

- Chryste, myślałem, że to Irlandczyk. - Billy podszedł do niego, pogrzebał w kieszeniach i znalazł brunatny paszport z irlandzką harfą i kilka innych papierów.

- Weź je z sobą. - Dillon odwrócił się, a Rawan krzyknęła:

- Do diabła z wami wszystkimi i z tym śmierdzącym krajem. - Zbiegła po stopniach na pomost, odwiązała linę i wskoczyła do łodzi. Savage zbiegł za nią i również wskoczył na „Eagle”.

- Rawan - zawołał. - Posłuchaj.

- Nigdy - krzyknęła i uruchomiła silnik.

Silnik zacharczał, a potem wybuchł z ogromną siłą rozrywając łódź na strzępy.

Podmuch przerzucił Billy'ego przez fotele. Dillon podniósł go.

- Wiejemy stąd i to szybko - krzyknął. - Za chwilę będzie tu wojsko. Bierzemy land rovera Savage'a. Nasze rzeczy nadal są w samolocie.

Po chwili siedzieli w samochodzie, Billy przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechali na główną ulicę, obok przemknęły jadące w przeciwną stronę dwa lekkie czołgi rozpoznawcze. Zebrał się też spory tłum, ale ogólne zamieszanie pozwoliło im szybko uciec.

Dillon zadzwonił do Ropera, który od razu odebrał.

- Słuchaj! - krzyknął i opowiedział o wszystkim.

- Mój Boże, od razu mieliście akcję. Dlaczego zawsze takie rzeczy tobie się przytrafiają Dillon?

- Powiedz Robsonowi, żeby powiadomił chłopaków, bo musimy stąd wiać. Nie wiem dokąd, moja gorsza część chce, żeby to był Hazar, ale podejrzewam, że generał się nie zgodzi.

- Oczywiście, że się, do cholery, nie zgodzi - wtrącił Ferguson. - To naprawdę niezwykle uczucie dowiedzieć się, że mój samolot został porwany. Wracać mi tu natychmiast!

* * *

Dillon z Billy'm wjechali na lotnisko przez ukryte, specjalne przejście i zobaczyli, że Lacey i Robson czekają już na nich w dziuple.

- Jedziemy - Lacey zawołał do Billy'ego, który pojechał za nimi pod gulfstreama.

- Zjeżdżajcie - powiedział Robson. - Nie było was tutaj w ogóle.

Wbiegli po schodkach, Lacey zamknął drzwi.

- Bardzo wam dziękujemy, koledzy. Generał był wściekły, kiedy chciał wrócić z Paryża do domu swoim prywatnym samolotem i odkrył, że ten jest w zupełnie innym miejscu. W co wy się bawicie?

- Nie mówiłem ci? - odpowiedział Dillon. - Próbujemy wygrać wojnę.

* * *

Gdy się wznosili, Dillon wyjął z kieszeni butelkę, ale okazało się, że jest pusta. Zaczekał, aż wyrównają lot na dwunastu kilometrach i wyjrzał przez okno.

- Żegnaj Bagdadzie, mieście przygód i tajemnic.

- Czyli wszystkiego, czego nie cierpisz - powiedział Billy. - Czegoś tu nie rozumiem. Ta Rawan miała dosyć Jacka i wypaplała wszystko staremu Raszidowi, tak? I co? W podzięce podłożył w jej łodzi ładunek wybuchowy?

- On chciał dorwać nas trzech - Savage'a, ciebie i mnie. Jej nie planował zlikwidować.

- A bomba w samochodzie?

- Ryzyko zawodowe. Ten człowiek miał na pewno więcej wrogów, niż sam sobie wyobrażał.

Wstał, poszedł do kabiny, otworzył apteczkę i wyjął z niej buteleczkę brandy.

- To do celów medycznych - powiedział Parry'emu, który spojrzał na niego przez ramię.

- Aha, jasne...

Kiedy wrócił na fotel, zobaczył, że Billy ogląda irlandzki paszport zabranego zabitemu w barze.

- Terence O'Malley, lat czterdzieści dwa, adres z Bangor, Irlandia Północna.

- Ładne okolice. - Dillon otworzył butelkę i nalał brandy do plastikowego kubeczka. - Co

tam jeszcze jest?

- Był nauczycielem.

- Długo nim chyba nie był.

- IRA?

- Nie inaczej. Obaj wiemy, że wielu starych remiechów zatrudniło się w zorganizowanej przestępczości. Między taką robotą a rzeczami, które robili kiedyś jest niewielka różnica, Billy. To niebieskie ptaki, i to dosłownie. Jak się przez te wszystkie lata było radykałem i miało broń w rękach, to trudno jest sobie znaleźć inną robotę w czasie pokoju. Masz tam coś jeszcze?

- Kwit za czynsz w Dublinie, list od jakiegoś Toma, list od matki, Rose, która prosi, żeby przyjechał. Adres w Bangor. Trochę gotówki - pięć studolarówek. - Spojrzał na Dillona. - Co robimy? Mam na myśli matkę.

- Zostaw to, Billy. Jeśli się nie dowie, będzie miała chociaż nadzieję. Prześpię się.

I wyciągnął się w fotelu.

* * *

Droga wylotowa z Bagdadu na południe była jednym wielkim pobojuwiskiem. Wszędzie straszły wypalone wraki czołgów i samochodów, pochodzące jeszcze z czasów pierwszej wojny w Zatoce. Zwano ją Autostradą Śmierci, w jej pejzaż wpisane były także szczątki tysięcy uchodźców. Jednak mimo tego przy drodze bez przeszkód działały otwarte całą dobę stacje benzynowe, bo ropy w tym kraju nie brakowało, i bary, gdzie można było kupić kawę i coś na ząb. Telefony tam zwykle też działały.

W pierwszym land roverze jechali trzej ludzie Hussajna, uzbrojeni po zęby i wyćwiczeni w walkach ulicznych bojownicy znający swój fach. Dowodem na to był fakt, że wciąż jeszcze żyli. Za nimi jechał Hussajn, Sara i Jasmine, kuzynka Sary, która bardzo się do niej przywiązała. Osiemdziesiąt kilometrów za Bagdadem konwój zatrzymał się na parkingu przy stacji benzynowej. Wtedy do Hussajna zadzwonił na satelitarny telefon człowiek, którego znał jako Maklera. Byli ze sobą w kontakcie od mniej więcej trzech lat. Czasem rozmawiali po arabsku, ale częściej po angielsku i wówczas z Maklera wychodził profesor z Oksfordu.

Hussajn od razu odebrał telefon.

- Gdzie jesteś? - zapytał.

Hussajn opowiedział mu o wszystkim, co się wydarzyło.

- Faktycznie, jesteście w kłopotliwej sytuacji. Moi ludzie przekazali mi informacje o tym, co zdarzyło się w Bagdadzie. Jeden z ludzi Abdula Raszida podłożył bombę w łodzi Savage'a.

- A sam wuj Abdul?

- To jakaś lokalna sunnicka grupa. Stare porachunki. Jak się czuje Sara?

Jego głos zabrzmiał dość paternalistycznie, ale dało się słyszeć w nim cień troski.

- Zaraz jej powiem o jego śmierci, ale ja też mam pewne informacje. Kobieta, która uprzedziła Raszida o planach odbicia Sary, zdradziła też nazwiska tych ludzi. To Dillon i Salter, czy te nazwiska coś ci mówią?

- Nie, ale szybko się dowiem. Zadzwoń, gdy będę coś wiedział. Dbaj o Sarę. W Kuwejcie wszystko już czeka. Jest też przygotowany wygodny samolot, spodoba ci się.

* * *

Kiedy Hussajn wrócił do reszty, wszyscy czekali na wiadomości.

- Mogłaś pójść na kawę albo coś zjeść - powiedział.

- Nie ze spętanymi nogami, kuzynie. Czy muszę być dalej tak poniżana?

Nie wahał się ani chwili, nie chciał tym razem składać fałszywych obietnic.

- Wybacz mi kuzynko, tak wiele się wydarzyło. - Wyjął klucz i rozpiął kajdany, rzucając je na siedzenie z tyłu. - Mam bardzo złe wieści z Bagdadu.

Słowa zawisły w powietrzu, zaś jego ludzie wiedzieli, że jeśli on to mówi, to musi to być coś szczególnego. Hussajn położył dłoń na ramieniu Sary i powiedział:

- Mój wuj, a twój dziadek Saro, odszedł od nas dzisiaj. Gdy wyjeżdżał, w jego mercedesie wybuchła bomba.

Jasmine jęknęła i zaczęła płakać.

- Sunnici? - zapytał jeden z mężczyzn, Hassim.

- Tak to wygląda.

- Niech zginą w piekle - dodał Hamid. - Niech będą przeklęci na tysiąc lat.

- Dwa tysiące - powiedział Khazid.

Sara stała w milczeniu.

- Chodź - powiedział Hussajn. - Wszyscy myślimy to samo, ale mamy szmat drogi do pokonania. Musimy coś zjeść.

Potaknęła, czując jak jej serce z jednej strony umiera z tęsknoty za rodzicami, a z drugiej kroi się z bólu na myśl o upartym starym człowieku, który strasznie ją skrzywdził, ale też kochał ją nad życie.

- Tak - powiedziała. - Tak. - Ujęła dłoń Hussajna i poszła z nim.

Londyn

Dublin

Kuwejt

Gdy gulfstream dotknął kołami pasa startowego w Farley Field, Dillon wyrzwał przez okno. Dostrzegł Fergusoną stojącego pod parasolem i palącego papierosa.

- To co, będzie manto? - zapytał Billy.

- Nie wiadomo. Jeszcze możemy się zdziwić - odparł Dillon.

Parry otwierał drzwi. Gdy szykowali się do wyjścia, z kabiny wyszedł Lacey.

- Cholera, Sean, straciliśmy tylko czas - powiedział.

- Czy ja wiem... Przecież Savage i jego żona wylecieli w powietrze we własnej łodzi.

- A czterech cwaniaczków chciało nas załatwić w klubie Savage'a. Zostawiliśmy tam niezły bałagan - dodał Billy.

- Ilu? - z niedowierzaniem zapytał Lacey.

- Czterech - odpowiedział mu Dillon. - Jak widzisz, nie marnowaliśmy czasu. Mało tego, podejrzewam, że wkrótce się spotkamy.

- Dokąd, tym razem, będzie kurs? - zapytał Lacey.

- Hazard. Byliście już tam.

- Boże jedyny - rzucił Parry. - Co cię tam ciągnie, Billy?

- Nic mnie tam nie ciągnie i nie mam zamiaru długo zagrzeć tam miejsca.

Podeszli do Fergusoną.

- No dobra, panowie, wsiadać do samochodu - powiedział. - Słucham, co macie mi do powiedzenia. Wasza punktacja zaczyna powoli doganiać najszynniejszych seryjnych morderców.

Dillon pokrótce przedstawił sytuację, i dodał:

- Poza tym, panie generale, sam pan powiedział, że możemy użyć gulfstreama, gdyby coś się działo.

- Tak, ale do głowy by mi nie przyszło, że zdecydujecie się na coś takiego.

- Kiedy ostatnio widzieliśmy się, kazał nam pan pojechać na Heathrow i wspomóc

kontrolę paszportową - wtrącił Billy.

- A tam właśnie spotkaliśmy Caspara Raszida - dodał Dillon.

- Już w porządku, w porządku. - Fergusonowi powoli przechodziła złość. - Mam przecucie, że ten facet może się nam jeszcze bardzo przydać. Czy już wie, że nie udało się wam odbić Sary?

- Jeszcze nie. Jego żonie też będziemy musieli powiedzieć. W tej chwili operuje. Major Nowikowa poinformuje ją o tym w drodze do nas. Będą gdzieś około jedenastej.

- Wspaniale - powiedział Billy. - Najwyższy czas na porządne, angielskie śniadanie.

- Zapomniałeś, że nie mamy kucharza? - przypomniał mu Dillon.

- I tu się mylicie - odezwał się Ferguson. - Zadzwońłem do Służby Cywilnej i od razu zgłosiła się do nas niejaka pani Hall. Co prawda pochodzi z Jamajki, więc nie wiem, jak to będzie z tym angielskim śniadaniem.

- Nieważne, pewnie oni sami je wymyślili - odparł Billy.

* * *

- Więc im się nie udało? - Molly Raszid była blada jak szpitalna ściana za nią. W jednej chwili poczuła, że jest straszliwie zmęczona i słaba. Greta zauważyła, że zaczęły się jej trząść ręce.

- Chcesz drinka? - zapytała.

- Nie. - Molly przesunęła ręką po włosach. - Po południu mam kolejną operację.

- Podaruj ją sobie. Trzęsiesz się jak osika. Nie powinnaś operować w takim stanie.

Molly zakryła twarz obiema rękami.

- Co ja mam teraz robić?

Greta wzięła szklanke, wyjęła z lodówki butelkę wódki i nalała jej całkiem sporo.

- Proszę, wypij do dna. To ci dobrze zrobi.

Molly z początku nie chciała, ale w końcu wypła. Zakrztusiła się i podbiegła do zlewu. Stała przy nim przez chwilę, jak gdyby miała zwymiotować, ale wzięła kilka głębokich oddechów i poczuła się lepiej.

- Mój Boże, to było straszne. - Odwróciła się i uśmiechnęła smutno. - Dobrze, jedźmy.

Tak będzie najlepiej.

* * *

- Co to znaczy „nie udało się”? - krzyknął Raszid patrząc na Dillona.

- Nie byliśmy w stanie dotrzeć dostatecznie blisko.

- No pięknie, nie mogliście dotrzeć dostatecznie blisko. Ojciec jest pewnie w siódmym niebie.

- Panie Raszid, pański ojciec nie żyje.

Raszid zamarł i jakby nagle postarzał się, potem zatoczył się, złapał oparcie krzesła i przytrzymał się go.

- Lepiej niech pan usiądzie - zaproponował Dillon.

Raszid usiadł.

- Jak on zginął? To wasza sprawka?

- Nie, nie mamy z tym nic wspólnego. Zginął razem z kierowcą od wybuchu bomby, gdy wyjeżdżał z bramy własnego domu. Podobno to robota sunnitów.

- Zginął ktoś jeszcze?

- Tak, czterech mężczyzn, którzy chcieli nas zabić.

Raszid złapał oddech.

- Ale to już pewnie wasza robota?

- Tak jest. Pańska żona już wie o wszystkim. Major Nowikowa pojechała po nią, żeby przywieźć ją na spotkanie. Po drodze miała przekazać jej te wiadomości.

- Spotkanie? - Powiedział to tak powoli, trzymając ręce na głowie, jakby mówienie lub nawet rozumienie sprawiało mu nadzwyczajną trudność. Potem wziął głęboki oddech, zapalił papierosa i mocno się zaciągnął. - Trochę mi lepiej. Dobrze, porozmawiajmy, co powinniśmy w tej sytuacji zrobić.

* * *

Wszyscy przeszli do sali konferencyjnej. Ferguson usiadł u szczytu stołu, Raszid i Molly, trzymając się za ręce, usiedli po jego lewej stronie. Greta nalewała kawę. Dillon i Billy stali przy oknie, a Roper w swoim wózku siedział przy drugim końcu stołu.

- Przejdę od razu do rzeczy - powiedział Ferguson. - Między wami a moimi ludźmi była pewna umowa.

- Która nie została dopełniona - przerwał Raszid. - Nie przywieźliście mojej córki.

- Takie zaszły okoliczności - wtrącił Dillon. - Sama liczba tych, których załatwiliśmy o tym świadczy. Problem w tym, co teraz powinniśmy zrobić.

- No właśnie, co? - zapytał Raszid.

- Dobrze - zaczął Ferguson. - W ogólnym rozrachunku nic się nie zmieniło. Wy nadal chcecie odzyskać córkę, my oczywiście też. Wiemy, że zabrano ją do Hazaru. Znamy to miejsce, działaliśmy już tam.

- Pan też tam był niedawno - powiedział Dillon.

- Po co?

Raszid się nie odzywał, ale na jego twarzy widać było ogromne emocje. Pierwsza odezwała się jego żona.

- Na Boga, Caspar, powiedz im. To, co się wydarzyło, to nie była ich wina. To nie jest jakaś partyjka brydżyka. Tam zginęli ludzie. Chcę mieć Sarę z powrotem, więc powiedz im, czego potrzebują żeby ją przywieźć, do cholery.

- Zostałem oszukany - westchnął Caspar. - Wierzyłem, że mój wuj Dżamał, który mieszka w Hazarze będzie pośredniczył między mną a moim ojcem.

- Skąd takie przypuszczenie?

- To wszystko przez Maklera. Po raz pierwszy zadzwonił do mnie ponad rok temu, gdy miałem naciski ze strony Armii Boga, żeby do nich przystąpić. Kolega z uniwersytetu, profesor Dreg Chan, był motorem ich działań i na początku wydawali mi się nieszkodliwi, zwykła dobroczynna organizacja. Niestety, ponieważ dużo wtedy podróżowałem, zacząłem dostawać ostrzeżenia od ekstremistów. Kiedy chciałem się wycofać, Dreg Chan ostrzegł mnie, że zostanę uznany za zdrajcę i wezmą się za mnie islamscy ekstremiści. A potem porwali mi córkę. Makler powiedział, że jeśli zrobię co mi każą, to porozmawia z Dżamalem i poprosi go o pośrednictwo, uznałem więc, że nie mam wyboru. Przekazywałem Chanowi różne ważne informacje techniczne, które na pewno przekazywał dalej. Potem Makler kazał mi pojechać do Hazaru, bo

chcą tam ze mną porozmawiać, ale to było kłamstwo. Chcieli tylko żebym obejrzał jakąś starą linię kolejową, którą al-Kaida chciała rozbudować. Byłem bliski desperacji i wtedy pojawiliście się wy.

- I nadal jesteśmy tutaj - wtrącił Ferguson.

- Tak. Zresztą oni wysyłali mnie nie tylko na Bliski Wschód. Byłem też w Irlandii. Widziałem się tam z jednym profesorem w Trinity College w Dublinie.

- Dobry Boże - powiedział Ferguson. - Chce pan powiedzieć, że tam jest teraz ośrodek muzułmańskiego radykalizmu?

- Może nie do końca, ale byłem zmuszony do pośredniczenia pomiędzy różnymi organizacjami.

- Na przykład?

- Na przykład takimi, które są zarejestrowane oficjalnie jako firmy ochroniarskie. Wiadomo, że kiedy w Irlandii Północnej nastął pokój, wielu radykałów z IRA zostało pozostawionych samym sobie, nikt się nimi nie interesował. Jednym z wyjść w tej sytuacji było wkroczenie na drogę przestępstwa. Słyszałem, że w zeszłym roku w okolicach Dublina było przynajmniej siedemdziesiąt strzelanin, w których na pewno brali udział profesjonaliści.

- No i co z tego? - wtrącił się Dillon. - A czego pan oczekuje po trzydziestu latach wojny?

- Ja wszystko rozumiem, mówię tylko o firmach, które twierdzą, że zajmują się wyłącznie ochroną w rzeczywistości zaś są agencjami najemników. Wynajmuje się przez nie ludzi do szkolenia terrorystów w obozach w północnej Afryce, głównie w Algierii. Jedną z takich firm jest na przykład Scamrock Security, prowadzona przez niejakiego Michaela Flynn'a.

- Może pan powiedzieć coś więcej o tych obozach? - zapytał Roper.

- Na temat niektórych z nich - tak. Jeden lub dwa są także w Pustej Ćwierci.

Wszyscy siedzieli w milczeniu. Ferguson stuknął palcami w stół. W końcu powiedział:

- Mamy teraz o czym myśleć. Kiedy Roper będzie przetwarzał te informacje, my musimy dokładnie zaplanować nasz następny ruch, czyli akcję w Hazarze. Rozumiem, że nadal chce pan żebyśmy tam pojechali?

Ale to Molly pierwsza odpowiedziała instynktownie.

- O tak, mój Boże, ja muszę odzyskać córkę. Będziecie w stanie tego dokonać?

- Wspominaliśmy, że byliśmy już w Hazarze. Od trzech lat mój kuzyn, profesor Hal Stone z Corpus Christi College w Cambridge, nurkuje do starego fenickiego wraku w zatoce w

Hazarze. Pracuje na starej, arabskiej łodzi i zatrudnia tubylców, za śmieszne, zresztą, pieniądze. Niedługo zaczyna się sezon do nurkowania, Dillon i Billy też nieźle nurkują więc na pewno nie odmówi nam gościny. Będziemy grupą zwariowanych brytyjskich archeologów, których miejscowi będą lekceważyć. Co o tym sądzicie? Możecie zresztą państwo jechać z nami.

- Nie, tylko nie to. - Molly pokręciła głową. - Jestem za bardzo zaangażowana w pracę szpitala i nie mogę odwołać zaplanowanych operacji. - Spojrzała na męża. - A ty, Caspar?

- Oczywiście, że pojedę - przytaknął. - Muszę.

- Mogą tam pana rozpoznać - powiedział Billy.

Caspar pokręcił głową.

- Założę odpowiednie ubranie, twarz przysłonię zawojem, zmienię akcent. Na pewno się uda. - Na jego twarzy pojawiło się zdeterminowanie. - Nie może być inaczej.

- W porządku - powiedział Ferguson. - Mamy zatem sporo do zrobienia. Ja muszę przede wszystkim skontaktować się z kuzynem. Pan mógłby w tej chwili pomóc Roperowi. A ty - powiedział zwracając się do Dillona - zajmiesz się samolotem.

- Wracam do szpitala. - Molly Raszid wstała.

Ferguson położył jej dłoń na ramieniu.

- Proszę się nie martwić, pani doktor, wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Greta wstała.

- Odwiozę cię.

Gdy wyszły, Caspar odczekał, aż drzwi się zamkną i powiedział:

- Jest jeszcze jedna ważna rzecz, o której muszę panom powiedzieć.

- Mianowicie? - zapytał Ferguson.

- Chodzi o kuzyna Sary. Tego, który ma ją poślubić, gdy Sara osiągnie odpowiedni wiek.

- Hussajn, tak? - zapytał Roper. - Student medycyny.

- Czy mówi wam coś pseudonim „Młot Boży”?

- Nie za bardzo.

- To on. Kiedy liczyłem, ile ten człowiek ma na koncie zabójstw, wyszło mi dwadzieścia siedem. Europejscy i iraccy żołnierze i politycy.

- Dobry Boże - powiedział Ferguson. - Kto to jest?

Raszid opowiedział im o Hussajnie.

Gdy skończył Dillon stwierdził krótko:

- Przynajmniej wiemy, z kim mamy do czynienia. - Spojrzał na Billy'ego. - Jedziemy.

Wychodząc powiedział jeszcze do Ropera:

- Michael Flynn. Kiedyś był szefem sztabu IRA i wylądował w więzieniu Maze. Sprawdź go.

* * *

Wołkow, siedząc w swoim apartamencie w Paryżu, myślał o ostatniej rozmowie z Władimirem Putinem. Wyeliminowanie Fergusona i jego drużyny rzeczywiście było ze wszech miar pożądane. Zresztą, przecież tak naprawdę, proces ten już się zaczął wraz z zabiciem przed rokiem komisarz Hanny Bernstein.

Wśród tej trójki, wskazanej przez Putina, Igor Lewin był najtrudniejszym przypadkiem. Miał kilka milionów funtów na koncie w Londynie i nie można go było tak po prostu kupić. Czomski, sierżant, który zbiegł razem z nim do Dublina, był równie sprytny, ale lojalny wobec Lewina. Najślabszym ogniwiem był Popow.

Wołkow wziął notes, znalazł dubliński numer Popowa i zadzwonił do niego. Popow akurat szedł Wellington Quay wzdłuż rzeki Liffey z Mary O'Toole, sekretarką w firmie, w której pracował. Padało, więc szli pod parasolem.

- Mój drogi Popow, dzień dobry - zaczął po rosyjsku. - Tu Wołkow. Co słychać dobrego? Tyle czasu minęło...

Popow był wstrząśnięty i z trudem wy dobył z siebie głos.

- Towarzyszu generale, nie mogę wprost uwierzyć, że dzwonicie. Rzeczywiście długo się nie słyszeliśmy.

- Tak sobie dzwonię. Żeby z wami jakoś kontakt podtrzymać - powiedział Wołkow.

Popow z dziewczyną podchodzili właśnie do hotelu. Ujął ją w talii.

- Mary, kochanie, wejdź proszę do środka i zajmij nam stolik. Mam ważną rozmowę.

Poszła, a Popow kontynuował rozmowę po rosyjsku.

- Towarzyszu generale, nie wiem co powiedzieć.

- Powiedzcie po prostu, że cieszy się słysząc mnie. Jak tam w pracy? Nadal w Scamrock Security? Jak tam mój stary przyjaciel Flynn?

Popow przełknął ślinę.

- Mój Boże, nie wiedziałem...

- Że załatwiłem ci pracę? A tak, znamy się z Flynnem od bardzo dawna, prawie od samego początku niepokojów w Irlandii. To, że nie wspomniał wam o tym, oznacza, że można mu ufać. Rozumiem, że doświadczenie, jakie wynieśliście z pracy w wywiadzie wojskowym, przydaje wam się w robocie?

- Całkowicie, towarzyszu generale.

- A słyszeliście o Belov International? I że Maks Czoków jest nowym dyrektorem zarządzającym? Służyliście może pod nim?

- Nigdy nie miałem zaszczytu...

- No to będziecie mieli. Wierzę, że mogę nadal na was liczyć?

- Oczywiście, towarzyszu generale.

- Wspaniale. Jak tam Czomski?

- Zdał bardzo dobrze egzaminy i pracuje w kancelarii adwokackiej.

- A Lewin?

- Spędza czas na przyjemnościach. Jest przecież bogaty...

- Wiem, wiem. No, miło mi się z wami gawędzi, ale muszę kończyć. Będę w kontakcie, tylko pamiętajcie, wszystko zostaje między nami.

Popow był przerażony.

- Oczywiście, towarzyszu generale.

Rozłączył się. Popow wszedł po schodach do hotelu. Bar był dość pustawy, Mary siedziała przy stoliku pod oknem. Jako sekretarka w Scamrock Security była przyzwyczajona, że Popow rozmawia przez telefon w różnych językach, zwłaszcza, że mówił biegle po niemiecku i francusku.

- Tym razem rosyjski? - zapytała. - To nowość. Wciąż mnie zaskakujesz.

Matka Popowa była Brytyjką i od dzieciństwa znał dwa języki. Mógł z tego powodu swobodnie udawać Anglika, co zresztą z powodzeniem robił.

- Interesy - powiedział. - Od nich nie ma ucieczki. Czego się napijesz?

* * *

Czomski dostał od Wołkowa inną propozycję. Był to człowiek o nieprzeciętnej inteligencji i ogromnej pewności siebie. Właśnie został doktorem prawa, co było nie lada wyczynem, a praca w dobrej kancelarii adwokackiej bardzo mu odpowiadała. Spędzał wiele czasu poza firmą i wówczas czuł się niezależny. Ta cecha zresztą zaowocowała niegdyś medalem za męstwo w Czeczenii.

Szedł ulicą w Temple Bar, jedną z jego ulubionych dzielnic w Dublinie. Było tam wiele wąskich uliczek pełnych barów, restauracji, sklepów i galerii, i właśnie skręcał w Crown Alley. Miał się spotkać z Lewinem, żeby pogadać, napić się, pójść do kina a potem razem coś zjeść.

Głos Wołkowa nie zrobił na nim takiego wrażenia, jak na Popowie. Był przyzwyczajony do radzenia sobie w różnych stresujących sytuacjach, zarówno tych legalnych, jak i tych mniej legalnych. Niewiele już mogło go zaskoczyć.

Wskoczył w pierwszą z bram, żeby nie stać na deszczu.

- Generale, co za niespodzianka.

- Chciałem zrobić wam niespodziankę. Moi szpiegowie donieśli mi o wspaniale zdanym egzaminie.

- A dziękuję. Nieźle mi poszło, mówiąc nieskromnie.

- No i ta praca dla spółki Riley. Bardzo interesująca rzecz.

Czomski się zaśmiał.

- No ładnie generale, widzę, że mnie sprawdzacie.

- Mój chłopcze, GRU jest porządnie reprezentowane w dublińskiej ambasadzie. Chłopaki muszą mieć coś do roboty.

- Wyobrażam sobie.

- Jak tam Lewin?

- Proszę, generale. Jestem pewien, że doskonale wiecie, jak mu się powodzi. Ma wspaniały apartament z widokiem na rzekę, kilka pań na utrzymaniu i używa życia, jak tylko może.

- Ale co to za życie dla kogoś takiego, jak on.

- Nie skomentuję tego.

- A ta firma, dla której pracuje Popow, Scamrock Security? Mam informacje, że załatwia najemników do różnych akcji. W Irlandii jest teraz spokój, dlatego musi być tam sporo dawnych bojowników, którzy nie mają co robić, a chcą zarobić.

- Gdyby to mówiła do mnie policja, generale, odpowiedziałbym, że nie wiem o czym mówicie.

- Oczywiście. Dziękuję, miło się nam rozmawiało. Do usłyszenia.

- I po co to było? - zapytał Czomski sam siebie i wyszedł z powrotem na ulicę.

* * *

Wołkow zadzwonił do Lewina kilka chwil później, gdy ten właśnie wszedł do cichego baru Kelly's, urządzonego w starym stylu i z wygodnymi boksami gwarantującymi minimum dyskrecji. Barman o imieniu Mick przywitał się z nim i od razu przyniósł dużą whisky.

W tym momencie do baru wszedł Czomski.

- To samo dla mnie, Mick - powiedział i zdjął płaszcz. - Zgadnij, kto do mnie przed chwilą zadzwonił?

- No, dawaj.

- Wołkow.

Ledwie to powiedział gdy zadzwonił telefon Lewina. Odebrał go, uśmiechnął się i pochylił do Czomskiego, żeby mógł słyszeć co mówi Wołkow.

- Generale, co za zaszczyt - powiedział przymilnie Lewin.

- Czomski do was dołączył. Blisko współpracujecie?

- Jak bracia syjamscy.

- To dobrze. Co tam słychać?

- Wszystko idzie wspaniale. Deszcz w Dublinie jest cudownie odświeżający, a dziewczyny najpiękniejsze pod słońcem. Nie może być lepiej. Gdzie jesteście, w Moskwie?

- A nie, w Paryżu. Przyleciałem z prezydentem Putinem na konferencję w Brukseli. Pytał o ciebie, Igor.

- Naprawdę? - zdziwił się Lewin.

- Naprawdę. W Brukseli był też Charles Ferguson razem z brytyjskim premierem. To odświeżyło Putinowi pamięć, że ludzie Fergusona są bardzo niezdolni.

- Można to tak określić.

- No i ten Blake Johnson. Mój pierwotny rozkaz obejmował kompletne rozprawienie się z

większością z nich, ale jak na razie udało się tylko wyeliminować Hannę Bernstein.

Lewin poczuł się nieswojo na wspomnienie tego faktu.

- O co chodzi? - zapytał.

- O nic, po prostu brakuje mi twojego doświadczenia. Twojego i reszty chłopaków. Prezydent dobrze was wspomina. Powiedziałem mu, że technicznie bardzo odczuliśmy waszą ucieczkę do Dublinu.

- I co jeszcze powiedział?

- Żebym ci przekazał, że Rosja was potrzebuje. Pomyślcie o tym. Ciężko jest znaleźć prawdziwą pomocną dłoń, a wy jesteście najlepsi. Niesamowite, jak często ludzie potrafią zawieść.

- Co to ma znaczyć?

- Dam ci przykład. Kilka dni temu Blake Johnson był w Londynie. Chodził sobie po ulicy wystawiony jak na widelcu. Tymczasem Łuskow zaangażował kilku partaczy, którzy zamiast szybko załatwić sprawę, czekali nie wiadomo na co. W końcu pojawił się Dillon z Salterem i szybko rozprawili się z nimi. Wszystko śmiechu warte. Ty nigdy byś do tego nie dopuścił.

- Jak powiedzieliście, trudno jest znaleźć prawdziwą pomoc. Nieważne. Generale, co się odwlecze, to nie uciecze.

- Lewin, twoje życie musi być strasznie nudne. Ty musisz być w wirze wydarzeń, inaczej się marnujesz. Pomyśl o tym. Jeszcze pogadamy.

- To sukinsyn - oburzył się Czomski. - Jeszcze pogadamy. - Machnął do barmana. - Jeszcze raz to samo, Mick.

- Interesujące - powiedział Lewin. - Ten śmieć Maks Czoków zarządza Belov International. Dobrze znam tego gościa.

- Nic się tam chyba nie zmieni. Tak sobie myślę... pewnie dzwonił też do Popowa.

- A właśnie. Nic nie mów Popowowi o tej rozmowie tylko zwróć uwagę, czy o tym wspomni. Właściwie to możemy zadzwonić i od razu sprawdzić.

Czomski zadzwonił i zastał Popowa nadal siedzącego z Mary w hotelowym barze.

- Cześć, to ja. - Czomski mówił po angielsku. - Właśnie jestem na drinku z Igorem i idziemy do kina. Chcesz do nas dołączyć?

- Dzięki, ale nie dzisiaj - odpowiedział bez wahania. - Idę na kolację z Mary.

- W porządku. A poza tym, co słyhać? Coś się wydarzyło ciekawego?

- Nie, wszystko po staremu.

- Dobra, chciałem tylko zapytać czy przyjdiesz. Bawcie się dobrze!

Włożył komórkę do kieszeni.

- Idzie na kolację z tą dziewczyną z jego biura.

- To poważna sprawa - powiedział Lewin.

- Nie wydaje mi się. A przynajmniej nie będzie, jeśli będzie postępował tak, jak kiedyś postanowił.

- I nie wspomniał o Wołkowie, co? Niemożliwe, żeby generał dzwonił tylko do nas, a do niego nie.

- To oznacza, że jest głupi. Powinien był domyślić się, że go podejrzewamy. - Czomski wzruszył ramionami. - Ale co z tego?

- To, że najprawdopodobniej nasz kolega Popow siedzi Wołkowi w kieszeni. I to już od wyjazdu z Londynu. Wiedziałem, że któryś z was jest jego człowiekiem. Cieszę się, że to nie ty. Okoliczności wskazują na kogoś innego.

- Wielkie dzięki. A jest powód, dla którego miałyby to jakieś znaczenie?

- Podejście Wołkowa dowodzi, że coś się dzieje. Dobra, starczy tego. - Lewin wstał. - Bond na nas nie zaczeka. Zjemy po filmie.

* * *

Michael Flynn miał nie więcej niż pięćdziesiąt kilka lat i metr osiemdziesiąt wzrostu. Bardzo elegancki garnitur z najlepszego tweedu nadawał mu wygląd poważnego biznesmena. Wyraz twarzy, zacięty i zdecydowany, zdradzał osobowość człowieka, który nie traci czasu na bzdury. Jego gabinet w Scamrock Security był wyłożony piękną, dębową okładziną, w oknach wisiały ciemnozielone, miękkie zasłony, na podłodze leżał dywan w takim samym kolorze, a gustowne i solidne meble mówiły, że pracuje w nim człowiek sukcesu. W czasach wojny w Irlandii Północnej był przez krótki czas szefem sztabu Provisional IRA, choć potem szybko wylądował w więzieniu.

Lecz tamte dni dawno minęły. Teraz był biznesmenem, szefem firmy działającej na polu międzynarodowych usług ochroniarskich.

Wyrzął przez okno na deszcz, ale sam był w promiennym nastroju, bo jego biznes się kręcił. Był to interes, który istniał jedynie dzięki śmierci - zależał od wojen i plotek na ich temat. Flynn podszedł do biurka, wziął piękną kryształową karafkę i nalał whisky do szklanki gdy zadzwonił jeden z telefonów komórkowych, ten kodowany.

- Tak? - zapytał.

- Witam panie Flynn, tu Wołkow.

- Słodki Jezu. - Flynn łyknął whisky jednym haustem i nalał kolejną. - Dawno już się nie słyszeliśmy. - Przysiadł na krawędzi biurka. - Czym mogę służyć?

- Chciałem tylko zadzwonić z informacją. Jak pan wie, mam bezpośredni kontakt z al-Kaidą.

- Przez tego Maklera, tak?

- Tak. Powiedział mi niedawno, że mój partner w Bagdadzie, Abdul Raszid, zginął w zamachu bombowym. Załatwili go sunnici.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Pracował dla niego jeden z pańskich ludzi. Terence O'Malley, dawny provo.

- Nauczyciel. Pochodził z Bangor i świetnie znał się na robocie. Co się dokładnie stało?

- Zginął w strzelaninie z rąk niejakiego Seana Dillona i londyńskiego bandziora Billy'ego Saltera. Słyszał pan o nich?

- Jak miałem nie słyszeć. Dillon i ja byliśmy towarzyszami broni. A Saltera znam z opowieści. Co się tam działo?

- Osobiste sprawy. Stary Raszid porwał swoją wnuczkę z Anglii, trzynastoletnią dziewczynkę. Najwidoczniej Dillon i Salter próbowali ją odbić. Dobry uczynek w tym paskudnym świecie.

- To pasuje do Seana Dillona. To prawdziwy wariat.

- Pomyślałem sobie po prostu, że powinien pan wiedzieć.

- Bardzo dziękuję. A tak przy okazji - ta wasza nowa firma, Belov International. Jak tam jest z ochroną?

- Właściwie to rzeczywiście przydałaby się, szczególnie w irlandzkim oddziale w Drumore Place. To dobry pomysł, panie Flynn. Na pewno jeszcze o tym porozmawiamy. A na razie do usłyszenia.

Flynn usiadł zamyślony. Szkoda O'Malley'a. Wiele razem przeszli w dawnych czasach,

niestety, Terence, jak wielu innych, po wojnie nie radził sobie z życiem. Nalał kolejną whisky i podniósł szklanę.

- Za ciebie, Terence, spoczywaj w pokoju.

Wypił do dna, założył płaszcz i wyszedł.

Kuwejt
Pusta Ćwierć/Pustynia
Ar-Rab Al-Chali
Londyn

W Kuwejcie było o wiele spokojniej. Pustynna Burza była lata temu i szyby naftowe z powrotem pracowały pełną parą zaś pozostałości po wojnie dawno już usunięto. Hussajn spojrzął na telefon satelitarny i zobaczył, że przysłano mu dokładne informacje, jak dojechać na lotnisko i trafić do samolotu, który podstawiono z dala od normalnych terminali pasażerskich.

Land rovery jechały wzdłuż szeregu samolotów transportowych, aż w końcu dotarły do hangarów dla samolotów prywatnych, które stały równo zaparkowane przed nimi.

Na końcu pasa stał stary, ośmioosobowy turbośmigłowy samolot. Z hangaru wyszedł człowiek w poplamionym kombinezonie.

- Nazywam się Grant. Pan Hussajn Raszid? - Miał wyraźnie amerykański akcent.

- To ja.

- Samolot jest pana. Zna pan ten typ?

- Znam wiele różnych samolotów. Mam coś podpisać?

- Nie, wszystko już jest załatwione. - Otworzył kopertę i wyjął z niej dokument. - To pańska licencja pilota.

Podróbka była rzeczywiście świetna, ale Hussajn nie skomentował tego nawet jednym słowem.

- Bardzo dziękuję. Lecimy do Hazaru - jak długo potrwa lot?

- Dwie i pół godziny, może trzy. Latał już pan nad pustyniami?

- Wiele razy. W Maroku i Algierii.

- Tu jest trochę inaczej. To Pusta Ćwierć. Czasem znikąd zaczynają wiać silne wiatry, więc proszę uważać.

- Latałem już tutaj i znam te okolice. Tak samo lotnisko w Hazarze.

- Dobrze. Tak czy inaczej, zrobiłem dla pana kopię mapy, może się przydać. Zaznaczyłem

na niej trasę stąd do lotniska w Hazarze i wioski Kafkar na wybrzeżu.

- Bardzo dziękuję. Wchodzimy na pokład - powiedział Hussajn do Jasmine i Sary.

Dziewczyny weszły po schodkach, za nimi wskoczył Khazid. Hamid i Hussajn podali mu broń, kilka kałasznikowów, uzi, torby z amunicją i granatami oraz kilka ręcznych wyrzutni.

- Matko, lecicie na wojnę, czy co?

- W Pustej Ćwierci zawsze jest jakaś wojna.

- To prawda.

- Moja rodzina jest właścicielem Raszid Shipping. Na pewno słyszał pan, że piractwo strasznie się rozpleniło.

- Nie musi mi pan mówić.

Hussajn wszedł jako ostatni, wciągnął schodki i zamknął włącznik.

Jasmine i Sara zobaczyły stojące na fotelu kosze.

- Tu jest sporo jedzenia i dobry chleb - powiedziała Jasmine zaglądając do środka.

Sara otworzyła drugi koszyk i wyjęła butelkę.

- To na pewno ten Amerykanin - powiedziała. - Wino, białe i czerwone, whisky i brandy.

Prorok tego nie pochwaliliby, niech pokój z nim będzie.

- A ja uważam Proroka za bardzo wyrozumiałego - powiedział młody Hamid, który był artystą zanim chwycił za broń.

- Dobra, niech każdy weźmie co chce. - Hussajn usiadł w fotelu pilota i rozłożył mapę przygotowaną przez Granta.

- Mogę usiąść obok? - zapytała Sara.

- Pewnie, proszę.

Kiedy usiadła powiedziała:

- Możesz mi pomóc w nawigacji. Musimy po prostu lecieć wzdłuż tej czerwonej kreski, którą narysował nam Amerykanin.

- A co to jest? - zapytała, wskazując palcem punkt na mapie.

- Klasztor Św. Antoniego. Chrześcijański klasztor. Zbudowano go przy szlaku przez pustynię, na długo przed pojawieniem się islamu. Teraz jest tam dwudziestu, może trzydziestu mnichów, prawosławnych Greków w dziwnych, czarnych szatach. Osiemdziesiąt kilometrów za klasztorem znajduje się oaza Fuad ze studnią nazwaną imieniem patrona klasztoru - świętego Antoniego. W dawnych czasach korzystali z niej wszyscy podróżnicy, niezależnie od religii.

Wcisnął przycisk, silniki zaczęły pracować - najpierw lewy, potem prawy.

- Zapnijcie pasy - zawołał.

Podkołował na pas startowy, rozpedził maszynę i wystartował. Sara była tak podekscytowana, że złapała go za rękę.

- Ale super. - Patrzyła na umykające w dole piaszczyste wydmy, które zdawały ciągnąć się w nieskończoność.

- Tu jest inaczej niż w Bagdadzie.

- Tu nie ma wojny.

Hussajn wyrównał lot na wysokości trzech kilometrów i włączył automatycznego pilota. Choć w kabinie była klimatyzacja, to w starym samolocie nie działała już tak idealnie. Hussajn zdjął kurtkę i Sara zobaczyła umieszczoną pod pachą kaburę z berettą. Spojrzała na niego.

Kiedy byli razem w willi, Hussajn obchodził się z nią bardzo delikatnie, ale prawie nic o nim nie wiedziała oprócz tego, że studiował medycynę na Harvardzie i że wojna przerwała mu naukę.

Sara była jednak nad wyraz bystrą i pewną siebie dziewczyną i mimo młodego wieku, lubiła wytykać ludziom różne rzeczy. Poza tym była świadoma ogromnego szacunku, jakim była otaczana przez wszystkich, nie tylko mieszkańców willi. Nawet ważni politycy i immamowie traktowali ją szczególnie. Jednak najbardziej na świecie kochała swego ojca i to on był dla niej najważniejszą mężczyzną w życiu i autorytetem. Był to człowiek bardzo konsekwentny i z określonymi zasadami. Znając go miało się nieodparte wrażenie, że cokolwiek robi, to postępuje właściwie. Hussajn był dokładnie taki sam.

Pamiętała, że została ochrzczona i przez całe życie wychowywała się w chrześcijańskim otoczeniu. Nie miała zamiaru tego zmieniać więc nigdy nie kłóciła się z dziadkiem dobrze wiedząc, że nic to jej nie da, i że sytuacja w którą została wplątana, jest bardziej skomplikowana. Bardzo lubiła Hussajna jako kuzyna, ale pomysł, że w przyszłości zostanie jego żoną, wydawał się jej wyjątkowo niepoważny. I wierzyła, że ojciec na pewno znajdzie rozwiązanie tej sytuacji. Musi tylko poczekać.

Wojna stała się dla niej, wraz ze wszystkimi jej okropieństwami, integralnym składnikiem codzienności. Była za każdym razem najważniejszym tematem telewizyjnych wiadomości, działa się tuż obok, była wręcz namacalna i nie chciała odejść. Dlatego po jakimś czasie nawet śmierć dziadka nie była w stanie wytrącić Sary z równowagi. Przyzwyczyła się do tego, że codziennie

giną ludzie, także ci mieszkający w willi jej dziadka.

Mężczyźni siedzieli z tyłu popijając wino. Gdy zaproponowali Hussajnowi kieliszek, odmówił wymawiając się tym, że pilotuje samolot. Wziął od nich tylko chleb z warzywami i podzielił się nim z Sarą która zauważyła pod podwiniętą prawą nogawką przypiętą przy kostce małą kaburę z pistoletem. Na pytanie - po co - wyjaśnił, że to na wszelki wypadek gdyby coś poszło nie tak. Na pustyni żyją Arabowie, którzy bardzo formalnie podchodzą do pewnych rzeczy.

Nie wspomniał jednak ani słowem, że w taki sposób noszą broń prawdziwi profesjonaliści.

Uspokoila się i powoli zaczął morzyć ją sen, aż w końcu zasnęła.

* * *

Kuzyn Charlesa Fergusona, profesor Hal Stone, który był członkiem senatu Corpus Christi College w Cambridge i profesorem archeologii morskiej, miał pewien kłopot, dość powszechny zresztą wśród naukowców zajmujących się tą dziedziną - brakowało mu funduszy na porządne badania.

Nurkowanie w Hazarze do wraku frachtowca zatopionego w czasie drugiej wojny światowej, zaowocowało odkryciem pod nim wraku fenickiego statku handlowego z czasów Hannibala. Stone był w stanie zorganizować za ledwie jedną, czasem dwie wyprawy na rok, prawie zawsze zatrudniając lokalnych nurków, którzy mieli bazę na starym statku o nazwie „Sultan”. Podczas poprzedniej wizyty Dillon i Billy, obydwaj doświadczeni nurkowie, byli w stanie trochę mu pomóc.

Telefon od Fergusona wprowadził profesora w doskonały nastrój. Podczas nieobecności w Hazarze statku pilnował jego arabski współpracownik, Selim. Profesor od razu do niego zadzwonił powiadamiając, że niebawem przyjedzie i zaczął się w pośpiechu pakować.

O dawna nie był tak rozentuzjasmowany, i to nie tylko perspektywą rychłego nurkowania. Miał bowiem pewien sekret. Otóż, jako młody człowiek, pracował dla wywiadu i zdawał sobie doskonale sprawę, że Ferguson i jego ludzie coś planują. Udział w tym wszystkim bardzo go cieszył.

- Transport zapewniony? - zapytał Fergusona.

- Pewnie. Mamy teraz gulfstreama. Chłopcy będą musieli tylko zdjąć znaki RAF-u. Będziemy w tej wyprawie Oceanograficzną Grupą Badawczą Narodów Zjednoczonych. Brzmi nieźle, co?

- Idealnie. A jaki jest powód, dla którego twoi chłopcy tam lecą? Co się dzieje tym razem?

- Przyjedź do mnie, to wszystko ci opowiem.

Stone odłożył słuchawkę i przejrzał się w lustrze. Ujrzał w nim opalonego, dziarskiego sześćdziesięcioletka z białą brodą, ubranego w oliwkową kurtkę, koszulę, spodnie i kapelusz. Wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i założył je.

- Teraz jeszcze lepiej - powiedział. - Może nie jak Indiana Jones, ale nieźle. Witaj przygodo!

Wziął torbę i wyszedł.

* * *

Roper miał małe problemy ze znalezieniem szczegółów dotyczących lotu Hussajna i reszty z Kuwejtu do Hazaru. W końcu Amerykanina Granta odwiedził osobiście kapitan Jackson z ambasady brytyjskiej, reprezentujący tam wywiad wojskowy, który z przyjemnością wyświadczył Fergusonowi tę przysługę. Okazało się, że w rogu hangaru była zainstalowana kamera, która sfilmowała całe zdarzenie, więc wizyta Jacksona przyniosła pozytywny skutek. Roper mógł od razu sprawdzić nagranie.

- Zdjęcia Hussajna Raszida to prawdziwa gratka - powiedział Ferguson.

- A dziewczyna? - zapytał Roper.

- Nic szczególnego, jest zasłonięta po czubek głowy, jak wszystkie dziewczyny w tym kraju. A ty co myślisz?

Roper nalał sobie whisky.

- Ma bardzo spokojną twarz, nie można z niej wiele wyczytać.

- Nie wiem, czy w tym akurat nie przypomina ojca.

W tym momencie wszedł Caspar Raszid, przyproszony przez sierżanta Doyle'a.

- O jakie zdjęcia chodzi?

- Mam je tutaj - powiedział Roper. - Przyszły prosto z Kuwejt.

Caspar obejrzał je bardzo dokładnie, kilkakrotnie się im przyglądając.

W końcu powiedział:

- Niesamowite, że zrobiono je dosłownie przed chwilą.

- Jak ona się ma, według pana? - zapytał Ferguson.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Może zabrzmieć to dziwnie, ale to chyba przez te szmaty, to one tak ją zmieniły. Przynajmniej mam takie wrażenie. Mogę pokazać zdjęcia żonie?

- Oczywiście, że tak. Mieliśmy dużo szczęścia, że udało nam się zdobyć zdjęcia Hussajna i jego ludzi.

Caspar obejrzał jeszcze raz jedno ze zdjęć.

- Wiecie co, jednego z nich chyba znam. Co prawda minęło już parę lat, ale wydaje mi się, że ten chłopak był ze mną w amerykańskim więzieniu i pamiętam, że był wtedy naprawdę sympatyczny.

Dillon, który wszedł po cichu, spojrział na zdjęcia i powiedział:

- Ludzie się zmieniają, a okoliczności zmieniają ich jeszcze bardziej. Zapewne jego rodzice zginęli w nalocie, potem pół roku więzienia. Dla niego było to okrutne i bolesne doświadczenie. - Nalał sobie odrobinę whisky i wypił ją. - Sam wiem, jak bardzo ludzie potrafią się zmienić. Naoglądałem się tego wystarczająco w Irlandii.

- Na pewno, Sean - powiedział Roper. - Ten Hussajn jednak nie jest zwykłym chłopakiem. Wiemy ilu facetów załatwił, a to pozwala domniemywać, że jest prawie tak dobry jak ty.

Nikt nie skomentował tych słów; w sali zaległa cisza.

* * *

Sara, zadowolona, że potrafi czytać mapę i jest przydatna, jako pierwsza zauważyła w oddali palmy i budynki klasztoru św. Antoniego. Pokazała je palcem i zawołała do pozostałych; Jasmine i chłopaki pochyłili się do okien, żeby zobaczyć. Hussajn obniżył lot do siedmiuset metrów i zatoczył koło. Na nasypie stało kilka postaci w czarnych kapeluszach i szatach. Machali

rękami. Hussajn pomachał im skrzydłami i skierował samolot na południe.

Kilka minut później opuściło ich szczęście. Nagle z prawego silnika buchnął dym. Pierwsza zobaczyła to Jasmine i podniosła krzyk wywołując zamieszanie. Na szczęście nie było widać płomieni, tylko gęstą, czarną chmurę.

Sara, która znowu zasnęła, obudziła się i usłyszała Hussajna każącego im się uspokoić. Wyłączył silnik i włączył automatyczną gaśnicę. Biały obłok zmieszał się z czarnym dymem, płomieni nadal nie było widać.

- Już wiem, co się stało. Przewód olejowy był pewnie nieszczelny, olej wylał się na silnik i stąd to wszystko. Zapnijcie pasy, będziemy lądować. - Spojrzał na Sarę. - Pilnuj mapy i linii na niej. Musimy być niedaleko oazy i studni św. Antoniego.

Zszedł w dół, pióropusz dymu nadal ciągnął się za samolotem.

- Tam, po prawej stronie - powiedziała cicho Sara i wskazała miejsce palcem.

- Dobrze.

Samolot nadal obniżał lot, aż znalazł się kilkadziesiąt metrów nad ziemią, zaś oaza zdawała się pędzić wprost na nich. Sara widziała kępy palm, mały budynek z płaskim dachem obok i drogę, którą od wieków przemierzali niezliczeni podróżnicy.

W oazie znajdował się spory staw, przy którym gasiła pragnienie szóstka koni. W pobliżu, przy ognisku, na którym gotował się posiłek, siedzieli Beduini i wpatrywali się w przybyszy zasłaniając oczy przed słońcem. Obok budynku stał wbity w ziemię pał z przywiązany do niego człowiekiem w czarnych szatach.

Hussajn wylądował na drodze i zatrzymał się w pewnej odległości od centrum oazy.

- Wychodzimy. Broń w pogotowiu. - Rzucił do swoich trzech towarzyszy.

Jeden z Beduinów, z batem w ręku podszedł do uwięzionego, i ignorując idących, zaczął smagać mnicha po plecach. Szata zsunęła się z barków księdza i zobaczyli jego zakrwawione plecy.

- Co oni robią, to przecież ksiądz - powiedziała Sara.

- Uspokój się. - Hussajn odebrał dzwoniący telefon. To był Makler.

- Wspaniale, że pan dzwoni - powiedział Hussajn. - Jest kłopot z samolotem. - Opisał, co się wydarzyło i gdzie są w tej chwili.

- Zadzwoń na lotnisko w Hazarze i zorganizuję pomoc - obiecał Makler. - Pewnie wyślą śmigłowiec. Zadzwoń, kiedy będę coś wiedział.

Hussajn schował telefon i powiedział:

- Idziemy, moje panie. - Uśmiechnął się do Sary. - Podasz mi kurtkę?

Podając mu ją zauważyła metkę z marką Armaniego, i pomyślała, że to najładniejsza kurtka jaką widziała, i że bardzo mu w niej do twarzy.

- Przygotujcie się na wszystko, chłopaki. Oni raczej nie będą przyjaźnie nastawieni. Pamiętajcie przede wszystkim o krwi Raszidów.

- Jesteśmy z tobą, kuzynie - powiedział Khazid i ruszyli. Hussajn z Jasmine z jednej strony i Sarą z drugiej szli za nimi.

* * *

Mężczyźni siedzący przy ognisku mieli na sobie czarne szaty i biało-czarne zawoje na głowach. Patrząc na przybyszów brali w ręce karabiny. Przywódca, wysoki człowiek z długą brodą stał wyprostowany z batem w ręku.

- Kim jesteście? - zapytał.

Hussajn minął go z prawej kierując się w stronę drewnianego płotka i oparł się o niego.

- A kto pyta?

- Jak ty się zachowujesz, chłopcze? - zapytał z oburzeniem w głosie. - Jestem Ali ben Levi i to ja decyduję, kto tu przychodzi i kto stąd odchodzi. Studnia jest moja, a ten tu próbował sprzeciwić się temu.

Odwrócił się i jeszcze raz przejechał batem po plecach księdza.

- Nie rób tego - krzyknęła Sara.

- Bądź cicho, dziewczyno. To tylko chrześcijanin.

- Ja też jestem chrześcijanką - odezwała się po arabsku. - Uderzysz mnie?

Podbiegła do niego usiłując wyrwać bat. Złapał ją za rękę i zaśmiał się.

- Uderzę, i to z wielką przyjemnością. - Pchnął ją na ziemię i podniósł bat.

Hussajn bez chwili namysłu sięgnął po colta i strzelił ben Leviemu między oczy. Grzybkujący nabój rozerwał mu czaszkę, a odrzut pchnął ciało do stawu. Jeden z mężczyzn, siedzących po drugiej stronie stawu, podniósł karabin, ale Hassim w mgnieniu oka skosił go kałasznikowem. Reszta zastygła w milczeniu. Hussajn z coltem w ręku machnął w ich stronę.

- Tym razem pozwolę wam żyć. Zabierzcie ciała i precz stąd.

Osiadłali w pośpiechu konie. Ciała przywiązali do pustych siodeł, wsiedli na konie i na odchodne usłyszeli:

- Jestem Hussajn Raszid, Młot Boży. Czekam na mężczyznę z rodu ben Levi'ego, który będzie szukał zemsty.

Ale nie było im to w głowie. Jasmine drżała ze strachu, ale Sara była dziwnie spokojna.

- Zobaczą, co z księdzem - powiedziała i poszła do niego.

Zadzwoił telefon satelitarny, ale rozmowę przerywały zakłócenia. Makler krzychał.

- To ja. Słyszysz mnie?

- Słabo, ale tak.

- Już leci śmigłowiec. Wszystko w porządku?

- Mieliliśmy mały problem, ale już sobie poradziłem.

- To dobrze. Będziemy ciebie potrzebować, Hussajn. Jest bardzo ważne zadanie do wykonania. Sam Osama pytał się o ciebie. Przesyła pozdrowienia.

- Proszę mu ode mnie podziękować. Do usłyszenia.

Sara z Jasmine odwiązały księdza. Sara obmyła mu pokrwawione plecy.

- Naprawdę jesteś chrześcijanką dziecko? - zapytał.

- Moja matka jest Brytyjką ojciec jest z rodu Raszidów. Zostałam ochrzczone.

- Ale nosisz muzułmańskie szaty...

Hussajn i jego ludzie siedzieli pałac papierosy i przysłuchując się rozmowie.

- W całym Koranie są tylko dwie matki proroków. Pierwsza to matka Mahometa, pokój niech z nim będzie, a druga to Maria, matka proroka Jezusa. We wszystkim tkwi dobro. To właśnie jest prawda, którą mówi nam i Biblia i Koran.

- Mój Boże, jesteś taka młoda, a taka mądra. - Wziął różaniec i zaczął się modlić.

Sara podeszła do Hussajna i usiadła obok niego. Pozostali przez szacunek wstali i odeszli.

- Nie wiedziałam - powiedziała po angielsku - jaki jesteś naprawdę.

- Oczywiście, że nie. Miałś nie wiedzieć.

- Myślałam, że dobrze ciebie poznałam. Teraz wiem, że nie znałam cię wcale. Młot Boży.

- Pokręciła głową, powtarzając ten przydomek po arabsku. - Słudzy mówili o tobie i czasem opisywano cię w gazetach. To takie dziwne. Czytałam gazety, żeby poprawić mój arabski i nie zdawałam sobie sprawy, że czytałam o tobie i twoich dokonaniach. Wielki wojownik. Nigdy nie

widziałam twojej twarzy w telewizji, ale gdy mówili o tobie w radio, zawsze mówili o Młocie Bożym używając angielskiej nazwy. Nawet małe dzieciaki się jej nauczyły, jest drukowana po angielsku na koszulkach. Czemu na to pozwoliłeś?

- Bo jestem hardy i chciałem drażnić moich wrogów. Ale w brytyjskich gazetach nie określa się mnie jako wojownika, tylko pewnie jako terrorystę.

- Tak. Niesamowite, jak wiele zależy od słów.

- Jesteś bardzo mądra - powiedział. - Bardzo mądra jak na swój wiek.

W oddali dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk silników helikoptera. Pomógł jej wstać.

- Kolejna podróż przed nami. Pożegnaj się z księdzem i lecimy.

* * *

Port w Hazarze był niewielki, zabudowany niskimi, bielonymi budynkami przy wąskich uliczkach, a błękit morza kontrastował z białą ścian. W porcie uwijało się wiele różnych jednostek, od małych żaglowych łodzi rybackich po nowoczesne, motorowe statki.

Śmigłowiec leciał po półkolu od strony morza i gdzieś milę od brzegu Sara zauważyła starą, arabską łódź.

- Pięknie wygląda.

- To prawda. Nazywa się „Sułtan” i służy jako platforma dla nurków. Parę lat temu morsecy archeolodzy odkryli wrak frachtowca z czasów drugiej wojny, który zatopiła niemiecka łódź podwodna. Kiedy nurkowali odkryli obok stary wrak z czasów Fenicjan, który okazał się o wiele ciekawszy.

- I coś z tym robią?

- Rząd hazarski? Mają to w nosie. Kilka lat temu jakiś profesor z Cambridge dostał licencję na nurkowanie w tym miejscu. Czasami przylatuje, ale nigdy nie ma pieniędzy na poważne badania. Zatrudnia miejscowych nurków i generalnie ma wakacje.

- Brzmi nieźle. Nurkowałeś kiedyś?

- O tak, wiele razy. Tam pod wodą jest inny świat.

Przelecieli nad miastem, nad lotniskiem zawrócili i polecili dalej nad niewielką osadę

obok portu, nad którą górował ogromny stary dom, otoczony pięknymi ogrodami i tarasami.

- A oto duma klanu Raszidów. Ten dom stoi w tym miejscu już od trzystu lat. To Kafkar.

Śmigłowiec podleciał do lądowiska, gdzie czekała już na nich spora grupa ludzi w tradycyjnych strojach, na czele których stał stary mężczyzna w białej szacie i beduińskim burnusie na głowie. Pomimo, że podpierał się laską widać było, że niegdyś był to bardzo silny człowiek.

Gdy silnik ucichł, Hussajn powiedział:

- To twój stryjeczny dziadek, Dżamal. Idź pierwsza.

Otworzył drzwi i wysunął schodki. Wokół panowała cisza. Stary człowiek odezwał się:

- Saro, podejdź do mnie, moje dziecko.

Gdy podeszła, tłum zaczął cieszyć się i wiwatować.

* * *

Gdy dotarli do domu i rozpakowali się, Dżamal i Hussajn usiedli na szerokim tarasie nad ogrodami, otoczonym palmami i egzotycznymi roślinami. Wszędzie było słycać szmer wody, która spadała kaskadami z tarasu na taras. Zapalili. Wieści o strzelaninie w oazie dotarły już tutaj.

- Ta sprawa z ben Levim to drobiazg - powiedział Dżamal. - Ali był zwykłym bandytą i nie miał żadnego poważania. Nikt się nie będzie mścił za niego, więc nie przejmuj się nim.

- Nie przejmuję się - powiedział Hussajn. - Poza tym oni zasłużyli na nauczkę.

- I ją dostali. Co teraz zamierzasz?

- Zostanę kilka dni, zostawię Sarę w twoich rękach i pojedę. Mam coś ważnego do zrobienia. Jestem w bliskim kontakcie z al-Kaidą. Sam Osama przesłał mi dzisiaj wiadomość.

- Rzeczywiście zostałeś wyznaczony przez Allacha do wielkich rzeczy. Dziecko będzie tu bezpieczne. A to, co wydarzyło się w Bagdadzie, to wielka tragedia. Pamiętaj jednak, że śmierć mojego brata była wypełnieniem woli Allacha, który zrobił to rękami sunnitów, jednak obecność tych diabłów z Londynu, którzy chcieli zabrać Sarę, bardzo mnie niepokoi.

- Mnie też.

- Abdula bołało, że ona nie jest tutaj szczęśliwa.

- Próbowwała na początku uciekać, tak przynajmniej mi powiedzieli - powiedział Hussajn.

- Rozmawiałem z nim o tym. Postanowiliśmy, że zakuje się ją w kajdany. Aż zdziwiłem się, że ma je zdjęte.

- Przrzekła mi, że nie odejdzie. Zresztą wie, że podróże są niebezpieczne.

- Nigdzie już nie ucieknie, chociaż...

Hussajn wiedział, że stąpa po grząskim gruncie, dlatego musiał być ostrożny i ważyć każde słowo.

- Dla tak młodej kobiety kajdany to niewygodna i utrudnienie przy codziennych czynnościach. - Zagrał na poczuciu dumy wuja. - Poza tym jest z klanu Raszidów. Gdyby inni zobaczyli, że chodzi spętana, byłaby to chyba hańba. Jak odnalazłby się tu twój autorytet?

- Masz rację, okrylibyśmy się wszyscy wstydem.

- Szczególnie ty, wuju. - Dotykał jego próżności. - Cieszysz się tu najwyższym szacunkiem.

- To prawda. Zatem nie ma mowy o więzach. Jasmine będzie musiała jej towarzyszyć na spacerach przez cały czas. No i dwóch uzbrojonych strażników. - Spojrzał na dom. - Będzie spać w błękitnym pokoju. Wszystkie drzwi i okiennice są zamykane na klucz i nie ma tam telefonu.

- To wystarczy. - Hussajn pochylił głowę. - Twoja mądrość, wuju, jest jak zawsze przeogromna.

Na schodach ukazała się Sara z Jasmine. Obie odświeżone i przebrane w czyste ubranie.

- A, jesteś, moje dziecko, chodź do mnie. - Dżamał wyciągnął ręce.

Spojrzała na Hussajna, który zachęcił ją prawie niewidocznym skinięciem głowy, więc podeszła bliżej.

- Dobrze cię widzieć, Saro. - Pocałował ją lekko w czoło.

- Dobrze tu być z tobą, wuju. - Ujęła jego dłoń i pocałowała. - Szkoda, że nie mogłam poznać mojej ciotki.

- To nie twoja wina, tylko twojego ojca, ale nie mówmy już o tej przykrej sprawie. Chodź, przejdziemy się po ogrodzie, a ty opowiesz mi o Bagdadzie.

Wstał opierając się na lasce, podał jej ramię i poszli przez ogród, zatrzymując się od czasu do czasu żeby porozmawiać z ogrodnikami. Hussajn patrzył na nich. Sara była sprytną dziewczyną i wiedział, że zdobycie serca starego człowieka było tylko kwestią czasu. Zapalił papierosa i oparł się o ławkę patrząc na zacumowanego daleko od brzegu „Sułtana”. Było tak pięknie i spokojnie, aż poczuł, że jest zmęczony i senny. Ale spokój nie trwał długo. Zadzwoił

telefon. To był Makler.

- Doleciałeś?

- Dzięki Allahowi, tak.

- Dobrze. Hussajn, tak jak mówiłem, potrzebujemy cię.

- Wiem, wiem. Dajcie mi trochę czasu.

- Tego niestety nie mamy. - Milczał przez chwilę. - Tydzień, może jeszcze jeden, ale potem chcielibyśmy widzieć cię w Londynie.

- A ile miałbym na wszystko? - zapytał Hussajn. - Potrzebuję co najmniej dziesięciu dni.

- Tyle wystarczy. Chodzi o człowieka, który zajmuje się bezpieczeństwem brytyjskiego premiera. To generał Charles Ferguson. Chcę wyświadczyć Rosjanom przysługę i sprzątnąć go. Możesz to dla mnie załatwić?

- Jeśli jest chęć i wola, każdego można zlikwidować.

- Wspaniale. Porozmawiamy zatem jutro. Sprawdź pocztę, tam znajdziesz wszystkie szczegóły. Będziemy w kontakcie.

* * *

Makler nalał sobie zielonej herbaty i wyciągnął się w fotelu. Sprawy powoli zaczęły układać się w całość. Ferguson i premier, Blake Johnson i prezydent Cazalet, Wołkow i Putin. Hussajn Raszid i ta śmieszna sprawa z Sarą Raszid. Dillon i Salter, Flynn w Dublinie, Lewin, Czomski i Popow.

Wszyscy ważni byli włączeni w jego plan. Było to bardzo budujące.

Londyn**Hazar**

W Holland Park odbyła się walna narada, w której udział wzięli oboje Raszidowie, Harry i Billy Salterowie, Ferguson, Hal Stone, Dillon, Greta, Roper, Doyle, Henderson oraz Lacey i Parry.

- Oddaję głos Roperowi - powiedział Ferguson. - On wszystko obmyślił i przygotował.

- Jeśli wszystko ma pójść gładko, trzeba będzie działać bardzo szybko. Pamiętacie, co się wydarzyło w zeszłym roku w Hazarze - ucieczka samolotem w ostatniej chwili i tak dalej. Dane, które zdobyłem pokazują, że leajet firmy Raszid Shipping został zgłoszony do lotu za siedem dni. Jest duże prawdopodobieństwo, że będzie nim leciał Hussajn Raszid.

- Skąd ta pewność? I czy jest możliwe, że Sara będzie z nim leciała - wtrąciła Molly.

- Mało prawdopodobne, moja droga - odpowiedział Ferguson. - Zadali sobie sporo trudu, żeby przewieźć ją w bezpieczne miejsce. Czemu mieliby to zmieniać?

- Właśnie taki tok myślenia działa na naszą korzyść - powiedział Roper. - Dopiero ją tam przywieźli. Kto by się spodziewał, że tak szybko zechcemy ją odzyskać?

- To dlaczego marnujemy czas na gadanie, zamiast już tam być - zapytał zdenerwowany i spocony Caspar.

- Samolot odlatuje o piątej rano - odpowiedział spokojnie Roper. - Lot potrwa dziesięć godzin.

- Wolelibyście, żebym nie leciał, tak?

- Wręcz przeciwnie - wtrącił Ferguson. - Jeśli Sara zobaczy własnego ojca podczas akcji, będzie to miało bardzo pozytywny wpływ na całość.

- A pomysł, żeby przebrać się za Beduina i zakryć twarz jest doskonały - dodał Roper.

- Oczywiście leci z nami także profesor Stone, bo tak czy inaczej, to na nim opiera się cała wyprawa. Billy i Dillon będą udawać nurków, żeby uwiarygodnić ich pobyt. Piloci będą zajmować się samolotem.

- A ja? - zapytała Greta.

- Zostajesz, będziesz przez cały czas ochraniać panią doktor.

- W porządku.

Ferguson spojrział na Raszida.

- Zadowolony?

Ten jednak był nadal zdenerwowany.

- Omówmy jeszcze raz na spokojnie całą sytuację - powiedział Roper. - Nie odzyska pan córki przybywając do domu wuja i prosząc go, żeby ją oddał. Tak naprawdę odbicie Sary będzie bardzo spontaniczne. Nie wiemy, kiedy to nastąpi. Może kiedy będzie spacerować po ogrodzie, po ulicy, na plaży. Nikt z nas nie wie, jak to będzie wyglądało.

- Tak... - odpowiedział zrezygnowany Raszid.

- On ma rację, kochanie.

- W takim razie cała akcja musi się odbyć naprawdę szybko. Wy - zwrócił się do Parry'ego i Lacey'a - będziecie musieli być przygotowani na szybki odlot.

- No dobrze, starczy na dziś - zarządził Ferguson. - Nasza nowa kucharka obiecała przygotować nam wczesną kolację, więc chodźmy coś zjeść.

- Jeszcze jedna rzecz - przerwał Roper. - Chcę wam coś pokazać. - Wszyscy się odwrócili.

- Mam nadzieję, że nam się uda. Otóż mam małą niespodziankę dla Hussajna Raszida, czyli Młota Bożego. Proszę bardzo.

Na ekranie ukazała się klatka z filmu z kamery przemysłowej na lotnisku w Kuwejcie. Widać było na niej brodatego człowieka bez okularów przeciwsłonecznych. Bardzo przypominał młodego Che Guevarę.

- Co masz na myśli? - zapytał Ferguson.

- Właśnie to. Gdy tylko Hussajn wyruszy z Hazaru, natychmiast prześlemy to zdjęcie prasie, oczywiście z informacją, że to Młot Boży, znany współpracownik Osamy bin Ladena. Bardzo możliwe, że będzie leciał do Wielkiej Brytanii, a z czymś takim będzie mu bardzo trudno nas śledzić.

- A niech mnie, Roper, ty masz głowę - powiedział Ferguson. - Z tym nie będzie mógł walczyć. - Spojrział na Molly Raszid. - I to może być koniec waszych kłopotów.

Zadzwonił dzwonek oznajmiający, że kolacja jest gotowa. Ferguson podał jej ramię.

- Pani pozwoli...

* * *

W Hazarze panował straszliwy upał, ale Sara czuła się zmęczona z jeszcze jednego powodu. Już w willi dziadka w Iraku było jej ciężko, a tu było o wiele gorzej. Nie dość, że wuj zdecydował, że w jej pokoju będzie spała nie tylko Jasmine, ale także dwie starsze wdowy z rodziny, to sytuację pogarszali jeszcze uzbrojeni strażnicy na tarasie.

- Nie mogę tego znieść - skarżyła się Hussajnowi. - Czuję się, jakby mnie ktoś w całości połknął.

- Ustalmy coś - odpowiedział. - Po tym wszystkim, co się stało, wuj ma powody do niepokoju.

- Nie wolno mi nawet jeść z tobą. Przebywam cały czas z kobietami, z których większość może być moją babcią. Nie mogę popływać w basenie, chyba że będę ubrana po szyję jak muzułmanka. Jakbym żyła w Londynie na początku dziewiętnastego wieku.

- Ale ty jesteś muzułmanką i nie trać czasu na kłótnie o to. Przypominam ci, że wuj jest bardzo przywiązany do tradycji.

- Co ty powiesz - odparła z wściekłością. - Pokazała palcem plażę i morze. - Tam wszystko wygląda normalnie. Turyści, narty wodne, skutery, motorówki, a tu co? Uzbrojeni strażnicy! Tu jest inny świat!

- Co za bzdury opowiadasz.

- Nawet ty mnie opuszczasz.

- Mam ważne rzeczy do załatwienia.

- No tak. Jedziesz pewnie na wojnę, albo coś w tym rodzaju. Widzę, że ciągle rozmawiasz przez telefon i załatwiasz sprawy z tym twoim znajomym, Maklerem.

- Słucham? - zapytał bardzo zdziwiony.

- Na przykład w Fuad. Słyszałam, jak krzyczałeś do niego, bo były zakłócenia.

Wzruszył ramionami.

- To pośrednik w inwestycjach - makler, jak sama słyszałaś.

- Mogę przynajmniej pojechać do miasta na zakupy, albo nad zatokę i popływać łódką?

- Zobaczymy. - Wstał.

- Albo pojechać do miasta, do meczetu. Nawet twój wuj się temu nie sprzeciwia.

Uśmiechnął się zdając sobie sprawę, jakim była dzieckiem i nagle przypomniał sobie, co

obiecał jej dziadkowi.

- To wszystko dla twojego dobra. Naprawdę. Zobaczą, co da się zrobić.

- I niech strzegą mnie Hassim i Hamid. To przynajmniej przyjaciele, tak samo Khazid.

Wiedzą przynajmniej, tak jak ty, czym jest wojna, a nie jak ci stąd.

Był szczerze wzruszony. Nie mogła sprawić mu większej przyjemności, mówiąc te słowa.

- Zrobię co będę mógł. Bądź grzeczna. - Oddalił się zostawiając ją Jasmine i dwóm kobietom siedzącym w pewnym oddaleniu od nich.

Sara podeszła do balustrady tarasu i spojrzała w dół na port. Tam tętniło życie i tak wiele się działo. Stara łódź, „Sułtan”, wyglądała malowniczo i pasowała do krajobrazu. Na pokładzie uwijali się ludzie. Widziała jak wyładowywali wielki gumowy ponton, który wyglądał jak zbiornik na gaz. Z daleka nie było jednak widać szczegółów. Na szczęście przyszli Hamid z Hassimem. Obydwaj ubrani w panterki, zielone koszulki, okulary przeciwsłoneczne i kałasznikowy. Wyglądali całkiem nieźle i niejedna z kobiet patrzyła na nich z podziwem i uwielbieniem.

- Przysłał nas Hussajn, kuzynko - zwrócił się do niej Hamid. - Podobno się nudzisz.

Powiedział to po angielsku chcąc go podszkolić. Na szyi miał zawieszoną lornetkę.

- Fajnie. Możesz mi pokazać tę lornetkę?

Bez słowa podał jej. Podniosła ją do oczu i spojrzała na łódź. Na pokładzie był Arab i jakiś Beduin ubrany w ciemne szaty, biało-czarny zawój na głowie krzątający się żwawo; tkanina odsłaniała jedynie oczy.

Nie wiedziała, że to był jej ojciec, który akurat w tym momencie pomagał Selimowi, opiekunowi „Sułtana”, przenosić butle z powietrzem z pontonu na łódź podawane przez Dillona i Billy'ego. W tej samej chwili ze sterówki wyszedł Hal Stone.

- Na co patrzysz? - zapytał Hamid.

- Na tę dużą łódź. Hussajn powiedział mi, że korzysta z niej jakiś profesor z uniwersytetu w Cambridge. Służy jako platforma dla nurków. Tam na dole jest jakiś bardzo stary statek, chyba fenicki. Słyszałeś o tym?

- Pewnie - odpowiedział jej Hamid. - Uczyłem się o Fenicjanach w szkole. Mogę zobaczyć? - Oddała mu lornetkę, a on przyłożył ją do oczu. - Tak, ładują na pokład sprzęt do nurkowania. Musi być fajnie. Sam bym spróbował. - Podał lornetkę Hassimowi.

- Gdybyśmy mogli popłynąć, to popatrzylibyśmy z bliska - powiedziała.

- Decyzja należy do twojego wujka. - Wziął papierosa od Hamida, obydwaj usiedli na ławce i zapalili.

* * *

Lot przebiegł bez żadnych zakłóceń, nawet nie musieli po drodze tankować. W trakcie lotu jeszcze raz wszystko przedyskutowali. Niedawna wyprawa Caspara Raszida do Hazaru była jego pierwszą od lat dziecięcych, więc jego twarz, poza rodziną, nie była tu znana. Na pewno też nie znał go opiekun „Sultana”.

Każdy z nich dostał od Ropera zdjęcia. Pierwsze przedstawiało Sarę w szkolnym mundurku stojącą z rodzicami, które było zrobione w zeszłym roku, a potem zdjęcia Dillona, Billy'ego i Hala Stone'a, zrobione razem z Molly i Casparem. Te miały na celu uspokojenie Sary i pokazanie, że mają oni wobec niej dobre zamiary, choć nadal nie było wiadomo w jaki sposób uda się nawiązać z nią kontakt.

Już na początku wyniknął problem ze strony Selima. Zmarł mu ktoś z rodziny i pogrzeb odbywał się gdzieś w Pustej Czwierci. Musiał tam pojechać i potrzebował na to pięciu dni. Z drugiej jednak strony ułatwiało to wiele spraw, zwłaszcza tych związanych z Casparem. Hal Stone pozwolił Selimowi jechać sprawdzwszy uprzednio, czy zrobił zapasy potrzebne dla pracujących na statku. Dał mu jeszcze sto dolarów i wieczorem odwiózł łodzią na przystań. Tego samego wieczora Dillon i Billy wypożyczyli dwa skutery wodne i stary samochód kombi. Gdy wrócili na łódź, zastali Hala Stone'a i Caspara obserwujących przez lornetkę dom Raszidów.

- Skutery to dobry pomysł. W mieście jest dużo turystów więc znikniecie w tłumie - stwierdził Hal.

- O to właśnie chodziło - skwitował Dillon. - Wkładaj akwalung Billy, zobaczymy co słychać na dole.

- A niech to. - Hal zeszywniał. - Po tarasie chodzi dwóch gości z karabinami. Dalej jeszcze dwóch a trochę wyżej trzeci.

- To forteca - powiedział Billy. - Chodź, zobacz sam.

- Niech będzie. Pamiętaj, jesteśmy tylko turystami. Rób to, co inni i nic więcej.

* * *

W budynku lotniska było piekielnie gorąco, ale, jak powiedział nieogolony policjant, nie było tu na szczęście zbyt dużego ruchu. Samoloty British Airways przylatywały z Londynu trzy razy w tygodniu i w te dni rzeczywiście było tu ciasniej. Resztę ruchu powietrznego stanowiły mniejsze samoloty, w większości prywatne i należące do różnych firm. Policjant miał na imię Said. Na powitanie poczęstowali go papierosem, a Lacey wsunął mu do kieszeni pięćset dolarów, co było szczodrym podziękowaniem za pusty hangar, jaki im przydzielił. Nie dość, że było w nim chłodniej niż na zewnątrz, to jeszcze było nawet pomieszczenie dla załóg, z czterema wysuwanymi łózkami, prysznicem i toaletą. Wszystko było zniszczone i brudne, ale, jak stwierdził Lacey, jak szczęście dopisze, nie będą musieli długo tu siedzieć.

Pierwszym zadaniem było zatankowanie samolotu, potem odstawili gulfstreama do hangaru i zdjęli z prawego silnika osłonę. Przyszedł Said i przyglądał się im przez kilka minut.

- Na pewno chcecie tu spać? Załatwię wam porządny hotel. Mój kuzyn...

Lacey mu przerwał:

- Ten silnik sprawiał już nam kłopoty, więc chcemy mu się przyjrzeć.

- Praca dla ONZ-tu ma swoje dobre strony - dodał Parry. - Nie tylko dobrze płacą to jeszcze mamy spory budżet na wydatki. Lecimy dalej w ładniejsze miejsce, do Dubaju.

- Albo na południe Francji - uśmiechnął się Lacey. - Tam łatwiej dogadać się z dziewczynami.

- Rozumiem, wszystko rozumiem. Widziałem w papierach, że już tu byliście.

- Kilka lat temu - spokojnie odpowiedział Lacey.

- Też dla ONZ-tu?

- Tak naprawdę dla profesora Stone'a - powiedział Parry. - ONZ go teraz sponsoruje.

- I to wszystko z powodu jakiejś starej krypy na dnie? Kiedyś łowiono tam gąbki. Mój ojciec, kiedy był jeszcze chłopakiem, też poławiał gąbki. Nurkowało się wtedy z kamieniem, który ciągnął ich na dno.

- Jezu - zdziwił się Parry. - Nie mieli lin?

- Łapali szybko gąbkę i wracali na powierzchnię. Chłopaki sprawdzali w ten sposób, który z nich jest odważniejszy.

- Na pewno - rzucił oschle Lacey.

- Ta kawiarnia w pobliżu jest otwarta praktycznie zawsze. Mają tam dobre jedzenie. Pracuje tam moja kuzynka ze strony matki.

- Będę chciał potem sprawdzić silnik, ale żeby mieć pewność muszę się przelecieć. Nie będzie z tym problemu? - zapytał Parry.

- Jasne. Startujcie, kiedy chcecie. Zobaczycie, jak wygląda okolica. Jak cmentarz.

Odwrócił się i wyszedł.

- Mamy go chyba z głowy - odetchnął Lacey. - Idziemy na kawę?

Parry wyrztał na pas startowy, nad którym powietrze drżało z gorąca, w tle majaczyły góry, a za nimi była Pusta Ćwierć.

- Nie ma co. To zapomniane przez Boga miejsce.

- Mi to mówisz?

- Ciekawe, jak im idzie na „Sułtanie”.

- Później do nich zadzwonimy. Daj im czas na rozejrzenie się.

Weszli do małego świecącego pustkami terminalu, nie licząc kilku arabskich pracowników. Restauracja była otwarta, a w powietrzu unosiły się apetyczne zapachy.

- Zobacz, wygląda nieźle. Chodź, zjemy coś. - Lacey skierował się w kierunku stolików.

* * *

Wiatr wiejący od lądu, był ciepły, pachnący i niósł ze sobą drobinki piasku. Dillon i Billy usiedli przy sprzęcie i przygotowywali się do zejścia pod wodę. Billy, bardzo zniecierpliwiony powiedział, że musi skoczyć pierwszy. Miał na sobie zieloną piankę, założył butlę, a do przewodu z tlenem komputer. Napluł w maskę, założył ją pokazał, że wszystko jest w porządku i wskoczył tyłem do wody.

Dillon zanurkował tuż za nim i przed oczami pojawił się w mgnieniu oka zupełnie inny świat. Wielki błękit morza i miriady ryb. Sprawdził czy komputer informujący o głębokości, czasie nurkowania i momencie, w którym powinien rozpocząć wynurzenie, działa poprawnie.

Stary frachtowiec spoczywał na głębokości stu czterdziestu metrów. Był prawie całkowicie pokryty pąklami i innymi morskimi stworzeniami, a ryby wpływały i wypływały z dziur w kadłubie. Billy wpłynął do wnętrza wraku przez otwór w kadłubie, wybity niemiecką

torpedą. Dillon wpłynął za nim. Bawili się w chowanym w ciemnych korytarzach, pojawiając się na rufie i unosząc nad mieszaniną piasku, wodorostów i mułu pokrywającego resztki starożytnego fenickiego statku. Billy ostatnim razem znalazł tu figurkę, najprawdopodobniej ofiarę wotywną która przedstawiała kobietę z dużym brzuchem i wielkimi piersiami. Wtedy otarł się o śmierć, jednak, jak sam twierdził, udało mu się przeżyć, ponieważ miał w kieszeni Sam, bo tak dał jej na imię. Przynosiła mu szczęście, nawet wtedy, gdy zostawił ją w British Museum, wystawioną w szklanej gablocie na widok publiczny. Wiedział, że jest tam bezpieczna i że może przychodzić ją obejrzeć, kiedy zechce.

Odwrócił się i wskazał palcem do góry. Dillon podpłynął do niego i razem zaczęli się wynurzać w kierunku platformy umieszczonej obok „Sułtana”. Gdy się wynurzali, obok nich przeniknęła ogromna, gumowa łódź. U steru siedział Hamid, Hassim z kałasznikowem na kolanach - na rufie. W środku siedziały Sara i Jasmine.

* * *

Przejażdżka łodzią wokół zatoki nie była zamierzona, ale Hussajn i stary Dżamal zostali wezwani do Portu Południowego, skąd odpływały statki handlowe do Indii i gdzie była bocznica kolejowa oraz rurociąg. Byli spóźnieni na spotkanie i kiedy Sara zapytała, czy mogą popływać po zatoce, stary człowiek, który już nieco niedosłyszał i bardzo się śpieszył, ustąpił, czyniąc Hamida odpowiedzialnym za wszystko i prosząc, żeby nie odpływali za daleko.

- W środę rano pojedziemy do meczetu spotkać się z imamem. Nie zapomnij i czytaj Koran. Chciałbym, żebyś go zadziwiła - powiedział Sarze.

- Dobrze, wuju.

Interes, który załatwiali w Porcie Południowym, był nielegalny i obejmował szereg transportów dla irackiej milicji. Tymczasem młodzi ludzie wsiedli do łodzi, jej potężny silnik porwał ich do przodu. Pływali w kółko po zatoce, gdy Sara zażyczyła, żeby popłynąć jeszcze szybciej. Przez cały czas obserwowała „Sułtana”, ludzi na jego pokładzie i tych, schodzących pod wodę.

- Nurkują - powiedziała. - Podpłyn do nich.

Hamid zbliżył się, a Hassim ściskając kałasznikowa, wychylił się za burtę i spojrzął w

kryształową toń.

- Saro, wszystko widać, i statek, i nurków. Zobacz!

- Och, jak to cudownie wygląda.

Rozmowa toczyła się w języku angielskim.

Caspar Raszid, który stał na pokładzie obok Hala Stone'a usłyszawszy jej głos, aż jęknął. Zrobił ruch jakby chciał iść do niej, wiedząc, że w tych szatach i z zakrytą twarzą nie może go rozpoznać. Hal Stone ścisnął go jednak mocno za ramię. Caspar zatrzymał się i mocno westchnął.

Wtedy Sara powiedziała najważniejsze w tym momencie słowa, jakie tylko można było sobie wyobrazić.

- Ciekawe, czy na pokładzie jest profesor Hal Stone z uniwersytetu w Cambridge?

- Tak, słucham? Jestem, jestem. A skąd panienka mnie zna?

- Och, wiele mi tutaj opowiadali, i o panu, i o tym statku na dnie też. Mieszkam w tym wielkim domu na skarpie. Nazywam się Sara Raszid. To wszystko jest takie romantyczne.

W tym momencie na powierzchnię wynurzył się Dillon, za nim Billy. Podpłynęli do platformy i złapali się jej brzegu. Hal Stone błyskawicznie przeanalizował sytuację. Wyjął rękę z kieszeni kurtki, chowając w dłoni jedno ze zdjęć, które dał mu Roper.

- To niezwykle. Rzeczywiście sporo wiesz na ten temat. Ale nie wszystko, o czym mówisz jest prawdą. Jestem co prawda profesorem w Cambridge, ale mieszkam na Gulf Road w Hampstead. Bardzo mi miło poznać ciebie, moje dziecko.

Schylił się przyklękając na jedno kolano i gdy podawali sobie ręce, wcisnął jej w dłoń zdjęcie.

Dziewczyna zawahała się i przez sekundę wydawało się, że wszystko stracone. Hal spokojnie ciągnął dalej.

- Będziemy tu jakiś czas. Może będziesz mogła odwiedzić nas na dłużej. Ależ ze mnie straszny gbur. Niczym was nie poczęstowałem. Caspar, przynieś zimnej wody dla naszych gości.

Caspar Raszid odpowiedział kiwnięciem głowy, odwrócił się i zszedł pod pokład, a wtedy wydarzyła się dziwna rzecz. Twarz Sary rozjaśniła się w jednej chwili i dziewczynka uśmiechnęła się tak pięknie, że dla Hala Stone'a był to najwdzięczniejszy uśmiech, jaki widział w całym życiu.

- Dziękujemy za gościnę, profesorze, ale musimy już płynąć - przerwał Hamid.

- Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy. Jutro też pan nurkuje? W środę nie mogę

przyjść, mam spotkanie z imamem w meczecie.

- O tak, jutro będziesz mogła zobaczyć nurków przy pracy. Woda jest wyjątkowo czysta i mamy nadzieję znaleźć coś wyjątkowego.

W tym momencie odezwał się Caspar:

- Chyba nawet już znaleźliśmy.

Pożegnali się i łódź zawróciła. Sara włożyła rękę do kieszeni, serce jej kołatało, a gardło tak wyschło, że nie mogła przełknąć śliny.

- A ten Arab, to kto? - zapytała Hamida.

- Po ubraniu widać, że to Beduin. To pewnie jakiś wieśniak prosto z Pustej Ćwierci pilnujący statku. Wszystko w porządku?

- Tak, tak, ale jestem zmęczona i mam już dosyć. Zawieźcie mnie, proszę, z powrotem.

Po powrocie odprowadzili ją do pokoju, gdzie szybko uciekła do łazienki przed pilnującymi ją kobietami. Tam dokładnie obejrzała zdjęcia. Pierwsze przedstawiało ją samą w szkolnym mundurku z rodzicami. Na drugim był Hal Stone, Dillon, Billy i jej ojciec w beduińskich szatach, jednak z odsłoniętą twarzą.

Do oczu napłynęły jej łzy, a ręce zaczęły się nerwowo trząść. Patrzyła na zdjęcie raz po raz tak długo, aż Jasmine zapukała do drzwi z pytaniem, czy wszystko w porządku. Sara nigdy w życiu nie czuła się tak dobrze i nigdy nie była tak szczęśliwa. Poczuła nagle tak ogromną energię, jakby wstąpiła w nią jakaś nieznana siła. Wzięła małe nożyczki do paznokci i pocięła zdjęcia na małe kawałeczki, wrzuciła do toalety i spuściła wodę.

Jasmine i pozostałe kobiety już na nią czekały.

- Czy mój wuj i Hussajn już wrócili?

- Nie, Saro - odpowiedziała Jasmine - ale kolacja jest gotowa.

- Ja też jestem gotowa - uśmiechnęła się Sara. - Chodźmy jeść.

Zeszły na taras, gdzie służby zapalili pochodnie i świece, potem rozłożyli na podłodze poduszki i przynieśli jedzenie. Dwóch muzyków, siedzących po turecku w kącie cicho grało, a wieczorny wiatr niósł daleko melodię. Sara wstała, podeszła do balustrady i spojrzała na „Sułtana”. Na statku paliły się wszystkie lampy.

* * *

Tymczasem na pokładzie trwała narada.

- Sporo się dzisiaj wydarzyło - powiedział Caspar Raszyd. - W pewnym momencie nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić.

Odezwał się Hal Stone, - Pamiętacie, co Roper mówił o wykorzystywaniu sytuacji? - odezwał się Hal Stone. - To, co się dzisiaj wydarzyło, jest tego najlepszym przykładem. Wszystko poszło jak po maśle. Poza tym okazało się, że tych dwóch arabskich chłopaków w ogóle nie wiedziało, gdzie ona mieszkała w Londynie.

- Słuszna uwaga - powiedział Billy.

- To niezwykła młoda osoba - stwierdził Dillon. - Na pewno informacja o jej londyńskim adresie i nazwanie ojca po imieniu dużo jej powiedziały.

- Może by się dało wykorzystać jej wizytę w meczecie? - zapytał Hal Stone.

- Na pewno, ale nie wejdziemy tam tak po prostu - zauważył Billy.

- Ja mogę pójść. Rozejrzę się i zobaczę co można zrobić. - Caspar wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego. - O mnie nie musicie się, panowie, martwić. Nie mam już absolutnie żadnych wątpliwości, emocji też już się pozbyłem. Musi się udać, jestem tego w stu procentach pewien. Problem tylko, jak to zrobić.

- Wycofuję swój pomysł - powiedział Hal Stone. - To spotkanie w meczecie nic nam nie da, bo to sprawa rodzinna, jak myślicie?

- Niestety tak. Wizyta u imama to ważne wydarzenie, a mój wuj i Hussajn muszą tam z nią pójść.

- Roper miał rację - wtrącił się Dillon. - Wszystko sprowadza się do czekania na okazję i wykorzystanie jej.

- Co masz na myśli? - zapytał Hal Stone.

- Nie było dzisiaj ani mnie, ani Billy'ego, ale byliście wy dwaj. Wystarczyło tylko zastrzelić tych dwóch chłopaków. Prawda, Billy?

Billy nalał Dillonowi whisky i podał mu szklanke.

- On ma rację, panowie. - Spojrzał na Caspara. - Jesteśmy w tym miejscu, bo musimy być gorsi niż ci źli. Ale nie można lekceważyć takich chłopaczków z kałaszami. Oni przyjechali tu z nią z Bagdadu. Na pewno mają niejedno na sumieniu.

Caspar wziął głęboki oddech.

- To jak to zrobić?

- Musimy czekać w nadziei, że przypląną znowu. Będziemy siedzieć z Billy'm w wodzie w akwalungach. Waltery z tłumikami wytrzymają pod wodą.

- A ta dziewczyna, która wszędzie towarzyszy Sarze?

- Zabierzemy ją i zamkniemy pod pokładem. - Spojrzał na przystań. - Popłyniemy do brzegu na złamanie karku. Znajdziemy się tam w piętnaście minut. Po drodze damy znać Lacey'owi, że się zwijamy, wskoczymy do samochodu i prosto na lotnisko. A gdyby przez przypadek pojawił się Hussajn, to go po prostu zabijemy.

- Idę do kabiny zadzwonić do naszych pilotów i powiadomić ich o sytuacji. I do Fergusonona. A potem idę spać. Do zobaczenia rano.

* * *

Ferguson leżał już w łóżku i przeglądał dokumenty dotyczące spraw obronności kraju popijając szkocką. Dillon trochę go rozbudził telefonem.

- Myślisz, że ten plan się uda?

- Jeśli odwiedzą nas tak, jak dzisiaj, to tak. Powiem jedno - Sara Raszid nie jest zwyczajną przeciętną trzynastolatką.

- Dillon, zapomniałeś o Szekspirze. Julia też miała trzynaście lat.

- Święta prawda. No to jeśli tak, to sobie poradzimy. Życzę dobrej nocy.

* * *

Makler od jakiegoś czasu szykował się, całkiem poważnie, na wojnę. Ferguson miał zginąć z ręki Hussajna Raszida. Nadchodził też czas rozliczenia się z obydwoma Salterami. Wiedział co się przydarzyło George'owi Moonowi i Wielkiemu Haroldowi, oraz to, że Ruby Moon rządziła teraz w barze Saltera.

Zastanowił się. Oprócz Dark Mana, Salter miał również ekskluzywną restaurację, do której ściągala z Londynu sama śmietanka. Uderzenie w to miejsce mocno zabolaloby tego łobuza.

Zajrzał do notesu i znalazł numer telefonu Czekowa.

- Kto tam? Kto dzwoni tak późno. Mam tu robotę.

- Tu Makler.

Czeków nagle zmienił ton. Makler usłyszał, jak mówi:

- Ubieraj się i wynocha albo oberwiesz, dziwko. - Po chwili odezwał się znowu. - Co się stało?

- Znasz Harry'ego Saltera i jego bratanka Billy'ego?

- A kto ich nie zna? To stary gangster. A czemu pan pyta?

- Bo chcę, żeby zniknęli raz na zawsze. On i jego ludzie przeszkadzają generałowi Wołkowowi i prezydentowi.

- No dobrze, jakoś to załatwimy.

- Nie. Nie my. Ma się tym zająć Strański - Wielki Iwan. Znasz tę elegancką restaurację Saltera?

- Znam, byłem tam nieraz.

- Zniszcz ją. Wiesz jak.

- I?

- Salter zaczął jak rzeczny szczur i niech skończy jak szczur - w rzece. Wrzuć go do Tamizy razem z bratankiem i jego ludźmi.

- A co z Dillonem?

- A czemu pytasz?

- On jest jak brat Salterów.

- To niech zginie razem z całą rodziną.

* * *

Czeków zamówił taksówkę i pojechał do hotelu Dorchester, gdzie spodziewał się spotkać Rosjan. Wielu z nich było milionerami, a nawet miliarderni, ale jak wszyscy Rosjanie, lubili sobie popić. A kiedy chcieli pozbyć się stamtąd kogoś agresywnego, wzywano zwykle Iwana Strańskiego. Miał ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, siłę kilku ludzi, kręcone włosy i pamiątkę z Czeczenii, gdzie służył w gwardzistach - pół lewego ucha. Strański stał w

skórzanym płaszczu przy końcu baru i od razu dostrzegł Czekowa.

Czeków zamówił u przechodzącej kelnerki dwie duże, ale tanie szkockie, a potem zajął miejsce przy stoliku w rogu sali.

Strański przysiadł się do niego.

- Widzę, że potrzebujecie pomocy? - odezwał się olbrzym.

- Co wiesz o Harrym Salterze?

Strański uśmiechnął się smutno.

- Znany gangster, który podobno przeszedł na legalne interesy - budowa magazynów, kasyna, apartamentowce. Mówi się, że zarobił na tym kilkaset milionów.

- Ale pewnie nie zapomniał o starych nawykach, co?

- No pewnie, że nie. Dla takiego człowieka jak Harry Salter, akcja to sens życia, to go napędza. Ale to nie jest jakiś byle frajer, gość ma jaja i jest niegłupi. W swoich najlepszych czasach był człowiekiem od mokrej roboty. Ma bratanka, Billy'ego, który jest jego młodszą wersją. A czemu o niego pytacie?

- Bo najpierw chciałbym zacząć psuć Salterowi interesy, to taki prezent dla jednego z moich przyjaciół, Maklera. A w końcu trzeba go będzie zlikwidować, ale niech to trochę potrwa, niech zacznie się bać. Zaczniemy od jego fikuśnej restauracji, Harry's Place. Przychodzi tam sporo bogaczy - nie będą zadowoleni, gdy im się, na przykład, popsuje samochodziki. To nigdy nie robi dobrze takiemu biznesowi, prawda?

- Kiedy?

- Jak najszybciej. Szybka akcja, żeby wiedział, że ktokolwiek to zrobił, nie żartuje. Kilku najlepszych ludzi. Pięciu, sześciu wystarczy.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Czeków dopił whisky.

- Jeszcze jedną?

- Nie, dziękuję. Będę szedł. Muszę pogadać z paroma osobami.

- W porządku.

Nawet nie zająknęli się na temat pieniędzy. Po prostu nie było takiej konieczności. Strański wyszedł, a Czeków zawołał kelnerkę.

- Dużą whisky, kochanie. Ale podaj mi teraz coś lepszego.

Po lewej stronie wyjścia z hotelu czekały prywatne limuzyny, a kierowcy rozmawiali

między sobą. Był tam też mercedes Strańskiego, przy którym stał jego kierowca, Bikow, młody człowiek o dość topornej aparycji, i palił papierosa.

- Wsiadaj. - Strański szybko otworzył tylne drzwi.

- Dokąd, szefie? - zapytał Bikow.

- Do kawiarni Rosa, szybko. Będzie tam Makiejew i reszta chłopaków?

- Na pewno. Grają dzisiaj w karty.

- Potrzebuję pięciu, może sześciu.

- Jakieś kłopoty?

- Nie, to my będziemy sprawiać kłopoty. Znasz Harry'ego Saltera?

- Jasne.

- Ma restaurację Harry's Place. - Czeków chce, żeby narobić tam syfu. Zobaczymy, czy Makiejew i jego chłopaki są zainteresowani.

- Dla Czekowa? Nie trzeba będzie im dwa razy powtarzać.

* * *

Ruby stojąca za barem w Dark Manie, krzyknęła do Harry'ego, który siedział w jednym z boksów. Joe Baxter i Sam Hall stali przy barze.

- Przestaje padać, Harry. Możemy jechać jeśli chcesz. Rita zamknie pub.

Wyszła zza baru i ukazała się ich oczom w całej okazałości. Miała na sobie prostą białą bluzkę, czarną spódniczkę i piękne buty.

- Niesamowicie wyglądasz - powiedział z uznaniem Harry i spojrzał na swoich ochroniarzy. - Prawda, chłopaki?

- Bez dwóch zdań, Harry - odpowiedzieli chórem.

- Dobra, zobaczmy, co się dzieje w Harry's Place. - Podał Ruby rękę i razem wyszli.

- Jestem bardzo ciekawa, jak tam jest. Już myślałam, że mnie tam nigdy nie zabierzesz.

- Co ty opowiadasz, dziewczyno, nie było po prostu dobrej okazji. Ale nie ma co, wyglądasz jak księżniczka. Wygląda jak księżniczka, chłopaki?

- Jak królowa, Harry - odpowiedział Baxter.

- Wypchaj się - odparła Ruby wyciągając się na siedzeniu. - Ciekawe, jak im idzie w tym

Hazarze.

- Niedługo się dowiemy. Kto jak kto, ale Dillon i Billy to chyba jedyni ludzie na ziemi, którzy sobie z tym mogą poradzić. - Pochylił się do przodu. - Masz sprzęt? - zapytał Baxtera.

Baxter opuścił klapę schowka.

- Dwa colty 25. Tak, jak kazałeś, szefie.

- Pistolety? - Ruby była wstrząśnięta. - Musicie je brać?

- W dzisiejszych czasach wszędzie kręci się sporo dziwnych ludzi, kochanie. Ruska mafia, Albańczycy, gangi czternastoletnich nożowników, którzy zadźgają cię bez pytania o cokolwiek. Mam poza tym sporo znajomych z włoskiej mafii, ale oni na szczęście nie są już złymi gośćmi.

Sam Hall zatrzymał się przed starym magazynem, który Salter zamienił w ekskluzywną restaurację. Wielki czerwony neon świecił z daleka, a przed wejściem ustawiała się kolejka. Przed drzwiami stało dwóch Murzynów w smokingach.

- To bliźniacy Harker - poinformował Ruby.

Baxter i Hall zaparkowali samochód. Harry i Ruby wysiedli i przechodząc wzdłuż kolejki ujrzeli pięciu młodzieńców w skórzanych kurtkach, przepychających się w kolejce i płoszących innych czekających.

- To Rosjanie, Harry - powiedziała Ruby. - Kiedyś byli w pubie Moona.

Był to Makiejew i jego czterech kumpli wynajętych przez Strańskiego.

- Ej, tu ma być zaraz cisza i spokój! - krzyknął do nich Harry.

Zaczęli się z niego śmiać.

- A ty kto jesteś, tatuś tej małej? - zapytali z całkiem niezłym, londyńskim akcentem.

Poprowadził Ruby po stopniach, gdzie jeden z Harkerów zaczął pospiesznie przeproszać.

- Bardzo przepraszam, szefie, naprawdę przepraszam. Jest jeszcze jedna nieciekawa sprawa. Zanim zaczęli rozrabiać, przyszedł wielki Iwan Strański z jeszcze jednym gościem.

Baxter i Hall podbiegli i stanęli za Harkerami, skutecznie blokując wejście.

- Nie wpuszczajcie ich - polecił Harry. - Zobaczymy, co kombinuje Strański.

Wyciągnął rękę, Baxter szybko wsunął w nią colta. Harry wziął Ruby za rękę i w tym momencie przybiegł Fernando, kierownik sali, przepraszając za całe zajście.

- W porządku - powiedział Harry. - To pani Moon. Zaprowadź nas do mojego stolika. - Spojrzała na Baxtera i Halla. - Chodźcie z nami.

Restauracja urządzona była w stylu art deco, z pięknym barem, malutkimi, romantycznymi stolikami i parkietem do tańca, w rogu którego siedziało trio grające utwory Cole Portera. Stolik Harry'ego znajdował się w boksie wyłożonym lustrami. Baxter i Hall stanęli po jego bokach. Kelner w białym garniturze z mosiężnymi guzikami, dostrzegł skinienie Harry'ego, przyniósł dużą brandy i piwo imbirowe dla niego oraz koktajl z szampanem dla Ruby.

- Pomyślałem, że podczas pierwszej wizyty powinnaś napić się szampana.

- Jest wspaniały - powiedziała. - A ty co masz?

- Brandy i piwo imbirowe. Ten zestaw nazywają Końską Szyją.

- Ciekawe dlaczego?

- Jakie to ma znaczenie, Ruby - ważne, że to prawdziwy angielski drink. A zatem, twoje zdrowie Ruby. Wyglądasz przeuroczo.

Wypił drinka do dna i skinął na kelnera, a potem oparł się i skrzyżował ramiona, widząc Strańskiego i Bikowa zmierzających przez parkiet w jego kierunku.

- Masz bardzo przyjemny klubik, Harry powiedział Strański.

- Dla ciebie jestem pan Salter. Czego tutaj szukasz z tym swoim księciuniem?

Twarz Bikowa stężała, ręka powędrowała do kieszeni, ale w tym samym momencie podszedł do niego Sam Hall i też włożył rękę do jego kieszeni.

- A niech mnie, jakiego ten chłoptaş ma gnata.

Wyjął z niej malutki rewolwerek Smith&Wesson i położył go na stole przed Harrym.

- Trochę staroświecki - stwierdził Harry. - Nieładnie, że tak rozmawiamy. Jesteśmy w obecności damy.

Strański rozejrzał się.

- Damy? Nie widzę tu żadnych dam. - Spojrzał na Ruby. - Chyba nie masz na myśli tej dziwki, co tu siedzi.

- Ona ma więcej klasy, niż wszyscy twoi znajomi, gruby prosiaku.

Strański przestał się uśmiechać.

- Pożałujesz, że to powiedziałeś, Salter. Już cię nie ma - zaśmiał się głośno, pochylił i klepnął Ruby w policzek - Co nie?

- Wynocha - warknął Harry.

- Bardzo dobry pomysł. Chodź, Bikow.

- Co robimy, szefie? - zapytał Baxter.

- Będą coś kombinować razem z tamtymi na zewnątrz. - Westchnął. - Staję się za stary na to wszystko. Chodźcie, zobaczmy co te świry kombinują. Ruby, kochanie, ty zostajesz.

- Nie ma mowy.

- No dobra, ale będziesz stać przy drzwiach. I bądź grzeczna. Obiecałem Billy'emu, że będę się tobą opiekował.

- Ale z ciebie kłamczuch, Harry. - Wstała i razem ruszyli w stronę wyjścia. - Mówiono, że dwa lata temu brałeś udział w strzelaninie, kiedy bracia Franconi sterroryzowali pół Londynu. Podobno zatrudnili eksperta z IRA, żeby podłożył ci bombę w jaguarze.

- Bóg był wtedy po mojej stronie. - Roześmiał się. - Koleś źle ustawił budzik i samochód wyleciał w powietrze zanim do niego wsiedliśmy z Billy'm.

- Czy to prawda, że bracia Franconi są zabetonowani w północnej obwodnicy?

- Ruby, kochanie, czy ja wyglądam na takiego, który mógłby zrobić coś takiego?

Na zewnątrz okazało się, że kolejka zniknęła, wokół panowała dziwna cisza. Słychać było tylko dolatujące z restauracji dźwięki melodii granej przez zespół.

- Co się dzieje? - zapytał Harkerów.

- Ci ruscy frajerzy sobie poszli, a Strański z kierowcą wrócili do samochodu.

Jednak Harry nie uwierzył i wołał sprawdzić. Razem z Hallem i Baxterem poszedł na parking. Nagle znikąd pojawili się Rosjanie. Trzech z nich miało kije bejsbolowe, którymi zaczęli walić w okna i błotniki zaparkowanych samochodów.

Harry nie zawahał się ani przez sekundę, wyjął colta z kieszeni w porę uskoczywszy przed kijem, którym chciał go uderzyć Makiejew. Przystawił broń do jego kolana i nacisnął spust. Pozostali, zaskoczeni sytuacją zatrzymali się. Baxter podniósł kij z ziemi i zdzielił nim Makiejewa najpierw w szczękę łamiąc ją a potem w ramię.

Nadbiegali Harkerowie, a za nimi Ruby. Harry strzelił w powietrze i Rosjanie zastygli w bezruchu. Makiejew jęcząc przeraźliwie wił się z bólu na ziemi. Harry przeszedł obok niego obojętnie i podszedł do pierwszego z Rosjan.

- Którym samochodem przyjechaliście? - Ten wskazał na białą półciężarówkę. - Załaduj go do środka, potem wszyscy tam wchodzić i zawozicie go do szpitala. I oczywiście ani pary z pyska, bo mnie tu po prostu nie było. Rozumiemy się? Nie było, i mam na to wielu świadków. Kto to zlecił? - zwrócił się do stojącego najbliżej Rosjanina. - Mów gościu, bo ci się gorzej dostanie, niż jemu.

- Strański powiedział, że to dla Maksa Czekowa.

- Naprawdę? - zdziwił się Harry. - Dla oligarchy? Interesujące. A teraz wynocha!

Samochód z piskiem opon odjechał. Strański, który siedział w zaparkowanym nieopodal samochodzie, wyszeptał do Bikowa:

- Spieprzamy.

- Ale będę musiał włączyć silnik.

- Spieprzaj .

Harry wraz z obstawą od razu usłyszeli uruchamiany silnik i szybko podbiegli do nich. Harry stuknął lufą pistoletu w okienko od strony pasażera.

- Otwieraj, bo nie chce mi się wybijać szkiełka.

Strański otworzył okno.

- Posłuchaj, Harry...

- Już ci mówiłem, że tylko przyjaciele mówią do mnie Harry. Co zrobiłem Czekowowi, że się tak na mnie wścieka?

- Chce się przysłużyć jakiemuś swojemu przyjacielowi. Wiem tylko, że jakiś makler zamówił u niego bałagan w twoim klubie. - Nie przyznał się oczywiście, że Czeków chciał czegoś więcej.

- Dziwne. - Harry zadumał się na chwilę, potem nagle się ożywił. - Wiesz co? To mi się nawet podoba. Londyn stał się teraz ulubionym miejscem dla wielu ludzi, stolicą świata, nawet dla gangsterów. A to oznacza, że muszę podtrzymywać swoją reputację brytyjskiego gangstera. - Bez namysłu wsadził rękę do środka, wycelował w kolano i strzelił. Nie rozumiał, co Strański wrzeszczał, bo wrzeszczał po rosyjsku, ale na pewno bolało go potwornie.

- Dobra, spieprzać stąd - krzyknął Harry. - Bikow wcisnął gaz i szybko odjechał. Baxter i Hall uśmiechnęli się do siebie, gdy Harry podał Ruby ramię.

- Boże, prawdziwy twardziel z ciebie - powiedziała Ruby. - Nie pomyślałabym.

- No to wracajmy do środka. Szampan dla wszystkich!

* * *

Następnego ranka Czeków właśnie wychodził spod prysznicza w swoim, urządzonym z

przepychem apartamencie przy Park Lane, gdy zadzwonił dzwonek przy frontowych drzwiach. Czeków zaklął, ponieważ pokojówka przychodziła dopiero o dziewiątej. Wyszedł z łazienki wycierając się ręcznikiem. Mieszkanie było dwupoziomowe i gdy wyrzął przez okno, zobaczył zaparkowany motocykl i człowieka w skórzanej kurtce, kasku i żółtej kamizelce firmy kurierskiej. Trzymał w ręce kartonowe pudełko i spokojnie czekał. Czeków założył szlafrok, zszedł na dół i otworzył drzwi.

Zza kasku nie było widać twarzy.

- Pan Maks Czeków?

- Tak. Co jest w tej przesyłce? - Wziął pudło w obie ręce.

- Kwiaty. A konkretnie - lilie. - Szybko otworzył pudełko, wyjął z niego obrzyna, oparł go o lewe kolano Czekowa i strzelił. Siła strzału odrzuciła Czekowa do tyłu.

- Miłego dnia - powiedział kurier, podszedł do motocykla i odjechał.

O szóstej rano na lotnisku było cicho i spokojnie. Lacey i Parry stwarzali pozory pracy, zdejmując z kolei osłonę lewego silnika gulfstreama. W pewnej chwili zobaczyli, jak z wysoka zanurkował jastrząb i wpadł za ofiarą w krzaki. Niespodziewanie nadjechał land roverem Said.

- Naprawiliście?

- Zaraz będzie gotowe - powiedział Lacey. - Zaczęliśmy rano, żeby nie pracować w upale.

- No jasne. Ja też już jestem na nogach, bo muszę jechać po coś do miasta.

- Dzisiaj to chyba nie ma zbyt dużego ruchu.

- Nigdy go nie ma, tu jest jak w kostnicy. Czekają tylko jedna dakota z transportem do Kuwejtu, poleci gdzieś około jedenastej, a potem tylko jeden lot British Airways, gdzieś około trzeciej po południu.

- Wtedy pewnie będzie więcej roboty.

- Bez przesady. Widziałem listę pasażerów. Siedemdziesiąt trzy osoby to żadna ilość. No dobra, zobaczymy się później. Muszę odprawić tę dakotę.

- Aha, prawdopodobnie niedługo będziemy gotowi na ten lot próbny.

- Nie ma problemu. Nie ma ruchu, więc możecie lecieć w każdej chwili. - Powiedziawszy to odjechał.

- Miło z jego strony - podsumował Parry.

- Trzeba dmuchać na zimne. Chodź, zobaczymy czy już dadzą nam śniadanie.

* * *

Nazajutrz, około siódmej rano, Caspar i Billy podpłynęli pontonem do pomostu. Caspar, nadal przebrany za Beduina, został w łodzi. Billy założył ciemne okulary, wszedł na pomost i ruszył w kierunku parkingu, na którym stał ich samochód. Wsiadł, uruchomił go i pojechał na stację benzynową żeby uzupełnić bak do pełna. Kiedy wrócił, Caspar wyjął z łodzi i podał mu trzy torby podróżne, które Billy wstawił do bagażnika. Na przystani panowała kompletna cisza.

- Będzie dzisiaj gorąco - powiedział Billy.

- Możliwe.

Wsiadli na łódź i odpłynęli.

- Jak się czujesz?

- A jak powinienem?

- Cholera, Caspar, to twoja córka.

- To prawda, ale w takich sytuacjach chyba zaczynam myśleć jak muzułmanin. Wierzę, że wszystko jest w rękach Boga.

- Może. - Billy zwiększył prędkość i zaczął płynąć po dużym łuku w kierunku „Sułtana”. -
A może nie...

* * *

Hal Stone siedział w wyplatany fotelu i obserwował przez ogromną lornetkę wille na wzgórzu. Na stoliku przed nim stał kubek z kawą.

- Jest tylko kilku ogrodników. Większy ruch panuje na wodzie, kilka łodzi rybackich, motorówki, narty wodne. I ładna plaża, więc ludzie tu ściągają.

Billy wziął od niego lornetkę i sam spojrział.

- Rzeczywiście. Gdzie jest Dillon?

- Na dole. Smaży jajka na bekonie.

- Super. - Zszedł na dół.

Dillon akurat wyciągał patelnię.

- Pianki i broń są przygotowane, broń leży na stole. Sprawdź wszystko.

- Co zrobimy z tą kobietą? - zapytał Billy.

- Jeśli sprawy pójdą po naszej myśli, będzie śmiertelnie przerażona, ale poradzimy sobie z nią.

Billy wszedł do salonu. Na stole leżały dwa waltery z tłumikami. Sprawdził je dokładnie, potem zajął się dwoma uzi leżącymi obok. Było też kilka plastikowych kajdanek i rolka taśmy klejącej.

Do kajuty zajrzał Dillon.

- Śniadanie gotowe.

Billy odwrócił się, wszedł do kuchni i wziął tacę, Dillon zabrał drugą. Wokół było cicho, woda niosła tylko odgłosy samochodów i łodzi. Weszli na pokład i dołączyli do reszty zespołu siedzącego przy stole.

- Co teraz? - zapytał Billy zabierając się do jedzenia.

- Skończymy jeść, potem zaczniemy się kręcić po pokładzie, tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś nas obserwował. Że niby sprawdzamy sprzęt i takie tam.

- A te uzi w salonie. Chyba ja i Caspar nie będziemy ich potrzebować - zapytał Hal.

- Niezła broń. Zawsze ją lubiłem - stwierdził Dillon. - Jak się ją upuści przestaje strzelać.

- Wiem, pamiętam - odpowiedział profesor. - Tyle czasu minęło od tamtej akcji. Caspar, a jak twoje umiejętności strzeleckie?

- Mam, niestety, słabe doświadczenie z bronią. Rozumiem, że jeśli wszystko pójdzie z planem, kobieta, która jest z Sarą zostanie skuta, zaciągnięta na dół i zamknięta w kabinie?

- Lepsze to niż kulka, co zapewne niejednen by tak zrobił. Znajdą ją kiedy będą szukać Sary i reszty.

- Zajmie im to trochę czasu - stwierdził Hal Stone.

- Obawiam się, że już wszyscy w domu wiedzą o wczorajszej wyprawie do naszego statku. A Hussajn Raszid to nie byle kto, zmysły ma wyostrzone jak dzikie zwierzę. Szybko się domyśli co może być, ewentualnie, grane. Dlatego musimy działać bardzo szybko.

Reszta milczała. Billy podszedł do bocznego stolika, wziął butelkę Bushmillsa, nalał pół szklaneczki i podał Dillonowi.

- Gdybym pił alkohol, to też bym się napił. Wypij Dillon, za mnie i za powodzenie akcji.

Dillon spełnił toast pijąc do dna i wstał.

- Chodź Billy, pokręcimy się po pokładzie.

- Dobra.

Caspar zebrał naczynia na tacę.

- Zajmę się tym.

- A wracając z powrotem przynieś, proszę, broń - rzucił Hal.

Gdy wszyscy rozeszli się do swoich zajęć, wziął lornetkę i ponownie zaczął przyglądać się willi na wzgórzu.

* * *

Załoga „Sultana” nie mogła oczywiście wiedzieć, że dzisiaj nikt, oprócz Sary, nie miał ani zamiaru, ani potrzeby wyjeżdżania z domu. Hussajn zjadł śniadanie, usiadł przy stole na tarasie z arabską gazetą w ręku i czytał popijając kawę. Dżamał przed chwilą wszedł do domu.

Sara stała z Jasmine na górnym tarasie i patrzyła w dół na Hussajna, za nią stali Hamid i Hassim. Palili papierosy i rozmawiali. Sara odwróciła się do nich.

- Wiecie może, czy Hussajn jedzie dzisiaj rano do południowego portu?

- Nie wydaje mi się - odpowiedział Hamid. - Nic nam nie mówił.

Starła się zachować spokój.

- Szkoda. Myślałam, że znowu popłyniemy i popatrzymy jak nurkują.

- Chyba dzisiaj nie da rady.

W tym samym momencie niespodziewanie pojawiła się nadzieja. Na górnym tarasie pojawił się Dżamał, przechylił się przez barierkę i zawołał do Hussajna:

- Musimy szybko jechać. Zadzwonili z portu. Są jakieś problemy z ładunkiem „Kandary”.

Hussajn wstał i ruszył w stronę schodów.

- Co się stało? - zawołał.

- Pociąg, którym z Bacu jechała ostatnia partia ładunku, miał być dwie godziny temu, ale jeden z wagonów wykoleił się po drodze.

- Co to oznacza?

- To oznacza, że „Kandara” odpłynie najwcześniej dopiero za kilka dni.

- To niedobrze. Nasi przyjaciele w Iraku potrzebują tej broni na akcję pod Basrą która jest zaplanowana w przyszłym miesiącu.

- Musimy zaraz jechać. Zobaczymy, czy można coś zrobić, żeby przyspieszyć.

- Jasne. - Hussajn spojrział na Sarę i chłopaków. - Słyszeliście, że mamy kłopoty. Musimy jechać. Saro, bądź grzeczna.

- Możemy popływać łodzią?

- Dobrze, ale Hamid - tylko po zatoce.

- Łódź... - Hamid spojrział przez lornetkę na „Sultana”. - Tak, są na pokładzie, Beduin i stary profesor, a tych dwóch pozostałych szykuje się do zejścia pod wodę.

- Popłynemy zobaczyć, proszę. - Czują, że za moment może spotkać się z ojcem i to ją tak zdenerwowało, że przez chwilę poczuła się słabo, ale wzięła się w garść. - Chodź Jasmine, pospiesz się. - Wzięła parasol pozostawiony przez którąś z kobiet na ławce i szybko zeszła na

dół, gdzie przy małym pomoście kołysał się na wodzie ponton.

Hamid pomógł jej wejść, a potem podał dłoń Jasmine. Hassim usiadł na dziobie z kałasznikowem na kolanach. Hamid odwiązał ponton i usiadł przy sterze.

Sara otworzyła parasol, Jasmine roześmiała się i Hamid uruchomił silnik.

* * *

Hal, stale obserwujący przez lornetkę okolicę, nagle powiedział:

- Płyną. Ta z parasolem to Sara. Jest też ta sama dziewczyna i dwóch chłopaków, co wczoraj. Jak to załatwimy?

Dillon i Billy, zakładając pianki, zdążyli już to przedyskutować. Z platformy do nurkowania weszli na pokład. Obaj rozsunęli suwaki kombinezonów i schowali pod nie pistolety.

- Caspar, stań na platformie i weź linę. Kiedy będą już blisko, wskoczę z Billy'm do morza po drugiej stronie, przepłyniemy pod statkiem, wynurzymy się z tej strony i załatwimy chłopaków. Hal, bądź przygotowany na wszystko.

- Boże, przebacz mi, bo to jest jak morderstwo - powiedział zdenerwowany Caspar.

- Chcesz odzyskać córkę, czy nie? - krzyknął Dillon. - Jeśli tak, to weź się w garść. Chodź Billy. - Obszedł maszt i stanął po drugiej stronie pokładu.

Dźwięk silnika zamocowanego na pontonie był dość głośny, ale gdy podpłynęli bliżej przycichł, w końcu zamarł kompletnie.

- Dzień dobry, panie profesorze, to znowu my - odezwała się Sara.

Dillon i Billy wskoczyli do morza po przeciwnej stronie, zanurzyli się na metr, półtora, opłynęli dziób łodzi i skierowali się ku platformie, a potem do pontonu. Dillon pokazał na tył pontonu i popłynął w jego kierunku, Billy ruszył ku dziobowi. Hassim pochylił się nad wodą.

- Woda jest dzisiaj tak przejrzysta, że doskonale widać wrak.

W tym momencie z wody wyskoczyła ręka Billy'ego z pistoletem. Pierwszy pocisk trafił chłopaka w gardło, drugi między oczy. Hassim opadł na Jasmine, która zaczęła przeraźliwie krzyzczeć i odepchnęła ciało, które wpadło do wody.

Hamid był szybki, ale nie miał szans, bo jego karabin leżał na siedzeniu obok. Zdał sobie sprawę, że nie poradzi, więc rzucił się przez burtę w momencie gdy z wody wynurzył się Dillon,

który nie mógł zrobić nic innego, jak strzelić do niego kilka razy.

Jasmine znowu wrzasnęła, ale Hal Stone wychylił się i wciągnął ją na pokład.

- Mój Boże - krzyknęła przerażona Sara.

Caspar ściągnął zasłonę z twarzy.

- Saro! To ja!

Dillon i Billy wciągnęli się na platformę. Ciało Hamida unosiło się na wodzie, ale nigdzie nie było widać Hassima.

- Tato, to rzeczywiście ty.

- Przyjechaliśmy tu po ciebie, kochanie. - Usiadł przy niej w pontonie. - Za chwilę odlecimy do Londynu specjalnym samolotem. Mama już nie może się doczekać.

Na pokładzie pojawił się Hal Stone.

- Gdzie jest Jasmine? - zapytał.

- Bezpieczna w kabinie na dole - powiedział Billy.

Dillon potaknął.

- Kiedy Hussajn pojawi się tu, szukając ciebie, znajdzie Jasmine i ją uwolni.

Włączył silnik i ruszyli pędem w kierunku przystani.

- Ale dlaczego Hamid i Hassim - zapytała tępo. - Czy to było konieczne?

- Niestety tak, moje dziecko. - Hal Stone wyjął fiolkę, wysypał z niej na dłoń kilka pigułek i podał jej. - To pozwoli ci się uspokoić, Saro.

- Tato, nie chcę. - Spojrzała na ojca.

- Weź je, słonko.

Połknęła więc pigułki i wtuliła się w jego ramię. Po chwili dopłynęli do pomostu w przystani.

* * *

Kiedy już jechali samochodem, Dillon zadzwonił do Lacey'a.

- Jedziemy. Mamy najwyżej piętnaście minut.

- I bardzo dobrze. Saida jeszcze nie ma, ale mamy jego zgodę na próbny lot. Jedźcie prosto do hangaru. Parry będzie na zewnątrz i wskaże wam drogę. Załadujemy się w środku.

Dzwonić do Fergusona?

- Nie, bo to może przynieść pecha. Sam zadzwonię, jak już będziemy w powietrzu.

Wszyscy czuli się bardzo dziwnie, i nie do końca jeszcze mogli uwierzyć, że koniec tak bolesnej i trudnej przygody nastąpił tak szybko i łatwo. Kilka minut później ładowali bagaże do gulfstreama. Parry zamknął drzwi i usiadł w kabinie obok Lacey'a. Zamienili kilka słów z Arabami w wieży kontrolnej, którzy byli powiadomieni o próbnym locie i po chwili bez przeszkód wznieśli się w powietrze. Gdy osiągnęli pułap dziesięciu kilometrów, Lacey odezwał się do Parry'ego:

- Znowu nam się udało, stary. Weź stery, ja zobaczę co słychać u pasażerów.

Kiedy wznieśli się już tak wysoko, że wokół widać było tylko głęboki błękit nieba, Parry uśmiechnął się tak zadowolony, jak tylko może być zadowolony pilot w powietrzu. Pod nimi rozciągało się Morze Śródziemne.

* * *

Caspar Raszid zdjął z siebie beduińskie ubranie i okrył nimi córkę. Była bardzo śpiąca bo zaczęły działać pigułki. W pewnym momencie, gdy wtulała się w jego ramiona, zapytała:

- A Hussajn? Kiedy się dowie o mnie, o Hamidzie i Hassimie - swoich kuzynach - to będzie wściekły. To plama na jego honorze, będzie się mścił.

- Nic nie robi - uspokoił ją. - Przynajmniej nie teraz.

- Mówią że jest w stanie zrobić wszystko, to on jest Młotem Bożym i zabił tylu ludzi. Jest też przyjacielem tego Maklera - dodała i zasnęła.

Spojrzeni po sobie.

- Trzeba przyznać, że ten człowiek ma się czym pochwalić - powiedział Hal Stone.

- Szczególnie jak na kogoś, kto chciał zostać lekarzem - dodał Dillon.

Hal Stone zmarszczył czoło.

- Ciekawe, co to za jeden, ten Makler?

- Tajemniczy człowiek, który ma ponoć powiązania z samym Osamą bin Ladenem - oznajmił Caspar. - To on nawiązał ze mną kontakt. Ale zawsze był tylko głosem w słuchawce i to takim, że za każdym razem miałem wrażenie, że to jakiś profesor z Oxfordu.

- No, to teraz już mogę zadzwonić do Fergusonsona z dobrą nowiną.
Dillon przeniósł się na koniec kabiny i wyjął telefon.

* * *

Ferguson nie posiadał się z radości. Chciał znać wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

- Mów wszystko, Dillon. Matka Sary rozplacze się ze szczęścia, nie mówiąc też o Roperze i Grecie.

Dillon opowiedział mu przebieg całej akcji.

- Sara bardzo mocno to przeżyła, szczególnie zastrzelenie tych chłopaków, ale niestety, nie było innego wyjścia.

- Zgadza się. To będzie również szok dla Hussajna Raszida.

- Mało powiedziane. A jeszcze jak zobaczy swoją twarz w każdej gazecie...

- I na każdym komisariacie. Oprócz tego również Blake Johnson załatwił, żeby i w Stanach miał, w razie czego, gorące przywitanie. Zresztą w samym Iraku też nie będzie miał teraz większych szans. Czy dziewczyna powiedziała o nim coś ciekawego?

- Dostała środki nasenne więc była otumaniona, ale jest przekonana, że Hussajn to kawał łobuza, poza tym wspomniała, zanim zasnęła, że Makler to jego przyjaciel.

- Znowu Makler, a to oznacza Osamę. Roper będzie zachwycony. No dobra, myślę, że będziecie gdzieś za dziesięć, jedenaście godzin. Zobaczymy się na Farley.

- Wydarzyło się coś podczas naszej nieobecności?

- Niewiele, tylko rosyjska mafia chciała wczoraj wieczorem wykręcić numer Harry'emu.

- Mój Boże. Co się stało?

Ferguson opowiedział mu o zajściu.

- Harry jest stary, ale jary. Oczywiście opowiedział o wszystkim Roperowi, ten sprawdził w sieci, kto za tym stoi i znowu pojawił się Makler. A oprócz niego nasz stary znajomy - Czeków.

- Może coś trzeba z tym zrobić?

- Już zrobiliśmy. Harry wysłał mu kurierem lilie.

- Au.

- No właśnie. Dobrze, kończę żeby jak najszybciej przekazać reszcie dobre wiadomości.

* * *

Pierwszą osobą która dowiedziała się o całej akcji była Greta, ponieważ Molly przeprowadzała w tym czasie operację.

- Chciałbym, żebyś zabrała ją jak najszybciej ze szpitala i przywiozła tutaj. Oni będą tu gdzieś około północy. Zobaczy się w końcu z córką.

- Załatwione.

Ferguson poszedł do sali komputerowej do Ropera.

- Chyba trzeba to uczcić, co?

- Bezwzględnie. - Roper nalał do dwóch szklanek.

- Za zespół i za dobrą robotę.

- Harry też spisał się nieźle zeszłego wieczora. Nie tylko dał prztyczka ruskiej mafii, ale i samemu Maklerowi. Ten sukinsyn miesza się do wszystkiego.

- Ma tę przewagę, że nikt nie wie, kto to jest. I nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

- Mam nadzieję, że chyba niedługo się dowiemy co to za jeden, co?

- Pokażę panu materiał przygotowany dla mediów. Mam nadzieję, że się spodoba. Proszę spojrzeć na ekran - powiedział Roper. - Na monitorze pojawiło się niezłej jakości zdjęcie Hussajna Raszida z okularami słonecznymi w ręku, na zdjęciu obok też był Hussajn, ale w okularach na nosie. Podpis głosił: „Hussajn Raszid, współpracownik Osamy bin Ladena”.

Dalej było jeszcze trochę informacji przeznaczonych dla dziennikarzy, żeby mogli z nich przygotować tekst do opublikowania. Podawały one, między innymi, szczegóły dotyczące zabójstw żołnierzy i polityków.

- Co chcesz z tym zrobić?

- Rano ten tekst pojawi się w większości gazet. Oprócz tego zostanie przesłany do wszystkich komisariatów i niektórych stacji telewizyjnych.

- No to miejmy nadzieję, że media zabiją w nim chęć pokazania się w Anglii. Niech wraca do Iraku, ale tam też odstrzelą mu łeb. Świetna robota, Roper, wracam do biura.

Po wyjściu Fergusona znowu zrobiło się cicho, spokój mącił jedynie szum komputerów i stukot klawiatury. Roper nalał sobie whisky, zapalił papierosa i wyprostował się w wózku, wpatrując się w zdjęcie Raszida.

- Ty skurczybyku - powiedział pod nosem. - Pewnie już tu lecisz. Będę na ciebie czekał.
Podniósł szklanke i wypił do dna.

* * *

Tymczasem w willi w Kafkarze dopiero po jakimś czasie zorientowano się, że coś jest nie w porządku. Pierwszy zaczął zastanawiać się Khazid, ponieważ cała czwórka nie wróciła na obiad, a gdy spojrzął przez lornetkę na „Sułtana”, nie zobaczył na nim żywej duszy.

Zadzwoił na komórkę Hamida, ale po drugiej stronie odpowiedziała mu cisza. Zdenerwowany przewiesił kałasznikowa przez ramię, zszedł na pomost, wziął jeden ze skuterów wodnych i popłynął w stronę statku. Gdy się zbliżał, zauważył przycumowaną do niego łódź rybacką i dwóch rybaków wyciągających coś z wody. Po dopłynięciu dojrzał ludzkie ciało. Okrążył ich, wyłączył silnik i wtedy, ku swojemu przerażeniu, rozpoznał Hamida.

Wezwał policję. Dopłynięcie zajęło im aż dwadzieścia minut, ponieważ po drodze natrafili na ciało Hassima i zatrzymali się, żeby wydobyć je z wody. Policjanci byli prostymi chłopakami, takimi jak Khazid, młodymi, ale już zaprawionymi w irackich bojach. Khazid powiedział im, żeby potem przyплыли do „Sułtana”, do którego właśnie się kierował. Zanim się pojawili, zdążył przeszukać statek i uwolnić Jasmine z kabiny. Dziewczyna była śmiertelnie przerażona, zarówno porwaniem Sary, jak i tym, że Beduinem okazał się być jej ojciec. Khazid ponownie zadzwonił do Hussajna. Ten akurat znajdował się w miejscu wykolejenia wagonu. Wiadomość przekazana przez Khazida tak nim wstrząsnęła, że nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Musiał jednak przyjąć do wiadomości, że zabito dwóch jego kuzynów, a Sarę porwano.

Zebrał się wreszcie do kupy i powiedział:

- Zrób tam porządek. Muszę zadzwonić w parę miejsc. Przyjadę jak najszybciej.

Pierwszy telefon wykonał na lotnisko i poprosił o połączenie z kontrolerem ruchu. Odebrał Said.

- Hussajn Raszid. Były dzisiaj jakieś odloty?

- Tak, ale właśnie coś jest nie tak. Cały rano spędziłem w mieście. Od paru dni stacjonował tu gulfstream ONZ. Mieli kłopot z silnikiem i zapytali, czy po naprawie mogą wykonać lot testowy. Ponieważ musiałem wyjechać wyraziłem na to zgodę, a oni zniknęli. Nie mam pojęcia co jest grane? Gdzie oni mogą być?

- Pewnie już nad Somalią albo Etiopią - odpowiedział Hussajn i poszedł poszukać wuja.

* * *

Stary człowiek, dowiedziawszy się o zdarzeniu, przeżył taki szok, że wymagał natychmiastowej interwencji lekarza. Służący musieli pomóc mu wejść po schodach na górę, gdzie już czekał na nich doktor Aziz. Odesłał służbę i zajął się badaniem Dżamala. Hussajn, pełen złych przeczuć, czekał na diagnozę. Po skończeniu badania Aziz odwrócił się z kamienną twarzą.

- Nie jest dobrze. Ma zrujnowane zdrowie i jest z nim o wiele gorzej, niż myśleliśmy. - Otworzył torbę, wyjął strzykawkę i fiolkę z lekarstwem. - Potrzyмай ramię.

Podczas zabiegu starzec jęknął. Przez chwilę biegał wzrokiem po pokoju, w końcu zatrzymał go na Hussajnie. Oczy zabłyśły mu zrozumieniem.

- Dlaczego jej zaufałeś?

- Bo dała mi słowo - odpowiedział bez przekonania Hussajn.

- Bez jej zgody, ani ojciec, ani jego towarzysze nie osiągnęliby swojego celu.

- To ci ludzie z Bagdadu, Dillon i Salter. To pewne.

- I jej ojciec, ten przeklęty odszczepieniec, który odwrócił się od Allacha. Niech wszyscy diabli w piekle wezmą się za niego. - Pokręcił głową - A to, że jest z naszego rodu, przynosi mi wstyd, którego nie mogę znieść. - Zaczął płakać.

Aziz wycofał się do drzwi i rozmawiał przez telefon, gdy skończył spojrzął na Hussajna.

- Wezwałem karetkę.

- Jest aż tak źle?

- Ujmijmy to w ten sposób. Raszid Shipping inwestowało szczerze przez ostatnie kilka lat w szpital. Mamy tam sprzęt, który da mu szansę na przeżycie. - Położył dłoń na ramieniu Hussajna. - Poza tym jego lekarz jest Hindusem, tak samo pielęgniarki. Nikt nie będzie piętrzył

trudności z powodu tych wszystkich muzułmańskich dupereli.

- Aż za dużo tych islamskich dupereli, jak na jeden dzień. Muszę pochować dwóch przyjaciół, towarzyszy broni. - Pochylił głowę. - Dlaczego ona mnie zdradziła?

- Tak to widzisz?

- Była w kajdanach, a ja ją uwolniłem. Kiedy niewierny pies, o imieniu Ali ben Levi, dotknął ją palcem, zabiłem go. Mało tego, przysiągłem z ręką na Koranie, że będę dla niej czułym i wiernym mężem w myśli i w czynie, gdy tylko będzie gotowa do zamążpójścia. Co więcej, jej dziadek, kilka godzin przed śmiercią przekazał mi cały swój majątek i kazał opiekować się nią podczas podróży do Hazaru. Przysiągłem mu na mój honor, że będę ją zawsze chronił.

- Czy na pewno, przyjacielu, nie przemawia przez ciebie wyłącznie urażona duma młodego człowieka?

- Duma? - Hussajn wzruszył ramionami. - A co ma wspólnego to żalosne zdarzenie z tak podłą rzeczą?

Usłyszeli sygnał nadjeżdżającego ambulansu. Aziz wyszedł, żeby wskazać drogę pielęgniarzom. Za nimi weszły dwie pielęgniarki w sari. Po chwili stary Dżamal Raszid był już na noszach z podłączoną kroplówką.

- Jadę z wami - powiedział Hussajn.

- Lepiej będzie, jak przyjedziesz później.

Gdy Raszida znoszono, przy schodach lamentowały kobiety, zaś słudzy stali ze smutnym minami. Hussajn zszedł ostatni.

- Módlcie się za niego, módlcie się. I wracajcie do pracy.

Khazid, z ponurą miną, stał przy otwartych drzwiach, na lewym ramieniu trzymał kałasznikowa. Razem wyszli na taras. Hussajn wyjął paczkę papierosów.

- Myślę o wyrazie twarzy Hamida. Jakby był czymś zaskoczony - powiedział w zamyśleniu Khazid.

- Na pewno był. Chodźmy bracie, widziałeś dostatecznie wiele śmierci, żeby wiedzieć, jak nadeszła. Nic nie może już nami wstrząsnąć.

- Nie może.

- Rozmawiałeś z Saidem po moim telefonie do niego? Coś powiedział nowego?

- Gulfstream, jak sam wiesz, był w barwach ONZ-tu. Przyleciał wczoraj, dwóch pilotów,

ten archeolog, profesor Hal Stone, który pracował nad wrakiem i trzy osoby towarzyszące. Jedną z nich był twój kuzyn Caspar Raszyd, dwie zarejestrowano jako nurków. Co ciekawe, ci sami piloci już tu byli w zeszłym roku.

- A Hal Stone?

- Też. Był już tu kilka razy. Piloci, oznakowanie, papiery, wszystko wskazywało na ONZ.

- W co w ogóle nie wierzę. Moim zdaniem, Dillon i Salter polecili do Bagdadu i co tam się wydarzyło - wiemy. Potem wrócili do Londynu, w międzyczasie dowiadując się, że jedziemy do Hazaru.

- No i?

- Uczestniczyłeś w tylu moich akcjach, że powinieneś wiedzieć, iż warunkiem udanej akcji jest zaskoczenie. Nie ma większego zaskoczenia, niż próba odbicia Sary prawie w tym samym momencie, w którym tak naprawdę tu przylecieliśmy? Kto by to mógł przewidzieć?

- To prawda, ale nadal kilka rzeczy jest niejasnych. Przecież musieli w jakiś sposób porozumieć się z Sarą?

- Możliwe, ale sami się tego nie dowiemy. Teraz masz bojowe zadanie. Jedź do szpitala i czuwaj.

- A ty?

- Myślisz, że ta sprawa się tak skończy? - Hussajn pokręcił głową. - Nie, póki mogę coś zrobić. Jedź. Ja muszę tu poczekać i porozmawiać z kimś, kto chyba jako jedyny na świecie może mi rzeczywiście pomóc.

* * *

Wołkow zadzwonił do Maklera i powiedział co przydarzyło się Czekowowi i że jeden z najlepszych chirurgów w Londynie walczy o jego nogę.

- Co tu się dzieje? - dopytywał się. - To mogło zawalić nasze wszystkie plany.

- Oczywiście, że mogło i to tylko potwierdza nasze przypuszczenia, że Salter i jego kumple to bezwzględni ludzie, a razem z Dillonem i drugim Salterem są dla nas sporym zagrożeniem.

- W takim razie sugeruję, żebyś coś z tym zrobił - powiedział Wołkow. - Takie nowiny

nie ucieszą prezydenta Putina. - Rozłączył się.

Makler siedział zamyślony. Potrzebował mocnego uderzenia. Dobrze byłoby widzieć Harry'ego Saltera martwego, ale zabicie samego Fergusona - to naprawdę byłoby już coś. Wtedy nawet sam Putin byłby pod wrażeniem jego dzieła. Ale żeby tego dokonać potrzebował Hussajna Raszida. Wziął telefon, zadzwonił do niego i wtedy dowiedział się o wydarzeniach w Hazarze.

W trakcie relacji Makler usiadł próbując zrozumieć całą sytuację, prawie nie wierząc w to, co zaszło. Kiedy Hussajn skończył, zapytał:

- Co teraz chcesz zrobić?

- Chciałeś, żebym przyleciał do Anglii i załatwił Fergusona. Bardzo mi to pasuje, i nie tylko z powodu zemsty. Nie mogę po prostu opuścić Sary, gdziekolwiek jest. Obiecałem, wręcz ślubowałem jej dziadkowi i muszę tego dotrzymać.

- I tak się stanie. Wszystko załatwię tu, na miejscu a wspierać cię będą szpiedzy i informatorzy Armii Boga. Wcześniej myślałem o wysłaniu do Hazaru profesora Drega Chana, ale zadzwonię do niego i powiem, żeby wracał do Londynu i brał się do roboty. Będzie ci służył pomocą.

- Jak mam dostać się do Anglii?

- Samolotem do Paryża, a stamtąd pociągiem przez Eurotunel. Wziąłeś swoją czarną torbę lotniczą z Bagdadu?

- Jasne.

- Weź brytyjski paszport. Ten na nazwisko Hugh Darcy. I kup sobie jakiś pulower. Będiesz wyglądał, jak Anglik wracający z wakacji. Paszport to tylko potwierdzi. Ja zajmę się resztą i powiadomię cię, gdy spotkasz się na miejscu z Chanem. Kiedy przylecisz?

- Możliwe, że nawet jutro, ale to będzie zależało od stanu zdrowia wuja. Ta cała sprawa bardzo go dotknęła.

- Czekam zatem na wieści.

Makler rozłączył się i zadzwonił do profesora Chana, który akurat był w Brukseli. Został go w hotelu, gdy ten szedł na obiad. Szybko opisał mu zdarzenia z Hazaru.

- Mój Boże - powiedział Chan. - Nie mogę uwierzyć, że Casparowi udało się odzyskać córkę.

- Pomogli mu w tym źli ludzie, których nazwiska powinieneś dobrze zapamiętać. W każdym razie nie ma sensu, żebyś leciał teraz do Hazaru. Wracaj do Londynu.

- Ale Ferguson poruszy niebo i ziemię, żeby mnie dorwać.

- Ferguson nic na ciebie nie ma, doskonale o tym wiesz. Jesteś nietykalny. Wymelduj się rano z hotelu i wracaj pierwszym lotem do Londynu. Jasne? Osama jest osobiście zainteresowany wynikiem tej sprawy.

To wystarczyło.

- Oczywiście, zrobię jak mówisz.

- I czekaj na dalsze instrukcje.

* * *

Lot przebiegał bez jakichkolwiek zakłóceń. Po przespaniu sześciu godzin Sara obudziła się, zjadła coś i zaczęła rozmawiać z ojcem i Halem Stonem, a potem odpowiedziała na kilka delikatnie sondujących pytań ze strony Dillona i Billy'ego. Wyglądała na bardzo opanowaną. Po części taki miała charakter, ale Dillon uznał, że był to w dużej mierze wynik tego, przez co przeszła i co chciała wyrzucić z pamięci.

To dziecko tyle przeżyło, że najlepiej byłoby gdyby mogło zapomnieć o wszystkim, co działo się przez ostatnie miesiące - porwanie ze szkoły, przewiezienie w sam środek działań wojennych i wieczny niepokój, jaki towarzyszył życiu w Bagdadzie. Przeżyła tam wiele przykrych i przerażających sytuacji; pomimo widocznego uczucia dziadka chodziła zakuta w kajdanki, potem zdarzenie w oazie Faud - zabicie Ali ben Levi'ego, kiedy jej dotknął i nagłe zrozumienie, że Hussajn jest tym znanym Młotem Bożym, o którym tyle czytała w gazetach. A na koniec wydarzenia na „Sułtanie” i śmierć Hamida i Hassima, których krew nadal miała na ubraniu. Dojście do siebie po czymś takim zabrałoby dorosłemu wiele czasu, a co dopiero młodej dziewczynie, która przez wielu traktowana byłaby jeszcze jak dziecko.

Po jakimś czasie Sara z powrotem zasnęła, a Dillon, który wstał, żeby nalać sobie whisky, usiadł z powrotem na fotelu i patrzył na Hala Stone'a.

- Co myślisz? - zapytał profesor. - Jak ona wyjdzie z tego, co przeżyła?

Caspar także drzemał, obejmując Sarę ramieniem. Dillon spojrzał na nich.

- Nie wiem. Jest jeszcze przecież jej matka, a to niegłupia kobieta. - Pokręcił głową. - Ale co racja, to racja. Ma o czym zapominać.

- Na przykład o Hussajnie Raszidzie.

- Przede wszystkim o nim.

Hal Stone potaknął.

- Przynajmniej dzieli ich kilka tysięcy kilometrów i prawdopodobieństwo, że się zobaczą, jest nikłe.

- Miejmy nadzieję - stwierdził Dillon i w tym momencie w głośnikach rozległ się głos Lacey'a:

- Będziemy na Farley Field za piętnaście minut. Minęła północ, a to oznacza, że mamy nowy dzień. Saro, jeśli mnie słyszysz, witamy w domu i niech cię Bóg prowadzi.

Wyprostowała się, lekko oszołomiona z powodu zmiany ciśnienia w kabinie podczas obniżania lotu. To, co wydarzyło się potem, przypominało happy end z hollywoodzkiego filmu, odtworzony w zwolnionym tempie. Samolot wylądował, Parry otworzył drzwi, a na zewnątrz, w rzęsim deszczu stała gromada ludzi, która zaczęła wiwatować i krzyżeć. Potem wysunęły się schodki i Sara zeszła po nich z ojcem wprost w objęcia płaczącej ze szczęścia matki, która mocno ją przytuliła.

* * *

Wszyscy pojechali do kryjówki w Holland Park. Gdy wsiedli do samochodu, Molly Raszid, która mocno tuliła Sarę, zapytała:

- Co teraz zrobimy?

- Waszym zadaniem będzie przede wszystkim doprowadzenie swojego życia do normalności. Przynajmniej nie macie powodu, żeby się bać tamtego człowieka. Już my się nim zajmujemy. Proszę, to jest dzisiejsze wydanie „Timesa”.

Na dole pierwszej strony znajdowało się zdjęcie Hussajna bez okularów. Krótki tekst informował: Współpracownik Osamy bin Ladena.

- To przecież Hussajn - szepnęła z przerażeniem Sara.

- Nie musisz się obawiać. Po opublikowaniu tego zdjęcia w całej Anglii, nigdy nie odważy się tutaj pojawić - uspokajał ją Ferguson.

- Hussajn Raszid, Młot Boży. - Sarze załamał się głos i wtuliła się w matkę.

Brama w Holland Park rozsunęła się i wjechali samochodem do środka.

* * *

W tym samym czasie, kilka tysięcy kilometrów dalej, w szpitalu w Hazarze, Hussajn i Khazid stali na balkonie i palili papierosy, za plecami mieli szklane drzwi wychodzące na szpitalny korytarz. Po drugiej stronie korytarza przy stoliku siedziały, popijając herbatę, dwie pielęgniarki gotowe do pomocy, gdyby zaszła potrzeba. Otworzyły się drzwi, wyszedł z nich Aziz i przez chwilę widać było leżącego na łóżku Dżamala otoczonego aparaturą i kablami, a przy nim dwie pielęgniarki.

- Co z nim? - zapytał Hussajn.

- Wszystko w rękach Boga - powiedział Aziz. - Tyle mogę powiedzieć.

W tym momencie rozległ się przeciągły i nieprzyjemny, wręcz przerażający sygnał alarmu. Aziz zawrócił do sali, za nim pobiegły dwie pielęgniarki z korytarza. Po chwili zebrał się cały zespół reanimacyjny. Hussajn z Khazidem mogli tylko bezradnie przypatrywać się wszystkiemu w drzwiach. Reanimacja nie powiodła się.

- Stwierdzam zgon. Godzina śmierci...

- Niech spoczywa w pokoju. - Hussajn stał, patrząc na zmarłego wuja, a potem pochylił się i pocałował go w czoło.

- Widzisz, przyjacielu - powiedział do doktora Aziza. - Zabili Hamida i Hassima, żeby zabrać Sarę a teraz zrobili to samo z moim wujem. Nie możemy tego tak zostawić, prawda?

Przykrył twarz wuja prześcieradłem, odwrócił się i wyszedł.

Hussajnowi sprzyjało, że jego religia wymagała szybkiego pochówku, niezależnie jak ważny był zmarły. Chciał jak najszybciej wyruszyć do Londynu, przystąpić do działania i móc skierować wzrastającą w nim wściekłość w odpowiednim kierunku.

Ciało Dżamala przewieziono do domu i wystawiono na widok publiczny w salonie. Ludzie, odpowiedzialni za pochówek, mieli pojawić się w nocy i zająć się przygotowaniami. Przyszedł też imam, żeby pobłogosławić Hussajna i to nie z powodu jego żołnierskich dokonań. Był teraz szefem Raszid Shipping, głową klanu i posiadał ogromny majątek, jego znaczenie niepomiaralnie wzrosło i z tego powodu należał mu się o wiele większy szacunek niż dotąd.

- Co planujesz zrobić w sprawie Sary? - zapytał imam.

- Wszystko jest w rękach Allacha.

- Więc nie tracisz nadziei, że wróci?

- Oczywiście, że nie.

- Co zamierzasz? Wojować o nią?

- Zobaczymy. - Hussajn nie chciał zdradzać swoich planów. - Zajmijmy się jednak najpierw pochówkiem wuja. - Imam pożegnał się i poszedł a Hussajn wyszedł na taras i zapalił papierosa.

Khazid, który wszystko słyszał, poszedł za nim.

- Chcesz pojechać po nią do Anglii, tak?

- A co innego mi pozostało? - uśmiechnął się.

- Byłaby to bardzo niebezpieczna wyprawa. Uważam, że powinienem ci w niej towarzyszyć.

- Dlaczego chcesz to zrobić?

- Bo jesteśmy przyjaciółmi i przez niejedno razem przeszliśmy. Wiem, że może to być z powodzeniem wyprawa dla jednego, jednak jestem zdania, że powinieneś mieć tam kogoś zaufanego.

- I myślisz, że tym zaufanym powinieneś być ty?

- Tak jak już wcześniej bywało. Jak chcesz tam się dostać?

- Przez Paryż. Pociągiem.

- Mam i francuski i brytyjski paszport, oba świetnie zrobione. I doskonale mówię po francusku. Jak się będziesz nazywał?

- Hugh Darcy, jak ktoś z wyższych sfer. Wykorzystałem ten paszport, gdy ostatnio byłem w Londynie. Miałem wtedy w walizce pułkowy krawat gwardzistów. To był pomysł Maklera. Anglicy nadal są pełni szacunku dla lepiej urodzonych.

- Brytyjski następca tronu osobiście służył w Afganistanie - powiedział Khazid.

- I o to chodzi. W porządku, przyjacielu, jedziemy razem do Paryża. Ale nie mogę obiecać, że razem będziemy dalej. Teraz lepiej idź się przespać. Niedługo będzie świtać, a my mamy przed sobą trzy pogrzeby.

- Do tego już się przyzwyczailiśmy.

- Idź, bracie. Dobranoc.

Khazid odszedł, a Hussajn stał i myślał o tym, co czeka go w najbliższej przyszłości. Potem poszedł do salonu, gdzie skończono już zawijać ciało w całun pogrzebowy. Kazał wyjść kobietom. Nie chciał w tej chwili żadnych płaczek. Teraz mogli tu przebywać tylko mężczyźni. Rodzina miała przyjść rano, ale w tym momencie nie chciał nikogo widzieć. Był niespokojny, opuściła go pewność siebie i wtedy zrobił coś nieoczekiwanego, nawet dla siebie. Poszedł do niewielkiego gabinetu wuja, gdzie stał barek z alkoholami dla niemuzułmańskich gości. Otworzył drzwiczki i obejrawszy zawartość zdecydował się na zimnego szampana Dom Perignon, który stał w lodówce. Poczł straszne podniecenie, gdy z kieliszkiem i butelką w ręce szedł na taras. Stał i odkorkował butelkę.

Wiedział, że źle czyni, ale noc była ciemna, a on miał do pochowania wuja i dwóch kuzynów. Allach jest miłosierny, Allach mu to wybaczy, poza tym on w nocy śpi i niczego nie widzi. Podniósł kieliszek za Hassima i Hamida, wypił i wyrzucił butelkę.

- Za dobrą śmierć, przyjaciele, opiekujcie się mną w Londynie - zawołał.

* * *

Roper wysłuchał wiadomości w radio, które podało, że w Hazarze zmarł na zawał serca Dżamal Raszyd. W telewizji ta sama wiadomość była dodatkowo zilustrowana relacją z pogrzebu, któremu przewodził Hussajn. Roper nagrał ją i opowiedział o wszystkim Fergusonowi, który jadł

właśnie śniadanie w Cavendish Place.

- Hussajn pewnie nie jest zachwycony - stwierdził Ferguson. - O wszystko obwini nas. Stary na pewno umarł z powodu tej akcji.

- Też tak myślę.

- O której Doyle zawiezie Raszidów do Hampstead?

- Około trzeciej. Trzeba ich będzie powiadomić.

- Wiem, cholera. Dobra, ja to zrobię.

Caspar Raszid nie mógł spać. Molly poszła spać z Sarą. Kiedy przez otwór we frontowych drzwiach wpadła gazeta, poszedł po nią i natychmiast zobaczył zdjęcie Hussajna na pierwszej stronie. Wtedy też zadzwonił Ferguson.

- Nie mam najlepszych wieści. - Opowiedział Casparowi o śmierci Dżamala.

Caspar Raszid usiadł.

- Dobry Boże - powiedział - czy to się nigdy nie skończy?

* * *

Dreg Chan, który czekał na lotnisku w Paryżu na swój samolot, kupił „Timesa” i o mało co nie dostał ataku serca. Przejrzał pozostałe brytyjskie gazety i na każdej była fotografia Hussajna. Chwilę po tym zadzwonił do niego Makler.

- Czytałeś gazety? - zapytał Chan.

- Tak.

- Sytuacja się zmieniła. Hussajn Raszid nie może teraz jechać do Londynu. Tak naprawdę to nigdzie nie może teraz jechać.

- Ale twoje plany się nie zmieniają. Jedziesz do Londynu i będziesz czekał na wiadomość ode mnie. Nadal jesteś przekonany o potędze Osamy?

- Oczywiście.

- To do roboty.

Rozłączył się i już miał dzwonić do Hazaru, ale się zawahał.

- Nie - pomyślał - Hussajn jest teraz zajęty pogrzebami. Zadzwonię później.

* * *

Podczas ceremonii pogrzebowej wydarzyła się niezwykła rzecz, nagle zerwała się tropikalna ulewa, która ochłodziła emocje zwykle towarzyszące pogrzebom. Trumny Hassima i Hamida były owinięte zielonymi flagami Proroka, jak przystało żołnierzom. Trumna starca została przybrana trochę powściągliwiej. Hussajn i Khazid na zmianę kopali grób w strumieniach deszczu, a potem pożegnali zmarłych, każdy na swój sposób. Po pogrzebie Hussajn wrócił do domu, żeby przyjmować kondolencje i dopiero mniej więcej o trzeciej po południu atmosfera trochę się uspokoiła. Siedział na tarasie i pił kawę z Khazidem, gdy zadzwonił telefon. To był Makler.

- Wiem, że miałeś dzisiaj pogrzeby, więc nie dzwoniłem wcześniej.

- Co się stało?

- Kłopoty. Ferguson najwyraźniej użył swoich wpływów. Twoja twarz jest we wszystkich brytyjskich gazetach. Jesteś opisany jako bliski współpracownik Osamy bin Ladena, który może przebywać w Wielkiej Brytanii.

- Ten Ferguson to cwany drań. Myśli, że teraz nie mam po co jechać do Anglii. Ale to mnie nie zatrzyma.

- Jeśli zechcemy realizować plan, to będzie bardzo trudno. I kosztownie.

- Nie mówmy o pieniądzach. Wiem, że Osama ma ogromny majątek, poza tym od śmierci wuja jestem bogatym człowiekiem. Jadę do Anglii, z tobą lub bez ciebie, i biorę ze sobą Khazida.

- W porządku, w porządku. Zastanowię się, co robić.

- Pamiętaj, że nie mogę czekać.

- Pamiętam. Przewieziemy cię do Algierii, bo stamtąd będzie łatwiej cię przetransportować. Trzymaj rękę na pulsie. Zadzwonię niedługo.

* * *

Roper siedział przy komputerze i pokazywał Grecie reportaż z pogrzebu w Hazarze.

- Co powiedział Ferguson? - zapytała.

- Niewiele.

- Naprawdę?

- Tak. Jest teraz w Ministerstwie Obrony. Podasz mi szkocką?

- Pijesz więcej niż Rosjanie.

- Pije się z różnych powodów. Co o nim myślisz?

- O Hussajnie? Jest spalony. Nie ma mowy o jego przyjeździe do Londynu, a jeśli pojawi się w Bagdadzie, to tam też zabiją go od razu.

- Tak myślisz? - Zapalił papierosa. - Wiesz, po tej zeszłorocznej sprawie z Hanną Bernstein, kiedy Igor Lewin opuścił swoich rosyjskich szefów i zwiął do Dublina z dwoma sierżantami, zadzwonił do mnie i dał mi swój numer.

- To jak wyzwanie.

- Powiedzmy. Legalnie nie bylibyśmy w stanie wysledzić go w Dublinie. Rozmawiałem z nim kiedyś późno w nocy, kiedy miałem już dosyć wszystkiego.

- Nie mówiłeś o tym.

- Bo Ferguson nie byłby zachwycony. Problem polega na tym, że powiedziałem mu o naszych obecnych posunięciach wobec rosyjskich przyjaciół, a on podzielił się ze mną swoimi osobistymi przemyśleniami. Jest całkiem niezłe zorientowany w tym, co się dzieje, wie o Maklerze i tak dalej.

- A wie, kim jest Makler?

- Już ci mówiłem, tego nie wie nikt.

- A wie o Czekowie?

- Jeśli już, to nie ode mnie, ale chyba mu opowiem.

- No cóż, moja obecność tutaj nie powinna ciebie krępować. - Wstała i naląła sobie wódki.

* * *

Lewin siedział w barze Kelly's i czekał na Czomskiego, gdy zadzwonił jego telefon. W słuchawce zabrzmiał głos Ropera:

- To ja, przybywam jak Spock z hiperprzestrzeni.

- Powiedz co się działo w Bagdadzie. Warto było tam jechać?

- No to słuchaj. - Kiedy skończył, zapytał: - I co o tym myślisz?

- Myślę, że masz spore kłopoty, przyjacielu. On pojawi się w domu Raszidów wcześniej, niż wszyscy myślicie. Ale dobrze wiedzieć, że Dillon i Billy nadal są w idealnej formie.

- Harry też, jeśli już o to chodzi. Wiesz, jest tu obok Greta. Chcesz z nią pogadać?

- No pewnie! Witaj, słońce - przywitał Gretę. - To jednak rozmawiamy ze sobą?

- Nie wiedziałam, czy będę w stanie, łobuzie.

- Nadal mnie kochasz?

- A jak mogłabym inaczej?

- To co Harry znowu zrobił?

Gdy mu opowiedziała, był szczerze zdziwiony.

- Czeków o kulach! No to rosyjska mafia w Londynie dostała w kość. O, właśnie przyszedł Czomski. Przesyła pozdrowienia.

Roper włączył tryb głośnomówiący.

- Nie ma tu ani Dillona, ani Billy'ego. Pojechali do Dark Mana spotkać się z Harrym. Wprowadza w robotę Ruby Moon. Pamiętasz ją?

- No jak mógłbym zapomnieć!? Słuchaj, mam dla ciebie interesującą wiadomość. Pamiętasz naszego kolegę Popowa? Pracuje teraz dla Michaela Flynnna w firmie Scamrock Security.

- Jasne, że pamiętam. Flynn szefował kiedyś Provisional IRA. Kawał łobuza. A czemu o tym mówisz?

- Makler, ten tajemniczy człowiek Osamy, prowadzi najwyraźniej interesy także z Michaeliem Flynnem, który jest zamieszany w pośrednictwo najemnikami.

- O najemnikach mógłbym ci długo opowiadać.

- Ale o Maklerze nie, a wiele go łączy z Wołkowem. Nie wiem, jaka będzie przyszłość Drumore pod skrzydłami Belov International, ale na pewno będą potrzebować paru osób dla przeciwstawienia się naszym.

- Czyli paru byłych radykalnych.

- Chyba Flynn już nawet załatwił tę sprawę.

- Ciekawe.

- No i podobno Wołkow załatwił Popowowi pracę w Scamrock, a jak wiemy, Wołkow to Makler, a Makler to Osama.

- Popow ci powiedział, że dostał robotę od Wołkowa?

- Nic nam skubaniec nie powiedział. - W głośnikach usłyszeli głos Czomskiego. - Trzymam ucho przy telefonie Igora, Roper, więc wszystko słyszę. Poradzimy sobie z Popowem.

- Nie bądź głupi, Czomski - wtrąciła się Greta. - Zaczekaj i zanim cokolwiek zrobisz, zorientuj się, jak bardzo jest w to wszystko zamieszany.

- Słusznie, pani major. Macie rację.

- Oczywiście, że tak - powiedział Lewin. - Dobrze. Trzymajcie się. I zadzwońcie jeszcze. Roper rozłączył się.

- Wszystko to jest bardzo interesujące, prawda?

- Bardzo - odpowiedział Charles Ferguson, stojąc w drzwiach. - Zwłaszcza, jak się załatwia ciemne interesy pod nieobecność drugiego.

- O cholera - westchnął Roper.

- No właśnie. - Ferguson się uśmiechnął. - Ale, sami wiecie, że zawsze chciałem mieć Lewina. Jest za dobry, żeby siedzieć w cieniu.

- No dobra, ja muszę odpocząć. Jeśli sierżant Doyle jest wolny, może mnie zawieźć do Dark Mana.

- Jadę z tobą - poinformowała go Greta.

- W porządku, namówiliście mnie. - Ferguson puścił oko i uśmiechnął się.

* * *

Doyle wcześniej zadzwonił, więc gdy przyjechali do pubu miejsce już na nich czekało. Usadowili się przy dwóch stolikach, a Ruby już o to zadbała, żeby niczego nie brakowało. Baxter i Hall stali jak zwykle przy barze.

- Mój Boże, nieźle nabałaganieś na tym parkingu - stwierdził Ferguson. - Wracasz, Harry, do dawnej formy.

- Przecież nigdy z niej nie wyszedł - zaprotestował Billy. - Akcja, jak za dawnych, najlepszych czasów.

- Taak, za młodu był ze mnie kawał łobuza - dodał Harry. - No dobra. Napijmy się. Przynieś nam szampana, złotko. - Podniósł rękę, jakby chciał klepnąć Ruby w tyłek, ale w porę

się powstrzymał.

- I tak trzymać, Harry. - Uśmiechnęła się i poszła po szampana.

Roper zapalił papierosa a Greta zapytała:

- Co zrobisz, jak wprowadzą zakaz palenia tytoniu?

- Coś wykombinuję. - Wzruszył ramionami. - A tak przy okazji, generale. Mamy nowe interesujące wiadomości z Heathrow. Wrócił profesor Dreg Chan. Przyleciał dzisiaj z Brukseli.

- To interesujące.

- Ten koleś jest nietykalny - stwierdził Dillon.

- I dobrze o tym wie - dodał Roper.

- Ciekawi was, dlaczego wrócił? - zapytała Greta.

- Według mnie, musiał być jakiś szczególny powód, dla którego wrócił - podsumował Roper i w tym momencie przyszła Ruby z szampanem.

* * *

Profesor Chan podjechał swoim audi pod osiedlowy sklepik Alego Hassima na Gulf Road i wszedł do środka. Ali stał za ladą z dziewczyną w fartuchu, której twarz, z wyjątkiem oczu, zakrywał nikab.

- Profesorze - odezwał się po arabsku. - co za niespodzianka. - Zostawił dziewczynę. - Zapraszam do siebie - powiedział, wskazując na zaplecze.

Usiedli naprzeciwko siebie przy stole.

- Zdawało mi się, że miał pan jechać do Hazaru? - zaczął Ali.

- Tak, ale z Hazaru nadeszły złe wieści.

- Coś już słyszałem. Czy to wszystko prawda?

- Niestety.

- Czyli ta dziewczyna jest z powrotem tutaj, na Gulf Road?

- Jej ojciec, przy pomocy samych diabłów, porwał ją z Hazaru. Była tam ze swoim kuzynem i przyszłym mężem, Hussajnem Raszidem.

- Sam Młot Boży. Chwała jemu.

- Uciekli z Bagdadu, gdy jej dziadek zginął od bomby, którą podłożyły mu do samochodu

sunnickie psy.

- Niech będą przekłęci - powiedział Ali. - A co dokładnie wydarzyło się w Hazarze?

Chan opowiedział mu to, co sam wiedział.

- To co teraz będzie? - dopytywał się Ali. - Hussajn Raszid jest wielkim człowiekiem, ale mogą mu przeszkodzić te zdjęcia w gazetach. Mało tego, jeden z moich sprzątających musiał pójść na komisariat w Hampstead i zobaczył tam wyeksponowane listy gończe wystawione za Hussajnem. On może już nigdy nie pojawić się w Anglii.

- Może się tak zdarzyć. - Chan wstał. - No dobrze, czas na mnie.

Ali odprowadził go do samochodu i zatrzymał się przy nim.

- Nie miałeś wiadomości od Abu? - zapytał Chan.

Wiedział od Dżamala, że Abu nie żyje, i że zabiła go Greta Nowikowa, ale nie chciał informować o tym Alego. Ważniejsze było trzymanie tego w sekrecie i do zachowania tajemnicy zobowiązał też Dżamala. Ali Hassim odpowiedział mu bardzo spokojnie.

- Podejrzewam, że został zamordowany. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Gdyby żył, skontaktowałby się z nami.

- W takim razie obydwoje spotkali się w Raju. Do zobaczenia.

Gdy Chan wsiadał do audi, Ali zapytał:

- Sprawy się skomplikowały, co?

- Nie. To tylko tymczasowe wstrzymanie naszych planów. Miej wiarę w Allacha i Osamę.

- Zawsze ją mam.

Ali zamknął drzwi samochodu i Chan odjechał.

* * *

Dosłownie chwilę później Molly Raszid wezwano do szpitala do nagłego przypadku. Starając się przywrócić w domu normalność, cała trójka postanowiła iść tego dnia do kina, ale tamto dziecko miało siedem lat i problem z zastawkami, a w tej dziedzinie Molly była najbardziej doświadczonym specjalistą.

Po jej wyjściu Caspar zaproponował Sarze, że pójdą do kina we dwoje, ale nie chciała. Usiłował rozmawiać z nią na różne tematy, męcząc się jednocześnie z sałatką którą przygotowała

Molly, ale rozmowa się nie kleiła. Gdy skończyli jeść i usiedli w salonie przy kominku, ponownie zaczął rozmawiać z nią o przyszłości, ale nie był w stanie w żaden sposób zmusić jej do powiedzenia czegokolwiek. Wzmianka o szkole wywołała co prawda ożywienie, ale zarazem bardzo negatywną reakcję.

- Myślisz, że to dobry pomysł tato, po tym wszystkim co przeżyłam? Mam teraz założyć mundurek i pójść do szkoły, tak po prostu?

- Ależ kochanie, ty musisz chodzić do szkoły. To prawny obowiązek.

- Prawny obowiązek! - W jej oczach pojawił się ogień. - Co ty mówisz? Przez miesiące oglądałam tylko zabijanych ludzi, prawie dzień w dzień. Twoja matka zginęła z siedemdziesięcioma innymi ludźmi w zamachu bombowym, a twój ojciec we własnym samochodzie, od sunnickiej bomby!

- Wiem, kochanie. - Usiłował wziąć ją za rękę, ale ją wyrwała. - Powiedziałaś to tak, jakbyś nienawidziła sunnitów.

- A dlaczego nie miałabym? W domu było czterdzieści osób ze służbą bo ci, którzy stracili domy, przybywali tam z rodzinami. Ludzie mieszkali w namiotach na gołej ziemi i co tydzień ktoś z nich ginął. Trzech, czterech. W jednym tygodniu było ich dziesięciu, bo zginęli w wybuchu bomby na bazarze. - Jej twarz zachmurzyła się. - A na ich miejsce przybywali coraz to nowi uciekinierzy. To się nigdy nie kończyło. Tam nie było czasu na szkołę i nie wiem, czy w ogóle będę w stanie o niej jeszcze myśleć.

- Nie mów tak.

- Daj mi spokój - odpowiedziała. - Idę spać.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Oczywiście, zawsze są jakieś plusy. - Zmusiła się do uśmiechu. - Jest w tym wszystkim coś pozytywnego, może cię to pocieszy. Za jakiś czas będą egzaminy z języków obcych na zaawansowanym poziomie. Myślę, że z arabskiego będę spokojnie miała szóstkę. Dobranoc.

Siedział w fotelu zastanawiając się nad tym co usłyszał, i doszedł do smutnej konkluzji, że pomimo wykształcenia, tytułów i książek, które napisał, nie był w stanie poradzić sobie z tą sytuacją. Wstał i zaczął chodzić po domu, zatrzymując się tylko na chwilę w korytarzu, potem poszedł na górę i podszedł na palcach pod jej pokój. Płakała, słyszał to doskonale. Nigdy w życiu nie czuł się tak bezsilny.

* * *

Hussajn, przygnębiony i wściekły, wynajął w Kuwejcie samolot, cessnę Citation X, dwusilnikowy odrzutowiec, który musiał być pilotowany przez dwie osoby. Właścicielami firmy byli muzułmanie i ci dowiedziawszy się kim jest, nawet nie chcieli słyszeć o zapłacie. Był to najszybszy samolot cywilny na świecie, od kiedy wycofano z użycia concorde'y. Hussajn miał lecieć nazajutrz, a ponieważ nie mógł się skontaktować z Maklerem, pozostało mu jedynie czekanie na telefon od niego. Gdy ten w końcu zadzwonił, wściekły Hussajn zaczął się niecierpliwie dopytywać:

- Co się dzieje? Mam zamówiony prywatny samolot, przylatuje jutro rano.

- Świetnie. Chcesz wiedzieć, dokąd polecisz?

- Dokąd?

- Do Algierii, już ci mówiłem. Byłeś tam na szkoleniu wojskowym. Tak samo, jak dziewiętnastoletni Dillon trzydzieści lat temu, kiedy wstąpił do IRA. Znasz okolice Khufry, tego miasteczka na wybrzeżu?

- Nie, stacjonowałem na pustyni, ponad trzysta kilometrów dalej na zachód. Ale Khufra nie jest spokojnym miejscem. Po co miałbym tam lecieć?

- Bo po części będzie to wiadomość dla majora Ropera, że zamierzam w niego uderzyć. Ludzie Fergusona mieli tam ciężkie przejścia w zeszłym roku i nadal są poszukiwani przez algierską policję za kilka morderstw. Tak czy inaczej jest to paskudne miejsce - setki kilometrów bagien, rzeczek i setki łodzi - jednym słowem raj dla przemytników wszelkiej maści. Jest tam lotnisko, stary hangar i mała wieża kontrolna.

- A stamtąd dokąd?

- Na miejscu spotkasz się z majorem Hakimem Mahmoudem z algierskiej tajnej policji. Pamiętaj, że jego drugie imię to łapówka.

- Aha, czyli w tym co robi, nie ma grama moralności?

- Dla niego liczy się tylko kasa, Hussajnie.

- Nie mam nic przeciwko złodziejom pod warunkiem, że jest to uczciwy złodziej, a brak mi czasu, żeby się o tym przekonać.

- Ale ja się o tym wystarczająco przekonałem.

Hussajn myślał przez chwilę.

- Kolejna rzecz to kontakt z tobą. Przekaz tylko w jedną stronę jest bez sensu. Muszę mieć możliwość szybkiego powiadomienia ciebie, gdy coś pójdzie nie tak.

- Nie ma mowy! Moja prywatność jest nie do ruszenia, nawet dla ciebie. Zawsze tak było i tak zostanie.

- W takim razie będę radził sobie sam.

- Nie uda ci się.

- No to pogadajmy. Moja twarz wisi tam na każdym płocie, więc chyba nie liczyłeś na to, że dostanę się z Francji do Anglii zwykłym pociągiem czy rejsowym samolotem. Musiałeś coś przygotować.

- Oczywiście. Będzie na ciebie czekać mała łódka, która wypłynie nocą z Saint-Denis w Bretanii. Jest tam niejaki George Romano, Anglik, który kiedyś służył w marynarce. Specjalizuje się w przerzucaniu na wyspy takich jak ty.

- Dostaniemy broń?

- Wystarczy, że będziesz miał ze sobą pistolet, reszta jest przygotowana i czeka na miejscu. A przygotowaniem ciebie, żebyś mógł pokazać się w Anglii, zajmie się gość o nazwisku Darcus Wellington. Przez lata był aktorem i można go zobaczyć w starych, czarno-białych filmach, ale przez homoseksualizm trafił na kilka lat do więzienia i, wiadomo, tam zetknął się ze sprawami kryminalnymi. Na szczęście jest specjalistą od makijażu, więc mam nadzieję, że będzie w stanie zmienić ci trochę twarz.

- W porządku. A jak dostaniemy się z Khufiy do SaintDenis?

- Mahmoud coś przygotuje. Najprawdopodobniej wsadzi was do samolotu, który będzie przemycił coś do Francji. Samolot wylądaje na prywatnym lotnisku, tam będzie czekał na was samochód. Możecie pojechać nim do SaintDenis. Jeśli Roper sprawdza loty z Hazaru, a na pewno to robi, to zobaczy lot cessny i od razu zorientuje się, że to wy. Jeśli będzie śledzić dalej, dotrze do Algierii, a tam ślad się urwie.

- Gwarantując nam anonimowość?

- Tak jest, więc sam widzisz, że nie masz się o co martwić.

- Pewnie tak. - Niechętnie przyznał Hussajn.

- A więc wszystko załatwione. Możesz ściągnąć sobie wszystkie dane na komputer.

- Na pewno. Coś jeszcze?

- Tak. W czarnej torbie, którą przywiozłeś z Bagdadu...

- Tak?

- ... znajdziesz broszkę, ze złota i emalii, schowaną w wyściółce na dnie. Bardzo piękna. Jak ją otworzysz znajdziesz w środku przycisk. Jeśli go naciśniesz, od razu oddzwonię. Tylko ty masz coś takiego.

- Ty draniu.

- Już ktoś mnie kiedyś tak nazwał - powiedział i rozłączył się.

Algieria**Francja**

Cessna Citation pilotowana przez dwóch pilotów, Selima i Ahmadiego, przyleciała o czasie. Cała czwórka siedziała teraz na tarasie willi i piła kawę.

- Wiecie, kim jestem? - zapytał Hussajn.

- Tak - odezwał się Selim. - Jesteśmy tu na pańskie rozkazy. To prawdziwy zaszczyt pracować dla Młota Bożego. Zna pan ten samolot?

- Nie, ale słyszałem o nim wiele dobrego. Sam jestem pilotem.

- To nadzwyczajnie - dodał Selim, trochę nadszkakując Raszidowi. - Jeśli pan chce, może pan spróbować go poprowadzić. Pilotowanie tego samolotu to nie lada przeżycie, zapewniam.

- Na pewno, ale nie mamy czasu na przyjemności. Waszym zadaniem jest dowieźć nas do celu, wysadzić i wracać. Czy to jasne?

Ahmadi, młodszy z pilotów, sprawiał wrażenie zawiedzionego, ale Selim podszedł do sprawy profesjonalnie.

- Dokąd lecimy?

- Do Algierii. - Hussajn otworzył teczkę. - Tu są wszystkie szczegóły. Zostawiam was na chwilę, przygotujcie się do lotu. Wstał i odszedł, za nim podążył Khazid.

Weszli do gabinetu, Hussajn otworzył szufladę i wyjął z niej dwa waltery z tłumikami. Jeden podał Khazidowi. Potem wyjął dwa colty kaliber 25 mm i zaczął wkładać do nich naboje.

- Mówiłeś, że nie możesz mi obiecać więcej niż Paryż - powiedział Khazid.

- Mój los jest nieuchronny. - Hussajn włączył laptop i przedstawił mu przebieg całej akcji.

- Tak to wygląda. Masz jakieś uwagi?

- Żadnych. Jestem dumny, że będę u twojego boku. - Khazid skończył ładowanie colta. - Cały czas miałem nadzieję na wyprawę do Anglii i postrzelanie sobie do tamtych.

- Przekazałem ci wszystkie szczegóły. Ten Darcus Wellington zajmie się nami.

- Darcus Wellington - co za idiotyczne nazwisko. Zadziwiające, że taki gość wplątał się we współpracę z Maklerem.

- Nie wiem. To jest trochę jak gra na scenie, tylko, że w tym przypadku wszystko dzieje się naprawdę.

- I prawdziwe są także kule. - Khazid załadował magazynek do walera. - Co teraz?

- Skończ się pakować, ale nie bierz za dużo. Ja pogadam z pilotami. Odlatujemy mniej więcej za godzinę. Zdasz?

- Jasne.

Zeszli na dół do hallu.

- No to znowu ruszamy na wojnę - powiedział Khazid. - I dlaczego znowu akurat my?

Hussajn położył mu dłoń na ramieniu.

- Ponieważ, bracie, tego życzy sobie Allah. Choć przyznam ci się, że już nie postrzegam religii tak, jak do tej pory. Nie znajduję już w niej pocieszenia.

- A wojowanie? Czemu się tym zajmujemy?

- Bo taka już jest nasza natura.

- I to wszystko?

- Niestety, chyba tak. Idź i przygotuj się.

* * *

Roper zajmował się właśnie śledzeniem samolotów nad Hazarem. Ruch był niewielki, więc nie miał zbyt wiele roboty. Sierżant Doyle przyniósł mu kanapki z bekonem i herbatę, gdy Roper nagle coś zauważył.

- Gdzie jest Dillon? - zapytał.

- Jest w jadalni z panią major.

- Poproś go.

Doyle zniknął, a Roper zaczął przeglądać zdjęcia. Po chwili pojawili się Dillon i Greta.

- Jakież wieści?

- Cessna Citation, wynajęta przez Raszid Shipping, przyleciała z Kuwejtów trzy godziny temu, a przed chwilą odleciała do Khufiy w Algierii.

- W to bagno? Po co tam leci?

- Zastanówmy się. Jeśli on rzeczywiście gdzieś się wybiera, to na sto procent trasę

zaplanował mu Makler, zaś wynajęcie samolotu jest wiadomością od Hussajna - „To ja! I co teraz zrobicie”, bo obydwaj wiedzą doskonale, że obserwujemy ich ruchy.

- Ale dlaczego do Khufry? - zastanawiała się głośno Greta. - Ileśmy tam przeszli w zeszłym roku...

- Makler doskonale o tym wie. Mało tego, wie też, że go obserwuję, więc w ten sposób chce mnie oszukać. To jasne jak słońce. Khufra to gniazdo wszelkiego przemytu i kanał przerzutowy narkotyków, który odbywa się zarówno na morzu jak i w powietrzu. Dlatego jest to świetne miejsce dla Hussajna, które pozwoli mu zniknąć z pola widzenia. Założę się, że samolot leci tylko po to, żeby go tam dostarczyć, a następnie wróci z powrotem.

- A Hussajn? - zapytała Greta.

- Przedostanie się morzem, najprawdopodobniej do Hiszpanii. Ale kto go tam wie?

- Jedno jest pewne - powiedziała Greta. - Nie może płynąć bezpośrednio do Anglii, bo tutaj wszędzie wiszą jego podobizny.

- Nie będzie też siedział w Algierii, bo to bez sensu. Może spróbuje przedostać się do Francji?

- Kilka poczytniej szych gazet z kontynentu też zamieściło jego zdjęcia - powiedział Roper. Postukał w klawiaturę i pokazał im czwartą stronę z wczorajszego wydania gazety „Paris Soir”, na której widniało wyraźne zdjęcie Hussajna.

- Co prawda zdjęcie jest na czwartej stronie, ale to chyba wystarczy.

- Jak myślicie, jaki będzie jego następny ruch? - zapytał Dillon.

- Moim zdaniem chwilowo da sobie spokój - stwierdziła Greta.

- O nie - zaprzeczył Dillon. - Założę się, że jeśli wynajął porządny samolot i poleciał nim do Algierii, to ma już jakiś plan. Wcześniej czy później dowiemy się, co zamierza. Musimy tylko poczekać.

Molly i Caspar siedzieli w kuchni i rozmawiali o Sarze. Przez chwilę patrzyli na nią przez okno, jak siedzi na ławce na tarasie i czyta książkę.

- Ona udaje - powiedział Caspar. - Jestem tego pewien.

- Rozmawiałaś z nią znowu o szkole? - zapytała Molly.

- Daj spokój, za wcześnie na to. Poza tym ona potrzebuje jakiejś zmiany, nowego otoczenia, może szkoły z internatem.

- Niezależnie, jaka to będzie szkoła, nie unikniemy jej. - Molly sięgnęła po dzbanek i

dolała sobie kawy. - Tak samo, jak odpowiedniej terapii.

- Mówisz o niej, jakby była pacjentem - rzucił Caspar - no, ale ty jesteś lekarzem. Ja jednak uważam, że powinniśmy działać delikatnie.

- Czyli jak?

- Powiedzieć jej, że nie pójdzie do starej szkoły, i że przez pół roku w ogóle nie będzie chodzić do szkoły. Niech odetchnie i powoli przyzwyczai się do nowej sytuacji.

Spojrząwszy przez okno zauważył, że Sara zniknęła. Okazało się, że od pewnego czasu stała, niezauważona, w korytarzu.

- A mi się wydaje - powiedziała Molly - że to nie jest dobra decyzja. Powiem ci coś, rozmawiałam dzisiaj rano z profesorem Janet Hardcastle. Jest bardzo zainteresowana naszym przypadkiem i obiecała pomóc.

Pomimo, że wspomniana osoba była jednym z najbardziej uznanych psychiatrów w kraju, Caspar nie był zachwycony.

- Cholera, Molly, psychiatra? A może najpierw powinna pojawić się zwykła, codzienna miłość i czułość? Nie starajmy się na siłę jej zrozumieć, dopóki ona nie zrozumie samej siebie, a jest w stanie to zrobić. Sara to bardzo inteligentna dziewczynka.

Sara pojawiła się w drzwiach.

- Nie widzę problemu w tym, żebym pobawiła się w jakieś słowne zabawy z profesorem Hardcastle, ale o powrocie do szkoły nie ma mowy. Jestem zmęczona, idę do siebie.

Odłożyła książkę na półkę i wyszła. Caspar wstał, wziął książkę i spojrząwszy na żonę podał jej bez słowa. Był to wydrukowany po arabsku Koran.

* * *

Rozmowa z Igorem Lewinem, dawnym cudownym dzieckiem GRU, odznaczonym kilkoma medalami za udział w wojnach, które rozpętał Kreml, i który zdołał poderżnąć gardło jednemu czeczeńskiemu generałowi, poprawiła Roperowi humor. Roper pamiętał go jako attache do spraw gospodarczych, pracującego dla szefa komórki GRU w rosyjskiej ambasadzie w Londynie, pułkownika Borysa Łuskowa. Po chwili namysłu zadzwonił pod prywatny numer Łuskowa w ambasadzie.

Łuskow odebrał od razu odzywając się po rosyjsku. Roper, który mówił co nieco w tym języku, odpowiedział jednak po angielsku:

- Daj spokój, Borys.

- Kto mówi? - zapytał Łuskow.

- Roper.

- Mój Boże, Roper, czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Niczemu wielkiemu. Przed chwilą rozmawiałem z Igorem Lewinem, który siedzi w Dublinie i po prostu przypomniałeś mi się.

Łuskow był bardzo zaintrygowany, ponieważ, jak do tej pory, każda próba kontaktu z Lewinem kończyła się niepowodzeniem.

- Co u Igora?

- Korzysta z życia. A jeśli chodzi o jego kolegów, to Czomski pracuje dla firmy prawniczej, a Popow w firmie ochroniarskiej. Ale pewnie o tym wiesz.

- Naprawdę?

- Mówiąc krótko: uznałem, że ta marna próba zabicia Blake'a Johnsona czegoś was nauczyła. To po co była ta akcja ze Strańskim i jego chłopakami pod Harry's Place? A Czoków? Słyszałem, że jednak uratowali mu kulasa.

- Drogi Giles, nie mogę teraz tego skomentować.

- No pewnie, że nie, a poza tym, skąd ty wiesz, że mam na imię Giles? To ściśle strzeżona tajemnica.

- Jak każdy prawdziwy szpieg, mam swoje źródła. Może w takim razie odwzajemnię ci się moim poglądem na sprawy, dobrze? Są na tym łąz padole ludzie, którzy uważają, że Borys Łuskow to głupek - wyliniały gość, który swoją świetność dawno ma za sobą jeśli w ogóle taka była. Ale w rzeczywistości jest inaczej. Z kolei Iwan Strański ma mózg mniejszy niż paznokiec, a Czoków myśli tylko fiutem. Dla każdego, kto ma choć trochę rozumu, majątek i kontakty Harry'ego Saltera dałyby do myślenia.

- Nie nabierzesz mnie na te głupie gadki, Borys. A kto przejmie fotel dyrektora zarządzającego Belov International? Bo ten, którego macie, może najwyżej polecieć do Drumore Place na wakacje i usiąść na tarasiku w wózku inwalidzkim z parasolem nad głową. I pamiętaj, że będzie z utęsknieniem czekał na weekendy, bo w Irlandii pada pięć dni w tygodniu.

Łuskow z trudem opanowywał śmiech.

- O Boże, ale mnie rozbawiłeś.

- To kto tam pojedzie? Mi możesz powiedzieć.

- Pewnie, że mogę, i tak byś się szybko o tym dowiedział. Uratowali Czekowowi nogę, ale rekonwalescencja zabierze dużo czasu. Chwilowo sprawami firmy będzie się zajmował generał Wołkow.

- A to niespodzianka, prawa ręka prezydenta.

- Właśnie. O co jeszcze chciałbyś się spytać?

- O uszy Wołkowa, które słuchają jego przyjaciela Maklera.

Głos Łuskowa lekko się zmienił.

- Tak?

- Widziałeś ogłoszenia w prasie na temat Hussajna Raszida?

- Trudno było ich nie zauważyć.

- A słyszałeś historię o innym Raszidzie? O jego brytyjskiej żonie i trzynastoletniej córce, porwanej przez Armię Boga i wywiezionej do jej dziadka do Iraku? Miał ją w odpowiednim czasie poślubić właśnie Hussajn.

- Coś mi się obilo o uszy.

- Hussajn zabrał dziewczynę do Hazaru, ale Dillon, Billy i jej ojciec odbili ją i przywieźli do domu, zabijając po drodze jego dwóch najlepszych ludzi.

- Daj spokój. Pozwól, że zadam głupie pytanie. Te fotografie mają powstrzymać go przed przyjazdem do Wielkiej Brytanii?

- Mniej więcej, oczywiście przez chwilę, żebyśmy zdążyli zapewnić rodzinie bezpieczne miejsce.

- To za mało.

- Dlaczego?

- Bo to Młot Boży. On nie może zawieść publiki.

- Też tak uważam - powiedział Roper.

- Pozwolisz, że podzielę się tymi informacjami z Wołkowem?

- Po to dzwonię. - W tym momencie weszła Greta. - Greta przesyła pozdrowienia. Nigdy nie wyglądała tak wspaniale.

- Mój Boże, jak ja za nią tęsknię. To taka piękna kobieta.

Roper rozłączył się.

- Kto to był? - zapytała Greta.
- Łuskow. - Roper się uśmiechnął. - Musiałem sobie ulżyć...

* * *

Cessna Citation leciała z ogromną prędkością nad Arabią Saudyjską a potem nad Egiptem i północną Libią utrzymując prawie przez cały czas pułap siedemnastu kilometrów. Gdy byli nad Libią Selim zaprosił Hussajna do kabiny i zaproponował mu pilotowanie samolotu, a Hussajn, który wcześniej nie chciał o tym słyszeć, teraz usiadł w fotelu i rozkoszował się prowadzeniem odrzutowca.

Gdy już dolatywali do celu, w kabinie pojawił się Selim.

- Mamy kłopot z paliwem. Oran jest tylko kilkaset kilometrów od Khufry. Musimy tam wylądować i zatankować.

Hussajn szybko przemyślał sprawę. Prywatne samoloty, zwłaszcza takie, oznaczały bogatych ludzi i z miejsca były lepiej obsługiwane. Nie spodziewał się problemów.

- W porządku.

Wylądowali w Oranie. Hussajn użył brytyjskiego paszportu, a Khazid francuskiego, przybierając na chwilę nazwisko Henri Duval. Wyszli, żeby rozprostować nogi. Ahmadi wziął ich paszporty do biura. Wrócił dosłownie po chwili.

- Poszło gładko - powiedział Khazid.

- Tak, ale nie zawsze tak będzie - stwierdził Hussajn. - Przyjdzie jeszcze czas, że będziemy mieli kłopoty.

- Wszystko w rękach Allacha.

- Może i tak. A co, jeśli los jest tylko w naszych rękach?

- Ja jestem prostym człowiekiem. Wiem, co wiem i robię, co mi mówią.

- I takiego cię lubię.

Hussajn wszedł z powrotem do samolotu, za nim Khazid i niedługo potem samolot wzbił się w wieczorne niebo, wznosząc się szybko na wysokość trzech kilometrów. Po jakimś czasie zobaczyli bagna Khufry oddzielające pustynię od morza, meandrujące strumienie, gdzieniegdzie łódź, motorówkę albo większy statek handlowy.

Obniżyli lot do trzystu metrów i Selim zobaczył po ich lewej stronie pas startowy, hangary i wieżę. Dziwne było jednak to, że nie miał z nią żadnego kontaktu. Selim zatoczył koło nad lotniskiem, przelatując nad miasteczkiem i portem. Przy jednym z pomostów kołysał się przycumowany stary hydroplan.

- Znam ten typ - powiedział Selim. - Można wypuścić z niego podwozie i wjechać po pomoście na ląd. Te samoloty mają już swoje lata, ale są nie do zdarcia. Zaprojektowano je do latania w najgorsze miejsca.

Zwolnił trochę i wszyscy odnieśli wrażenie, że samolot prawie stanął w powietrzu.

- Dziwne, wieża nadal nie odpowiada.

Hussajn zaniepokoił się.

- Zróbmy tak. Wyląduj i podkołuj do końca pasa, a my wysiadziemy. Ahmadi zamknie drzwi, a ty zawróć, jakbyś miał ponownie startować. I chwilę poczekamy. Jeśli czekają na nas ci co trzeba, to po nas wyjdą. Wtedy pożegnamy się i polecicie. A jeśli będą kłopoty to strzełę, a wy na ten sygnał odleciecie od razu.

- Nie odlecimy bez was - zaprotestował Selim. - To byłaby hańba.

- To rozkaz, przyjacielu. Reszta to nasza sprawa. - Położył dłoń na ramieniu Khazida. - Mamy wprawę w radzeniu sobie w takich sytuacjach.

- W takim razie wykonam ten rozkaz, ale z wielkim żalem - odpowiedział mu Selim.

Przelecieli nad pasem startowym, ale nie zauważyli nikogo. Wielkie trzciny laskowe, dwukrotnie wyższe od człowieka, chwiały się na wietrze, robiło się coraz ciemniej, a w otwartych bramach obu hangarów nie było widać żywej duszy.

- Lądujemy - rozkazał Hussajn. - Bierzmy torby.

- Dobrze, że nie mamy nadbagażu - uśmiechnął się Khazid.

- Zawsze mówiłem, że jak potrzebujesz koszuli, to ją sobie kupujesz. Jesteśmy znowu w akcji, bracie.

Samolot wylądował, zatrzymał się na końcu pasa startowego, a potem zawrócił, kładąc ogromne trzciny na ziemi podmuchem z silników. Ahmadi podszedł i otworzył drzwi, wypuszczając jednocześnie schodki. Khazid wyszedł pierwszy, walcząc z podmuchami powietrza. Hussajn zszedł za nim i odwrócił się do Ahmadiego. W tym momencie usłyszeli ryk silników i zobaczyli dwa land rovery wyjeżdżające z jednego z hangarów i pędzące z ogromną szybkością.

- Zmykaj! - krzyknął do Ahmadiego. Ten zamknął z trzaskiem drzwi, a Hussajn wyjął waltera i strzelił w powietrze. Selim zwiększył ciąg silników i ruszył spychając na bok jadące pasem samochodu. Odrzutowiec wzniósł się w powietrze. Khazid stał obok Hussajna.

- Biegnij w trzciny, już. Zadzwoń do ciebie. Ja ich zatrzymam. - Odwrócił się, starannie wycelował i strzelił w przednią oponę samochodu jadącego przodem. Land rover gwałtownie skręcił wyrzucając na zewnątrz człowieka siedzącego obok kierowcy. Drugi samochód ominął go i jechał dalej. W środku było widać czterech policjantów w oliwkowych mundurach.

Hussajn strzelił w drugi samochód, roztrzaskując przednią szybę, potem odwrócił się i wbiegł w trzciny. Prawie od razu potknął się o stary, zardzewiały kabel. Zaczął biec bez namysłu przed siebie, ale tamci dopadli go. Rzucili na ziemię kopiać i bijąc pięściami, jeden z nich znalazł waltera. Innej broni przy sobie nie miał, bo colta schował w torbie Khazida. Akcją dowodził otyły, brodaty kapitan. Jeden z policjantów podał mu waltera.

- Ładny. Dzięki za miły podarunek.

- Nie pochlebiaj sobie.

- Aaa, twardy klient. Pewnie przyleciałeś, żeby spotkać się z majorem Hakimem Mahmoudem z tajnych służb, co?

- A jest?

- Jest. Musisz być jakimś ważniakiem. Samolot był pierwsza klasa.

Jeden z policjantów wyszedł z trzciny.

- Jest?

- Nie, zniknął, panie kapitanie.

- Mniejsza o niego.

Trzech ludzi z pierwszego land rovera zmieniało oponę.

- Będę w biurze. Pospieszcie się, chcę wracać do fortu, a niedługo ma padać. - Odwrócił się do Hussajna. - Jestem kapitan Ali. Na pewno się dogadamy - poklepał go po twarzy. - Młody jesteś. I przystojny.

Hussajn wsiadł do land rovera, sadowiąc się między dwoma policjantami i wszyscy odjechali.

* * *

Khazid, który siedział w trzcinach, słyszał każde słowo i patrzył, jak odjeżdżają. Na pasie zostało tylko trzech, którzy mocowali się z oponą. Ten, którego wyrzuciło z samochodu, miał stopień sierżanta. Khazid otworzył torbę, wyjął swojego waltera i tłumik, szybko go zamocował na lufie, w tym samym momencie tamci skończyli wymianę koła.

- W porządku - powiedział sierżant. - Jedziemy.

Khazid odłożył torbę na ziemię i wyszedł z trzcin z pistoletem w ręce. Zagwizdał, a gdy się odwrócili, strzelił sierżantowi w głowę. Reszta stała jak zamurowana.

- Kapitan powiedział, że jedzie do biura. Gdzie to jest?

- Na parterze wieży kontrolnej - odpowiedział jeden z nich.

- Świetnie. O jakim forcie mówił?

Drugi z nich nadal nie odzywał się ze strachu, więc odpowiedział znowu ten sam.

- Stary fort Legii Cudzoziemskiej. Jest paręset metrów stąd jadąc drogą w lewo.

- Wielkie dzięki.

Khazid zastrzelił obydwóch na miejscu. Nie dlatego, że był szczególnie okrutny, tylko po prostu nie miał wyboru, jeśli miał ratować przyjaciela. Położył torbę na siedzeniu, postawił brezentowy dach, aby mieć jakąkolwiek zasłonę i ruszył w kierunku wieży kontrolnej, ale kiedy był już na miejscu zobaczył, że drugi land rover odjechał.

Było już ciemno i dzięki temu mógł poruszać się swobodniej. Drzwi były otwarte. Ostrożnie wszedł, znalazł włącznik światła i zapalił je. Był w recepcji, minął biurka i podszedł do drzwi z napisem „Biuro”, otworzył je i włączył światło.

Za biurkiem na fotelu siedział mężczyzna skuty kajdankami. Był to najprawdopodobniej major Hakim Mahmoud, który zginął od strzału w tył głowy. Khazid rozejrzał się po pokoju. Na stole leżała latarka. Sprawdził, czy działa, a potem wyłączył światła, wrócił do samochodu i ruszył w stronę fortu.

* * *

Było zimno, bardzo zimno i Hussajn szczekał zębami, gdy trzech policjantów wyciągało go z land rovera. Zobaczył, że są w starym forcie. Na blankach powiewała zielono-biała flaga Algierii z czerwonym półksiężycem i gwiazdą, a po bokach wejścia stały koksownicy, przy

których stali wartownicy z karabinami.

Stanęli przed schodami prowadzącymi w górę na mury. Kapitan Ali siedział na kamieniu i popijał whisky. Taki był z niego muzułmanin. Hussajn czuł do niego pogardę większą niż do robaka, który zasługuje wyłącznie na rozdeptanie.

- Major Hakim Mahmoud był złym człowiekiem, bardzo złym. Handlował narkotykami i robił wiele innych paskudnych rzeczy. Myślał tylko o pieniądzach. Skoro zatem zadawałeś się z nim, musisz być równie zły i równie bogaty.

- Niekoniecznie.

- Chcę wiedzieć, kim jesteś i kim jest twój kompan.

- To wbrew zasadom.

- Zasadom? Ty myślisz, że to jakaś zabawa? Pewnie spodziewasz się jakichś tortur czy bicia, co? Niepotrzebnie. Kiedyś trenowała tu Legia Cudzoziemska, twardzi ludzie, których trzeba było mieć na oku, ale Francuzi okazali się bardzo praktyczni. Zbudowali studnię tu za murem. Bardzo nieprzyjemną.

- Podejrzewam.

- Z powodu szczurów - albo je lubisz, albo ich nienawidzisz.

- To bardzo inteligentne stworzenia - odparł Hussajn.

Nad studnią znajdował się kołowrót z nawiniętą liną i korbą z boku jednej strony.

- Dwóch na górę i poświecić, zobaczymy, co tam czeka na dole.

Jeden z policjantów czekał z liną. Zmusili Hussajna do wsunięcia stopy w coś w rodzaju strzemięcia i opuścili go. Na dole było zimno i wilgotno, z góry leciał deszcz, a na samym dnie stała półmetrowa warstwa wody. Rzucili mu na dół jakiś stary płaszcz. Gdzieś obok rozległ się szmer poruszających się zwierząt. Lina powędrowała do góry.

Usiadł na kamiennej półce, zapalił światło i zobaczył dwa szczury z błyszczącymi w świetle oczami. Wydawały się dość przyjacielsko nastawione.

- Bądźcie grzeczne - powiedział po arabsku. - Deszcz zaczął mocniej padać, schował głowę w ramionach. - Khazid, gdzie jesteś? - zapytał cicho.

* * *

Khazid tymczasem jechał drogą w silnym deszczu, dziękując w duchu samemu sobie, że postawił dach. Widział przed sobą fort i oklapła na deszczu flagę. Nie było budek dla wartowników, tylko wykuta dawno temu kamienna nisza, w której siedział strażnik i palił papierosa, a drugi stał obok niego. Spojrzeli ze zdziwieniem na Khazida. Jeden z nich postąpił krok naprzód i zapytał:

- Kto tam? Czego chcesz?

- Tajna policja. Gdzie jest kapitan Ali i jego więzień, którego przywieziono z lotniska?

Policjant uniósł karabin.

- Tajna policja? Nie znam ciebie.

Walter z tłumikiem leżał na siedzeniu obok. Khazid sięgnął błyskawicznie po niego i strzelił tamtemu między oczy. Drugi zaczął wrzeszczeć zrywając się na równe nogi.

- Cisza! - warknął Khazid - nie chciałbym spudłować. - Przerażony wartownik upuścił karabin. - Mów!

- Wsadzili więźnia do studni, wejście jest na murach obronnych. Nie wiem, gdzie jest kapitan Ali. Pewnie gdzieś w forcie.

Khazid wysiadł z samochodu.

- Prowadź do tej studni - rozkazał.

Przestraszony strażnik poprowadził go, biegnąc po schodach na mury. Nie było już tam kapitana Alego, w baraku obok paliło się światło i słychać było śmiechy. Dzięki kołowrotowi studnia była widoczna z daleka.

- Wszystko w porządku, bracie? - zapytał Khazid zagładając w głąb.

- U mnie tak, gorzej ze szczurami, które tu siedzą od dawna i się nudzą - odpowiedział Hussajn. - Brakowało mi ciebie.

- Na pewno. - Khazid kiwnął do policjanta. - Opuść linę.

Ten zaczął kręcić skrzypiącym kołowrotem i po chwili Hussajn zawołał:

- Wystarczy - i zwracając się do szczurów powiedział: - Żegnam, przyjaciele.

Kołowrót zazgrzytał i po chwili Hussajn pojawił się na powierzchni.

- Śmierdę jak świnia.

- Ale jesteś cały i zdrowy, czego nie można powiedzieć o majorze Hakimie Mahmoudzie.

- Niech spoczywa w pokoju. Przypomnij mi, żebym powiadomił o tym Maklera.

- Chyba sam już o tym wie.

Gdzieś trzasnęły drzwi i usłyszeli kroki po drugiej stronie murów, po chwili pojawił się kapitan Ali, wyglądający dość groteskowo z rozłożonym nad głową parasolem. Szedł patrząc pod nogi i mamrocząc coś pod nosem, gdy nagle stanął jak wryty.

- To ty!?! - zapytał głupio.

- A ja. - Hussajn sprawdził mu kieszenie i znalazł swojego waltera.

Gruby Ali wcale nie wyglądał na przestraszonego, co mogło być oczywiście skutkiem wypitego alkoholu.

- Wiem, że jesteś kimś szczególnym, to po samym samolocie było widać. Jak już masz mnie zastrzelić, to chociaż powiedz, kim jesteś.

- Nazywam się Hussajn Raszid. Znają mnie w Bagdadzie.

- Wielkie nieba, znają cię w całym arabskim świecie.

- Powinienem cię zabić, ale szkoliłem się tutaj, w Algierii.

- To czyni z nas w pewnym sensie braćmi - szybko powiedział Ali.

- Wcale nie. Jazda na dół. Szczury czekają.

- Bardzo dziękuję. Jesteś wspaniałomyślnym i wyrozumiałym człowiekiem.

Ali sam, dobrowolnie, postawił stopę na strzemieniu. Policjant nie był w stanie go utrzymać i Khazid musiał mu pomóc. Gdy już był na dnie studni, krzyknął:

- Nie wiem co zamierzasz, ale zasługujesz na dobrą śmierć, przyjacielu.

- Wynośmy się stąd - powiedział Hussajn do Khazida. Kiwnął na przerażonego policjanta.

- Weźmiemy go ze sobą.

Wrócili do land rovera i leżącego, zabitego wartownika. Policjant był śmiertelnie przerażony, czując, że może w każdej chwili zginąć. Hussajn zapytał:

- Którędy do miasta? - Tamten pokazał. - Dobra, starczy tego zabijania na dzisiaj. Spieprzaj, bo się rozmyślę.

- Można powiedzieć - stwierdził Khazid - że utknęliśmy. Musimy szybko dostać się do Bretanii, a to kawał stąd.

- Mam pomysł - powiedział Hussajn siadając obok niego. Polecimy tam.

Khazid włączył silnik.

- Nie mamy samolotu.

- To będziemy mieli.

I szybko odjechali.

* * *

Na budynku, stojącym na końcu pomostu, wisiał napis „CANAIR”, ale wewnątrz nie paliło się żadne światło a wokół trwała niezmacona cisza. Gdzie niegdzie paliły się tylko światła na zacumowanych w przystani łodziach i od czasu do czasu dolatywał śmiech z kawiarni, których pełno było w wąskich uliczkach dzielnicy portowej.

Khazid wyjął latarkę, którą zabrał z biura na lotnisku i zapalił ją, żeby sprawdzić poziom paliwa w zewnętrznych zbiornikach hydroplanu. Samolot był tak stary, że poziom paliwa wyznaczał zwykły bagnet. Pokazywał dwie trzecie.

- Nieźle - stwierdził Hussajn.

- Nie powiedziałaś, dokąd lecimy.

- Na Baleary - najlepsza będzie Majorka, bo jest największa. Lotnisko w Palma obsługuje loty międzynarodowe, jest ich kilkadziesiąt dziennie, głównie czartery z turystami. Można stamtąd polecieć w każde miejsce.

- Czyli myślisz o tym, żeby polecieć od razu do Anglii?

- Nie, to byłoby zbyt ryzykowne, ale jest stamtąd sporo lotów do Francji. A to już co innego.

Po drugiej stronie przystani pojawił się policyjny samochód, z którego wysiadło dwóch policjantów. Po chwili nadjechał z miasta kolejny radiowóz i zaparkował obok tamtego.

- Myślisz, że mogą być kłopoty? - zapytał Khazid. - Może kapitan zabezpiecza sobie tyłek. Paru mu żeśmy zatłukli.

- Nie mam zamiaru czekać, żeby się dowiedzieć. Wsiadamy.

Wszedł do środka, za nim wskoczył Khazid. Zapięli pasy, Hussajn włączył silniki i powoli zaczął odbijać od nabrzeża. Płynęli w ciemnościach w kierunku wyjścia z portu, które było dobrze oświetlone. Minęli pirs i przed sobą mieli tylko ciemność.

Khazid wyglądał przez okno i zobaczył samochody policyjne wjeżdżające na pomost, od którego odbili.

- Chyba żeśmy ich zainteresowali.

- No to jest już za późno. - Hussajn zwiększył moc silników. Gdy nadszedł właściwy moment, ściągnął do siebie drążek i samolot wzbił się bez problemów w powietrze. W dole gdzie niegdzie połyskiwały światła statków.

- Jak daleko jest do Majorki? - zapytał Khazid.

- Mamy trochę czasu. Lot zajmie nam trzy, może cztery godziny. Jeśli będziemy lecieć tym rupieciem wolniej, to zużyjemy mniej paliwa. Potem sprawdzimy, jaka jest sytuacja z lądowaniem na lotnisku. Ale mam dobre przeczucia. Póki co udało się nam, a mogło być o wiele gorzej. Poza tym podoba mi się ten samolot.

Wyrównał lot na tysiącu siedmiuset metrach i włączył automatycznego pilota.

- Boże, jak ja śmierdzę. - Spojrzał na uświniony garnitur. - Armani by umarł, gdyby to zobaczył.

- Przecież jesteś człowiekiem, który „gdy potrzebuje garnitur, to kupuje garnitur”. Na miejscu zmienisz ubranie.

- Tak, Palma to w miarę eleganckie miejsce. Na lotnisku będzie sporo butików. Otworzysz moją torbę? Na dole w rogu w podszewce jest ukryta broszka.

Khazid znalazł ją, a Hussajn odsunął klejnot i znalazł przycisk.

- To nasza ostatnia deska ratunku. To maleństwo połączy nas z Maklerem.

Przycisnął guzik i włożył broszkę do kieszeni.

* * *

Hussajn był zdziwiony, że odzew nadszedł tak szybko i już po chwili Makler słuchał opowieści o tym, co zaszło w Khufrze.

- Szkoda majora Hakima Mahmouda. To był wartościowy współpracownik.

- Szybko znajdziesz sobie kogoś nowego.

- To co teraz zamierzasz?

- Kiedy będziemy na miejscu, wylądujemy gdzieś hydroplanem i pójdziemy na lotnisko. Ty sprawdź dla nas loty i daj mi znać.

Pół godziny później Makler oddzwonił.

- Wszystko sprawdzone. Jest stamtąd sporo samolotów do Francji, w tym kilka tanich lotów na mniejsze lotniska. Będzie jak w autobusie i nie dadzą wam kawy, ale za to nikogo nie będzie interesować, kim jesteście. Jest na przykład lot do Rennes leżącego osiemdziesiąt kilometrów od Saint-Malo w Bretanii, do którego można dojechać pociągiem. A Saint-Denis jest

tylko kilkanaście kilometrów dalej. To chyba najlepsze połączenie. Biletami, niestety, musicie się zająć sami.

- Ten człowiek jest bezczelny, jak mało kto - stwierdził Khazid. - Widać, że ten jego tak zwany idealny świat ma niejedną ryse, a on bawi się w protekcjonalność.

- Nie myśl teraz o tym. - Hussajn powrócił do ręcznego sterowania. - Postaraj się zasnąć i odpocząć. Ja będę pilotował. - Ujął drążek i wyprostował się zadowolony w fotelu.

* * *

Była czwarta rano i księżyc blado oświetlał morze pod nimi, gdy nagle zobaczyli wybrzeże. Ustawili kierunek lotu równoległe do niego i trzymając się wysokości dwustu metrów szukali miejsca na lądowanie. Khazid pierwszy dostrzegł małą zatoczkę w kształcie półksiężyca z małym pomostem, przy którym nie było żadnych łodzi. Po obu stronach zatoki stało wiele okazałych willi.

- To miejsce, z którego korzystają bogaci turyści, przyplływający tu łodziami. Większość z nich ma tu swoje wille. Założę się, że ludzie pomyślą, iż hydroplan należy do któregoś z nich.

- Rzeczywiście może tak być.

Hussajn wylądował w zatoczce i podpłynął do pomostu. Przybił do niego, a potem wyłączył silniki. Niewielkie fale bujały samolotem, objijając go o pomost. Hussajn wyskoczył na zewnątrz, za nim pojawił się Khazid podając mu torby. Ruszyli w górę schodami i weszli na ścieżkę biegnącą przez niewielki sosnowy las, za którym rozciągała się winnica. Widać było kilka willi i gospodarstw, ale nie dominowały one nad krajobrazem.

- Zdejmujemy płaszcze - zarządził Hussajn. - Musimy się dopasować i wyglądać normalnie.

Niebo było różowe od jutrzeńki, potem zazłociło się wraz ze wschodzącym słońcem. Gdzieś w oddali szli ludzie. Było wprost przepięknie. Weszli na główną drogę, a gdy doszli do wioski, ta już tętniła życiem.

- To co teraz? - zapytał Khazid.

- Nie wiem.

W tym momencie przechodzili obok ładnej tawerny z przyjemnym ogrodem i tarasem,

który zamiatała młoda kobieta. Uśmiechnęła się do nich i przywitała po hiszpańsku, Hussajn odpowiedział jej po angielsku. Khazid także się przywitał, ale dodając do angielskiego francuski akcent.

- Dzień dobry, mademoiselle. Czy jeżdżą tędy jakieś autobusy?

- Pierwszy będzie dopiero w południe. Czy coś się stało?

- Wynajęliśmy samochód - odpowiedział zmartwionym głosem - który się niestety zepsuł.

Dzwoniliśmy do nich, ale nikt nie odbiera telefonu.

- A w południe mamy samolot - dodał Hussajn.

- Rozumiem. I musicie dojechać do Palma?

- Tak, i to jak najszybciej.

- Tak się składa, że mój barman Juan, zaraz po śniadaniu jedzie do miasta po produkty.

Na pewno mógłby was podrzucić. Zapytam go. Może chcecie napić się kawy i coś przekąsić w międzyczasie?

Weszła do środka, a oni usiedli przy stoliku.

- Mamy też inny problem - powiedział Hussajn. - Gdybyśmy trafili na ten samolot z przemycanymi narkotykami, który miał nas nielegalnie podrzucić do Francji, nie mielibyśmy kłopotu z bronią.

- Więc musimy się wszystkiego pozbyć - stwierdził Khazid.

- I nie dostaniemy niczego od Romano. Wszystko załatwi nam dopiero ten Darcus Wellington, tak mówił Makler.

- W porządku. Nie mamy innego wyjścia. - Khazid przełożył waltery i colty do swojej kieszeni. - Czuję się jakbym sobie rękę odcinał, ale jeśli trzeba... - Wzruszył ramionami. - Poszukam jakiejś studzienki.

Zniknął w winnicy, która rozciągała się za ogródkiem. Dziewczyna wróciła z kawą, rogalikami i marmoladą. Zmarszczyła nos.

- Co się stało?

- Gdy próbowałem naprawić samochód, straciłem równowagę i wpadłem do rowu obok.

- Jeśli chce pan się umyć, to bardzo proszę. Łazienka jest obok baru, prysznic też jest.

Wstał i udał się do łazienki witając po drodze młodego człowieka czyszczącego bar, zapewne Juana. Obejrzał się w lustrze i skrzywił na swój widok, a potem rozebrał, wziął prysznic i dokładnie się wytarł. Poczul się o wiele lepiej, choć ubranie nadal śmierdziało. Gdy wrócił,

Khazid w skandaliczny sposób flirtował z dziewczyną popijając czerwone wino, które przyniosła do spróbowania.

- Chodź, mon ami - powiedział. - Spróbuj wina, robi dobrze na serce. - I Hussajn, chcąc nie chcąc, przystał na tę grę i mężnie je wypił.

Pojawił się Juan, więc się pożegnali, weszli na tył ciężarówki opierając się plecami o kabinę pasażera i samochód ruszył.

- Fajna dziewczyna - powiedział Khazid. - Pomyśl sobie. Dwóch takich, jak my, a ona nic o nas nie wie.

- Tym lepiej dla niej.

Hussajn oparł się plecami o kabinę i zamknął oczy.

* * *

Gdy przyjechali na lotnisko, dali Juanowi pięćdziesiąt dolarów za podwiezienie, i potem przeszli przez niezliczone butiki w poszukiwaniu sklepu z męskimi ubraniami. Hussajn trzymał torbę, ale dał Khazidowi swój brytyjski paszport, żeby mógł kupić im bilety. Nikt nie wiedział lepiej od niego, jak niedbale potrafią być służby na lotnisku, gdy muszą radzić sobie z masą ludzi.

Właściciel sklepu i jego asystent, który prawie na pewno był jego kochankiem, aż cmoknęli, gdy usłyszeli o wypadku i przygotowali mu pełen komplet ubrania. Bielizna, jedwabne skarpetki, koszule, biała i niebieska, drogi letni garnitur od Armaniego i jasne półbuty były tym, czego potrzebował Hussajn. Stał i przeglądał się w lustrze. Uznał, że wygląda idealnie. Zauważył też wiszący płaszcz w kolorze oliwkowym i też go wziął, płacąc w momencie powrotu Khazida.

- Mój Boże, wyglądasz jak księżę.

- Daruj sobie pochlebstwa. Masz bilety?

- Oczywiście. Dziewczyna w kasie była Francuzką, a ja dla niej stałem się rodowitym Francuzem. Dwa do Rennes, rząd E, wylot o jedenastej trzydzieści. Wracamy z wakacji.

- I dobrze. Schowaj dodatkowe paszporty w ukrytej kieszeni. Kupimy po drodze walizkę, włożymy do środka obydwie torby, żeby mieć je pod ręką. Skontaktuję się z Maklerem.

Przycisnął guzik w broszce i usiadł w rogu poczekalni. Za chwilę odezwał się telefon.

- Musieliśmy pozbyć się broni. Nieprzewidziane okoliczności.
 - W tej chwili nic na to nie poradzę, ale gdy będziecie w Anglii, to będziecie mieli wszystko. Darcus Wellington was zaskoczy.
 - Potwierdziłeś George'owi Romano, że jesteśmy w drodze?
 - Wszystko jest załatwione. - Makler się rozłączył, a Hussajn powiedział do Khazida:
 - Zjadłbym teraz coś dobrego.
 - Bardzo dobry pomysł.
- Wstali i skierowali się do restauracji.

Irlandia**Londyn**

Rozmowa Ropera z Borysem Łuskowem odbyła się dzień wcześniej, dokładnie dwadzieścia cztery godziny przed przylotem Hussajna i Khazida na Majorkę. Oczywiście Łuskow nie był w stanie porozmawiać z Maklerem, ale z Wołkowem jak najbardziej. Zadzwoił na Kreml pod jego zastrzeżony numer.

- Towarzyszu generale, mam dla was coś interesującego, coś bardzo interesującego.
- No to mówcie, zobaczymy.
- Właśnie rozmawiałem z Roperem z Holland Park.
- Co? Mówcie wszystko, czego się dowiedzieliście.

* * *

Łuskow nie mógł przekazać Wołkowowi wszystkich faktów, ponieważ w trakcie rozmowy Roper nie znał jeszcze najnowszych wydarzeń - tego, że Hussajn zdążył pochować wuja i dwóch swoich przyjaciół. Informacja o jego zdjęciu zamieszczonym w brytyjskich gazetach, dotarła już do uszu Wołkowa, ale Makler nie wspomniał ani słowem, że Hussajn próbuje przedostać się do Anglii.

- Jak myślicie? - zapytał Łuskow. - Można mu wierzyć, czy też są to rojenia starego, podpitego inwalidy?

- Pamiętaj, że Roper niczego nie robi bez powodu. Czy prawdą jest, że Greta pracuje teraz dla Charlesa Fergusona? W sumie podejrzewaliśmy ją o to. Poza tym doskonale wiemy, że Lewin i jego sierżanci są w Dublinie. Ta sprawa z Raszidami i z dziewczyną w Hazarze jest bardzo interesująca, choć wcale mnie nie dziwi, że Dillon i ten przekłety Salter maczali w tym paluchy. Natomiast pomysł, żeby Hussajn jechał teraz do Londynu jest, moim zdaniem, po prostu głupi. No i ogólnie wychodzi na to, że pomoc z jego strony w jakichkolwiek naszych sprawach,

jest już chyba nieaktualna. Pamiętajcie, że cały czas zastanawiamy się, jak zrobić porządek z Fergusonem. Jego działania połączone z tym, co robią Dillon i Harry Salter, nie mówiąc już o ich kryminalnych powiązaniach, są wkurzające.

- Oni nabruździli nawet moskiewskiej mafii - zaśmiał się Łuskow. - A Czeków chwilowo jest bezużyteczny. Co chcecie zrobić?

- Nie wiem jeszcze, ale coś trzeba szybko wymyślić.

- To musi być coś takiego, żeby tamtym oko zbiełało - powiedział Łuskow. - Wiem, że przemoc jest może oklepana, ale Strański i Czeków powinni być w tym dobrzy, jak mało kto.

- Wiele osób, nie tylko z naszej branży, ale i z półświatka opowiada, że Harry Salter z powrotem rozkręca nielegalne interesy.

- A czy ich kiedyś nie miał?

- On jest bardzo cwany, Borys. Potwierdza to nawet, choć niechętnie, policja. To, co robi, trafia w tych, których wszyscy chcą się pozbyć.

- Jak na przykład Rosjan z Londynu - wtrącił Łuskow. - Oligarchowie z miliardami i żołnierze mafii. Widać ich i słyszać, więc niby dlaczego zwykli londyńczycy mieliby ich traktować z sympatią?

- Powiem wprost, chcę załatwić Saltera - oznajmił Wołkow.

- Nie będzie łatwo dostać się w jego pobliże, prawie tak samo jak niemożliwe jest podejście Fergusonu.

- Czy ja wiem? Jak chcesz uderzyć psa, to kij się zawsze znajdzie. A ten idiota, który strzelał do Reagana?

- Reagan potem powiedział żonie: „Kochanie, zapomniałem uskoczyć”.

- Aktor, no i z dużym poczuciem humoru.

- Spore, jak na człowieka, który załatwił komunizm i Związek Radziecki.

- Wystarczy tej lekcji historii. Dam wam przykład z naszego podwórka. Gdy Igor Lewin dostał rozkaz pozbycia się czeczeńskiego generała, to zdołał podejść tak blisko, że poderżnął mu gardło w hotelu, który był wtedy centrum czeczeńskiego dowodzenia.

- Ale Lewin jest prawdziwym artystą.

- Dla mnie jest jasne, że Roper zadzwonił do ciebie tylko po to, żebyś przekazał te wiadomości właśnie mnie. Ciekawe tylko dlaczego?

- Może tylko po to, żeby po prostu namieszać.

Po tym słowach obydwaj się rozłączyli.

* * *

- Ciekawe do kogo teraz zadzwoni? - zastanawiał się Łuskow. A Wołkow, rzeczywiście, od razu złapał za słuchawkę telefonu i wybrał numer Igora Lewina.

W Dublinie dochodziła akurat jedenasta, było zimno i deszczowo. Lewin był w swoim mieszkaniu i wyglądał przez okno, za którym z powodu pogody i tak prawie nic nie było widać. Odebrał od razu. Wiedział, że rozmowy przychodzące na jego kodowany telefon zawsze dotyczą ważnych spraw, ale ze zdziwieniem usłyszał głos Wołkova, szczególnie, że ten całkiem niedawno dzwonił.

- Generale, co za niespodzianka. Czym mogę służyć?

- Nie będę owijał w bawełnę. Ostatnim razem, kiedy dzwoniłem z Paryża, poprosiłem żebyś wrócił. Mówiłem też o rozmowie z prezydentem Putinem, który prosił mnie o przekazanie, że potrzebuje cię Rosja i on sam.

Lewin wybuchnął śmiechem.

- Co to za gadanie? Kogo mam zastrzelić? - Zaśmiał się znowu. - W Dublinie jest masa różnych zabijaków. Mam znaleźć jakiegoś?

- Ty żydowski niewdzięczniku - wrzasnął Wołkow, rozwścieczony.

- Gwoli ścisłości, jestem pół-Żydem. - Obelga nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

- Uprzejmie przypominam, że mój ojciec był wielokrotnie odznaczanym pułkownikiem Armii Czerwonej. Poza tym, generale, bardzo się już Rosji przysłużyłem.

Wołkow wziął kilka głębokich oddechów i uspokoił się.

- Faktycznie, drogi Lewin, wybaczcie to, co powiedziałem. Wasz ojciec był rzeczywiście wspaniałym żołnierzem. A wy sami podsunęliście mi pewien pomysł. Bardzo dziękuję.

* * *

Rozłączywszy się od razu zadzwonił do Michaela Flyna ze Scamrock Security, który

właśnie siedział w swoim gabinecie dyktując pismo sekretarce, Mary O'Toole, tej samej, z którą spotykał się Popow.

- Pan Flynn? Tu Wołkow. Musimy porozmawiać.

- Jasne. To coś bardzo ważnego?

- Niezwykle, i to dla nas obu.

- Dobrze - odpowiedział Flynn. - Mary, przerwiemy na chwilę. Zawołam cię później.

- Oczywiście, proszę pana.

To, co działo się między nią a Popowem, wcale nie podobało się Flynnowi. Mary była przez niego wcześniej adorowana w sposób, w jaki mężczyzna pod sześćdziesiątkę może adorować atrakcyjną dwudziestolatkę. Oczywiście romans nie trwał zbyt długo i Flynn zostawił Mary, jak wiele innych dziewczyn, z poczuciem krzywdy, szczególnie, że pochodziła ona z tradycyjnej, katolickiej rodziny i była dumna ze swojego związku z podporą niegdysiejszej Provisional IRA. Flynn, który był specjalistą od ochrony, miał w pokoju niejedno urządzenie podsłuchowe, niektóre z nich były włączane z sekretariatu. Mary odkryła je całkiem niedawno i teraz korzystała z nich regularnie. Zrobiła to i teraz.

- Drumore Place i budynki Belov International. Jest pan nadal zainteresowany ochroną tych miejsc? - zapytał Wołkow.

- Oczywiście, że tak.

- No to załatwione. Proszę czekać na umowę. Będzie pan odpowiedzialny za ochronę całego kompleksu i posiadłości. Słyszał pan o kłopotach Maksa Czekowa?

- Złe wiadomości szybko się rozchodzą. W Dublinie wiemy, jak się załatwia takie rzeczy. Szkoda gadać.

- Chwilowo przejmuję zarządzanie firmą i mówiąc szczerze, chciałbym mieć pewność, że zapewni pan bezpieczeństwo dla naszych interesów.

Słyszac to, Flynn nie wierzył własnym uszom.

- Mój Boże, generale, jestem cały do pańskiej dyspozycji.

- Oczywiście, że tak. Będzie pan mógł zatrudnić starych towarzyszy broni z Provisional IRA?

- Rozumiem, że chodzi o najemników?

- Mniejsza o słowa. Chodzi mi o ludzi, którzy wiedzą do czego służy broń i nie zawahają się jej w odpowiednim momencie użyć. Mówiąc krótko - pan wie, kim ja jestem, a ja wiem, kim

pan jest. Powiedzmy, że mam dla pana zadanie do wykonania w Londynie. Znajdzie pan odpowiednich ludzi?

- Do czego?

- Generał Charles Ferguson, który przewodzi specjalnej jednostce wywiadu, bardzo mi przeszkadza. Kilku ludzi z jego zespołu pewnie pan zna, na przykład Seana Dillona czy Harry'ego i Billy'ego Salterów.

- Znam Fergusona prawie od trzydziestu lat. Dillona też, choć nieco inaczej. Kiedyś był wspaniałym towarzyszem broni, ale teraz gdyby mi wszedł w drogę, zastrzeliłbym go bez zmruczenia oka. Dokąd ten świat zmierza...

- Weźmie pan zlecenie na Fergusona i Harry'ego Saltera, którzy bezpośrednio odpowiadają za to, co przydarzyło się Czekowowi? - dopytywał się Wołkow.

- Oczywiście. Proszę mi wierzyć, że jest w Londynie paru starych wygów z IRA, którzy nadal potrafią podłożyć bombę albo posłać kulkę. Irlandzka dzielnica w Kilburn nie śpi. Chce pan ukrytych szpiegów pracujących w City albo siedzących w wydawnictwach? Proszę bardzo. Muzułmanie myślą, że to ich wynalazek, ale oni tylko później na niego wpadli. Kiedy chce pan mieć to wszystko z głowy?

- Najlepiej dzisiaj.

- Słucham?

- Żartuję, ale sprawa jest dość pilna. Natomiast jedną rzecz trzeba zrobić od razu. Jest do odstrzału jeden gość w Dublinie. To mój były człowiek - Igor Lewin. Jego sierżantem był Popow, który u pana pracuje. Od razu ostrzegam, że Lewin to niebezpieczny gość.

- Jemy takich na śniadanie.

- Natomiast jeśli chodzi o warunki...

- Lewin to prezent ode mnie dla pana, generale. Jeszcze dzisiaj się tym zajmę.

- Więcej zatem nie oczekuję. Razem daleko zajdziemy.

Flynn od lat nie był tak podekscytowany. Wezwał przez interkom Popowa. Mary patrzyła jak ten idzie do gabinetu z czerwoną twarzą i słuchała dalej.

- Będziemy zajmować się ochroną firmy Belov International, więc z powrotem pracujesz dla generała Wołkova, teraz on tam rządzi. Maks Czeków miał nieprzyjemny wypadek.

- To świetnie. Mówię oczywiście o generale Wołkowie. Jak mogę pomóc?

- Już ci mówię. Ten twój znajomy, Igor Lewin...

- Pracowaliśmy razem w GRU.

- Chciałbym z nim pogadać. To sprawa poufna i może mi bardzo pomóc przy tym kontrakcie.

- Nie mogę zagwarantować, że pójdzie na współpracę. Jest bardzo bogaty a to zwykle utrudnia współpracę.

- No cóż, trzeba mu będzie złożyć ofertę nie do odrzucenia.

- Co mam zrobić? - zapytał Popow z niechęcią w głosie.

- Powiedz mu, że chcę się z nim spotkać i pogadać. Niech przyjedzie do baru Riley's na Crown Street, tuż przy rzece. Bar będzie zamknięty, ale niech zapuka. Ja będę czekał w środku. Twój udział polega tylko na przyprowadzeniu go tam. Powiedz mu, że poczekaś na niego w kawiarni na końcu ulicy. Dobra, weź komórkę i dzwoń do niego. Zobaczymy się później, bo mam teraz coś do załatwienia.

Gdy Popow wyszedł, Flynn zadzwonił ze swojego telefonu.

- To ty, Riley? Jest robota tak jak ostatnio. Zajmij się tym, a ciało niech sprzątną ci, co zwykle.

* * *

Potem Flynn zadzwonił do Green Tinker, znanego irlandzkiego pubu w londyńskiej dzielnicy Kilburn, prowadzonego przez Jimmy'ego Nolana i jego kuzyna Patricka Kelly'ego, którzy kiedyś siedzieli razem z Flynnem w więzieniu Maze. Flynn lubił rozmawiać z Jimmym o interesach. Gdy wyłuszczył mu o co chodzi, Jimmy zareagował na propozycję z wielkim entuzjazmem.

- Znamy doskonale tego psa Fergusona, jeszcze z Belfastu. Dillona też, chociaż nie mam pojęcia po co zadaje się z takimi gnojami jak Ferguson. Salter to z kolei zwykły przestępca. Pewnie zaczynał od napadów na kioski, a potem znalazł gnata w kieszeni i uznał, że jest najlepszy na świecie. To zwykli kryminaliści, Michael, nie to co my.

- Wysyłam ci mailem kilka zdjęć i parę informacji. Zadzwoń, jak coś będziesz miał. Można zarobić ładną sumkę - sto kawałków, słowo honoru. Tylko tego nie spieprz, Jimmy.

* * *

Zanim Popow wrócił do swojego pokoju, Mary O'Toole zdążyła już porozmawiać z Lewinem i, jak się potem okazało, ta rozmowa zmieniła całe jej życie. Postąpiła tak z kilku powodów. Oczywiście głównym motywem było wykorzystanie jej przez Flynna i porzucenie. Lecz to nie wszystko. Pochodziła z rodziny o silnych tradycjach republikańskich. Ojciec zginął zastrzelony przez brytyjskich żołnierzy, gdy miała siedem lat i przez całe życie była dumna z powiązań z IRA, a Flynn, którego bardzo podziwiała, kiedy był szefem sztabu, zawiódł ją na całej linii. Dlatego zadzwoniła do Igora Lewina, którego poznała wcześniej przy okazji spotkań z Popowem, i powtórzyła wszystko, co zapamiętała z podsłuchanej rozmowy.

Lewin od razu jej uwierzył, i bez zadawania zbędnych pytań natychmiast zadzwonił do Czomskiego, akurat jadącego samochodem przez miasto, i wszystko mu powtórzył.

- Chyba tam nie pojedziesz, co? Przecież to pułapka, to jasne jak słońce - stwierdził Czomski. - A historia o Dillonie, Salterach i Fergusonie, to wyjątkowo poważna sprawa - dodał.

- Jak wtedy, kiedy razem walczyliśmy w Afganistanie i Czeczenii, co? I bardzo dobrze, już za długo siedziałem beczynnie. - Zadzwonił dzwonek do drzwi. - To pewnie Popow - poinformował go Lewin.

- Jestem od ciebie o pięć minut drogi samochodem. Za chwilę będę.

Lewin otworzywszy drzwi, najpierw udał zdziwienie, że widzi Popowa, a potem z nadal udawanym zainteresowaniem wysłuchał tego, co ten miał mu do przekazania.

- Ciekawe, czego chce? Może chodzi o pomoc w firmie?

- Mówiłem mu, że możesz nie być zainteresowany - oznajmił Popow. - Miałem, oczywiście, na myśli twój majątek.

- Dobra, chodźmy, tylko pozwól, że się ubiorę do końca. - Lewin wprowadził go do salonu. - Nalej sobie drinka.

Wziął z łazienki krawat i tweedową marynarkę i poszedł do gabinetu. Tam podszedł do stojącego przy oknie biurka, otworzył szufladę i wyjął z niej dwa waltery z tłumikami. Włożywszy je, po jednym do każdej kieszeni, wracał do salonu, gdy znowu odezwał się dzwonek. W drzwiach stał Czomski w płaszczu przeciwdeszczowym. Lewin włożył mu ukradkiem pistolet do kieszeni.

- Cześć stary, ale nas wyczułeś. Jedziemy z Popowem spotkać się z Flynnem w barze

Riley's na Crown Street.

- Przejeżdżałem w pobliżu, więc pomyślałem, że może wyciągnę cię na obiad. A ty, Popow, dołączysz do nas?

Popow był zdenerwowany.

- No, nie wiem...

- Chodź, będzie fajnie - powiedział Lewin. - Skończę rozmowę z Flynnem i pogadamy o starych czasach.

- Wziął go za ramię i wyprowadził. Wsiadli do samochodu, prowadził Czomski.

- Podejrzewamy, że Flynn proponuje mi pracę. W ochronie - oznajmił Lewin.

Byli już nad rzeką i zagłębiali się w labirynt wąskich uliczek, przy których stało wiele starych i opuszczonych magazynów. W końcu dojechali na Crown Street. Nie było tam zbyt wielu miejsc do parkowania więc Czomski zatrzymał się za jakąś ciężarówką.

- Kawiarnia jest pewnie dalej, co? - zapytał Lewin.

- Mam tam na ciebie czekać - protestował Popow.

- Idziesz z nami, bez ciebie to żadna frajda - zdecydował Lewin. - No i jesteśmy.

Stali przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami z obłazającą z nich farbą okna były zasłonięte okiennicami. Z boku budynku biegła wąska uliczka.

- Przepraszam na chwilę - powiedział Czomski. - Wszedł w nią i zniknął za rogiem.

- No dawaj, otwieraj drzwi - polecił Lewin.

- Ale są zamknięte - wzbraniał się spanikowany Popow.

- Nie są. - Lewin złapał za klamkę, otworzył drzwi i wepchnął Popowa do środka.

Tymczasem Czomski znalazł boczne wejście do baru. Otworzył drzwi i znalazł się w kuchni, z której prowadziły dalej kolejne drzwi. Delikatnie je popchnął. Zobaczył kilka schodków i plecy stojącego przy nich mężczyzny w niebieskim kombinezonie z pistoletem w dłoni. Patrzył w drugi koniec korytarza, który zasłaniała zielona kotara. Usłyszawszy głosy wystrzelił dwa razy. Przez zasłonę wypadł na korytarz Popow.

W tym samym momencie Czomski postrzelił faceta w lewe ramię, a gdy odrzut go odwrócił, strzelił w serce. Podeszedł do niego. Mężczyzna drgnął i skonał.

Lewin sprawdził Popowa.

- Nasz kolega, niestety, nie żyje.

- To swolocz, nie kolega. Należało mu się. Co teraz?

- Nic. Sam wiesz, że obecnie coraz więcej jest strzelanin w Dublinie. Ludzie uważają, że chłopaki z IRA nie mogą się pozbyć starych nawyków. Dwóch mniej. Spadamy stąd, powoli i spokojnie, a potem odjeżdżamy.

Lało jak z cebra. Wsiadli do samochodu i Czomski ruszył.

- Dokąd jedziemy?

- Z powrotem do domu, żeby wziąć parę rzeczy i pozbyć się broni.

- Dlaczego?

- Przecież nie zabierzemy pistoletów do Londynu. Ochrona na lotnisku zainteresuje się takimi gadżetami, nawet jeśli lecisz prywatnie.

- Czyli uciekamy stąd?

- Chyba tak. Znam aeroklub i lotnisko w Killane. Tam wypożyczają takim jak ja ekskluzywne samoloty. Po drodze zajrzemy też do ciebie. Nie zapomnij paszportu. - Powiedziawszy to, wyciągnął się wygodnie w fotelu.

* * *

Roper odebrał telefon z Killane o w pół do drugiej, w trakcie konferencji z Fergusonem, Dillonem, Billy'm i Gretą. Doyle i Henderson podpierali ścianę.

- W porządku - ciągnął Ferguson - chciałbym, żebyśmy na poważnie zajęli się obecną sytuacją.

Gdy rozdzwonił się telefon, Roper dołączył rozmówcę do konferencji.

- Roper? To ja, Lewin. Możemy pogadać?

- Jeśli ci nie przeszkadza, że wszyscy będą słuchać, to proszę bardzo.

- Nie przeszkadza. Właściwie to nawet lepiej. Wołkow chciał mnie załatwić wynajmując Michaela Flynna.

- Jak to? - dopytywał się Ferguson.

- Robi się gorąco. Wiecie, że Flynn będzie ochraniał, ze wszystkimi tego konsekwencjami, Belov International?

- Naprawdę? - zainteresował się Ferguson. - Mów!

Lewin opowiedział o wszystkim - o tym, co przekazała mu Mary O'Toole, o zdradzie

Popowa i strzelanie w barze.

- Czyli są tam teraz dwa ciała - stwierdził Dillon. - Będziesz miał problemy?

- Raczej nie. Flynn polecił Riley'owi, żeby ciała zabrali ci sami ludzie, co zawsze. Teraz mają dwa. Poza tym zawsze uważałem, że Popow marnie skończy.

- To Judasz - stwierdził Dillon. - Jak myślisz, dlaczego Mary O'Toole powiedziała ci o wszystkim?

- No, to jest rzeczywiście interesujące. Powiedziała, że jak na człowieka, który niegdyś był szefem sztabu Provisional IRA, takie zachowanie to hańba. Potem przypomniałem sobie, że Popow mi opowiadał o jej ojcu. Był w IRA i zginął od brytyjskiej kuli w Ulsterze.

- Ta dziewczyna ma większe jaja niż niejeden, który miał broń w ręku. Upewnij się, że będzie bezpieczna, dużo jej zawdzięczasz.

- Zajmę się tym.

- A gdzie teraz jesteś? - zapytał Roper.

- W aeroklubie w Killane pod Dublinem. W takich okolicznościach zdecydowaliśmy się z Czomskim przylecieć do was.

- Czy ja dobrze słyszałam? - zapytała z podekscytowaniem Greta.

- Greta, kochanie, znudziłem się takim życiem. Dublin jest uroczy i jest jednym z najwspanialszych miast, ale dni spędzane na pustych przyjemnościach lecą mi przez palce i nic po nich nie zostaje.

- To dość niezwykle wyznanie, szczególnie jak przypomnę sobie to, co mówiłeś wcześniej - dodał lekko rozbawiony Ferguson. - A jeszcze jak nam powiesz, że ty i sierżant Czomski szukacie roboty, to zapraszam.

- Na pewno, generale?

- Wszystkie grzechy zostaną odpuszczone. Załatwicie tam sobie samolot?

- Tak jest.

- Użyjcie brytyjskich paszportów. Wiem, że macie kilka różnych, ale wolę te. Powiedźcie też pilotowi, żeby odpowiednio wcześniej przekazał nam szczegóły i... witamy na Farley Field.

- Zobaczymy się niedługo, generale.

* * *

Śmierć Riley'a i Popowa nie została jeszcze odkryta, a Flynn nie wrócił jeszcze do firmy. Mary O'Toole włożyła płaszcz, wzięła torebkę i już miała wychodzić, gdy zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę.

- Mary O'Toole? Tu Lewin.

- Właśnie wychodziłam, Flynn'a jeszcze nie ma.

- Mam nadzieję, że opuszcza pani to miejsce na stałe. Uratowała mi pani życie, pani O'Toole, i jeśli nie będzie żadnych śladów pani zaangażowania w tę sprawę, to powinna być pani bezpieczna.

- Już zostawiłam kartkę na jego biurku. Jeśli mam być szczerą, to moje odejście będzie mu na rękę. Jakiś czas temu mieliśmy romans, rzucił mnie, ale nie to było głównym powodem do zemsty. Kiedy pomyślałam o tacie i o tym, za co zginął, a potem o Flynnie i jego brudnych interesach, poczułam, że muszę do pana zadzwonić.

- Zatem krótko - mieszka pani sama?

- Tak, wynajmuję mieszkanie kwadrans stąd na piechotę.

- Ma pani paszport?

- Jasne.

- Wyświadczyła mi pani największą przysługę w życiu i wiele pani zawdzięczam. Jestem w tej chwili w aeroklubie w Killane, dwadzieścia minut samochodem z Dublina. Lecimy z Czomskim do Anglii. Będzie chyba najlepiej, jeśli na jakiś czas pani zniknie, serdecznie zapraszamy. Londyn to cały świat, tam się pani ukryje.

- Naprawdę tak pan myśli?

- Oczywiście. Ma pani na taksówkę?

- Mam. Zresztą tu zaraz jest postój. Pojadę do domu, a potem do was dołączę.

Lewin schował komórkę i oparł się o barowy stolik. Czomski zamówił dwie wódki, podniósł kieliszek.

- Za Mary O'Toole, miłą dziewczynę, która zrobiła co do niej należało.

- Jej zdrowie. - Lewin wypił.

Skierowali się do wyjścia i tuż za drzwiami spotkali pierwszego pilota Magee, który razem z drugim, młodszym pilotem Murphy'm schowali się przed deszczem i rozmawiali paląc papierosy. Ujrzawszy Lewina, Magee zapytał:

- Wszystko gotowe?

- Tak. Trzech pasażerów. Lecimy na Farley Field w hrabstwie Kent, pod Londynem. Wszystko jest załatwione i już tam na nas czekają.

- Nie znam tego lotniska. Sprawdź je, Murphy.

Murphy wrócił po chwili.

- Wszystko w porządku, istnieje takie, tylko ma klauzulę zastrzeżonego.

- A wysłaliście nasze nazwiska? - zapytał Czomski. - Sprawdźcie dokładnie, albo chodźmy tam wszyscy. - Na monitorze widniały ich nazwiska - Igor Lewin i Iwan Czomski.

- Mój Boże - wykrzyknął ze zdumieniem Magee. - Musicie mieć ważne powody, żeby tam lecieć. Sam będę pilotował, a ty lecisz ze mną - oznajmił Murphy'emu. - Kilka dni w Londynie dobrze nam zrobi. Weźmiemy beechcrafta King Air. - Spojrzał na Lewina. - Turbośmigłowy, ale lata równie szybko, co odrzutowce, za to ma wygodniejsze fotele. Co z ostatnim pasażerem?

- To dama. Będzie niedługo.

- Czy jej nazwisko jest zastrzeżone?

- Och, dziękuję za przypomnienie. - Wyjął komórkę i wybrał numer.

Roper odebrał telefon od razu.

- Leci z nami ta dziewczyna, Mary O'Toole - poinformował go Lewin. - Postanowiłem zabrać ją stąd, żeby nie miała nieprzyjemności ze strony Flynna. Zgoda?

- Oczywiście. Rozmawiałem z Harrym i on wie, że też jest ci coś winien. Gdybyś nie przekazał tych informacji, to miałby już na karku Jimmy'ego Nolana i Patricka Kelly'ego.

- Tak, ale nie wiedziałbym o niczym, gdyby nie ona. Jeśli chce mi wyświadczyć przysługę, to niech znajdzie jej robotę.

- Bardzo słuszna uwaga. Zobaczymy się w Holland Park.

- To znaczy, że nie mogę zostać w Dorchester?

- Potraktuj to jako odprawę po wykonanej misji. Poza tym z kryjówki zrobił się teraz hotel.

Chwilę później przyjechała taksówką Mary. Miała ze sobą tylko małą walizeczkę i torebkę. Była wyjątkowo podekscytowana.

- Tak mało bagaży chyba nigdy w życiu nie miałam.

- Nie było Flynna? - zapytał Lewin.

- Do mojego wyjścia nie.

- Daj Iwanowi paszport, załatwi formalności.

Poszła z Czomskim zostawiając walizkę pod drzwiami. Murphy ją podniósł.

- To jest właśnie kobiece podejście do sprawy. Przecież widząc ją, ludzie pomyśleliby, że może w niej być podłożona bomba. Czy one nigdy się nie nauczą?

- Chyba nie - mruknął Lewin. - Wziął walizkę Mary i ruszył za nimi.

Magee wypełniał jeszcze jakieś dokumenty i gdy skończył, wstał.

- W porządku, możecie iść z Murphym. Ja zaraz dołączę.

Wyszli na zewnątrz i zobaczyli stojący na deszczu samolot. Wyjęli ze stojaka kilka wielkich parasoli i ruszyli w stronę samolotu. Lewin się uśmiechał, a gdy Czomski spojrział na niego, też się uśmiechnął. Zostawiali wszystko za sobą i zaczęli nowe życie, niezależnie od tego, jakie by było.

* * *

Michael Flynn, powiadomiony o całym zajściu przez ludzi mających zabrać z baru ciało Lewina, przyjechał tam i nie wierząc własnym oczom patrzył na ciała Riley'a i Popowa. Riley był człowiekiem o niemal diabolicznym charakterze, mającym na koncie wiele ofiar, i to zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Mordował dla każdego, kto zapłacił. Był zwykłym rzeźnikiem, którego IRA jednak tolerowała, ponieważ był użyteczny. Już sama jego obecność budziła w ludziach trwogę, a teraz leżał po prostu martwy na ziemi. Mężczyźni, którzy przyjechali po ciała, byli ludźmi tego samego sortu, co Riley.

- Sam w to nie wierzę, proszę pana. Riley zamordowany. Nie myślałem, że tego doczekam.

Flynn nawet nie wyobrażał sobie, że Riley może tak skończyć.

- Nie żyje i kropka. Włóżcie go do worka.

- A ten drugi? Nawet ma dokumenty. Śmieszne nazwisko. - Jeden z nich podał mu pusty portfel Popowa.

- Mówiłem wam już wcześniej - wycodził. - Gotówkę można wziąć, ale trzymać się z dala od kart i dokumentów. Ja się ich pozbędę.

Bez słowa oddali mu karty i papiery.

- Dobrze, że mamy w samochodzie drugi worek.
- Gdzie ich zabierzecie?
- O, na pewno nie chciałby pan wiedzieć.
- Rzeczywiście, nie chcę. - Wyjął z kieszeni kopertę wypchaną banknotami.
- Miał być jeden, proszę pana. Riley'a nie było w planach.
- To następnym razem zaplanuję ten wydatek. Wystarczy wam to - warknął Flynn i rzuciwszy im kopertę wyszedł.

Jadąc samochodem zastanawiał się i nad marnym końcem Popowa, i nad tym, co się stało z Lewinem. Postanowił to sprawdzić. Poza tym był wściekły, że pierwsze zlecenie Wołkowa nie zostało wykonane, uznał jednak, że na razie nie warto go o tym informować.

* * *

Było w pół do trzeciej i w pubie Green Tinker siedziało przy piwie tylko dwóch starszych mężczyzn, za barem stał stary Bert Fahy. Nolan i Kelly dzwonił z komórek i chwilę po tym przed pubem zatrzymały się dwa samochody, z każdego wysiadło dwóch mężczyzn. Weszli pojedynczo do środka i przeszli do zamkniętej części pubu.

Wszyscy byli z Kilburn, irlandzkiej dzielnicy Londynu od stu pięćdziesięciu lat, a jej mieszkańców uważano za twardych ludzi. Za takich uważali się Danny Delaney i Sol Flanagan. Obydwaj długowłosi, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Ubierali się w luźne, modne garnitury, które nadawały im trochę włoskiego wyglądu i zajmowali się narkotykami, które zresztą sami brali. Na koncie mieli już napady z bronią w rękę i włamania, ale to, co rzucało się od razu w oczy, to drapieżny, niespokojny wyraz ich twarzy.

Jack Burke i Tim Cohan byli z zupełnie innej gliny - obydwaj przed pięćdziesiątką w młodości członkowie IRA i weterani walk o niepodległość Ulsteru - byli silni i spokojni, ich twarze nie wyrażały żadnych emocji. Spotkali się w takiej grupie po raz pierwszy i ich spojrzenia tym razem coś wyrażały - pogardę wobec tych młodszych. Wiedzieli, że chwała IRA dawno minęła i nie było sensu ani temu zaprzeczać, ani się przechwalać dawnymi sukcesami.

Pierwszy odezwał się Danny Delaney.

- Jimmy Nolan powiedział mi, że widzi was przy tej robocie. Burke i Cohan, proszę,

proszę - zachichotał nerwowo.

- Macie nazwiska jak grabarze - zadrwił Flanagan. - Słyszałem, że byliście w tej bandzie, co zrobiła napad stulecia na arabskie biuro podróży na Trenchard Street w zeszłym tygodniu. Ci kozojebcy mieli tam podobno kupę forsy.

- Słyszałem o dwudziestu kawałkach - dorzucił Delaney.

Dwóm starszym nawet nie drgnęła powieka. W tej chwili podszedł do nich Bert Fahy, z brudnymi kuflami w ręku po dwóch klientach, którzy w pośpiechu opuścili pub.

- Co podać, panowie?

- Bushmills dla wszystkich, duży - powiedział Delaney. - Jak mamy rozmawiać o interesach, to musimy mieć jasny umysł. - Pogwizdując usypał na barze kreskę kokainy, wciągnął ją i popił whisky, którą podał Fahy.

- To rozumiem.

Flanagan zrobił to samo, co Delaney, dopijając whisky do końca.

- Zajebista. Chodź stary, walniemy jeszcze raz.

Burke patrzył na nich z obrzydzeniem.

- Podobno nos od tego gnije - oznajmił Burke, patrząc na nich z obrzydzeniem.

- Jeśli dostatecznie długo wciągasz - dodał Cohan.

Delaney już był na haju.

- A z tym biurem podróży to pewnie wam się udało tak, jak nam z tym arabskim sklepem, który zrobiliśmy w zeszłym tygodniu w Bayswater. Duży skurwiel z brodą i nie chciał otworzyć sejfu. Ale była tam też młoda laleczka, taka co to założyła na siebie wszystko, że tylko oczy widać. Jak ściągnąłem z niej te szmaty, to okazała się nawet ładna. Zerznąłbym ją gdybym miał czas - wyjął z kieszeni pistolet z tłumikiem. - Przełożyłem ją przez ladę i strzeliłem w prawy póldepek. Nawet nie pisnęła.

- Była w szoku, nie? - wtrącił bez sensu Flanagan.

- Ale stary otworzył sejf od razu - kontynuował Delaney. - Nie pofarciło się nam, było tam tylko osiemset funciaków. Musiał być niedawno w banku. Jego też bym tak załatwił, ale zrobiło się gorąco i musieliśmy spieprzać.

- Tim, dobre czasy rzeczywiście minęły - stwierdził Burke spojrzawszy na Cohana - jeśli musimy zadawać się z takimi.

- Chyba tak.

- Nie wiecie po prostu, jak poradzić sobie w mieście - mówił chichocząc Delaney. - I nie wiedzielibyście, jak poradzić sobie z poważnym biznesem, nawet gdyby sam wpadł wam w ręce, frajerzy. - Znowu zachichotał. - Mamuty! Ostatni z brygady tatuśków w Provisional IRA.

Burke złapał go za kłapy.

- Nie żartuj sobie z IRA, chłopczyku. Siedziałem w Maze, gdzie ty już po pięciu minutach piszczałbyś jak piesek. Poza tym też mam przy sobie gnata. - Wyjął z kieszeni pistolet z tłumikiem i podniósł go. Delaney cofnął się, jeszcze bardziej nakręcony.

- Myślisz, że się boję?

W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu i stanął w nich Nolan.

- Starczy tego. Chodźcie tutaj.

Kelly siedział przy końcu stołu. Na ścianie były poprzyczepiane wydruki z maila przysłanego przez Flynna. Kilka zdjęć z krótką informacją pod każdym z nich. Ferguson, Harry Salter, Billy, Dillon i Roper na wózku. Nie było nic o Grecie Nowikowej, ale za to były zdjęcia ochroniarzy Harry'ego, Joego Baxtera i Sama Halla.

- Dla mnie to banda frajerów - odezwał się z lekceważeniem Flanagan.

- Jasne - poparł go Delaney.

- Znam tego psa Fergusonona - odezwał się Burke. - Dawno temu, kiedy był pułkownikiem w Derry, wsadził sporo naszych.

- Teraz jest generałem dywizji. To cel numer jeden i płacą za niego kupę forsy.

- Ile? - zapytał Cohan.

- Sto kawałków, a mój klient jest wiarygodny.

- A jaka jest umowa? Najpierw mamy załatwić sprawę a potem czekać na forszę? - skrzywił się Delaney.

- Tak mamy zrobić - warknął, milczący do tej pory Kelly. - Gadajmy konkretnie, bo nie lubię tracić czasu na pierdoły. Jak się nie podoba, to wynocha.

- Po co takie gadki - odparł mu Delaney. - Bo rzeczywiście sobie pójdziemy stąd. Jakiś problem?

- O co chodzi? - dopytywał się Flanagan.

- Główne cele do odstrzału to Harry Salter, po którym niewielu będzie płakało, i Charles Ferguson. Reszta to mniej ważni ludzie, pomocnicy, ale Salter i Ferguson muszą kopnąć w kalendarz za wszelką cenę, i jak najszybciej.

- Jakieś sugestie? - zapytał Burke.

- Kulka w łeb jest tak samo dobra, jak cokolwiek innego - wzruszył ramionami Cohan. - Nie zawahałbym się strzelić mu w plecy, gdybym spotkał go nocą na ulicy. - Spojrzał znowu na zdjęcia. - Dobry Boże, sam Sean Dillon. Kiedyś mówili na niego Mały.

- Dla mnie wygląda jak śmieć - stwierdził Delaney.

- Największy bojownik tamtych czasów. I to przez dwadzieścia lat. Zabił więcej gości, niż ty zjadłeś ciepłych obiadów, chłopczyku.

- I nikt go nigdy nie złapał - dodał Burke - ani armia, ani policja.

- Znacie ich? - zapytał Delaney.

- Ze słyszenia.

- Czy któryś z was - zapytał Nolan - był w Dark Manie? To pub Saltera na Wapping.

Żaden z nich tam nie był.

- W porządku. Jest piątek, więc dzisiaj powinien tam być spory ruch. Pojedźcie i porządnie rozejrzyjcie się. Pub jest na Cable Wharf. To pierwsze z miejsc, które kupił Salter, ale teraz wszystko obok Dark Mana, to też jego inwestycje. Pozamieniał stare magazyny na eleganckie apartamenty. Ma nawet statki rzeczne.

- Coś jeszcze? - zapytał Cohan.

- Pokręćcie się pod ich domami. Ferguson mieszka na Cavendish Place, a Dillon na Stable Mews. Niedaleko siebie. Zobaczcie, jak tam jest, tylko ostrożnie. Zadzwońię do was.

- Po co to wszystko? - zapytał niecierpliwie Delaney.

- W wojsku mówi się, że najważniejsze jest rozpoznanie wrogiego przedpola - odpowiedział mu Burke. - Trzeba rozeznąć się w sytuacji, rozumiesz, głupku?

- Cała grupa spotyka się regularnie w Dark Manie - poinformował ich Nolan. - Założę się, że dzisiaj będzie tam większość z nich.

- My też tam będziemy. A wy już możecie stąd wyjść - powiedział Kelly, zwracając się do Delaney'a i Flanagana. - Zobaczymy się na miejscu.

- I bardzo dobrze. Chodź Sol, spadamy.

- Tych dwóch to jakiś żart? - zapytał Cohan. - Mamy pracować z takimi śmieciami?

- Zabiją bez zastanowienia - wyjaśnił im Nolan.

- To chyba ich jedyna zaleta.

- Z tym, że najpierw będą musieli naćpać się po uszy, żeby móc to zrobić - stwierdził

Burke.

Cohan pokręcił głową.

- Nie Delaney. Po nim widać, że to urodzony morderca. - Wychodząc, przystanął w drzwiach. - Chryste, dokąd ten świat zaszedł? Po takiej przeszłości musimy zgadzać się na coś takiego?

- Tamte dni minęły - przypomniał mu Nolan - i nigdy nie wrócą.

- Dobra, wystarczy tej krwawej nostalgii - zakończył rozmowę Kelly. - Otworzył szufladę i wyjął z niej pistolet, tłumik i trzy magazynki podając wszystko Nolanowi, potem wyjął taki sam zestaw dla siebie. - Jedziemy obejrzyć chaty Fergusona i Dillona.

Nolan załadował automatycznego colta. Burke i Cohan przyglądali się temu.

- Nieźle. Prawie jak w filmach.

- Kiedyś sami kręciliśmy takie filmy. Największe bombardowanie Londynu od czasów nalotów Luftwaffe - podsumował Burke.

- Wtedy bomby miały zburzyć miasto, Bank Anglii i resztę, i trzeba było uważać chodząc po ulicach. Słuchajcie, na Canal Street był kiedyś bar Grady's, zbudowany jeszcze w czasach wiktoriańskich. Obok był kanał z mostkiem. Byliśmy tam nie raz i nie dwa za starych czasów, kiedy była jakaś akcja. - Kelly pokiwał głową do samego siebie. - Grady zmarł lata temu, ale ktoś mi mówił ostatnio, że jego żona, Maggie, nadal go prowadzi. Musi mieć już z siedemdziesiąt pięć lat. - Spojrzał na Nolana. - Może tam zajrzemy i wypijemy za stare czasy?

- To niezły pomysł. Posiedzimy tam, a potem pojedziemy do Dark Mana.

Kelly spojrzał na Burke'a i Cohana.

- Może dojedziecie do nas, powiedzmy o szóstej, żeby Dark Man trochę się rozgrzał, zanim tam pojedziemy? Napijemy się czegoś razem na początek wieczoru.

- Dlaczego nie? - odpowiedział Cohan. - Zobaczymy się na miejscu. Chodź, Jack.

Nolan załadował colta, nakręcił na lufę tłumik i pogwizdując podszedł do wieszaka po płaszcz, gdy odezwał się Kelly:

- Idziemy, Jimmy.

A wtedy Nolan spojrzał na niego pałającymi oczami i nagle coś w nim wybuchło.

- Co się, do cholery, z nami stało, Patrick?

- Jak to co? Przegraliśmy wojnę. - Kelly poklepał go po ramieniu. - Chodź, stary, mamy robotę.

Weszli do głównej części baru, gdzie Fahy, który wcześniej podsłuchiwał pod drzwiami, nagle zaczął z przesadną gorliwością wycierać szklanki.

- Wychodzimy na cały wieczór - oznajmił Nolan.

- W porządku, Jimmy. Zajmę się wszystkim.

Gdy wyszli, Fahy, z zatroskaną miną nalał sobie whisky i nabił fajkę.

Chwilę przed tymi wydarzeniami, w Holland Park odbyła się prawdziwa narada wojenna, podczas której przedyskutowano całą sytuację.

- Największym zagrożeniem w tym wszystkim są Rosjanie - stwierdził Ferguson. - Zabierając na pokład Flynna, Wołkow rzucił nam rękawicę.

- Na pewno wspiera go osobiście Putin - wtrącił Roper. - Założę się, że on chce z nami zrobić porządek, generale.

- I ze wszystkimi, którzy są po naszej stronie.

- W tej chwili najważniejsze jest jednak zlecenie na nas, jakie dostali Nolan i Kelly - przypomniał Roper.

- Gdybyśmy byli policją nie moglibyśmy nic im zrobić, bo nic się jeszcze nie stało, ale jestem przekonany, że sobie z tym poradzisz, Roper. Za godzinę spotykam się z premierem. Po spotkaniu zadzwonię, potem pojedę przywitać gości z Dublina.

- Ja mam z kolei coś do załatwienia na budowie - przypomniał Harry. - Moim zdaniem żadne pogróżki nie mogą przeszkadzać w interesach.

- Podziwiam twój spokój, Harry, ale uważam, że sprawy, które są do załatwienia w Green Tinker, powinniśmy jednak odpowiednio potraktować. Zostawmy całą sprawę tym trzem - podsumował Ferguson i wyszedł.

- A gdzie jest Greta? - zainteresował się Dillon.

- Pojechała na Gulf Road zobaczyć, jak sobie radzą Raszidowie. Hal Stone z kolei wyruszył rano do Cambridge - wyjaśnił Roper. - Mój Boże, gdyby studenci wiedzieli połowę z tego, co on zrobił, waliliby na jego wykłady drzwiami i oknami. Myślisz, że Hussajn się pojawi?

- Czas pokaże. Dobra, zajmijmy się tym, co mamy. Jimmy Nolan i jego kuzyn Patrick Kelly. Właściciele pubu Green Tinker w Kilburn. Obydwaj byli kiedyś aktywnymi bojownikami IRA, nie tylko w Ulsterze. Nolana podejrzewano o atak mózdzierzowy na gabinet Johna Majora podczas wojny w Iraku, ale nie udowodniono, że to on.

Billy spojrzał na Dillona.

- Ale my wiemy, kto to był.

- Odsiedział siedem lat z piętnastu i został zwolniony na mocy traktatu pokojowego. Kelly

może się pochwalić mniej więcej tym samym. Jako obywatele brytyjscy urodzeni w Londynie, przejęli Green Tinker po śmierci ojca Nolana. Swoje odsiedzieli więc teraz są czyści.

- Na pewno, wręcz kryształowi - mruknął Billy. - Powinniśmy tam pojechać i sprawdzić, czy mają dobre piwo.

- Spokojnie, Billy.

- Jak mam być spokojny? Ci goście mają zlecenie na mojego wuja.

- Zostaw pistolet w domu.

- Roper, przypominam ci, że jako agent służb specjalnych Jej Królewskiej Mości mam licencję na broń. Dillon, pojedziemy tam moim samochodem.

- Tak myślałem. - Billy właśnie odebrał nowiutkiego, czerwonego alfa romeo „Spider” i był z niego bardzo dumny. - Jest niezły - powiedział Dillon. - I robi wrażenie. Dobra, do rzeczy. Nie przypominam sobie tych dwóch z moich czasów w IRA, więc wiemy tylko tyle, ile znalazł nam Roper.

- No to co? Jest tylko jeden sposób, żeby dowiedzieć się więcej.

- Widziałeś zdjęcia z więzienia, teraz możemy ich nie rozpoznać.

- Przekonajmy się.

* * *

Zaparkowali przed pubem i weszli do środka. Przy oknie siedzieli trzej starsi mężczyźni grający w domino. Za barem stał nieogolony, muskularny młody człowiek w czarnej koszulce. Drzwi do drugiego pomieszczenia były otwarte, zobaczyli w nim starego Fahy'ego palącego fajkę. Gdy podniósł wzrok jego twarz zastygła w przerażeniu. Barman spojrzał spode łba na Dillona i Billy'ego. Na prawym oku miał czarną przepaskę. Z wyrazu jego twarzy można było od razu wyczytać, że mu się nie podobają.

- Słucham.

- Wodę niegazowaną - powiedział Billy.

- A dla mnie coś mocniejszego. - Dillon uśmiechnął się. - Bushmills, jeśli macie.

- I chcielibyśmy zobaczyć się z Nolanem i Kelly'm - dodał Billy.

Barman nalał whisky i podał Dillonowi, potem postawił drugą szklanekę i wziął do ręki

dzbanek z wodą.

- Może być taka?

- Może być. - Billy podstawił szklanę. Barman nalał wodę do szklanki, a potem zaczął polewać nią rękaw płaszcza Billy'ego.

- Nie rób tego, Michael - krzyknął ostrzegawczo Fahy. Ale Billy zdążył już wskoczyć za bar i kilka razy uderzyć barmana w twarz. Stary umilkł. Billy podniósł Michaela do góry, rąbnął go w ramię kantem dłoni, a potem popchnął na krzesło.

- Chyba złamałeś rękę, chłopaku. Dobra, gdzie są Nolan i Kelly? Powie nam ktoś, czy nie?

- Chodźcie do gabinetu - odezwał się stary Fahy. - I tak pewnie byście wyciągnęli z nas wszystko siłą.

Gdy weszli od razu zauważyli przychepione do ściany kartki z informacjami. Podeszli, przeczytali opisy i obejrzeni zdjęcia.

- Twoje jest całkiem niezłe - stwierdził Dillon. - O moim, niestety, nie mogę tego powiedzieć.

- Podejście starej szkoły - wyjaśnił Billy. - Wiesz, miejsca, adresy, kontakty.

- Rzeczywiście tak jest? - zapytał Dillon podając szklanę Fahy'emu. - To samo jeszcze raz.

- Bushmills. To, co zawsze. Skąd ja to znam... - Nalał dużą porcję.

- A ty skąd wiesz, co ja lubię? - zdziwił się Dillon.

- Bo słyszał, jak zamawiałeś u tamtego frajera - wtrącił Billy.

Stary pokręcił przecząco głową.

- Jestem z Derry. Widziałem tam pana trzy razy z Martinem McGuinessem. Też miałem przygodę z IRA, ale dziesięć lat tak mnie wykończyło, że przyjechałem do Kilburn. Pamiętasz pan pub Irish Guard? Właścicielem był Gerry Brady, a ja byłem tam kelnerem. Załatwił mi tam robotę. Pamiętam, jak pierwszy raz wszedłeś tam pan i zapytałeś o Gerry'ego, tylko, że nie nazywałeś się pan wtedy Sean Dillon.

- No, to prawda.

- Ale ja już wtedy wiedziałem, kim pan jesteś. Luty dziewięćdziesiątego pierwszego, atak mózdzierzowy na premiera i jego cały gabinet.

- Nie rozmawiamy teraz o tym - uśmiechnął się Dillon. - Napij się i powiedz, co wiesz o

tym, co wisi na ścianie.

- I co zamierzają Nolan i Kelly - dodał Billy.

- Czy ja wyglądam na kapusia? - zapytał Fahy nalewając sobie whisky.

- Będziesz wyglądał gorzej, jeśli nam zaraz nie powiesz - ostrzegł Billy.

- W takim razie robię to dla pana, panie Dillon. Jimmy ma wszystko w komputerze - zdjęcia, informacje i tak dalej. Przysłał mu je z Dublina niejaki Flynn.

- Podśluchiwałeś?

- Ściany są cienkie. Dostali zlecenie - sto tysięcy funtów. Dlatego tak się tym przejęli.

- Sukinsyny - wtrącił Billy. - Czyli chcą załatwić nas wszystkich.

- Przede wszystkim tego Fergusona i Harry'ego Saltera, tak mówili.

- A jak chcą to zrobić? - zainteresował się Dillon.

- Ten pub prowadzi Nolan ze swoim kuzynem, Patrickiem.

- To już wiemy - odpowiedział Billy. - Chcą to zrobić sami, czy kogoś znaleźli?

- Zatrudnili Danny'ego Delaney'a i drugiego, takiego samego śmieciarza, Sola Flanagana.

Narkotyki, gorzala, wiecznie są na haju.

- A w czym oni robią?

- Napady z bronią w rękę, głównie na muzułmańskie sklepy. Delaney to wariat.

Nienawidzi wszystkich Pakistańczyków i strzela bez namysłu.

- A Flanagan?

- Jest taki sam.

- I nigdy ich za to nie posadzono? - zapytał Dillon.

- Często ich zgarniają nawet byli parę razy w sądzie, ale kto im cokolwiek udowodni, jak nigdy nie ma świadków?

- Ktoś jeszcze? - dopytywał się Dillon.

- Dwóch zupełnie nowych. Jack Burke i Tim Cohan. To londyńscy Irlandczycy, tacy, co to za młodu polecili do Ulsteru, żeby dołączyć do radykalnych. Sporo przeszli, także Maze. Znają pana, panie Dillon, i wiesz pan co? Byli zmartwieni, gdy zobaczyli pana w tym towarzystwie.

- A kogoś nienawidzą szczególnie?

- Fergusona. Burke powiedział, że poszedł siedzieć razem z wieloma innymi w czasie, gdy Ferguson był pułkownikiem w Derry. Cohan powiedział, że gdyby spotkał go w nocy na

ulicy, to bez wahania strzeliłby mu w plecy.

- Dobra, starczy tego - przerwał mu Billy. - Gdzie są teraz Nolan i Kelly?

- Wyszli jakieś czterdzieści minut temu. Wzięli broń i powiedzieli, że nie wracają. Mieli obejrzeć dom Fergusona i pański, a potem pojechać do Dark Mana. Mówili też coś o filmach - może dla zabicia czasu chcą iść do kina.

- Czyli chcą przyjechać do naszego pubu, tak? - dopytywał się Billy.

- Jest piątek wieczór, więc pewnie będzie tam pełno. Mówili też, że zwykle bywacie tam o tej porze całą grupą Mają tam pojechać, poznać miejsce i rozejrzeć się po okolicy. Jak już mówiłem, chcieli też sprawdzić dom Fergusona i pana, panie Dillon. Oczywiście, Jimmy i Patrick zrobią to samo.

- A potem co? - zapytał Billy. - Kto ma być pierwszy?

- Jimmy mówił, że po zakończeniu roboty znowu się spotkają. Poza tym, wiecie panowie... Burke i Cohan - oni są jak wielu innych chłopaków, wiedzą że dni wielkiej chwały minęły.

- I cierpią z tego powodu - stwierdził Dillon.

- Mają gdzieś to całe towarzystwo, z którym muszą pracować. Kiedyś mieli swoją dumę, którą na zawsze utracili. - Wystukał resztki tytoniu z fajki. - Coś jeszcze chcecie wiedzieć?

- I tak wiemy sporo - podsumował Dillon. - Jestem raczej pewny, że to wszystko prawda. Dlaczego nam wszystko wyśpiewałeś?

- Zawsze pana podziwiałem, panie Dillon. Byłeś pan wielkim człowiekiem w wielkich czasach. Ale nie zrobiłem tego z powodu pana. Pański przyjaciel wygląda mi na takiego, który wyciągnąłby ze mnie to i owo, a ja już jestem na to za stary.

- Bo tak by było. - Billy spojrzał na Dillona. - Dobra, wsadzimy go do alfy i zawieziemy do Holland Park, zamkniemy na klucz i spokojnie sobie poczeka, aż wszystko się skończy.

- W porządku, Billy. - Dillon poklepał Fahy'ego po plecach. - Pasuje? Wygodna, bezpieczna kryjówka?

- Tu na pewno nie będzie bezpiecznie. - Przeszli przez bar, zatrzymując się tylko na chwilę, gdy Fahy brał płaszcz.

- Sprawdzę, co z Michaeliem. - Zaczął szukać go w barze i wołać, ale nikt nie odpowiadał. - Pewnie poszedł na pogotowie.

- To już nie twoje zmartwienie - mruknął Billy. - Jedziemy do nas. Spodoba ci się, tam

jest lepiej niż w hotelu.

* * *

Dillon zadzwonił do Ropera.

- Gdzie są Harry i Ferguson?

- Nie dzwonili do mnie. A co? Znaleźliście coś? Mają kłopoty?

- No to posłuchaj...

Kiedy skończył, Roper zaproponował:

- Sprawdzę wszystko w sieci, znajdę zdjęcia i ogólne informacje. Wszystko, co się da.

Lubię takie rzeczy.

- Więc nie widzisz problemu w tym, że sześciu chłopa będzie dzisiaj węszyć po całym mieście, a my nic z tym nie zrobimy?

- Tego nie powiedziałem. Ze słów informatora wynika, że nie zaplanowali na dzisiaj nic innego, jak tylko rozpoznanie. Trzeba tylko zastanowić się, co zrobimy na wypadek, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zadzwonię do generała i Harry'ego, w końcu to oni są głównymi celami. Pamiętaj, że za godzinę ląduje samolot z Dublina. Co z tym zrobimy?

- Podjedziemy do Holland Park, zostawimy Fahy'ego i pojedziemy na Farley.

- Greta wróciła godzinę temu. Właśnie pijemy drinka. Też by pewnie chciała powitać kolegów. Ci Rosjanie...

* * *

Mieli wiatr od czoła, który spowalniał trochę samolot, ale King Air spisywał się doskonale. Lewin znalazł w lodówce butelkę szampana i wspólnie z Mary i Czomskim popijali.

- Czym chciałabyś się zajmować, Mary? - zainteresował się Czomski.

- Mam dosyć tego, co robiłam. Skończyłam przecież ekonomię i informatykę.

- No to w dzisiejszym świecie na pewno sobie poradzisz - odpowiedział Czomski i spojrzał pytająco na Lewina. - Prawda? - Lewin potaknął.

- Wszystko czego ci trzeba, to odpowiednie znajomości, ale ty już je masz. Uratowałaś nie tylko moje życie, ale i Harry'ego Saltera, a ponieważ on już zdążył zbudować połowę nabrzeża Tamizy, to na pewno coś ci znajdzie.

- Oczywiście, jeśli nie będzie ci przeszkadzać, że zatrudni ciebie jeden z największych gangsterów w Londynie - dodał Czomski.

- E, tam - machnął ręką Lewin. - W końcu dziewczyna z takim doświadczeniem będzie pasować idealnie do jego świata.

Przedarli się przez chmury. W dole ich oczom ukazał się Londyn. Samolot dalej obniżał lot i w końcu wylądował na Farley Field. Podkołowali pod budynek terminalu, ale Magee czekał na instrukcje. W końcu wyłączył silniki, a Murphy wstał i otworzył drzwi.

- Miałem rację co do miejsca - podsumował Magee zwracając się do Lewina. - Trzy samoloty RAF-u i dwa śmigłowce. Jesteście jakimiś ważniakami.

- I tak nie dowiesz się, kim jesteśmy naprawdę - rzucił mu na odchodnym Czomski i wyskoczył za Mary.

Greta, Dillon i Billy czekali w środku. Greta podbiegła i zarzuciła ramiona na szyję najpierw Lewinowi a potem Czomskiemu.

- Maładcy - powiedziała i do oczy napłynęły jej łzy. - Tak się cieszę, że was widzę.

- Nic by z tego nie było, gdyby nie ta dziewczyna. Poznajcie się, to Mary O'Toole - przedstawił ją Lewin.

- A ja jestem Billy Salter, bratanek Harry'ego. Na pewno mój wuj odpowiednio ci się odwdzięczy.

- Sean Dillon - powiedział ściskając jej dłoń.

Zrobiła wielkie oczy.

- Matko Boska, ja chyba śnię. Słyszałam o panu od dziecka.

- No to teraz mnie pani jeszcze widzi. Wsiadamy i jedziemy.

- Czemu taki pośpiech? - zapytał Lewin gdy ruszyli.

Dillon opowiedział im o najnowszych wydarzeniach.

* * *

Kiedy dojechali do Holland Park, na miejscu byli już Harry i Ferguson. Gdy przedstawiono im Mary, Harry powiedział:

- Zabieram cię, słońce, do mojego pubu. Ruby zajmie się tobą przez jakiś czas, a potem sama zdecydujesz, co chcesz robić. W moim przedsiębiorstwie jest wiele możliwości. Jest tam sporo rzeczy do uporządkowania. - Spojrzał na pozostałych. - Pokaż to jeszcze raz, Roper.

Roper przedstawił zespół Flynn'a. Były tam, między innymi, zdjęcia z archiwów policyjnych i z czasów młodości. Z twarzy Burke'a i Cohana była godność ludzi, którzy wierzyli w sens swojej walki, ale Delaney i Flanagan wyglądali zupełnie inaczej. Biła z nich buta i zarozumiałstwo, uśmiechali się z wyższością i na większości zdjęć było widać, że są albo pijani, albo pod wpływem narkotyków lub też obu naraz.

- Prosimy o informacje, Roper - polecił Ferguson.

- Delaney i Flanagan strzelają, zanim pomyślą. Notowani za napady na sklepy, ale zawsze udawało im się wymigać, pewnie przez zastraszanie świadków.

- A Cohan i Burke?

- Od lat żołnierze IRA, profesjonaliści, a to oznacza, że wiedzą jak zabijać. Wszystko wskazuje na to, że nie obrabiają sklepów, żeby przeżyć, ale jak się ma na karku pięćdziesiątkę, to nie ma zbyt wielkiego wyboru.

- W sumie racja - stwierdził Ferguson. - Ale i tak nie mam dla nich współczucia. Jak się bawisz zapalkami, to się możesz oparzyć. Tak czy inaczej, będę potrzebował tej nylonowo-tytanowej kamizelki kuloodpornej, która tak ładnie chowa się pod koszulę. Zatrzyma pocisk z magnum .45 wystrzelony nawet z bliska. Polecam noszenie jej przez wszystkich zainteresowanych, aż do zakończenia tej sprawy.

- Słusznie - poparł go Harry. - Dillon, Billy, wy oczywiście zrobicie jak chcecie. Możecie wziąć Baxtera i Halla do pomocy.

- Ponieważ kapitan Lewin i sierżant Czomski też już są po części zaangażowani w naszą sprawę, podejrzewam, że będą chcieli nam we wszystkim pomóc.

- Oczywiście, panie generale.

- Chciałbym, żebyście zostali tu kilka dni. W tym czasie major Roper wprowadzi was we wszystko. Potem, tak jak zaproponował Harry, przeniesiecie się do jego apartamentowca w Hangman's Wharf, który pewnie pamiętacie z zeszłorocznej wizyty.

- Doskonale go pamiętam - uśmiechnął się Lewin. - Blisko do Dark Mana...

- No tak. Ale nie polecam ponownej kąpieli w Tamizie w takim ubraniu. Nie ta pora roku. Wyszli w pośpiechu. Harry szedł z Mary i Billy'm.

- Zawiozę Mary do pubu i dołączę do was później - zaproponował Billy.

- W porządku - zgodził się Dillon. - Zostawił Lewina i Czomskiego sierżantowi Doyle i wrócił do Ropera i Grety. Nalał sobie szkockiej.

- Jest jedna dziwna sprawa - powiedziała Greta.

- Jaka? - zainteresował się Roper.

- Bert Fahy, ten stary człowiek, którego przywiozłeś, Sean. Opowiedział mi ciekawą historię. Co do jej wiarygodności nie mam zastrzeżeń, ale coś mi nie daje spokoju. Za gładko mi ją opowiadał i chyba nie powiedział nam całej prawdy o zamierzeniach Nolana i Kelly'ego.

- Naprawdę? No to sprawdźmy go jeszcze raz. - Zawołał sierżanta Hendersona. - Proszę przyprowadzić Fahy'ego.

Po chwili Fahy, wyciągnięty z przytulnego pokoju, siedział w pustej sali oświetlonej ostrym światłem.

- Fahy, okłamałeś mnie - stwierdził Dillon. - Myślałeś, że uwierzę w to, że Nolan i Kelly pójdą do kina przed przyjściem do Dark Mana?

- Zataiłeś jakiś ważny szczegół, jakiś ich zamiar - wtrącił Roper.

- Niech mnie ręka boska broni, panie Dillon, panu bym nie kłamał.

- Dobra, szkoda czasu. Wystawię nakaz aresztowania z powołaniem się na ustawę o zapobieganiu terroryzmowi. Wybierzemy ci więzienie i nie będziesz miał wakacji.

Fahy skulił się w sobie słysząc te słowa.

- Miejcie litość dla starego człowieka, pamięć mi już szwankuje.

- To słuchamy.

- Panie majorze, jest w dokach taki bar. Nazywa się Grady's...

* * *

Kiedy skończył opowiadać Henderson zabrał go z powrotem do pokoju.

- Gdyby dorwać ich dzisiaj tam, na miejscu, mogłoby to wiele zmienić - zastanawiał się głośno Dillon. - Pojadę tam i rozejrzę się. Jesteś w tej chwili zajęta? - zapytał Gretę.

- Dopiero później, wieczorem. Molly Raszid ma nocną zmianę i poprosiła mnie, żebym pobyła trochę z Sarą. Dziewczyna nie może dogadać się z ojcem.

- Może jest odwrotnie... Pojedziemy twoim samochodem. Zobaczymy się na parkingu. Na razie, Roper - krzyknął wychodząc.

Poszedł do swojego pokoju, wyjął z szuflady ulubionego waltera i wrócił do siedzącej już za kierownicą Grety.

- Pamiętam, jak to wszystko wyglądało, kiedy byłem dorastającym chłopakiem i mieszkałem tu z ojcem - powiedział gdy jechali w kierunku rzeki. - Tamiza, doki, statki, setki żurawi. Nie wiem, czy to zawsze był największy port na świecie, ale dla mnie na pewno był taki.

- Przecież jesteś Irlandczykiem? Urodziłeś się tutaj?

- Moja matka zmarła, a ojciec przyjechał tu z Ulsteru za pracą. - Wzruszył ramionami. - W Londynie zawsze było wielu Irlandczyków. Michael Collins pracował na poczcie w Londynie, zanim nie zdecydował się zmieniać historii Irlandii.

- Te czasy już chyba minęły - zauważyła Greta.

- W większości tak. Wiele starych magazynów to teraz apartamentowce, jak ten Harry'ego w Hangman's Wharf, ale są jeszcze ulice i miejsca, gdzie czas jakby się zatrzymał.

Na wyświetlaczu nawigacji pojawiła się Canal Street. Wjechali w nią mijając rozpadające się doki, obok wartko płynął ku rzece kanał. Rozpięty nad nim żeliwny mostek prowadził na drugą stronę, gdzie stały obok siebie niszczące osiedla piętrowych, robotniczych domów, w większości zabitych dechami i czekających na wyburzenie. Pub znaleźli na rogu ulicy. Nad wejściem świecił neon „Grady's Bar”. Drzwi były na wpół otwarte. Stała w nich starsza, siwowłosa kobieta ubrana w fartuch i wycierała mosiężną kołatkę. Obok drzwi wisiała informacja o właścicielu - Margaret Grady. Miała około siedemdziesięciu pięciu lat i cichy głos ze śladem irlandzkiego akcentu.

- Czym mogę służyć? Otwieram dopiero o szóstej.

- No tak - powiedział Dillon. - W zasadzie to nie chcemy wejść na drinka.

- Szukaliśmy Canal Street - wtrąciła Greta. - Jednak to chyba nie ta.

- W Londynie jest ich kilka.

- Ale to interesujące miejsce - stwierdził Dillon.

- Kiedyś to tu był ruch, były statki i cała reszta, ale od kiedy doki upadły, to nie ma tu życia. Wszystko pozamykane, ludzie się wynoszą, tylko my jesteśmy jak oaza. Ale jeszcze pół

roku i koniec, dłużej nie dam rady.

- To przykre - powiedziała Greta. - Nie ma klientów?

- Zdarzają się od czasu do czasu, ale są dni, że nikt nie przyjdzie. Dzielnica ma mi załatwić pokój w domu starców.

Trudno było cokolwiek na to odpowiedzieć.

- Nie przeszkadzamy zatem. Do widzenia. - Dillon się uśmiechnął i razem z Gretą wrócili mostkiem do samochodu i odjechali.

- Teraz gazem do Holland Park.

- Chcesz ich śledzić, tak? - zapytała.

- Nie. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, to się ich pozbędę. Kilku dawnych zabijaków z IRA, których spotkał smutny koniec. Scotland Yard z satysfakcją zamknie ich akta.

- Ale Wołkow będzie o tym wiedział.

- A potem Makler, czyli al-Kaida i Armia Boga. Greta, tu nie ma już miejsca na negocjacje. W tym świecie, który nas otacza, albo odpowiadasz ogniem na ogień, albo cię nie ma. Może to dziwne, że to mówi były bojownik IRA, ale tak to już jest.

- Nie uważam, że to dziwne - to po prostu ironia losu.

- Niestety. Jedźmy, muszę wszystko opowiedzieć Roperowi.

* * *

Dojechali do Holland Park chwilę po piątej. Roper zawołał Billy'ego, Lewina i Czomskiego. Greta pojechała do Raszidów. Miała później zadzwonić.

- Proponuję, żeby Czomski pojechał do Dark Mana - powiedział Dillon. - Udowodnił w Dublinie, że się nadaje, a w pubie może być potrzebny dodatkowy pistolet.

- Ty tu rządzisz - odparł Czomski.

Dillon odwrócił się do Ropera.

- Wprowadziłeś go we wszystko?

- Oczywiście.

- Przeciwno nam jest czterech ludzi, stare wygi z IRA, którzy z niejednego pieca chleb jedli. - Dillon spojrzął na Lewina i Billy'ego. - Naszym celem jest zabicie całej czwórki.

Władzom się powie, że to porachunki między byłymi członkami IRA, wyrównanie starych krzywd i nikt się tym nie będzie interesował. Przed chwilą byliśmy w tym barze na Canal Street. Trzeba iść wzdłuż kanału aż do starego, żeliwnego mostka, po przejściu go prawie od razu widać pub, który jest tam chyba ostatnim zamieszkałym miejscem. Mamy tę przewagę, że oni nie mają pojęcia o naszych zamiarach. Poza tym, zanim znajdziemy się na miejscu, będzie już ciemno.

- A w dodatku znowu zaczęło lać - dodał Billy. - Masz sprzęt, Igor?

- Sierżant Henderson mnie zaopatrzył. - Wyjął z kieszeni waltera z tłumikiem. - Mam to, co ty, Dillon.

- Dobra, jedziemy moim wozem. Do roboty - rzucił Billy i wszyscy wyszli.

* * *

Kiedy Maggie Grady punktualnie o szóstej otworzyła pub, było już ciemno. Gdy włączyła światło przed budynkiem, zauważyła stojących pod murem, uśmiechniętych Kelly'ego i Nolana.

- Matko Boska! To ty, Patrick?

- Nikt inny. - Podszedł i pocałował ją w policzek. - Jestem z kumplem, Jimmy'm Nolanem. Pomyślałem, że wpadniemy i napijemy się. Mamy robotę z innymi chłopakami. Wpadną później.

Niewielki bar był schludnie utrzymany, w rogu stała koza na węgiel, a całą salę zajmowały wiktoriańskie żeliwne stoły i krzesła. W lustrze za barem przeglądały się butelki.

Gdy pierwsze zdumienie minęło, usiadła z nimi, nalewając nawet sobie odrobinę irlandzkiej whisky. W połowie rozmowy otworzyły się drzwi i do środka weszli Burke i Cohan.

- W końcu tu trafiliśmy, Bogu dzięki. Jak dobrze widzieć stare śmieci, ogień i całą resztę.

Poląła się whisky i stara Maggie dała się namówić na drugą szklaneczkę. Burke zapytał:

- Czyli to ta kobieta jest tą wspaniałą osobą, która opiekowała się tobą, gdy zwiąłeś?

- To prawdziwa królowa - odparł Kelly. - Kiedyś, oprócz pubu, był tu jeszcze pensjonat. Sypiali tu żeglarze, których statki cumowały w tych dokach. Nigdy nie widzieliście czegoś takiego. Narodowości z całego świata - Hindusi, Murzyni, żółtki ze wschodu; wystarczyło się ubrać jak oni i znikales w tłumie. - Spojrzał na zegarek.

- Cholera, już siódma. Musimy jechać. - Objął ją i cmoknął w policzek. - Z Bogiem,

kochana. Będę zawsze o tobie pamiętał.

Wychodzili roześmiani, a kiedy zapadła cisza, Maggie zamknęła drzwi, nagle zmęczona i smutna. Pod wpływem impulsu podjęła nagłą, nieprzewidzianą decyzję - zaryglowała drzwi, przeszła za bar i wyłączwszy światło poszła powolutku na górę. Czuła się bardzo stara i czuła też, że swoje już przeżyła.

Ciemności zapomnianej uliczki rozpraszała pojedyncza latarnia, wisząca po drugiej stronie kanału. Cała czwórka szła w deszczu w stronę mostka oświetlonego przez światło lampy, które odbijało się w kałużach. Po drugiej stronie pojawili się Dillon i Billy z pistoletami w rękach.

- A wy kim jesteście? - wrzasnął Kelly.

Dillon podniósł błyskawicznie broń i strzelił Kelly'emu między oczy, który upadł na Nolana. Nolan miał kłopoty z wyjęciem pistoletu, więc odepchnął go na bok. Ciało Kelly'ego wpadło do kanału i popłynęło z nurtem w kierunku rzeki.

Nolan w mgnieniu oka sięgnął po pistolet, ale Billy był szybszy. Strzelił mu w lewe ramię, a potem w kręgosłup. Nolan opadł na barierkę i zawisł na niej bez czucia. Burke, chowając się przed strzałem Billy'ego, uklęknął na jedno kolano i strzelił mu w serce. Cohan, który stał za nim, zaczął uciekać w stronę pubu, ale drogę zagroził Igor Lewin i strzelił mu w głowę. Burke, nie mając innej drogi ucieczki, przeskoczył barierkę i wpadł w wody kanału. Po chwili wypłynął na powierzchnię i zaczął płynąć z nurtem, ale Lewin, biegnąc wzdłuż kanału oddał kilka strzałów. Jeden z nich okazał się skuteczny. Kiedy wrócił do pozostałych, Billy i Dillon właśnie nieśli ciało Cohana, żeby je także wrzucić do wody. Bystry nurt zabrał ciało w ciemność.

- No to płyną ostatnim rejssem do Tamizy, albo nawet i do morza - powiedział Dillon.

Billy rozpiął płaszcz i zaczął obmacywać koszulę.

- Wszystko w porządku? - zapytał Lewin.

- Ferguson miał rację. Jak masz kamizelkę, to ją noś. - Wydłubał z koszuli rozpląszczony nabój.

- Też mam taką. Dostałem od generała Wołkowa w prezencie za uratowanie mu życia.

- Dobra, uciekamy - zarządził Dillon. - Misja zakończona. Wracamy do Holland Park.

* * *

W kryjówce czekali już na nich Roper i Ferguson. Lewin nalał sobie whisky z butelki majora.

- Wszystkich czterech? - upewniał się jeszcze Ferguson.

- To rozumiem. Jak za starych dobrych czasów w Ulsterze.

- Bo to było właśnie tak, jak za starych dobrych czasów w Ulsterze - stwierdził Roper. - Załatwiłeś sprawę jak profesjonalista, Sean.

Ferguson spojrział na Lewina.

- A co mam o tobie powiedzieć? Też świetna robota. - Odpowiednio przygotowana wiadomość dotrze do Flynna i Wołkowa, więc będą mieli o czym myśleć - powiedział Roper. - A jeśli chodzi o naszych topielców, to Tamizą rządzą przypiływy i odpływy i ciał nie znajduje się tutaj tak prędko.

- A co z Delaney'em i Flanaganem? - zapytał Lewin.

- Przyznam się, że wolałbym zamknąć tę sprawę całkowicie - oświadczył Ferguson. - Zobaczymy. Powinni niedługo pojawić się w Dark Manie, chyba, że w ogóle tam nie przyjadą. Billy, Harry, Baxter, Hall i nasz nowy znajomy, Czomski, powinni sobie z nimi poradzić bez żadnych problemów.

- Też tak myślę - zgodził się Dillon.

- To może pojedziemy tam i zobaczymy, jak sobie radzą?

- Dobry pomysł - poparł go Lewin.

- No, to jeśli wszyscy jadą to ja też - oznajmił Roper. - Doyle podrzuci mnie busem. Będę za dziesięć minut.

Ferguson spojrział na Ropera.

- Bardzo dobrze. To ja pojedę z tobą. Nigdy nie miałem tej przyjemności, a w końcu to ja załatwiłem ci prywatną windę.

- My pojedziemy za wami w mini - zarządził Dillon. Dillon z Lewinem pobiegli w ulewnym deszczu do samochodu. Czekać na Fergusona i Ropera, Dillon zadzwonił do Billy'ego.

- Co tam u was słychać?

- Towarzycho tak skacze, że zaraz rozniosą Harry'emu parkiet. Jak na tylu gości, to jest w miarę spokojnie i jak dotąd nie było tych frajerów.

- Dobra. Niedługo będziemy. Roper, Ferguson, Lewin i ja. Powiedzmy za dwadzieścia

minut.

- Może się zniechęcili? - Billy nawet nie przypuszczał, jak dalece się myli.

* * *

Delaney i Flanagan spędzili dwie godziny w klubie Festival, gdzie regularnie biegali do toalety, żeby wciągać kolejne kreski kokainy. O szóstej byli już tak naćpani i wleli w siebie tyle wódki, że osiągnęli stan pozwalający im mniemać, iż są w stanie zrobić wszystko, a cały świat należy tylko do nich. Jechali mercedesem skradzionym tego samego dnia rano, jeszcze przed wizytą w Green Tinker. Prowadził Flanagan nie zwracając żadnej uwagi na pozostałych kierujących. Zarysowali po drodze trzy samochody i prawie przejechali policjanta, który w ostatniej chwili uciekł im spod kół. Delaney, rycząc ze śmiechu, wyjął pistolet z tłumikiem i zaczął strzelać w sklepowe witryny. Chwilę potem samochód zniknął w płątaniu małych uliczek prowadzących do Tamizy.

- To jest Wapping, stary, tak jest - sapnął Delaney. - Dark Man, Cable Wharf. Jesteśmy, stary. - Popukał palcem w ekran nawigacji. - Zobacz.

Dark Man był rozjarzony światłami i słychać było wydobywającą się z niego muzykę. Wzdłuż nabrzeża stały zaparkowane samochody, a przy pomoście kołysało się kilka przycumowanych łodzi, w tym duma i radość Harry'ego Saltera - „Linda Jones”.

Skręcili na parking i zatrzymali się tuż obok pubu.

- Dobra - powiedział Flanagan. - Co teraz?

Deszcz przybrał na sile.

- Rozwalimy tę budę, stary. - Delaney wyjął ze schowka pół litra wódki i otworzył.

- Zdrowie.

Pociągnął spory łyk i oddał butelkę Flanaganowi. W tym momencie na parking wjechał bus. Gdy się zatrzymał wysiadł z niego Ferguson, stanął obok i czekał, aż wyładują Ropera. Po chwili na parking wjechało mini z Dillonem i Lewinem i zaparkowało kawałek dalej.

- Zobacz - krzyknął Delaney. - Ten gość, co stoi przy wózku, to Ferguson. - Wskoczył z samochodu i zaczął strzelać w kierunku busa, ale akurat w tym momencie Ferguson pochylił się mówiąc coś do Ropera i kula uderzyła w burtę samochodu. Roper odruchowo skulił się, a

Ferguson padł na ziemię, przewracając jednocześnie wózek z nim.

Lewin wyskoczył z samochodu, pobiegł w ich stronę i strzelił w mercedesa, ale chybił. Delaney wskoczył do środka. Dillon błyskawicznie wcisnął gaz i zablokował mercedesowi drogę uderzając go w tył. Spanikowany Flanagan wcisnął gaz do dechy i zjechał z wybrzeża wprost do Tamizy. Gdy dobiegli nad brzeg rzeki, zobaczyli tylko unoszący się tył samochodu, który za chwilę zniknął w ciemnej wodzie. Czekali chwilę, ale nikt nie wypłynął na powierzchnię.

- No i po robocie - oznajmił Dillon. - Tu jest jakieś siedem metrów głębokości. Możemy schować broń. Zobaczmy, jak tam Ferguson i Roper.

Z Dark Mana wyszli Harry, Billy i Czomski. Doyle już był przy samochodzie i pomagał Roperowi usiąść na wózku, a Fergusonowi wstać.

- Wszystko w porządku - uspokoił ich Ferguson. - Nie trafił, ktokolwiek to był. Co z nimi?

- Poszli na dno.

- O, jak przykro - powiedział, z nieszczerym ubolewaniem, Ferguson.

- Czomski był przy drzwiach - opowiadał Harry. - Na początku nic nie słyszał, to przez te tłumiki, dopiero uderzenie w samochód go zaniepokoiło.

Za nimi stało kilka osób z drinkami w dłoniach i gapiło się na całą scenę. Z pubu wybiegły Ruby i Mary, a z drugiej strony nadjechały trzy radiowozy. Wsiadł z nich młody sierżant.

- A, to pan Salter. Goniliśmy przez pół Wapping mercedesa z dwoma facetami w środku, którzy strzelali w witryny sklepowe.

- Coś takiego! Jak ten świat schodzi na psy - stwierdził Harry. - Najpierw wpadli na samochód mojego znajomego, a potem wjechali prosto do wody.

- Wjechali prosto do rzeki - potwierdził Dillon. - Widzieliśmy, jak poszli na dno. Nikt nie wypłynął.

- Chryste - wyrwało się sierżantowi.

- To zostawiamy wam, a my zabieramy majora do środka - oznajmił Harry z miną niewiniątka. - To hańba, żeby weteran wojenny z taką przeszłością był narażony na takie niebezpieczeństwa w swoim własnym mieście.

* * *

Tymczasem Baxter i Hall wyprosili gości z kilku boksów. Ruby podała szampana, Mary jej pomagała.

- Co by nie mówić, poszło wręcz znakomicie - podsumował z entuzjazmem Ferguson.

- Chciałbym tak myśleć. - Harry się zaśmiał. - Teraz zastanówmy się, co dalej.

- Wołkow będzie miał o czym rozmyślać - stwierdził Roper i wtedy do stolika podszedł policjant.

- W czym mogę pomóc władzy? - zapytał Harry.

- Zajmę tylko chwilę. O szczegółach dowiemy się jutro, ale już teraz wiemy, że ci dwaj w mercedesie, to znani nam przestępcy. Rano ukradli samochód, byli w klubie, gdzie ostro ćpali i, jak już mówiłem, strzelali w całej dzielnicy do sklepów. Nie wiem czego tu szukali. Te nazwiska to Delaney i Flanagan.

- W życiu o nich nie słyszałem. Wyroilo się teraz tylu łobuzów...

Policjant wyszedł i wszyscy odetchnęli z ulgą.

- No, to wszystko załatwione - uśmiechnął się Billy.

- Zostaje jeszcze najważniejsze - sprawa Hussajna Raszida - przypomniał im Ferguson.

Na chwilę zapadła cisza.

- Może nie przyjedzie. Jak myślisz, Roper? - zapytał z nadzieją Dillon.

- Wiesz, co myślę. A teraz, jeśli pozwolicie, wrócę do Holland Park. Jestem cały posiniaczony.

* * *

Następny dzień przyniósł odpowiedź na pytanie Dillona. Zainstalowany przez Ropera program śledzący spisał się na medal i wszyscy dowiedzieli się, że cenna Citation X, wynajęta przez firmę Raszid Shipping, wyleciała do Khufry w Algierii. Nie było tylko wiadomo, dokąd poleci dalej...

Bretania**Anglia**

Lot drugorzędnymi liniami do Rennes, zapchanym do granic możliwości samolotem, wyglądał jak ucieczka z jakiegoś obszaru objętego działaniami wojennymi. Z kolei podróż pociągiem do Saint-Malo okazała się bardzo przyjemna. Stamtąd obydwaj pojechali taksówką do Saint-Denis. Według wskazówek, jakie Makler dał Hussajnowi, Romano mieszkał na łodzi o nazwie „Seagull”.

- Jesteśmy na miejscu, dalej już nie pojedę, messieurs - powiedział taksówkarz, gdy zaparkowali na nabrzeżu.

- W porządku - odpowiedział mu szybko płynną francuszczyzną Khazid. - Bardzo dziękujemy, damy sobie radę. - Zapłacił taksówkarzowi dając mu spory napiwek. Taksówka odjechała zostawiając ich na przystani.

- No, to szukamy - odezwał się po arabsku Khazid.

- Nie mówmy po arabsku - zareagował szybko Hussajn. - To tak na wszelki wypadek. Lepiej po angielsku, bo za słabo mówię po francusku.

- W porządku.

Przed nimi był pomost z przycumowanymi z obu stron łodziami. Khazid wszedł na niego i po przejściu kawałka przystanął i krzyknął:

- Ahoj, „Seagull”. - Odpowiedziała mu cisza.

- Co ty robisz? Zamknij się - syknął Hussajn.

Nagle z jednej z motorówek wyszła, ubrana w czarny sweter i dżinsy dość ładna, o cygańskich rysach dziewczyna. Spojrzała na nich i zapytała po francusku:

- Szukacie kogoś?

Khazid uśmiechnął się do niej.

- Szukamy niejakiego George'a Romano.

- Jest w barze na przystani. Pokażę wam.

Mówiła z dziwnym akcentem, i po francusku, i po angielsku.

- Skąd pochodzisz? - zapytał Khazid, gdy szli po pomoście.

- Z Kosowa.

- Co tu robisz, siostrze?

Hussajn kopnął go w kostkę, bo jeśli ona uciekła z Kosowa, to prawie na pewno oznaczało to, że jest muzułmanką.

- Nie chcę o tym opowiadać...

- A jak masz na imię?

- Saida.

Imię potwierdziło wszystko. Gdy już schodzili z pomostu, zatrzymała się, wyjęła paczkę papierosów i zapalniczkę. Gdy włożyła papierosa do ust, Khazid wyjął z jej dłoni zapalniczkę.

- Proszę mi pozwolić.

- Dziękuję. - Zabrała ją z powrotem, zaciągnęła się i powiedziała po arabsku. - Nie interesuje mnie, kim jesteście i co tu robicie, ale uważajcie na tego gościa. Niby angielski żołnierz, ale to kawał świni.

- Jesteś muzułmanką? - zapytał delikatnie Hussajn.

- I uciekinierką wojenną. Niech Allah błogosławi Tony'ego Blaira za wysłanie wojska do Kosowa i uwolnienie nas z rąk Serbów.

- To prawda - potaknął Khazid. - Ale zobacz, co on jednocześnie zrobił z Irakiem?

- Zgoda, ale życie składa się w sporej części z wyborów pomiędzy dobrem a złem.

- Bardzo mądre słowa - stwierdził Hussajn.

- Mój ojciec był nauczycielem w szkole koranicznej w małej miejscowości. Kiedy weszli Serbowie, powiesili go, i wszystkich chłopców.

Mówiła o tym dość beznamytnie, na szczęście po chwili podeszli do kawiarni Belle Aurore. Obok budynku był taras ze stołami i krzesłami, po którym kręcili się kelnerzy w białych marynarkach, ale nie było zbyt wielu gości. Człowiek, którego szukali, siedział w rogu i czytał „Paris Soir”. Był ubrany w marynarską kurtkę i czapkę, miał około sześćdziesięciu kilku lat i wypisane na twarzy okrucieństwo. Sięgnął po szklankę i napił się nie przerywając lektury.

- George, ci panowie ciebie szukają - odezwała się Saida.

- Witam, panie Romano - przedstawił się Hussajn. - Nazywam się Hugh Darcy.

Romano zmierzył go wzrokiem.

- Po pierwsze, komandorze Romano. A po drugie, muszę przyznać, że ten pułkowy

krawat robi wrażenie, ale jak na Anglię to za mało. Siadajcie.

- Dlaczego za mało, komandorze?

- Tu jest wczorajsza gazeta. Zawsze dochodzą tu z opóźnieniem. A tu jest sporo takich, co od razu by zadzwonili po żandarmów, gdyby was zobaczyli. Strona czwarta.

Hussajn usiadł i wpatrywał się w zdjęcie. Teraz, gdy zobaczył swoją twarz w gazetach, naprawdę dotarło do niego, że wszystko, co tak drobiazgowo zaplanował, obróciło się w pył. Saida, czytając mu przez ramię, aż zakryła usta dłonią.

- To pan.

- Chodź, bracie - powiedział Khazid.

- Nie ma powodów do paniki - uspokoił ich Romano. - To tylko kwestia dostosowania się do sytuacji. Pierwsza sprawa - ja nie mogę skontaktować się z Maklerem, tylko on dzwoni do mnie. A wy możecie?

- Tak - odparł Hussajn.

- To świetnie. Ten drink jest genialny - brandy i piwo imbirowe. Jakbym znowu był w marynarce. Powinniście spróbować. - Zarechotał. - A, zapomniałem, że wy nie możecie.

- My nie, ale nasze nowe osobowości mogą.

- W sumie tak. Nie wyglądacie na jakichś śmierdzących Beduinów. - Odwrócił się i krzyknął do kelnera: - Pierre, dwa razy Końska Szyja - nie, trzy. - Spojrzał na Khazida. - Jeśli wchodzisz między wrony, co?

- Jeśli...

- To mi się podoba. - Romano klepnął Saidę w pośladek. - Leć i kup jedzenie na rejs, i zrzuć te paskudne dzinsy. Mówiłem ci, że podobają mi się krótkie spódniczki, zapomniałaś? No, ma być tak, jak lubię.

Kelner przyniósł trzy szklanki, gdy postawił je na stole, dziewczyna wzięła jedną z nich i chlusnęła drinkiem w twarz Romano. Ale on nawet się nie skrzywił, tylko oblizał usta.

- Wyborne. - Wziął chusteczkę i wytarł się nią. - Jeszcze będziesz miała za to karę, ale tym zajmę się jak już będziemy na morzu.

Stanęła jak wryta.

- Na morzu? Mam z tobą płynąć?

- Do Anglii. - Romano popatrzył na Hussajna. - Chłopaki muszą tam się dostać, szczególnie, że nie mogą po prostu tam polecieć. Przyjechała tu kilka miesięcy temu z jakimś

Albańczykiem, ale jak przyszły gorsze czasy, a ja miałem zawieźć go do Anglii, to zostawił ją tutaj i jak wróciłem, jeszcze tu siedziała.

- Za każdym razem, gdy płyniesz do Anglii, to obiecujesz, że mnie zabierzesz - rzuciła ze złością. - Idę po rzeczy. - Zatrzymała się. - Tylko, że mam mało pieniędzy. - Wzruszyła ramionami i odeszła.

Hussajn kiwnął na Khazida, który poszedł za nią.

- Nie polubiliście mnie, co? - zapytał Romano. - Pewnie mną gardzicie?

- Jak to powiedział w Casablance Humphrey Bogart: „Gdybym cię w ogóle zauważył - to pewno bym tobą gardził”. - Otworzył torbę, odszukał broszkę i przycisnął guzik. Zamknął torbę z powrotem. - Musimy teraz tylko poczekać.

* * *

- Nie martw się, kupuj, co chcesz - powiedział Khazid, dogoniwszy dziewczynę. - Ja zapłacę.

- O twoim przyjacielu - odpowiedziała - to nawet ja słyszałam. Młot Boży.

- To wspaniały człowiek i niezrównany żołnierz - odrzekł z dumą.

- Ty też jesteś żołnierzem i byłeś na wojnie?

- Oczywiście. W Iraku, a tam nie jest przyjemnie.

- Widziałam w telewizji. Amerykanie, Brytyjczycy.

- Nie tylko to. Irak to czarna dziura, piekło, zaraza, która wszystkich pożera. Rodzeni bracia mordują się nawzajem, co tydzień giną tysiące ludzi. Kobiety i dzieci giną na ulicach w wymianie ognia.

- Kiedy to się skończy?

- Może nigdy... Dokąd idziesz, do tamtego sklepu?

- Tak.

- Idę z tobą.

Przechodzili obok stoiska z mięsem, gdy dostrzegł wystawę z nożami, więc się cofnął. Wiedział, że francuskie władze nie kontrolują sprzedaży pewnych typów broni tak bardzo, jak to się dzieje w innych krajach. Wszedł do sklepiku i zobaczył w środku starszego człowieka z siwą

brodą.

- Czym mogę służyć, monsieur?

- Potrzebuję jakiegoś noża ze składanym ostrzem, pewnego i, w miarę możliwości, sprężynowego.

Kwadrans później wychodził ze sprężynowym nożem z kościaną rękojeścią prostym, ale solidnym.

Znalazł dziewczynę przed kasami.

- Kupiłaś wszystko, co potrzeba?

- Tak. W życiu trzeba być przygotowanym na wszystko. Poza tym nie lubię komandora.

Czy jestem przez to złym człowiekiem?

- Absolutnie nie.

* * *

Z początku Makler był bardzo zaskoczony. Fakt, że informacja o poszukiwaniu Hussajna dotarła do tego zapomnianego porciku, był dość niekorzystny przez wzgląd na żądania Romano. Jeśli Hussajn i Khazid mieli dotrzeć do Anglii, musiał przystać na jego warunki, ale obiecał sobie, że rozprawi się z Romano później. Al-Kaida na pewno by się tym zajęła. Zagwarantował Romano dodatkowe pieniądze, które miały być w przeciągu kilku godzin przesłane na konto w Szwajcarii. Kiedy skończyli rozmawiać, Makler poprosił do telefonu Hussajna.

- Wstań i przejdź się. Nie chcę, żeby ten sukinsyn czegoś się domyślił.

- W porządku.

- Nasz plan ogólnie się nie zmienił. Trzeba jednak przyznać, że tamci w międzyczasie odnieśli kilka sukcesów. Harry Salter poradził sobie z rosyjską mafią. Sześciu gości, wśród których byli ludzie z IRA, miało zlecenie na Fergusona i Saltera, ale marnie skończyło. Dwóch z nich, zwykle bandziorki, nawet strzelali do Fergusona i Ropera, ale teraz tkwią w samochodzie na dnie Tamizy i czekają na dźwig i grabarza. Nie dość, że byli nakoksowani i jechali skradzionym samochodem, to jeszcze strzelali w sklepowe witryny. - Westchnął. - Teraz wszystko w twoich rękach. Życzę szczęścia przy forsowaniu kanału. Jestem pewien, że Darcus wam pomoże, tak samo Dreg Chan. Wykorzystaj go i jego wtyki z Armii Boga i Braterstwa w

Londynie. Pamiętaj tylko, że to nie jest wyłącznie twoja prywatna krucjata, która dotyczy Raszidów i dziewczynki. Najważniejszym celem jest Ferguson, a jeśli to będzie możliwe, to i Salter. Reszta to cele drugorzędne.

Rozłączył się, ucinając jakąkolwiek dyskusję. Hussajn wrócił do stolika. Khazid i Saida wracali na łódź.

- Chyba dziewczyna podoba się twojemu koledze. Pewnie zaraz będzie ją bzykał. Chodź na łódkę, to ich przestraszymy.

- Pamiętaj, jak przed chwilą cytowałem ci Bogarta? Rzeczywiście gardzę tobą - powiedział Hussajn z obrzydzeniem.

- No, ja jestem rozsądnym człowiekiem, kiedy chcę. Zaproponowałem dziewczynie darmową przejażdżkę z wami, chyba, że macie coś przeciwko.

- Przeciwno czemu? Zostawieniu jej tam, na brzegu, bez dokumentów i pieniędzy?

Szli w kierunku łodzi.

- W Anglii, jeśli pójdzie na najbliższy posterunek policji, to przekażą ją pomocy społecznej. Dostanie dach nad głową i jakieś grosze, żeby nie umarła z głodu. Mało prawdopodobne, żeby odesłali ją z powrotem. Tam teraz w każdej wiosce jest meczet, a nie powinno tak być, stary. Spróbuj znaleźć w Mekce albo Medynie jakiś kościół. A co się dzieje z irackimi chrześcijanami?

Hussajn zignorował go całkowicie.

- Kiedy wyruszamy?

Romano spojrział na zegarek. Było w pół do szóstej.

- Nie ma powodu, żeby tu siedzieć. - Wyjął butelkę wina i nalał do szklanek. - Sprawdziłem pogodę. Będą przelotne deszcze, a rano mgła.

Podeszli do „Seagull”.

- Ładna łódź - stwierdził Hussajn.

- Prawda? Dziesięciometrowa, zbudowana przez Akerbooma, dwie śruby, dwadzieścia pięć węzłów, automatyczne sterowanie i własny ponton z silnikiem. Poza tym w barku jest sporo gorzały. - Zarechotał. - Cholera, znowu zapomniałem, że nie pijecie.

- I zabierasz dziewczynę?

- Pewnie tak. Płyniemy na Peel Island, wybrzeże Dorset, niedaleko Portland Bill. Zakotwiczymy z dala od brzegu i podpłyniemy pontonem. Mam dla was mapkę, jak macie iść

dalej ładem. Niedaleko jest zabagnione jezioro, nad którym jest gospodarstwo Folly Way. Nigdy nie rozmawiałem z człowiekiem, ale jak ma na imię Darcus, to nawet nie chcę. Dobra, wsiadamy na pokład. Saida, gdzie ty jesteś, do cholery? - wrzasnął.

- Przygotowuję kolację. Henri jest w salonie.

- Henri, odpływamy.

Saida wyszła z kambuza i spojrzała na nich.

- Ja też płynę?

- Tak, chociaż nie wiem, dlaczego się na to zgadzam. Nie zdjęłaś džinsów. Czekaaj, dostaniesz za swoje.

Saida wróciła do kambuza, a Khazid wyszedł na górę i dołączył do pozostałych na mostku.

- Kiedy odpływamy?

- Za półtorej godziny.

- Jak to jest daleko? - zapytał Hussajn.

- Kilkaset mil - odpowiedział i spojrzał na przyrządy. - Ustawiłem kurs, który znam jak własną kieszeń, ale na wszelki wypadek mam mapy całego kanału, zawsze coś się może wydarzyć. Oczywiście można też ustawić autopilota. - Spojrzał na Hussajna. - Dobrze by było, gdybyś w którymś momencie mnie zastąpił. Znasz się na łodziach?

- Nie, ale jestem pilotem, więc wiem, co to nawigacja, potrafię ustawić kurs, czytać mapy i tak dalej.

- No dobra, jak spojrzysz na mapy Admiralicji, to zobaczysz zaznaczony kurs na Peel Island. Czerwona kreska.

- Tam jest wioska?

- Nie, wioska jest kilkaset metrów w głąb wyspy. Nigdy tam nie byłem. Rozmawiałem tylko z tym Darcusem przez radiotelefon. Makler zwerbował go w zeszłym roku, kiedy zaczął regularnie przerzucać gości do Anglii. Wiem, kto to jest. Ciepły koleś. No nieważne, płyniemy.

Włączył silnik, który zabulgotał pod pokładem i krzyknął do Khazida, żeby odcumował łódź. Odbili od brzegu i powoli popłynęli w kierunku otwartego morza. Gdy mijali wejście do portu, włączyli światła pozycyjne i zwiększyli prędkość.

- Cudownie. Ta łódeczka nigdy mnie nie zawiodła.

- Wyjął z kieszeni marynarki butelkę brandy, otworzył ją zębami i napił się prosto z

butelki. - Idźcie na dół i rozgośćcie się. Ja później dołączę.

Hussajn zszedł pod pokład i zobaczył, że Saida przygotowuje kolację. Przeszedł do salonu. Kabina na rufie miała dwie koje, niewielką toaletę i równie mały prysznic. Kabina dziobowa również miała dwie koje. W środku stał stół, przy którym siedział Khazid z kieliszkiem wina w ręku.

- Jak widzisz, wczuwam się w rolę i bardzo mi to pasuje. Chcesz?

- Nie, dzięki. I nie dlatego, że poczułem się bardzo pobożny. Religia znaczy dla mnie coraz mniej - odpowiedział Hussajn.

- To dziwne. Nikt nie zrobił ostatnio więcej dla religii, niż ty.

- Ale ja walczę dla mojego kraju, dla Iraku, a nie dla islamu.

Saida słyszała, o czym mówią i bez żadnego pytania przyniosła mu kawę.

- Moi rodzice zginęli podczas bombardowania. Nie lubiłem Saddama, ale też nie witałem najeźdźców z otwartymi ramionami. Sam się nad tym wszystkim zastanawiam. - Hussajn spojrzał na Saide. - A ty?

- Co ja myślę o religii? - Przystanąła na chwilę. - Nie wiem. Serbowie, którzy zabili mi ojca, byli chrześcijanami. Także większość ludzi w wiosce była chrześcijanami, ale nie byli wcale bogobojni. Dla mnie różnice religijne to tylko pretekst do zabijania. Dzisiejsze czasy są tak barbarzyńskie i okrutne.

Hussajn westchnął.

- Masz rację. Może i ja się jednak napiję wina.

Saida podeszła do szafki, wyjęła butelkę i nalała mu. Khazid wyciągnął swój, żeby dołąła i wszyscy podnieśli szkło do toastu.

- Za co pijemy? - zapytał Khazid.

- Za nas, przyjacielu, bo w czasie wojny, jedyną prawdziwie dobrą rzeczą jest przyjaźń i braterstwo broni. - Wypił do dna. - Pójdę na górę.

* * *

Łódź pędziła do przodu, fale były coraz większe, a deszcz spływał kroplami po szybach. Na pokładzie świeciły się światła pozycyjne.

- A, jesteś - powiedział Romano. - Weź koło.

Zszedł z drogi, robiąc Hussajnowi miejsce, a potem wyjął butelkę i porządnie z niej pociągnął.

- Jersey jest po prawej burcie, zaraz nawet ją zobaczymy. Guernsey trochę dalej, za nimi Alderney, a jeszcze dalej na północ angielskie wybrzeże i nasz cel. - Napił się jeszcze raz. - Cholera, już pusta. Idę po następną.

Wyszedł, a Hussajn poczuł przyjemne uderzenie adrenaliny. Wycieraczki pracowały bez przerwy, radio trzeszczało i co chwilę słychać było głosy podające szczegóły na temat pogody i ruchów statków. Był zrelaksowany, nie zaprzętał sobie głowy złymi myślami. Morze wzburzyło się jeszcze bardziej, fale zaczęły przelewać się przez dziób, co bardzo mu się spodobało. Wrócił Romano.

- Piątka, może nawet szóstka. - Wyjął butelkę i otworzył ją. - Idź na dół i zjedz coś. Ja wziąłem kanapkę.

Hussajn zszedł i zobaczył, że Khazid i Saida jedzą kanapki z arabskiego chleba i piją herbatę. Usiadł przy nich i nagle poczuł głód.

- Bardzo dobre, zjem jeszcze jedną. - Khazid wyjął z kieszeni nóż, ostrze wyskoczyło z rękojeści, pochylił się i nabił na nie kanapkę.

- Ładny. Skąd go masz? - zapytał Hussajn.

- Kupiłem w sklepie przy przystani. Bez broni czułem się nagi. Długo już nie miałem pistoletu w ręce. A ten maluch sprawia, że czuję się pewniej. Zmienię na chwilę starego.

Poszedł na górę, a za chwilę w zejściówce ukazał się Romano, zsuwając się z ostatnich kilku stopni. Hussajn wstał, żeby go podnieść, ale Romano wstał sam i ponownie upadł, kompletnie pijany. Hussajn podniósł dłonie, jak gdyby chciał go uspokoić.

- Wynocha - wybelkotał Romano i gramoląc się z podłogi popchnął brutalnie dziewczynę.
- Przynieś mi drinka. - Rzucił się na siedzenie.

- Żadnego alkoholu. Daj mu kawy - polecił Hussajn. - I to dużo. Ja idę na górę.

Gdy wszedł na pokład, zobaczył jak Khazid walczy z kołem sterowym.

- Ja się tym zajmę - powiedział i w tym momencie usłyszeli krzyk dziewczyny.

- Nie zniosę tego dłużej!

Łódź płynęła równiej, było bardzo ciemno, tylko płaty piany połyskiwały na falach. Pokład był mokry i śliski. Nagle wbiegła na niego dziewczyna, za nią wypadł Romano i złapał ją.

- Chodź tutaj, chodź, bo pożałujesz.

- Nigdy, nie! - krzyknęła i zaczęła mu się wyrywać, upadając na mokrym pokładzie. Romano poślizgnął się razem z nią zaśmiał się, a potem ruszył na nią i wypchnął za burtę. Khazid stał i patrzył ze zgrozą. Widział już wiele okrucieństwa, sam zabił niejednego człowieka, ale teraz nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Dziewczyna, która była tu przed chwilą zniknęła bez śladu w wodzie.

Hussajn natychmiast wyłączył silnik i łódka zakołysała się. Khazid rzucił koło ratunkowe, ale nie miało to żadnego sensu. Byli tylko małym światełkiem na wielkim, czarnym morzu.

- Głupia dziwka - wrzasnął Romano, stojąc na czworakach.

Khazid kopnął go z całej siły.

- Ty psie. - Wstając z trudem Romano wpadł do zejściówki, a Khazid kopnął jeszcze raz, spychając go na dół.

- Włączę silnik - krzyknął Hussajn. - I tak jej nie znajdziemy.

Poszedł na rufę, a Khazid zaczął nawoływać. Nagle usłyszeli łomot i zobaczyli zataczającego się Romano, ze starym rewolwerem w ręce.

- Widzisz to? - wybełkotał i strzelił, chybiając. - Ty śmierdzący arabusie. No co? - Podszedł bliżej.

Khazid błyskawicznie sięgnął po nóż, zwolnił ostrze i wbił je w gardło Romano.

- Teraz lepiej? - Rozerwał nożem całą krtań i wyrzucił go za burtę. Przez chwilę ciało widać było na falach, ale szybko zniknęło w ciemnościach. Hussajn włączył silnik i „Seagull” zaczęła z powrotem pruć fale.

* * *

Mostek wydawał się być miejscem z jakiegoś horroru. Deszcz walił o szyby, wiatr gwizdał i przed chwilą zginęły dwie osoby. Było po północy, kiedy Khazid przyszedł z dołu ze staromodną bańką. Gdy otworzył drzwi, wiatr wepchnął do środka chmurę deszczowych kropel. Stojący za kołem sterowym Hussajn, nawet się nie odwrócił.

- Kawy? - Khazid zalał pół kubka, a Hussajn złapał go, mocno trzymając się na nogach. Udało mu się wypić ją do końca.

- Jeszcze jedną?

- Tak. - Khazid nalał Hussajnowi i sobie. - Dobra. Bardzo dobra. Tego mi było trzeba. Nie piłeś czasem szkockiej?

- A piłem, tak. To przez szok. Zabijałem nie raz, sam zresztą wiesz, ale żeby w ten sposób...

- Nie masz powodu czuć się winnym. Gdybyś nie kupił tego noża, to sam byś teraz pływał z rybami z kulką w głowie albo gdzie indziej. Ale fakt, że sposób, w jaki potraktował tę dziewczynę, to obraza boska.

- To co robimy?

- Nic, płyniemy dalej. Nie bój się. Jak już powiedziałem Romano, może nie znam się na łodziach, ale na nawigacji tak. Mamy mapy i trasę wyznaczoną prosto do Portland Bill i Peel Strand. Poradzimy sobie.

- Nawet przy tej pogodzie?

- Już sprawdziłem. Im bliżej lądu, tym jest spokojniej. Rano ma być mgła, ale powinniśmy sobie z tym poradzić.

- Chcesz coś jeszcze? Kanapki? Saida zrobiła ich bardzo dużo.

- Zjem jak zejść na dół, zresztą może już teraz pójdę, muszę skontaktować się z Maklerem. Weźmiesz koło na jakiś czas?

Zamienili się miejscami i Hussajn wyszedł.

* * *

- Do diabła, nie można było tego Khazida jakoś powstrzymać? - pytał zdenerwowany Makler.

- Zrobił, to co powinien był zrobić - odparł Hussajn. - George Romano to był pies, a nie człowiek i świat na szczęście już się go pozbył, nikt po nim nie będzie płakał. - W jego głosie słychać było nie tylko żelazną determinację, ale i spokojną obojętność, która dała Maklerowi do myślenia.

- Dasz sobie radę?

- Z łodzią? Jasne, że sobie dam. Rano ma być przy brzegu spora mgła. Wykorzystam to i

zatopię „Seagull”.

- Na pewno chcesz to zrobić?

- Ktoś szybko powiadomiłby straż graniczną że na kotwicy stoi nieznana łódź. Mamy tu ponton z silnikiem, więc dostaniemy się na brzeg.

- Wiecie kiedy, mniej więcej, będziecie na miejscu?

- Około czwartej, tak myślę. Będzie już świtać. Romano miał mapy morskie tej okolicy. Jest tam żwirowa plaża, która przechodzi w solniska. Wellington mieszka w gospodarstwie niedaleko tego miejsca.

- Dobrze. Zadzwoń do niego i powiem, żeby na was czekał.

- Co mu powiesz? Że był wypadek?

- Chyba nie. Powiem, że z powodu mgły Romano nie podpłynie blisko, żeby nie wejść na mieliznę.

- A ponton?

- Że Darcus będzie mógł go wziąć.

- Będzie tym zachwycony.

- Pewnie tak - odparł Makler.

- A co z profesorem Chanem? Kiedy się z nim spotkam?

- Kiedy uznasz za stosowne. Sam o tym zdecydujesz.

Hussajn wrócił na mostek. Khazid pewnie trzymał ręce na kole sterowym i uśmiechał się.

- I co słyhać?

Hussajn streścił rozmowę z Maklerem, a potem jeszcze rozmowę z Saint-Denis.

- Czyli Salterowie nie tylko załatwili rosyjską mafię, ale i najemników z IRA. Sześciu. To naprawdę poważna sprawa - skomentował te rewelacje Khazid.

- Poważniejsze rzeczy załatwialiśmy. - Hussajn się uśmiechnął. - Położę się na godzinę. Obudź mnie. - Powiedziawszy to, zszedł pod pokład.

* * *

Darcus Wellington obudził się wściekły i zaczął szukać telefonu, przewracając kubek z resztką kawy. Usiadł na łóżku i włączył światło.

- Kto tam, do cholery?

Głos w słuchawce podziałał jak zimny prysznic i Darcus w jednej chwili się rozbudził, wstając z łóżka w staromodnej koszuli nocnej.

- Twoi goście niedługo będą na miejscu - powiedział Makler. - Wiem, że jest paskudny ranek, ale nic na to nie poradzimy. Pofatyguj się na brzeg o czwartej trzydzieści i czekaj na nich. Pamiętaj, to bardzo szczególni ludzie.

- Tak sędzę. Twarz tego Hussajna jest we wszystkich gazetach.

- Nie jęcz. Zadzwońię.

Rozłączył się, a Wellington usiadł ciężko oddychając. Był łysy, miał obwisłą twarz, ale ponad sześćdziesiąt lat na estradzie musiało zrobić swoje. Wstał i odsłonił okna. Choć widać już było nadchodzący świt, mgła czała się tuż za oknem, jakby i jego miała dopaść.

- Dobry Boże, co za pogoda.

Poszedł do łazienki i wszedł pod prysznic. Stał w nim chwilę bez ruchu, ale zmienił zdanie i wrócił do sypialni. Zdjął nocną koszulę i nałożył dżinsową koszulę, sztruksowe spodnie i sweter z szalowym kołnierzem. Na jego toaletce stało wiele kremów, pudrów i cała masa przyrządów do nakładania makijażu. Usiadł przed lustrem, nasmarował twarz kremem, potem nałożył róż na policzki i podkreślił oczy. Widać było, że ma doświadczenie w wykonywaniu teatralnej charakteryzacji. W końcu wyjął perukę z kasztanowatymi, lekko falującymi włosami i nałożył ją na łysą czaszkę. Zadowolony z efektu wstał i poszedł do kuchni przez staromodnie urządzonej salon.

Kuchnia, tak, jak wszystkie pomieszczenia, miała kasetonowy sufit, ale całe wyposażenie było bardzo nowoczesne, jakby była świątynią gotowania doskonałego. Włączył czajnik, mruczając do siebie, nasypał do miseczki musli, dolał mleka z kartonu i zjadł, ale bez apetytu. Kiedy zagotowała się woda, zaparzył sobie zielonej herbaty. Potem ponownie wyjrzał przez okno. Gdy spojrzał na zegarek, stwierdził, że było już po czwartej.

- Ojej - powiedział do siebie. - Chyba powinienem już iść.

Poszedł do przedpokoju, wyjął z szafy gumowce i usiadł, żeby je założyć. Potem wstał, wziął kurtkę z kapturem i wyszedł.

Mgła była gęsta jak mleko, pełna drobniutkiej mżawki, a w powietrzu czuć było charakterystyczny zapach słonych bagien. Poszedł ścieżką po grobli, omijając błoto i muł. Zmiana klimatu i podwyższanie się poziomu morza wywarło swój wpływ także i na to

szczególne miejsce. Nawet ptaki nie przylatywały tu tak licznie, jak dawniej. Podeszedł do starej, rozpadającej się kamiennej opaski, przed którą widać było przegniłe drewniane pale i żwir. Wszystko tonęło w mgle. Nagle usłyszał dźwięk silnika.

- Halo, halo! Tutaj jestem! - zawołał.

* * *

Hussajn skorzystał z sonaru, w który wyposażono łódź. Pod nimi było trzydzieści metrów do dna. Wyłączył silnik.

- Przecięgnij ponton do przodu, odwiąż go i wejdź do środka.

- A ty? - zapytał Khazid.

Hussajn odkręcał włącznik do silnika.

- Pogrzebię przy zaworach. - Zniknął w przedziale silnikowym, znalazł element, którego szukał, zrobił swoje i wyszedł. Dołączył do Khazida w pontonie i odepchnęli się od łodzi. Usiedli i patrzyli, jak łódź zanurza się powoli w wodzie. Hussajn wyjął papierosa, przypalił i dał go Khazidowi, a potem zapalił swojego. Woda kłębiła się wokół rufy „Seagulla”, aż w końcu łódź zniknęła pod wodą.

- Smutno patrzeć, jak tonie statek, albo nawet taka łódź - powiedział Khazid.

- Dlaczego? - Hussajn włączył silnik i zaczęli płynąć do brzegu.

- Bo to tak, jakby ktoś bliski umierał.

- Poważnie?

Wiał lekki wiatr, za lekki, żeby morze falowało, ale wystarczał, żeby poruszyć mgłę. Widać już było zarysy lądu i usłyszeli nawoływania Wellingtona. Hussajn wyłączył silnik i po cichu podpłynęli do brzegu.

- A gdzie to Romano i „Seagull”? - zapytał Darcus.

- Nie chciał ryzykować podpłynięcia w tej mgle - powiedział Hussajn. - Nad całą zatoką jest gęsta jak mleko i martwił się o łódź. W końcu zdecydowaliśmy, że weźmiemy ponton. Powiedział, że możesz go sobie wziąć.

- Naprawdę? To bardzo miło z jego strony. Przejdę wzdłuż plaży jakieś pięćdziesiąt metrów w tamtą stronę. Jest tam stary, kamienny pomost. Możecie tam zacumować bez potrzeby

brodzenia w zimnej wodzie.

Po chwili ponton był przywiązany, a dwóch Irakijczyków stało na pomoście.

- Ja jestem Darcus Wellington, a pan to pewnie ten słynny Młot Boży. Widziałem pana w gazetach. A pana przyjaciel?

- Nazywam się Henri Duval - przedstawił się Khazid.

- Żartowniś. - Darcus uśmiechnął się do niego. - Jeśli ty jesteś Henri Duval, to ja jestem co najmniej księciem Karolem.

Weszli na groblę, a Khazid powiedział nienaganną francuszczyzną:

- Zapewniam, mon ami, że jestem tym, za kogo się podaję.

Darcusa zatkało.

- Przyznam, że jestem pod wielkim wrażeniem. Mówi pan wybornie po francusku. - Nagle zaczął padać deszcz. - Chodźmy szybciej, albo przemokniemy do suchej nitki.

Ruszył truchtem w stronę domu, który widać już było przez przeredzającą się mgłę. Otworzył frontowe drzwi i puścił gości przodem.

- Witam w Folly Way. Tak nazywali ten dom poprzedni właściciele, gdyśmy go kupowali z Bernardem. Był moim, że tak powiem, przyjacielem. Wtedy były tu bagna, potoki pełne ryb, rośliny, ptaki wodne. Niestety, kilka lat temu Bernard zmarł, a ja, gdy wróciłem z wyjazdów, zauważyłem, że wiele rzeczy się zmieniło. To pewnie wszystko przez to podnoszenie się poziomu morza. Tak czy owak, witam na końcu świata.

- Dlaczego to ma być koniec świata? - zapytał Hussajn.

- Bo za każdym razem, gdy stąd wyjeżdżam, a potem wracam, czuję się, jakby kawałek mnie zamierał. Ale mniejsza o to. Zdejmijcie, proszę, płaszcze i chodźcie do kuchni. Zrobię wam pyszne śniadanie.

Śniadanie było wyśmienite. Darcus przygotował rybę, jajecznicę z cebulką, podgrzał arabski chleb, który miał w zamrażarce, a na koniec podał na stół jogurt, mnóstwo owoców i zieloną herbatę.

- Gotowanie to mój konik. Kiedyś nawet pracowałem jako szef kuchni, ale nazbyt łatwo wpadałem w konflikty z załogą, bo zbyt dużo wymagałem... - Pozbierał naczynia i włożył je do zmywarki.

- Całe życie przepracowałem w szeroko pojętym show biznesie. Zaczęło się, gdy miałem trzynaście lat i udałem po raz pierwszy do cyrku. Czego ja nie próbowałem... Kabaret, teatr, film. Jednak nigdy nie miałem prawdziwego domu, do którego mogłem wracać. Dlatego właśnie kupiliśmy z Bernardem to miejsce. To znaczy, wtedy wydawało się nam, że to dobry pomysł. Występowaliśmy, pamiętam, z letnim kabaretem w Bournemouth, to miasteczko portowe niedaleko stąd. Którejś niedzieli, kiedy jeździliśmy samochodem po okolicy, trafiliśmy właśnie tutaj, tylko że wtedy okolica wyglądała zupełnie inaczej. Ach, Folly Way to już nie to samo miejsce...

Nie przestawał mówić, przy tym był bardzo dowcipny, jednak gdy mówił o ludziach, wyczuwało się w jego słowach pewną zjadliwość.

- Talent, mój kochany - mówił - to przekleństwo. To coś, czego koledzy nigdy ci nie wybaczą. Oczywiście, można się wiele nauczyć, ale to nie wszystko. Weźmy na przykład ciebie. Ty też masz niebywały talent.

- Do czego? - zdziwił się Hussajn.

- Do zabijania ludzi. To wcale nie jest takie proste a ty jesteś w tym wyśmienity. Jesteś typem prawdziwego rewolucjonisty oddanego sprawie. Takim był Che Guevara - zresztą bardzo mi go przypominasz. Romantyczny bohater pełen odwagi i męstwa. Nawet fizycznie jesteś do niego podobny przez tę brodę.

- To dobrze - odezwał się Khazid. - I myślę, że może być w tym ziarno prawdy. - Spojrzał na Darcusa. - Dzieciaki w Bagdadzie biegają z dumą w koszulkach z napisem „Młot Boży”.

- Ale nie ma na nich twojej twarzy, co, kochany? - zapytał Darcus. - Nie możesz sobie teraz na to pozwolić.

- Pewnego dnia - rozmarzył się Khazid - kiedy Irak będzie wolny, jego twarz będą znali wszyscy ludzie.

- Nie byłby pierwszym bojownikiem o wolność, który został potem prezydentem swojego kraju. Weźmy pierwszego lepszego, na przykład Jerzego Waszyngtona?

- Właśnie - przytaknął Khazid.

- Dobrze, zajmijmy się ważniejszymi sprawami - uciął Hussajn, lekko zakłopotany. - Jak przedstawia się sprawa broni?

- Bóg jeden wie, jak mam jej dosyć, choć sam w życiu nie oddałem ani jednego strzału. Sami zresztą zobaczycie, co ja tu mam. Proszę tędy, panowie.

Zaprowadził ich do salonu znajdującego się w środku domu. Ściany, wyłożone cisowymi panelami, obwieszane były zdjęciami z przedstawień teatralnych, telewizyjnych i filmowych.

- Moje życie było jednym, wielkim przedstawieniem, i to jakim. Należy mi się Oscar.

- Ale co to ma do broni? - zapytał trzeźwo Hussajn.

Wellington uśmiechnął się i lekko kopnął w dolną część jednego z paneli. Rozległ się głośny trzask i w ścianie pojawiły się ukryte drzwi, które wysunęły się na kilka centymetrów tak, że umożliwiały swobodne włożenie ręki. Darcus otworzył je, wszedł do środka i zapalił światło. W skrytce znajdował się prawdziwy arsenał.

- Witam w moim Sezamie.

W środku było kilka walterów, tłumiki Carswella, colty, pistolety maszynowe, w tym najnowsze uzi, trzy kałasznikowy, pudło granatów ręcznych, a nawet semteks i kilkanaście, pieczołowicie ponumerowanych, zapalników ołówkowych.

- Mój Boże! Jakbyś szedł na wojnę.

- Nie ja, mój kochany. Już mówiłem, że w życiu nie miałem broni w ręku. Rozejrzyjcie się i wybierzcie, co wam potrzeba. Ja mam swoje obowiązki w kuchni. Życzę udanych łowów.

* * *

- Waltery, tłumiki, colty 25 z kaburami na kostkę. Weźmy to, co zawsze - zaproponował Khazid. - Zestaw obowiązkowy każdego zamachowca.

- W sumie tak - zgodził się Hussajn. - Wystarczą do tego, co mamy zrobić. W

niesprzyjających okolicznościach zawsze będziemy mogli się ich pozbyć. Ale nie nadają się do snajperskiej roboty.

- To może granaty?

- Bez sensu. Mamy dorwać dwóch ludzi, a nie przypadkowych przechodniów.

- No to może uzi ze składaną kolbą? Zmieści się do torby.

Hussajn, zrezygnowany, powiedział.

- Jak chcesz - odpowiedział z rezygnacją Hussajn. - Sprawdź broń tu na stole. No i weź amunicję, ale bez przesady. Zawsze możemy uzupełnić zapasy w Londynie, u Chana.

* * *

Dillon kończył właśnie jeść śniadanie w kuchni w Holland Park, gdy do pokoju komputerowego zawołał go Roper.

- Znalazłeś coś ciekawego?

- Dostałem wiadomość od mojego człowieka w hiszpańskim wywiadzie. Ukradziony w Khufrze hydroplan odnalazł się na Majorce. Mało tego, informator mojego kontaktu, który jest tam policjantem, powiedział, że zeszłej nocy przyleciał odrzutowiec, wysadził dwie osoby i od razu odleciał. Podobno była też strzelanina.

- To oznacza, że Hussajn ukradł ten hydroplan. On jest przecież świetnym pilotem. Na pewno tak było. Ale kim jest ten drugi?

- Z Bagdadu wyruszył z trzema, Hamidem i Hassimem, których zastrzeliliście z Billym, i niejakim Khazidem. Zanim o niego zapytasz, pokażę ci jeszcze raz zdjęcia z kamery w hangarze w Kuwejcie. Niestety, nie są najlepsze i nie ma na nich Khazida.

- A mamy coś w ogóle na jego temat?

- Kolejny kuzyn Hussajna, następny Raszid. Świetnie wyszkolony żołnierz i także daleki kuzyn Sary, jak przypuszczam. Poza tym ma z nią coś więcej wspólnego.

- Co?

- Jest półkrwi Arabem, matka była Francuzką.

- Była?

- Jego rodzice zginęli podczas pierwszej wojny w Zatoce, na szosie biegnącej w kierunku

Kuwejtu. Uciekali samochodem z miasta.

- Jakie to ma znaczenie dla nas?

- Poczekaj, jest jeszcze coś. Z międzynarodowego portu lotniczego w Palma de Mallorca można polecieć w różne strony. Hiszpańska policja była cwana i szybko sprawdziła zatokę, do której przylecieli, bo usłyszano lądowanie. Jeśli policzyć, ile potrzebowali czasu, żeby stamtąd dostać się na lotnisko, to wychodzi nam mniej więcej południe. A ponieważ są mocno zdesperowani, to pozwoli nam mocno zawęzić czas ich odlotu z Majorki.

- Więc Hiszpanie nie musieli godzinami ślęczeć nad zapisami z kamer.

- Sam zobacz. - Roper pokazał nagranie. Widać było Hussajna, jak przechodzi przez bramkę zdejmując okulary podczas kontroli paszportowej. Człowiekiem za nim był na pewno Khazid, ponieważ rozmawiali ze sobą ale, niestety, nie można było dostrzec jego twarzy.

- I dokąd polecieci?

- Na niewielkie lotnisko, samolotem tanich linii lotniczych z turystami wracającymi do domu. Było kilka miejsc wolnych. Polecieci do Rennes we Francji.

- Przystanek w drodze do Anglii?

- Bezsprzecznie. Bretania oznacza Wyspy Normandzkie, a jak już tam będą, to są w Anglii. Stamtąd codziennie odlatuje samolot na południowe wybrzeże. Oczywiście to tylko podejrzenie, ale widać jasno, że jest on w drodze a to już poważna sprawa.

Dillon usiadł i myślał.

- Dobra, informujemy o tym wszystkich. Wykorzystajmy wszelkie kontakty z mediami, żeby te fotografie nie schodziły ze stron gazet i ostrzegały, że gość już może być w Anglii.

- Tak, tylko że problem tkwi w tym, że nie jesteśmy tego tak do końca pewni. Musimy czekać, aż coś się wydarzy.

- Jedyne rzecz, jaka może się wydarzyć, to przyjazd Hussajna i Khazida. Wiemy o tym doskonale i, mało tego, znamy ich cel. To Raszidowie na Gulf Road w Hampstead.

- Co proponujesz?

- Ferguson zadecyduje - odparł zapytany Dillon. - Może każe przewieźć ich wszystkich tutaj.

- Jej się to nie spodoba.

- Nie będzie miała wyboru. Dzwoń do Fergusona.

* * *

Roper zadzwonił po kolei - do Fergusona, Billy'ego, Greta, Igora Lewina i Czomskiego. Gdy się zebrali, w milczeniu wysłuchali o jego odkryciach. Kończąc, dodał:

- Oczywiście to tylko hipoteza, nie możemy być pewni, czy tak jest w rzeczywistości.

- Jedno jest pewne - odezwał się Billy. - Ten sukinsyn tu jedzie. Ja to wiem i wszyscy wiemy. Pytanie, co możemy w tej sytuacji zrobić?

- Zabrać Raszidów z Hampstead, to najważniejsza rzecz, i wywieźć gdzieś daleko, zanim go nie sprzątniemy.

- Molly się na to nie zgodzi - oznajmiła Greta. - Pomimo tego, co się dzieje, ona uważa, że jej obowiązkiem jest nadal pracować i leczyć dzieci. Nie zgodzi się na wyjazd.

- No to, niestety, będzie musiała - odpowiedział krótko Ferguson.

Zaległa cisza. Po chwili Greta zapytała:

- Zastanawia mnie jedno. Co dokładnie zamierza zrobić Hussajn? Porwać dziewczynę i wywieźć ją ponownie do Iraku?

- I jak by to zrobił? - zadał retoryczne pytanie Lewin.

- Właśnie!

- A może on chce sprzątnąć Caspara w zemście za odebranie Sary? - zasugerował Billy.

- Co nie rozwiąże problemu jej wywiezienia.

- Może on sam nie wie - stwierdził Roper. - A może w ogóle nie zna samego siebie. Znacie losy jego rodu. Tyle śmierci, ile tam było, wystarczyłoby, żeby mścić się przez lata. To może nim kierować.

- A on sam jest jednym z najskuteczniejszych zamachowców na świecie - przypomniał Lewin.

Znowu zrobiło się cicho, ale po chwili odezwał się Billy:

- A może rozwiązanie jest prostsze niż myślimy. Może on po prostu idzie na żywioł, bez planu, bez pomysłu.

- Jeśli rzeczywiście tak jest, to niech Bóg ma nas w swojej opiece - odezwał się ze zgrozą Ferguson. - Jeśli on sam nie wie, co robi, to jakie my mamy szanse?

- Żadnych - krótko podsumował Dillon i zwróciwszy się do Fergusona, zapytał: - Co miałeś na myśli mówiąc, że Raszidowie powinni być zabrani z Hampstead i wywiezieni za

miasto?

- Ministerstwo Obrony ma posiadłość na wsi, dokładnie w hrabstwie West Sussex. Nazywa się Zion House. Jest położona niedaleko wybrzeża i bagien nad kanałem La Manche. Podczas drugiej wojny światowej przekazano ją państwu i szkolono tam agentów SOE. Przez długie lata odbywały się tam szkolenia, ale teraz jest tam spokojniej. Siedzi tam tylko kilku ochroniarzy, dawnych żandarmów, którymi kieruje kapitan Bosey.

- Do kogo te bagna należą? - zapytał Dillon.

- Są państwowe. To rezerwat przyrody. Sporo tam ptaków wodnych, kuliki, bekasy, dzikie gęsi z Syberii i inne.

- A co z ornitologami i miłośnikami obserwującymi dzikie ptactwo?

- Zion House leży w szczególnym miejscu i jest dobrze zabezpieczony bardzo wysokim ogrodzeniem z drutem pod wysokim napięciem. Gdyby ktoś chciał przejść górą, usmaży się.

- Zgroza.

- Spokojnie. Wszędzie są tablice ostrzegawcze i monitoring. Więcej nie można zrobić. Poza tym, przez dwadzieścia lat, o ile dobrze pamiętam, nigdy nie było problemu z nieproszonymi gośćmi.

- Brzmi nieźle - stwierdził Dillon. - Coś jeszcze?

- Obok posiadłości jest betonowy pas startowy, pochodzący jeszcze z czasów wojny. Możemy tam polecieć z Raszidami - i z wami, jeśli ktoś chce.

- To by pewnie wystarczyło. Kto tam z nimi będzie siedział?

- Greta ma dobry kontakt z rodziną. A gdyby Lewin i Czomski zechcieli, to możemy utworzyć rosyjski oddział.

Wszyscy przyklasnęli temu pomysłowi.

- Bomba - podsumował Dillon. - To do roboty, pakujemy Raszidów.

- Ty i Greta chodźcie ze mną, reszta zostaje. Roper dowodzi - zarządził Ferguson i wyszedł z pokoju.

* * *

Siedzieli przy stole w salonie. Ferguson wyjaśniał cierpliwie Casparowi, Molly i Sarze

sytuację i wynikłe z niej plany. Greta stała przy oknie.

- Chce nam pan powiedzieć, że Hussajn jest już w Anglii? - dopytywała się zdenerwowana Molly.

- Mamy powody, żeby uważać, że jest w drodze - odpowiedział Ferguson. - Poleciał z Hazaru do Algierii, ukradł hydroplan i poleciał nim na Majorkę, potem przedostał się do Rennes w Bretanii. Popatrzcie na mapę, to sami zobaczycie, jaka jest sytuacja.

- Byłby szalony, gdyby tu przyjechał. Po co? - W głosie Molly słychać było desperację.

- Przepraszam - odezwała się Sara, wstając od stołu. - Pójdę do ogrodu. Cokolwiek zdecydujecie, ja się dostosuję. Wyjazd do Zion House podoba mi się.

- Ale to dotyczy ciebie, kochanie - powiedział Caspar.

- Nie sędzę - odpowiedziała spokojnie. - Mnie Hussajn na pewno nie skrzywdzi. - Wyszła, za nią ruszyła Greta.

Molly Raszid wróciła do rozmowy.

- Musi pan zdać sobie sprawę, panie generale, że próbujemy żyć z powrotem normalnie, wszystko dla dobra Sary.

Tym razem od stołu podniósł się Dillon.

- Idę na taras zapalić. Generale, teraz wszystko w pańskich rękach.

Sara spacerowała powoli po ogrodzie. Zamiatacz, który pracował na ulicy, zauważył przyjazd daimlera Fergusona i zrobił zdjęcie specjalnym miniaturowym aparatem, który dał mu Chan.

Dillon zapalił papierosa i podszedł do Sary i Greta.

- Pewnie chciałby pan czegoś się ode mnie dowiedzieć? - zapytała Sara.

- Tak. Interesuje mnie to, co wspomniałaś o Hussajnie. Skąd masz tę pewność? To bardzo okrutny człowiek.

- Myśli pan o Młocie Bożym. - Wzruszyła ramionami. - W Bagdadzie dużo o nim pisano w gazetach i mówiono w telewizji, ale nigdy nie było zdjęć, więc nie wiedziałam, że to Hussajn. A o mnie zawsze się troszczył i sprawił, że byłam szanowana i dobrze traktowana.

- Zmienił się przez to?

- Pewnie nie. W oazie, w Pustej Ćwierci, gdy jeden z bandytów pchnął mnie na ziemię i chciał skrzywdzić, Hussajn bez namysłu go zastrzelił.

- I jak się z tym czujesz?

- Tamten człowiek był zły. Biczował księdza tylko za to, że był chrześcijaninem. Powiedziałam mu, że też jestem chrześcijanką. I wtedy stało się to, co mówiłam.

- W takiej sytuacji sam bym go pewnie zastrzelił. - Dillon uśmiechnął się pod nosem. - Powiedz mi proszę, naprawdę nie mam w tym żadnego interesu pytając cię o to, ale co myślisz o tym całym przyrzeczeniu, że w odpowiednim wieku zostaniesz jego żoną?

- To jakaś bzdura - odpowiedziała. - Nigdy nie brałam tego na poważnie i powiedziałam to Hussajnowi.

- I on to uszanował?

- Tylko powiedziałam, nic więcej nie mogłam zrobić.

Dillon wziął głęboki oddech.

- Jesteś naprawdę niezwykłą młodą damą.

W tym momencie na taras wyszedł Caspar i zawołał:

- Chodźcie. Lecimy do Zion House.

- Na tydzień, tylko na tydzień. - Dołączyła do niego Molly. - Chodź Saro, spakujemy się.

Dziewczynka pobiegła do nich, a Dillon i Greta ruszyli za nią. Gdy już wszyscy znaleźli się w środku, Ferguson oznajmił:

- Jadę do Holland Park. Wy dwoje zostańcie z nimi. Przyślę po was busa i pojedziemy na Farley. Lewin z Czomskim będą już tam czekać. - Pożegnał się i wyszedł.

- Sara to niesamowita dziewczynka - stwierdził Dillon zwracając się do Grety.

- A co myślałeś, w końcu jest pół-Beduinką Chodź do kuchni, napijemy się kawy.

* * *

Ali Hassim miał w swoim sklepiku na rogu Gulf Road prawdziwy sztab dowodzenia. Przyjeżdżał tam często profesor Chan, który poprzez Alego nadzorował działanie sieci ulicznych sprzątaczy, hotelowych portierów, taksówkarzy, a nawet młodych dziewczyn, które pracowały jako pielęgniarki w kilku lokalnych szpitalach. Nagle zadzwonił sprzątacznik, który miał za zadanie obserwację domu Raszidów.

- Mieli gości. Dwóch z nich było na zdjęciach, które pokazał nam profesor Chan. Generał i ten Dillon. Generał przyjechał daimlerem. Była też kobieta. Zrobiłem zdjęcia. Dillon i ta

kobieta nadal są w środku.

- Widziałeś rodzinę?

- Tylko dziewczynkę. Była w ogrodzie z Dillonem.

- Wyślę Dżamala. Pojedzie motocyklem i w razie potrzeby będzie ich śledził. Zaraz tam przyjedzie.

Sprzątacze czekał. Po jakimś czasie pojawiła się półciężarówka i zatrzymała przed bramą czekając na jej otwarcie. Po chwili wjechała do środka i sprzątacze zdołali dostrzec Caspara Raszida, wychodzącego z domu z dwiema walizkami, a za nim jego żonę, Sarę, Gretę i Dillona. W tym samym momencie nadjechał Dżamal na motocyklu, zatrzymał się przy drzewach i zapytał co się wydarzyło.

- Wygląda na to, że wszyscy gdzieś wyjeżdżają. Nieśli walizki. Jedź za nimi.

- Po to tu przyjechałem, głąbie.

Dżamal czekał z włączonym silnikiem. Brama się otworzyła i pojawił się bus, który skręcił w prawo i włączył się do ulicznego ruchu. Ulice były dość zatłoczone i Dżamalowi trudno było zbliżyć się do samochodu na tyle, by zobaczyć, kto w nim jedzie. W końcu udało mu się podjechać dostatecznie blisko, żeby móc rozpoznać siedzących w środku.

Gdy byli już pod Farley Field, Dżamal musiał zostawić motor na parkingu. Bus przejechał bez przeszkód przez strzeżoną bramę, mógł więc tylko obserwować z daleka, jak podjeżdża do budynku terminala, z którego wyszli Lewin i Czomski.

Tablica na ogrodzeniu informowała, że jest to teren Ministerstwa Obrony i że wstęp jest wzbroniony, ale zauważył też, że na parkingu czai się kilku amatorów lotnictwa, czyhających z aparatami na przelatujące samoloty. Prawdopodobnie jakakolwiek akcja ochroniarzy w ich kierunku byłaby odebrana jako pogwałcenie praw obywatelskich.

- OK. , tylko po angielsku - powiedział do siebie. - I będzie dobrze.

Wyjął lornetkę i skupił wzrok na starym, turbosilnikowym samolocie. Nie wiedział, co to za typ i nie chciał wiedzieć, ale, jak pozostali, zrobił zdjęcie.

Dillon stał na płycie i czekał, aż samolot odleci, a potem wrócił do półciężarówki i powiedział sierżantowi Doyle, żeby zawiózł go z powrotem do Holland Park.

Dżamal czekał, aż samochód przejedzie, a potem wsiadł na motor. Nie zostało mu nic innego, jak tylko wrócić do sklepiku Alego Hassima.

Ali zaprowadził go na zaplecze.

- Jesteś pewien, że odlecieli?

- Całkowicie. Mieli walizki, więc wybierali się na dłużej, a lot samolotem oznacza podróż gdzieś dalej.

- I nie dowiedziałeś się, dokąd poleciecieli?

- Niby jak. To zamknięty teren i wszędzie ochrona. Nie byłem w stanie tam się dostać. Nie wszedłbym nawet za bramę.

- Czyli w ogóle nie wiemy, dokąd ich zabrali? - Ali był zły.

- Wiemy tylko, że ich nie ma. Widziałem to na własne oczy. Dom jest pusty. Tylko tyle możemy przekazać profesorowi Chanowi, nic więcej.

- Nie będzie zadowolony - westchnął Ali. - No dobrze. Idź, zrób sobie w kuchni kawę. Ja zadzwonię do niego. Aha, zostaw aparat, chcę obejrzeć zdjęcia tego samolotu.

Przejrzał zdjęcia porównując je ze zdjęciami popularnych typów małych samolotów w książce. Była to ośmioosobowa, dwusilnikowa cessna. Zaczął również przeglądać zdjęcia zrobione przez sprzątaczy pod domem Raszidów od czasu ich powrotu z Hazaru. Najciekawszym okazało się zdjęcie archeologa, profesora Hala Stone'a. Członkowie Braterstwa, będący wykładowcami na Uniwersytecie Londyńskim, potwierdzili jego tożsamość. Był członkiem college'u Corpus Christi w Cambridge. I był w domu Raszidów; przyjechał taksówką, która na niego czekała a potem odwiozła na stację King's Cross. Śledzący go Dżamal widział jak wsiada do pociągu jadącego do Cambridge. Stone wracał po prostu do pracy.

Nie miał dobrych wiadomości, ale musiał zadzwonić do Chana i opowiedzieć mu o wszystkim.

* * *

Hussajn, rozebrany do pasa, usiadł przy toalecie Darcusa Wellingtona w jego sypialni. Wokół okrągłego lustra świeciły się żarówki. Na toalecie piętrzyły się pudry, kremy, pędzle i inne przybory, których obfitość i szczególny zapach odstręczał Hussajna. Khazid siedział w fotelu pod oknem i palił papierosa.

- Nie masz nic do roboty? - zapytał Hussajn. - Jak nie masz, to sobie coś znajdź.

- Ale ja chcę popatrzeć.

- Ale ja nie chcę, żebyś patrzył. Idź sobie.

Khazid, ociągając się, wstał. Darcus okrył ramiona Hussajna grubym ręcznikiem.

- To znak rozpoznawczy prawdziwego aktora, mój kochany. Poza tym makijaż to taka intymna sprawa. Bardzo. I trzeba wiedzieć, kim chce się być, żeby dobrze wyjść.

- A kim ja jestem? - zapytał Hussajn sam siebie. - Hussajnem Raszidem czy Młotem Bożym?

Deszcz wzmógł się i zaczął wpadać przez otwarte okno do środka, przynosząc ze sobą zapach gnijących roślin. Darcus podszedł i zamknął je.

- Zamknę, jeśli nie masz, kochany, nic przeciwko. To zapach umierającego świata.

- Może tak właśnie jest... - mruknął Hussajn.

Darcus stanął z założonymi ramionami, potem podparł brodę i zaczął bacznie przyglądać się Hussajnowi.

- Jak Che Guevara. To była twoja świadoma decyzja?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Hussajn zaczynał czuć się nieswojo.

- Che, prawdziwy romantyk. I wyglądał jak trzeba, i po części dał ludziom to, o czym marzyli. A wszystko przez swój wygląd, kochany. A ty? Czy próbowałeś dawać ludziom to, czego oczekiwali?

- I co by to dało?

- No, to jest także kwestia świadomości, kim się jest i polubienia samego siebie, mimo wszystko. Wiesz, że większość aktorów wolałaby być kimś innym?

- Jestem, kim jestem. To, czego potrzebuję, to nowa twarz.

- Jeśli mam być szczery, to podejrzewam, że szybciej uda mi się tego dokonać zdejmując tę maskę, którą widzę teraz.

- Jeśli to ma oznaczać pożegnanie z Che Guevarą to nie mam nic przeciwko.

- A co to może jeszcze oznaczać?

- Nie wiem. Przekonajmy się.

* * *

Khazid obserwował całą scenę z korytarza przez lekko uchylone drzwi. Nie wierzył

własnym oczom widząc, jak człowiek, z którym tyle przeszedł, zmienia się nie do poznania. Darcus dość krótko przystrzygł i przeredził Hussajnowi włosy, które nadały jego twarzy zupełnie inny wygląd.

Potem namydlił całą twarz, wyjął brzytwę i zaczął przycinać baczki. Gdy skończył, zabrał się za przeredzanie brwi, na końcu zgoił wąsy i brodę.

- Idź teraz, kochany, do łazienki. Obmyj dokładnie twarz i głowę.

Khazid cofnął się i umknął do kuchni. Darcus zaprowadził Hussajna do łazienki. Po umyciu się, Darcus z powrotem posadził go przed lustrem i suszarką zaczął modelować fryzurę. Gdy skończył, wziął nożyczki, dokładniej przyciął brwi i poprawił je ciemną kredką. Hussajn siedział i patrzył na swoje odbicie w lustrze, nie poznając w nim samego siebie.

- Boże słodki, wyglądasz tak młodo - westchnął Darcus. - Ile masz lat?

- Dwadzieścia pięć.

- No to teraz na tyle wyglądasz i o to mi właśnie chodziło. Załóż, proszę, koszulę.

Zaczął przeszukiwać szuflady, aż w końcu znalazł parę okularów w rogowych oprawkach ze zwykłymi szklami.

- Włóż je. - Hussajn założył okulary. - Wyśmienicie, wyglądasz teraz bardzo uczenie. Jak nauczyciel albo ktoś taki.

- Na pewno nie Młot Boży.

- Sam porównaj. - Darcus wziął „Timesa” ze zdjęciem, przesłanym przez Ropera. - Nikt nie będzie w stanie cię rozpoznać.

- Sam siebie nie poznaję. - Wstał i poszedł do kuchni.

Khazid stał przy oknie patrząc na deszcz i czekał, aż w czajniku zagrzeje się woda. Odwrócił się i zrobił wielkie oczy.

- Gdzie się podział Młot Boży? - Pokręcił głową. - To już chyba nie ty.

- Chyba nie. - Na twarzy Darcusa zagościł dziwny uśmiech. - Kto wie? Pamiętacie, co się stało po otwarciu puszek Pandory?

- Słucham? - zapytał Khazid.

- To z mitologii greckiej - odpowiedział mu Hussajn. - Kiedy otwarto puszkę, wyskoczyły z niej wszystkie nieszczęścia.

Khazid wzruszył ramionami.

- Zrobię nam wszystkim kawy - zaproponował Darcus.

- A ja zadzwonię do Chana - stwierdził Hussajn. - Musimy pomyśleć o następnym etapie podróży.

- Hampstead? - zapytał Khazid.

- Raczej tak. Nikt nie wie, że tu jesteśmy, więc trzeba wykorzystać sytuację.

- Możliwe, ale musimy o tym najpierw pogadać. Na osobności.

- Jasne.

- Idźcie do mojego gabinetu - powiedział Darcus, ale oni, mimo deszczu, zdecydowali się wyjść na ganek.

- Jakiś problem? - zapytał Hussajn.

- Hampstead, Sara i jej rodzice. Przypominam ci, że naszym głównym i najważniejszym celem jest załatwienie Fergusona i Saltera. Jeśli pojedziemy do Londynu z takim właśnie nastawieniem, to może nam się udać, bo, jak sam powiedziałaś, nikt nie wie, że jesteśmy w Anglii. Dlatego uważam, że powinniśmy jechać do Londynu, ale nie po to, żeby od razu walić do Hampstead. Sara to coś przy okazji, kuzynie. Co chcesz zrobić, zastrzelić jej rodziców? Ona ci za to nie podziękuje.

- Co ty opowiadasz? - skrzywił się Hussajn.

- Albo włamać się do domu i porwać ją? A jak potem wywieziesz ją z kraju?

- Profesor Chan, Armia Boga, Braterstwo, oni wszyscy nam pomogą. Znajdziemy jakiś sposób.

- Czy ty naprawdę uważasz, że ta dziewczyna cokolwiek tych ludzi obchodzi? Otóż nie. Dla nich ważniejsza jest głowa Fergusona, najważniejszego doradcy od bezpieczeństwa brytyjskiego premiera, przyniesiona przez ciebie na tacy. Tylko tego chcą i tylko to się liczy. Ta sprawa jest ich celem, a dla ciebie będzie triumfem.

To, co powiedział Khazid, miało sens, ale Hussajn nie był w stanie zrezygnować ze swoich planów.

- Zadzwonię do Chana, zorientuję się w sytuacji i wtedy podejmę decyzję.

* * *

Chan, chcąc omówić bieżące sprawy z Alim Hassimem, przyjechał do jego sklepu i w

momencie gdy do niego wchodził, odezwała się jego komórka. Tej rozmowy Chan oczekiwał od jakiegoś czasu z drżącym sercem. Przysłonił ręką otwór mikrofonu i szepnął do Alego:

- To on, Hussajn Raszid. Jest w Anglii.

- Allah jest wielki. - Ali westchnął z ulgą.

Chan wrócił do rozmowy.

- Gdzie jesteś?

- W Dorset, dokładnie w Peel Strand, u jednego z ludzi Maklera. Mieszka w gospodarstwie o nazwie Folly Way. Przyplłynęliśmy z Khazidem dzisiaj rano i chcemy jak najszybciej przyjechać do Londynu.

- Na pewno? Twoja twarz jest we wszystkich gazetach.

- Tym się już zajęliśmy. Nikt mnie nie rozpozna, zaufaj mi. Powiedz lepiej, co słyhać u Raszidów.

- Moi sprzątacze i informatorzy obserwowali ich przez cały czas, nawet śledziliśmy motocyklami samochody, którymi jeździli. Dzięki temu dowiedzieliśmy się, że kryjówka Fergusona i całej reszty jest w Holland Park. Wiemy też, gdzie mieszkają Ferguson i Dillon, co pewnie będzie dla ciebie istotne.

- Do rzeczy - przerwał mu Hussajn. - Czuję, że ukrywasz przede mną jakieś złe wieści. Mów.

Chan opowiedział mu o ostatnich wydarzeniach.

- A więc zniknęli, tak? Rozplłynęli się, a wy nie wiecie, gdzie są i zostaliście tylko z adresem wojskowego lotniska?

- Niestety tak.

- Co wiesz o samolocie, którym odlecieli.

- Ali sprawdził ten typ. To ośmioosobowa, dwusilnikowa cessna.

- Są niezłe. Latałem nimi w Algierii. Ale moim zdaniem, gdyby mieli wywieźć ich gdzieś dalej, na przykład na kontynent, wzięliby coś lepszego, a cessna wskazuje, że to nie był zbyt daleki lot. Na pewno są gdzieś na odludziu i na pewno w Wielkiej Brytanii.

- Nie mieliśmy żadnej szansy, żeby to sprawdzić - szybko dodał Chan.

- Czyli Ferguson z Dillonem wrócili do domu na Gulf Road. Ktoś jeszcze był z nimi?

- Tak, profesor Hal Stone.

- To ten archeolog z Hazaru. Czego on mógł chcieć?

- Moim zdaniem przyjechał, żeby się pożegnać. Jeden z moich ludzi, Dżamał, śledził go na dworzec King's Cross. Stone wsiadł do pociągu jadącego do Cambridge. Jest tam profesorem w college'u Corpus Christi. A przy okazji okazało się, że jest kuzynem Fergusona.

- Naprawdę? Więc na pewno był w to w pełni zaangażowany. Założę się, że wie o wszystkim.

- Możliwe.

- A Ali Hassim? Opowiedz mi o nim.

Chan opisał mu Hassima. Kiedy skończył, Hussajn zapytał, czy można mu zaufać.

- Całkowicie. Mało kto wie, że jest ważną osobą w organizacji.

- Podaj mi jego adres i niech czeka na mój przyjazd.

- Co zamierzasz zrobić?

- Pojadę dzisiaj do Cambridge i złożę przyjacielską wizytę Halowi Stone'owi. Pojedziemy pociągiem.

- Jedziesz do Cambridge? Musiałbyś zmienić wygląd i w ogóle wszystko, żeby móc przyjechać do Londynu. Jesteś pewien?

- Drogi profesorze, jestem tak zmieniony, że sam się już nie poznaję w lustrze. Zadzwoń. - Odwrócił się i zobaczył Khazida przyglądającego mu się z zatroskaną twarzą.

- Wszystko ci wyjaśnię w pociągu, ale najpierw muszę porozmawiać z Maklerem.

* * *

Wcisnął przycisk w broszce, zapalił papierosa i czekał. Makler oddzwonił prawie od razu. Hussajn w kilku krótkich zdaniach przedstawił mu sytuację i swoje zamiary.

- Zgadasz się?

- Muszę się zgodzić. Już nie mam tych możliwości sprawdzania odlotów z Farley, jakie miałem jeszcze do niedawna. Są tam teraz jakiś nowe zabezpieczenia. Mogę tylko życzyć ci szczęścia w Cambridge. Jesteś pewien, że będziesz mógł bezpiecznie podróżować? Darcus się spisał?

- Tak, wszystko jest w porządku. Do usłyszenia. - Ominął Khazida i poszedł do kuchni, w której krzątał się Darcus. - Musimy dostać się do Bournemouth. Stamtąd pewnie odjeżdżają

jakieś pociągi?

- Oczywiście. A kiedy chcecie jechać?

- Kiedy tylko będziesz mógł.

- O nie, kochany, ja niestety nie mogę. Mam problemy z prostatą. Lekarz przyjmuje tu niedaleko, w wiosce, ale zagląda tylko dwa razy w tygodniu. To niecały kilometr i zwykle chodzę do niego na piechotę. - Spojrzał na zegarek. - Jest dziesiąta. On, niestety, przyjeżdża dopiero po obiedzie.

- Czy mamy jakąś alternatywę? - zapytał Khazid.

- Weźcie mój samochód i zostawcie go potem na parkingu przy stacji w Bournemouth. Kluczyki schowajcie w schowku. Tak chyba będzie najlepiej. Poza tym, chyba nie ma bezpośredniego pociągu do Cambridge, więc czeka was przesiadka w Londynie. Było mi bardzo miło was poznać i gościć. Takie spotkania sprawiają, że życie jest jednak interesujące.

- I dają nieźle zarobić, co? - zapytał Hussajn.

- Oczywiście, kochany, wszyscy musimy jakoś zarabiać na chleb.

* * *

Piętnaście minut później byli ubrani, spakowani i ładowali się do starego mini, które czekało przed garażem.

- Kluczyki są w środku, życzę szczęścia - krzyknął Darcus i zamknął drzwi.

Hussajn siadł za kierownicą. Khazid zdjął ukradkiem z ręki swój zegarek, wsunął go do kieszeni płaszcza i odwrócił się do Hussajna.

- Jeszcze chwila, zostawiłem zegarek w łazience. Zaraz wracam.

Darcus, mówiąc o podróży pociągiem, wspomniął o przesiadce w Londynie do Cambridge, tymczasem wzmianka o celu podróży pojawiła się tylko w ich rozmowie w cztery oczy, na tarasie, a to dowodziło, że Darcus podsłuchiwał.

Khazid wszedł do przedpokoju, otworzył torbę, wyjął waltera i nakręcił tłumik. Delikatnie otworzywszy drzwi do salonu, usłyszał wyraźnie głos Darcusa.

- Wielkie nieba, Charlie, kochanie, gdybyś wiedział, co mi się dzisiaj przytrafiło.

Gdy Khazid zagwizdał cicho, Darcus się odwrócił.

- O, mój Boże. - Odłożył słuchawkę.

- Bardzo nieładnie, Darcus. - Mówiąc to strzelił mu w głowę i wyszedł z domu.

Wrzuciwszy torbę na tylne siedzenie, wsiadł i zaczął zakładać zegarek.

- Wszystko w porządku? - zapytał Hussajn ruszając.

- Wprost idealnie.

* * *

Lotem z Farley zajęli się oczywiście, na osobiste życzenie Fergusona, Lacey i Parry, ponieważ znali wszystkich pasażerów. Greta przedstawiła Raszidom Lewina i Czomskiego. Sarze bardzo się spodobali, natomiast Molly Raszid była z tej sytuacji bardzo niezadowolona. Siedziała z mężem w tyle samolotu i z początku szeptała do siebie cicho, ale po jakimś czasie zaczęła mówić głośniej.

- Dokąd oni nas, do cholery, zabierają? - pytała Molly.

- To dla naszego dobra. Tylko na tydzień, żeby zobaczyć, jak się rozwiną sprawy - odpowiedział Caspar.

- Ja mam pracę, to jest dla mnie najważniejsze.

- Twoi koledzy, którzy cię zastępują, to też naprawę nieźli specjaliści.

- Nie o to chodzi. Niedawno operowałam jedną dziewczynkę. To niezwykle przypadek medyczny. Powinnam być przy niej dzień i noc, tymczasem gdzie jestem? To wszystko bez sensu, Caspar.

- Dobrze wiesz, że przy tej dziewczynce ktoś przez cały czas czuwa, tak jak my czuwamy przy naszym dziecku.

Sara spojrzała poważnie na Lewina, potem uklękła na siedzeniu i odwróciła się w stronę rodziców.

- Mam nadzieję mamo, że potraktujesz to jak wakacje na wsi, bo wtedy będziemy mogli spędzić czas wszyscy razem, na czym bardzo mi zależy. - Nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do Lewińskiego.

- Opowiedz mi o Kremlu, Igorze, bardzo mnie to interesuje.

Rodzice, zakłopotani, nie wiedzieli co powiedzieć, na szczęście w tym momencie

odezwał się Lacey: - Szanowni państwo, nasz krótki lot dobiega końca. Jesteśmy nad Sussex i w dole widać już wybrzeże Morza Północnego. Widać też rozległe solniska. Zaraz zobaczymy wioskę Zion, ale sama posiadłość znajduje się pięć kilometrów od niej, bliżej morza. Schodzimy do lądowania.

Obniżyli pułap do stu pięćdziesięciu metrów. Posiadłość wyglądała niezwykle pięknie. Otaczał ją zadbane ogród ogrodzony wysokim, kamiennym murem, z drutami pod napięciem na szczycie. Przy bramie stała budka dla wartowników. Słone bagna podchodziły pod sam dom. Nad brzegiem rosły wysokie trzciny, porastające też brzegi grobli. Po drugiej stronie posiadłości był pas startowy.

- To trawiaste lądowisko? - zapytała Lewina.

- Nie, betonowe. Lądowałaś kiedyś w podobnym miejscu?

- Tak, w Pustej Ćwierci. Musieliśmy lądować w oazie na pustyni. Mieliśmy kłopoty z prawym silnikiem, z którego wyciekał olej i palił się. Nie widziałam jeszcze tak czarnego dymu. Dobrze, że Hussajn umie latać. To świetny pilot. Nawet pomagałam mu wtedy w nawigacji. - Kiedy koła samolotu dotknęły pasa, oparła się o siedzenie. - Czuję, że będzie fajnie.

Nikt nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

* * *

Po wylądowaniu podkołowali w pobliżu domu. Nie było tam hangaru, tylko drewniana wiata, pod którą można było schować samolot. Człowiek, który czekał tam na nich, miał na sobie stalowy mundur, regulaminowo przycięty wąsik, a pod lewą pachą trzymał czapkę. Za nim stał zaparkowany bus. Wysiedli i podeszli do niego.

- Kapitan Rodger Bosey. - Przedstawił się. - Zarządzam tą placówką. Serdecznie wszystkim witam. Co z wami, chłopaki? - krzyknął do pilotów.

- Jesteśmy pod rozkazami generała Fergusona, który kazał nam szybko wracać. - Wy tłumaczył się Lacey.

- Spieszmy się, dlatego odlatujemy od razu. Do zobaczenia wszystkim. - Pożegnał się i wrócił do samolotu.

Na lotnisku, po przedstawieniu się sobie nawzajem, wsiedli do samochodu i patrzyli, jak

cessna odlatuje.

- Jedziemy. Pokażę cały dom i wasze pokoje.

Przejechali wzdłuż nasypu, potem przez sosnowy zagajnik. Wysokie trzciny porastające zbocza nasypów powiewały na wietrze. W oddali widać było kilka osób w kombinezonach siedzących na nasypie i jedzących kanapki.

- Obserwatorzy ptaków - wyjaśnił Bosey. - Zawsze tu przyjeżdżali.

- Czy oni stanowią jakiś problem? - zapytał Lewin.

- Raczej nie. Czasem, kiedy przylecą tu jakieś bardzo rzadkie ptaki, jest ich więcej. Moim zdaniem są całkiem nieszkodliwi. Niektórzy traktują przyjazd tu jak wakacje, wynajmują pokoje w wiosce. Jest też pole namiotowe i wypożyczalnia przyczep kempingowych. To nieszkodliwe dziwaki.

- Dlaczego pan tak mówi? - zapytała ze zdziwieniem Sara.

- Cóż, pamiętam jak jeden z nich mówił w pubie, że w październiku przylatują tu gawrony z Sankt Petersburga, bo tam zima jest dla nich za ostra. Tak samo szpaki.

- Co w tym dziwnego? - dopytywała się Sara.

- Dla mnie to jakieś bzdury.

- Przecież Rosjanie też obrączkują ptaki. Założę się, że także w Sankt Petersburgu.

Prawda Igorze?

- Zapytaj Grety, ona jest z Sankt Petersburga.

- Tak, u nas obrączkuje się gawrony i rzeczywiście one odlatują, bo rosyjska zima jest dla nich zbyt surowa. Uczyłam się o tym w szkole.

- Ha, czyli miałam rację - powiedziała Sara i w tym momencie samochód zatrzymał się przed bramą. Z budki wyrzął żołnierz, a potem podniósł szlaban.

- Cześć - krzyknęła w jego stronę Sara. - Wartownik uśmiechnął się i zsalutował. - Ale fajnie. Jestem teraz ważna jak królowa. Ma pan świetną ekipę, panie kapitanie.

Jej matka, strasznie zakłopotana, poprosiła, żeby przestała. Ale Bosey'owi, który już był zauroczony młodą damą, jej słowa sprawiły wielką przyjemność, choć nie powiedział ani słowa.

W domu panowała dość familiarna atmosfera, głównie dzięki temu, że na schodach czekała na nich pani w średnim wieku, Bertha Tetley, gospodyni domu, która mieszkała tu z resztą służby - Kitty, Idą i Verą.

- Proszę za mną, pokażę państwu ich pokoje. Niedługo podamy obiad. Proszę. -

Poprowadziła ich przez ogromny hall do schodów.

- Za chwilę zejść do pana i omówimy szczegóły - zwrócił się Lewin do Bosey'a, który przytaknął głową.

Kiedy Lewin z Czomskim zeszli na dół, zastali Bosey'a w bibliotece. Zaproponował im drinka, więc poprosili o wódkę.

- Długo pan tu już jest? - zapytał Lewin.

- Dziesięć lat, ale nie jestem pod rozkazami generała Fergusona. Wykonałem tylko dla niego kilkanaście zadań, więc znamy się dość dobrze.

- Był pan w wojsku?

- W żandarmerii.

- Więc ma pan świetne rekomendacje. Co pan wie o tej sprawie?

- Generał Ferguson przekazał mi tyle, ile trzeba. Zapewniamy schronienie dla rodziny Raszidów, którym zagraża atak terrorystyczny. Czas: jeden tydzień, w razie potrzeby dłużej. Rozumiem, że panowie i pani Nowikowa jesteście ludźmi generała. I to mi wystarczy. Mamy tu broń, ale zwykle nie nosimy jej przy sobie.

- Wspaniale. A major Nowikowa, powiem panu, jest z nas najlepsza.

W tym momencie do biblioteki weszła Greta.

- Zapraszamy na drinka, pani major - powiedział Lewin.

Puścił oko do Bosey'a, który uśmiechnął się i wziął butelkę wódki.

- Dziękuję, panie kapitanie. - Podniosła kieliszek do góry. - Za miły pobyt i pozbycie się kłopotów.

Na schodach rozległy się głosy i po chwili do biblioteki, radośnie pokrzykując, wbiegła Sara, a za nią weszli Caspar i Molly. Sara była w świetnym nastroju.

- Tu jest super - oznajmiła i podbiegła do okna. Caspar miał strapioną minę, zaś Molly wyglądała na nieszczęśliwą.

- Czy możemy już coś zjeść? - zapytał Caspar.

- Najpierw musimy coś sobie wyjaśnić - powiedział Lewin. - To rozkaz samego generała Fergusona. Telefony w domu mają tylko wewnętrzne linie. Dzwonić na zewnątrz można tylko z kodowanego telefonu, który jest u kapitana Bosey'a i tylko ze specjalnego pomieszczenia. Osobom tutaj przebywającym nie wolno mieć telefonów komórkowych.

- O czym pan, do cholery, mówi? - zapytała zdenerwowana Molly.

- Rozmowę z komórki bardzo łatwo namierzyć... - odpowiedział jej zrezygnowany Caspar.

- Co? To chyba jakieś kpiny! - Molly podniosła głos.

- Teraz nikt nie wie, gdzie jesteście - spokojnie powiedziała Greta. - I chcemy, żeby tak zostało.

- Więc nie mogę zadzwonić do szpitala, żeby spytać się o stan zdrowia moich pacjentów?

- Molly! - Caspar wyjął komórkę z kieszeni i trzasnął nią o stół. - To tylko tydzień.

Molly wzięła oddech i wydawało się, że zaraz wybuchnie, ale uszło z niej powietrze. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej dwa aparaty.

- Jeśli trzeba... Telefon Sary też oddaję.

- Uśmiechnij się, mamó, będzie świetnie. Chodźmy jeść.

* * *

Po obiedzie Molly Raszid poszła do łazienki i przejrzała bagaże, także swoją torbę lekarską. Otworzyła ją wyjęła stetoskop i wzięła dodatkowy telefon z ładowarką który miała zawsze przygotowany, gdyby wydarzył się jakiś nagły wypadek. Mogła przynajmniej co jakiś czas sprawdzać stan zdrowia zoperowanej dziewczynki...

Hal Stone, chociaż stanowisko uprawniało go do własnego apartamentu na terenie college'u, kupił sobie w Cambridge niewielki domek na Chapel Lane. Pozwalał on na ucieczkę przed studentami i zamknięcie się na cztery spusty, co bardzo sobie cenił, zwłaszcza kiedy pisał książki.

Budynek pochodzący z czasów wiktoriańskich - wtedy były tam stajnie - miał trzy sypialnie, gabinet, kuchnię i salon. Na ogród, z którego Stone był niezmiernie dumny, wychodziły piękne, tarasowe okna. Ogród był otoczony kamiennym murem, w którego tylnej części znajdowała się furka wychodząca na alejkę za posesją.

Profesor był w kuchni i robił sobie herbatę, gdy nagle zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i powiedział:

- Hala Stone'a nie ma w domu.

- Jesteś, nie udawaj głupiego, stary koniu - zaśmiał się Roper. - Obydwaj wiemy, że właśnie przyjechałeś z Londynu.

- Aaa, to ty. Mam nadzieję, że nie chcecie, żebym znowu ratował świat. Muszę trochę odpocząć po Hazarze. Za stary jestem na Indianę Jonesa.

- Spokojnie, staruszk, chcę ci tylko w skrócie opowiedzieć, co się ostatnio wydarzyło. Posłuchaj. - Opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się po ucieczce z Hazaru, o wyprawie Hussajna z Khazidem, wydarzeniach w Algierii, kradzieży hydroplanu, locie na Majorkę, i w końcu o podróży do Rennes.

- Widzę co się święci. Facet krok po kroku zbliża się do Anglii.

- A dokąd miałby jechać? Oczywiście, nie ma sensu informować o tym Francuzów tylko dlatego, że poleciał do Rennes. Dawno już mógł stamtąd prysnąć, dokąd tylko chciał.

- Ale nadal nie rozumiem jego postępowania. Przyjazd tutaj to przecież dla niego samobójstwo. Jego twarz znają już wszyscy. Ktoś musiałby go rozpoznać i dać znać policji. Przecież nie miał czasu na operację plastyczną.

- Nie wiem. Ale kiedy nocami siedzę przed komputerami i walczę z bólem kolejnymi szklankami whisky, to patrzę na jego zdjęcie i coraz bardziej nabieram pewności, że on jest w drodze.

- I co z tym chcecie zrobić?

- Namówiliśmy Raszidów, żeby na jakiś czas opuścili dom w Hampstead i zaszyli się na tydzień na bagnach West Sussex w posiadłości Zion House.

- Brzmi nieźle. Możesz powiedzieć mi coś więcej na ten temat?

Roper opowiedział mu o wszystkim, włącznie z informacjami z raportu Lewina, leżącym przed nim. - Molly Raszid to twarda kobita - kontynuował. - Lubi chadzać własnymi ścieżkami. Ta kłótnia o komórkę i tak dalej. Oby to nie ściągnęło kłopotów.

- Znakomity z niej chirurg, a tacy ludzie są często obsesyjnie pochłonięci swoją pracą. Uważają, że to co robią, jest najważniejsze na świecie. Niestety, tak to już jest z artystami...

- Tak czy inaczej, już wiesz, jak się sprawy mają. Tak naprawdę, jesteśmy po części w rękach Hussajna.

- Ja uważam, że on się tu w ogóle nie pojawi - zaśmiał się Ha. - Jest przecież po Harvardzie. Powinien mieć trochę rozumu.

- Powiedz to tym mądralom z Yale - mruknął Roper.

- Życzę szczęścia, przyjacielu. Na razie.

- Trzymaj się.

Hal Stone pokręcił głową. - Czyste wariactwo - pomyślał i wrócił do kuchni dokończyć parzenie herbaty.

* * *

W tym samym momencie Hussajn i Khazid byli już w Cambridge i właśnie wchodzili do sklepu specjalizującego się w sprzedaży akademickich tog, uniwersyteckich szalików i tym podobnych artykułów. Khazid, tak jak mu kazał Hussajn, kupił krótką togę zwykle noszoną przez studentów bez dyplomu, ale nie zdecydował się na kupno szalika Corpus Christi.

- Ciekawe, czy tutejsi profesorowie znają wszystkich studentów.

Khazid przejrzał listę i wybrał szalik college'u New Hall oraz czarny biret. Nie mieli żadnego kłopotu z wejściem na teren uczelni, studenci kręcili się tu i tam, wchodzili i wychodzili. Poszli na piętro i Khazid, cały czas udając Henri Duvala, zatrzymał przechodzącą studentkę i zapytał po angielsku, ale z francuskim akcentem, o profesora Stone'a.

Była bardzo zdziwiona, ale machnęła ręką w kierunku końca korytarza.

- Jego gabinet jest tam, ale nie macie po co iść, jego nigdy nie ma w katedrze.

- A gdzie go możemy zastać, mademoiselle?

- Nie wiem, sprawdźcie w książce telefonicznej. - Odeszła w pośpiechu.

Khazid wzruszył ramionami, ale poszedł w tamtym kierunku. Kiedy doszli do końca korytarza, zauważyli na drzwiach tabliczkę z informacją: „Hala Stone'a w dniu dzisiejszym nie ma”. Khazid nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte.

- Co teraz?

- To, co mówiła dziewczyna - odparł Hussajn. - Zajrzyjmy do książki telefonicznej.

- A jeśli go tam nie ma?

- Więcej optymizmu, przyjacielu. To znany człowiek, profesor Uniwersytetu w Cambridge, musi być w książce telefonicznej. Chodź, poszukamy.

* * *

Caspar spacerował z Sarą po ogrodzie i czuł, jak troski powoli go opuszczają. Troje Rosjan siedziało na tarasie i obserwowało ich.

- Dziewczynka jest niesamowita - powiedziała Greta. - W jednej chwili potrafi w rozmowie zmienić się z dziecka w prawdziwie dorosłą kobietę.

- Po tym wszystkim, co przeżyła, to wcale nie jest takie dziwne - stwierdził Lewin. - Przecież widziała tyle śmierci, tyle zniszczenia.

- Widziałem w Czeczenii setki dziecięcych twarzy, które wyglądały tak samo - wtrącił Czomski. - Twarz u takich dzieciaków staje się maską żeby ukryć to, co gotuje się głębiej.

- Oby znalazła siłę, żeby sobie z tym poradzić. Ja ze swojej strony postaram się jej pomóc na tyle, na ile tylko będę mogła - powiedziała Greta.

- Ale matka - stwierdził Lewin - ma inne podejście.

- To doskonały chirurg. - Greta powiedziała dokładnie to samo, co stwierdził Hal Stone. - Tylko, że ma fioła na punkcie swojej pracy i jest święcie przekonana, że robi coś ważniejszego niż cokolwiek inne.

- Może to dobrze wpływa na jej poczucie własnej wartości, ale stosunki rodzinne wybitnie

na tym tracą - stwierdził Lewin.

Molly Raszid, która była w pokoju na górze, właśnie dowodziła prawdziwości jego twierdzenia. Zamknęła się w łazience i zadzwoniła na prywatną komórkę doktora Harry'ego Samsona, który przejął dużą część jej obowiązków. Złapała go w szpitalu, gdy siedział w swoim gabinecie.

- To ja, Molly Raszid. Co u niej?

Rozmowa trwała dość długo, ponieważ stan zdrowia dziewczynki był zmienny i Samson chciał jej o wszystkim opowiedzieć. W końcu spytał się o nią.

- U mnie w porządku. Mamy mały problem z Sarą ale pobyt na wsi dobrze jej służy i za tydzień pewnie będę z powrotem. Ale to nieważne. Najważniejsza jest teraz Lisa.

- Możesz mi dać swój numer telefonu, gdybym musiał skontaktować się z tobą?

- Nie za bardzo, Harry. Trochę jeździmy, poza tym, to nie mój telefon.

- Może lepiej nie wyjeżdżaj za daleko. Przyznam, że się niepokoję o Lisę. Oczywiście operacja, którą przeprowadziłaś, była świetna i mówię to całkiem szczerze. Ale chodzi o to, że chciałbym po prostu móc się z tobą skontaktować na wypadek, gdyby stan jej zdrowia się pogorszył.

Była w pułapce, którą zastawiły na nią i okoliczności I jej uczucia.

- No dobra, Harry, jakby coś się działo, to dzwoń na ten numer. Mówiłam, że to nie mój telefon, ale to jednak jest mój. Dzwoń o dowolnej porze. Wyłączę dzwonek i ustawię na wibracje.

- Na pewno wszystko w porządku? - W jego głosie było słychać troskę.

- Nie, jest straszny bałagan - wybuchła. - Jesteśmy tu z Casparem i Sarą. W takiej jednej posiadłości w West Sussex. Nazywa się Zion House. - Od razu pożałowała, że to powiedziała, ale było już za późno.

- To jakaś klinika?

- Mój Boże, nie wiem już sama, co mówię. Na razie, Harry.

- Zion House - wymamrotał pod nosem, odłożył telefon na stół i zaczął notować.

Pielęgniarką która miała wtedy dyżur, była młoda muzułmanka o imieniu Aisza, której Ali Hassim kazał tak ustawić dyżury, by mogła opiekować się chorą Lisą i przy okazji obserwować Molly Raszid.

- Słucham, panie doktorze? Mówił pan coś do mnie?

Spojrzał na nią zamyślony.

- Nie, nie. Dzwoniła doktor Raszid, chciała się dowiedzieć, jak się czuje Lisa. Powiedziała, że jest w jakiejś posiadłości Zion House w West Sussex. Nie będzie jej mniej więcej tydzień. Jej córka ma jakieś problemy, czy coś w tym rodzaju.

Zaskrzeczał głośnik wzywając go do nagłego przypadku, więc Samson wstał i pobiegł, zostawiając na stole komórkę. Aisza wzięła ją, sprawdziła ostatnie odebrane rozmowy i zapisała numer telefonu Molly Raszid, potem poszła do pustego pokoju i zamknęła drzwi. Zadzwoiła z własnej komórki do Alego Hassima. Gdy odebrał, powiedziała:

- Doktor Raszid zadzwoniła do szpitala. Powiedziała, że jest gdzieś w West Sussex w domu o nazwie Zion House. Mam też numer jej telefonu.

- Spisałaś się doskonale.

- Zrobiłam, co do mnie należało. Na pewno będzie można znaleźć to miejsce w internecie.

Ali też uznał, że to będzie najlepsze wyjście, więc od razu zadzwonił do jednego z młodszych członków Braterstwa, podając mu odpowiednie dane i informując, że sprawa jest bardzo pilna. Godzinę później tamten przyjechał do sklepu z laptopem i razem z Alim usiedli na zapleczu.

- Znalazłem całkiem sporo informacji. Bagna wokół tego miejsca to rezerwat. Sam dom jest wielokrotnie wymieniany w oficjalnej historii SOE, ponieważ szkolono tam agentów podczas drugiej wojny światowej. Od tamtej pory jest w rękach Ministerstwa Obrony. Budynek jest jednak zamknięty. Obok jest betonowy pas startowy. O domu wspomniano także na stronie z trasami krajoznawczymi West Sussex. Wioska Zion położona jest kilka kilometrów dalej w głąb łądu, średniowieczny kościół św. Andrzeja, dwa puby, kilka pensjonatów i kemping.

- Świetnie.

- Wszystko to łatwizna. Komputer wykonał pracę za mnie, a obsługa jest prosta. Muszę już lecieć. Praca czeka...

Poszedł, a Ali siedział i zastanawiał się, do kogo zadzwonić najpierw.

* * *

Hussajn z Khazidem szybko znaleźli domek na Chapel Lane. Na drzwiach wisiała kolejna

tabliczka: „Studenci niemile widziani”.

- Brytyjskie poczucie humoru - stwierdził krótko Khazid.

- Profesorowie mają takie pomysły. I tak nikt się tym nie przejmuje. Ale jeśli on rzeczywiście nie chce widzieć studentów, to tędy nie wejdziemy. Zobacz, w drzwiach jest wideodomofon. Jak zadzwonisz, to on od razu nas zobaczy. Widzisz kamerę?

- Co robimy?

- Chodź, obejrzymy wszystko dookoła.

Wzdłuż muru biegła wąska, wyłożona kamiennymi płytami ścieżka, która skręcała za posiadłością. W murze była drewniana furtka, ale zamknięta, zaś sam mur zakończony był ostrymi kolcami.

- To co? - zapytał Khazid. - Próbujemy przeskoczyć?

- Jeśli jest w kuchni lub salonie, od razu nas zauważy i zdąży zadzwonić po policję - powiedział Hussajn. - Ta tabliczka pewnie mówi prawdę, bo teraz chce mieć cały czas dla siebie. Z drugiej strony, młody student w szaliku i birecie, do tego z francuskim akcentem, szukający pomocy, może go zainteresować. Spróbuj zadzwonić do frontowych drzwi. Jeśli się uda, to go obezwładnij. Tylko nie rób mu krzywdy i wpuść mnie szybko przez boczne drzwi.

- Dobra, spróbuję.

- Nic nie próbuj. To ma być udane przedstawienie.

* * *

Hal Stone siedział w salonie i przy otwartych na ogród oknach czytał jakąś mało zajmującą pracę dyplomową. Gdy usłyszał dzwonek do drzwi, zirytował się. Odłożył papiery, poszedł do przedpokoju i zobaczył na ekranie Khazida.

- Kim pan jest?

- Monsieur le Professeur, nazywam się Henri Duval. Studiuję w New Hall College. Jestem studentem archeologii, chciałbym poprosić pana profesora o pomoc.

- Jako student Cambridge umie pan chyba czytać po angielsku. Odpowiedź wisi na drzwiach. Żegnam.

Khazid przeszedł na najpiękniejszy francuski, na jaki go było stać.

- Błagam pana, panie profesorze. Niedługo egzaminy po pierwszym roku, a ja muszę napisać pracę. Chciałbym skonsultować kilka rzeczy.

Hal Stone zawahał się na chwilę przed odpowiedzią w tym samym języku.

- A jaki jest tytuł pana pracy?

Khazid musiał wczuć się bardziej w rolę i powrócił do łamanej angielszczyzny.

- Wpływ udziału spartańskich najemników na wojny w Persji.

- No to się pan porwał - zaśmiał się Hal Stone. - To jest temat, co się zowie. Ale pewnie dlatego pan go wybrał. No dobrze, mogę panu poświęcić dwadzieścia minut.

Drzwi się otworzyły i Khazid wszedł do środka, kładąc na podłodze torbę i płaszcz, ale nadal był w birecie i todze. Przełożył waltera z tłumikiem do prawej ręki i otworzył drzwi do przedpokoju. Hal Stone czekał na niego stojąc z uśmiechem, ale ten szybko zgasł, gdy Khazid wyjął pistolet.

- Rób, co mówię, albo strzelę ci w lewe kolano.

- To jakiś żart? Skąd pan jest?

- Mamy rachunki do wyrównania.

- Słucham? W życiu pana nie widziałem.

- Ale ja widziałem ciebie. - Khazid był tak rozgorączkowany, że zapomniał o czekającym Hussajnie. - Widziałem cię nieraz przez lornetkę w Hazarze, jak siedziałeś na „Sultanie”, a ja wtedy stałem na tarasie willi w Kafkar. Zabiłeś ze swoimi ludźmi dwóch moich przyjaciół.

- Mój Boże - wystękał Stone. - Ty nie jesteś Hussajn, więc jesteś tym drugim. Khazid. Przyjechałeś się zemścić.

- I zrobię to - odparł Khazid. - Twój świat, profesorku, to świat książek, a w moim uważa się, że jeden miecz wart jest tysiąca słów. Tak przynajmniej mówi Koran.

- Mam to gdzieś. Czego chcesz?

- Chcieliśmy zadzwonić do Sary i jej rodziców w Hampstead, ale Ferguson ich gdzieś schował. Chcemy wiedzieć, gdzie są.

- I myślisz, że ja wiem?

- Jesteś od początku w to zaangażowany, poza tym jesteś kuzynem Fergusona. Na pewno wiesz.

- A właśnie, że nie wiem. A nawet gdybym wiedział, to nie powiedziałbym.

- No to zaraz zobaczymy. Dalej!

Stone odwrócił się, otworzył drzwi, nagle mocno je zatrzęsął i rzucił się do ucieczki w kierunku tarasu, potem przez ogród, dobiegając prawie do ogrodzenia. Khazid strzelił dwa razy. Pierwszy strzał ugodził Stone'a w lewą łopatkę, popychając go w kierunku furtki. Stone zdołał sięgnąć do rygla i pociągnął go do siebie, gdy Khazid strzelił drugi raz w plecy. Hussajn, zniecierpliwiony, popchnął furtkę przewracając Stone'a na ziemię, twarzą do dołu. Stone skulił się i zamarł w bezruchu.

- Co ty zrobiłeś? - krzyknął Hussajn.

- Chciał uciec.

- Po co z nim gadałeś?

Khazid, już spokojniejszy, nie chciał Hussjanowi wspominać o wszystkim.

- Od razu mnie rozpoznał. Wiedział, jak się nazywam. Chciałem tylko dowiedzieć się, gdzie są Raszydowie. Odpowiedział, że nie wie, ale i tak by nie powiedział.

- Groziłeś mu?

- A co myślisz? Miałem poklepać go po plecach? Powiedziałem, że odstrzelę mu kolano, a on zatrzęsął drzwi i zaczął uciekać.

- Powinieneś być na mnie zaczekać.

Hussajn przykląkł na jedno kolano. Ha! Stone leżał na ziemi z głową na boku. Krew przeciekała z ran przez koszulę. Hussajn dotknął szyi i opuścił głowę.

- Nie żyje.

- Na pewno? Może dobić go jednym w głowę?

- Studiowałem medycynę, idioto. Ile razy, przez te ostatnie dwa lata, to uratowało ci życie? - Wstał. - Zostawiamy go i idziemy. - Popchnął Khazida przed siebie. - Szybko. Lecimy na stację i z powrotem do Londynu.

- Jak chcesz, bracie. - Khazid schował togi i szalik i nałożył płaszcz. Spokojnie ruszyli w kierunku stacji kolejowej.

Na miejscu okazało się, że najbliższy pociąg będzie za kwadrans, mieli więc jeszcze czas na kupienie sobie miejscówek. Gdy pociąg ruszył, Khazid wyciągnął się na siedzeniu i zapytał co dalej.

- Daj mi pomyśleć. - Hussajn patrzył przez okno i zastanawiał się, dlaczego okłamał Khazida. Przecież wyraźnie czuł puls na szyi Hala Stone'a. Dlaczego to zrobił? Nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie, wiedział tylko, że życie Stone'a było teraz w rękach Boga.

* * *

Ali Hassim był pod wrażeniem gdy dowiedział się od Chana, że gdyby Hussajn potrzebował pomocy albo wsparcia, to skontaktuje się z nim osobiście. Dla niego Hussajn był jednym z największych wojowników, Młotem Bożym, wyzwolicielem zesłanym ludziom przez samego Allacha. Pamiętał, jakie wrażenie zrobiła na nim audycja radiowa, w której po raz pierwszy usłyszał jego głos. Podczas niej, odpowiadając na pytania po arabsku, opisał siebie krótkim stwierdzeniem „Młot Boży”. Powiedział to wtedy po angielsku i zapewne było skierowane do jego wrogów, ale to imię stało się od tamtego czasu bardzo popularne w całym muzułmańskim świecie.

Szybko wrócił jednak do swojego problemu, komu pierwszemu przekazać informację o Zion House. Nagle przypomniał sobie, że ma nowego i całkiem sensownego współpracownika. Wszystko musiało odtąd przebiegać bez zakłóceń, więc zadzwonił do jeszcze jednego członka Braterstwa, młodego analityka z jednego z biur maklerskich w City. Krótka rozmowa z nim i sugestia, że mógłby przysłużyć się Braterstwu, sprawiła, że tamten obiecał przyjechać za godzinę do sklepiku. Następnie Ali zadzwonił jeszcze raz do człowieka, który wcześniej był u niego z laptopem, i czekał.

* * *

Sam Bolton naprawdę miał na imię Selim. Jego ojciec był Brytyjczykiem, a matka muzułmanką. Został wychowany w kulturze zachodniej i studiował na londyńskim uniwersytecie. W trakcie pierwszego roku jego ojciec zmarł na raka, a bezpośrednią konsekwencją tego był powrót matki do islamu.

Niektóre z ważniejszych osób w Braterstwie widzieli w takich ludziach drzemiący potencjał. Dołączył zatem, jak wielu innych, do Braterstwa, stając się „śpiochem” czekającym na „przebudzenie” w odpowiednim czasie. Będąc przy tym eleganckim i wykształconym młodym człowiekiem, nie wzbudzał niczyich podejrzeń. Wszedł do sklepu i ujrzał Alego z jakimś chłopakiem z laptopem.

- Posłuchaj, co nasz brat ma do powiedzenia - powiedział Ali. Chłopak opowiedział

wszystko, czego dowiedział się na temat Zion House. Bolton zapamiętał wszystkie informacje.

- Rozumiem, że mam się ogólnie dowiedzieć o tej posiadłości? Nastawienie miejscowych, co myślą o tym Zion House, co tam się dzieje, i tak dalej, tak?

- Tak. A co w tym dziwnego?

- Bo wydaje mi się, że chcecie poznać prawdziwe przeznaczenie tego miejsca. - Wstał. - Ale to mi nie przeszkadza. Zadzwoń i zamówiłem sobie pokój, wszystko mam przygotowane w samochodzie.

- Czyli podejmujesz się tej roboty?

- Tak.

- Świetnie. Nie mogłeś lepiej przysłużyć się sprawie.

- Będę w kontakcie.

Gdy wyszli obydwaj, Ali pokiwał głową. Dobrze zrobił nie dzwoniąc do Chana. Wszystko szło swoim torem i mógł spokojnie czekać na telefon od Hussajna.

* * *

Sprzątaczką, Amy Robinson, która regularnie przychodziła do domu Hala Stone'a, zwykle pracowała rano. Miała swój klucz, ale dzisiaj miała odebrać pranie, więc przyszła nieco później, niż zwykle. Od razu znalazła Stone'a leżącego w ogrodzie, a ponieważ była przez lata pielęgniarką, od razu sprawdziła, czy żyje. Od wizyty Hussajna i Khazida minęło półtorej godziny.

Wybrała numer pogotowia i zamówiła karetkę, potem zadzwoniła na policję, słusznie podejrzewając, że rany powstały na skutek postrzału. Poszła po poduszki, chcąc podłożyć mu pod głowę, żeby miał wygodniej dopóki nie przyjedzie pogotowie. Klękła przy nim i gdy go dotknęła, Stone otworzył oczy. Spojrzał na nią zdezorientowany.

- Amy?

- Spokojnie, panie profesorze, jestem przy panu. Karetka już jedzie, wszystko będzie w porządku. Kto pana tak urządził?

- Mój kuzyn, generał Ferguson - poznała go pani w zeszłym roku... Mój notatnik jest na biurku... Niech pani do niego zadzwoni... , koniecznie...

- Spokojnie, na pewno policja go powiadomi w odpowiednim czasie.

- Nie rozumie pani. - Złapał ją zakrwawioną ręką. - Niech pani mu powie, że oni tu byli... , obydwaj..., że są w Anglii..., ten drugi mnie postrzelił... - Zamknął oczy i znowu je otworzył. - Nie pisałem o Zion... - Stracił przytomność i w tym momencie przyjechał ambulans.

Poszła do drzwi, wpuściła sanitariuszy i poprowadziła ich do ogrodu. Potem przyjechała policja, najpierw jeden radiowóz, potem pojawiły się jeszcze dwa. Czekala, zaniepokojona, gdy nagle pojawił się mężczyzna w cywilnym ubraniu, który przedstawił się jako inspektor Harper. Szybko rozejrzał się po domu i ogrodzie, wyjrzał też za ogrodzenie. Kiedy wrócił, sierżant spisywał zeznania Amy.

- Gdy na chwilę się ocknął, mówił coś dziwnego. - Powtórzyła jego słowa.

Harper usłyszał ją, gdy oglądał okno wychodzące na taras.

- Powiedziała pani - generał Ferguson?

- Tak, to kuzyn profesora. To jakiś ważny pan w którymś ministerstwie.

- No to wiem już o kogo chodzi.

- Profesor powiedział, że numer telefonu do generała jest w jego notesie na biurku.

Harper poszedł po notatnik i rzeczywiście znalazł w nim numer generała. Ferguson właśnie przyjechał do Holland Park, żeby zobaczyć, jak przedstawia się cała sytuacja, kiedy usłyszał tę straszną wiadomość.

* * *

Dwadzieścia minut przed przyjazdem pociągu na dworzec King's Cross, Hussajn zadzwonił do Alego.

- Wracamy z Cambridge. Strata czasu. Przyjedziemy od razu do ciebie. Musimy gdzieś się zatrzymać.

- Czekałem na wiadomość od ciebie. Znalazłem miejsce, w którym ukryli Raszydów.

- Jak? Kto przekazał informację? Chan, tak? Pewnie dostał ją od Maklera?

- Nie. Ani Chan, ani Makler nie wiedzą o tym miejscu. Zdradziła je sama żona Raszida, lekarka. Była tak zaniepokojona stanem zdrowia dzieciaka, którego operowała, że zadzwoniła do zastępującego ją lekarza. On nalegał, żeby dała mu jakiś numer kontaktowy, gdyby coś się

działo. Jedna z pielęgniarek, która jest pod moją komendą, miała akurat dyżur i przechwyciła informacje.

- Niesamowite. Czyli oni są cały czas w Anglii?

- W West Sussex, w miejscu o nazwie Zion House. Pokażę wam, gdzie to jest. Mało tego. Wysłałem tam zaufanego człowieka, żeby rozejrzał się po okolicy. Jest już w drodze.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że Ferguson pozwolił im mieć komórki.

- Pewnie złamała zasady - stwierdził Ali.

- No to będzie tego żałowała. Byłoby dobrze, gdyby nikt nie wiedział, że tam pojedziemy. Jeśli powiemy o Zion House Chanowi, ten od razu poinformuje o tym Maklera.

- Nie ufasz mu?

- To wpływowo człowiek, ale trzyma w garści zbyt wiele sznurków na raz. To nie jest oczywiście atak na Osamę bin Ladena, niech go Allah chroni, ale w Europie Makler reprezentuje Osamę tylko w niektórych sprawach. W tej konkretnej kwestii spełnia tylko życzenie wielkiego człowieka i musi znać swoje miejsce. Tacy ludzie postrzegają siebie jako ważniejszych, niż w rzeczywistości są.

- Na przykład profesor Chan?

- Niektórym trudno jest zapamiętać, że sprawa, jaką reprezentują jest ważniejsza niż oni - dodał Hussajn.

- Chan nie dowie się ode mnie o Zion - powiedział cicho Ali. - Czekam na was.

- Niedługo się zobaczymy - odpowiedział Hussajn i rozłączył się.

- Co tam?

- Bracie, Allah nam sprzyja. Ali Hassim odkrył, gdzie są Raszidowie. - Opowiedział Khazidowi tyle, ile uznał za stosowne.

- Świetnie - ucieszył się Khazid. - Profesor nie żyje, więc nikt od Fergusona nie będzie przypuszczał, że tu jesteśmy.

- Pewnie - powiedział Hussajn, któremu nagle bardzo mocno zabiło serce ma wspomnienie pulsu w tętnicy Stone'a. Wziął głęboki oddech. - Teraz nic już nam nie może przeszkodzić.

Chwilę później wjeżdżali na dworzec King's Cross.

* * *

Ferguson zadzwonił jeszcze raz do Harpera.

- Panie inspektorze, mam zamiar powołać się na ustawę o zwalczaniu terroryzmu, żeby odpowiednio to załatwić. Mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznymi ludźmi.

- To naprawdę terroryści?

- Mam specjalny nakaz wydany w tej sprawie przez Downing Street. Mam też oficjalną prośbę do pańskiego przełożonego, aby działał pan w tej sprawie jako mój kontakt na miejscu.

Harper poczuł się wyróżniony.

- Bardzo dziękuję. Cieszę się, że będziemy współpracować.

- Pożyczyłem od policji metropolitalnej śmigłowiec, załatwił mi to komendant. Zabiorą mnie z boiska niedaleko stąd.

- Stone był o włos od śmierci, panie generale, tak powiedział mi chirurg. Prześwietlenie pokazało dwie kule. Jedna jest pod lewym barkiem strzaskała część łopatki. Poza tym przeszła bardzo blisko tętnicy.

- A druga?

- Jest niżej w plecach. Narobiła zniszczeń w pasie biodrowym. Tyle mówią prześwietlenia. Podczas operacji pewnie pokaże się coś nowego.

- Bardzo dziękuję. Niedługo się widzimy.

- To sukinsyn - powiedział Roper.

Dillon i Billy mieli ponure miny.

- Co on powiedział tej sprzątacze? - zapytał Billy.

- Powiedział, żeby mi przekazać, że byli obydwaj, że są w Anglii. Postrzelił go ten drugi, ale Hal nie powiedział o Zion.

- To na pewno oni - stwierdził Dillon. - Na sto procent.

- A ten skurwiel, który strzelał mu w plecy, to na pewno był Khazid. - Billy był wściekły.

- To oczywiste - powiedział Ferguson i w tym momencie usłyszeli hałas silnika śmigłowca.

- Sean, Hal to mój jedyny najbliższy krewny. Polecisz ze mną?

Dillon nie mógł odmówić tak osobistej prośbie.

- Oczywiście.

- Trzymam kciuki - krzyknął Roper, kiedy wychodzili.

Helikopter hałasował jeszcze jakieś dziesięć minut, a potem odleciał. Roper sięgnął po

szkocką.

- A w dupie tam - machnął ręką Billy. - W takich chwilach trzeba się napić z przyjacielem.

- I to są najmądrzejsze słowa, jakich dawno nie słyszałem z twoich ust. - Roper obrócił się wózkiem i podjechał do barku.

* * *

Sam Bolton zatrzymał się w drodze do Zion w miejscowości Guildford i wszedł do sklepu ze sprzętem militarnym, gdzie kupił kurtkę przeciwdeszczową, pulower, wodoodporny kapelusz i także spodnie, jak również odpowiednie buty. W sklepie fotograficznym kupił lornetkę. Nabył też brezentową torbę na ramię, potem poszedł do pobliskiego hoteliku i wszedł do toalety.

Przebrał się w kabinie, chowając garnitur, krawat i półbuty do torby. Gdy wyszedł, miał na sobie wszystko, co przed chwilą kupił, włącznie z lornetką, którą założył na szyję.

- Jeśli wchodzisz między wrony, musisz krakać jak i one - mruknął do siebie, przeglądając się w lustrze. - Kłopot tylko w tym, że niewiele wiem o ptakach, z wyjątkiem tego, którego mam zawsze przy sobie.

Wrócił do swojego audi, przejechał kilka ulic, aż w końcu znalazł księgarnię. Po chwili wyszedł z niej z atlasem ptaków wybrzeży Wielkiej Brytanii. Była to tania książka z kolorową okładką, którą można było nosić zwiniętą pod pachą, pokazując, po co się tu przyjechało. Zadowolony z siebie wrócił do samochodu i odjechał, kierując się prosto ku wiosce Zion.

* * *

Przyjechał na miejsce po południu. Zatrzymał samochód i rozejrzał się. Była to typowa angielska wioska. Pośrodku znajdował się pub o nazwie Ploughman, drugi znajdował się dalej i nazywał się Zion Arms. Oprócz tego były stare gospodarstwa i kościół. Zaparkował i wszedł do Zion Arms. Było tam wszystko, czego można by się spodziewać w typowym, angielskim pubie. Na wielkim, kamiennym palenisku paliły się drwa, sufit podpierany grubymi, drewnianymi belkami, na

środku stał mahoniowy bar z lustrzanymi półkami. Za barem stała starsza korpulentna pani o różowych policzkach, ubrana w kwiecistą sukienkę. W środku nie było zbyt wielu osób, przy jednym stoliku siedziała trójka młodych ludzi, którzy cicho ze sobą rozmawiali, przy ogniu siedział starszy mężczyzna z wypitym do połowy piwem w ręku.

Mógł przedstawić się jako Selim Bolton, ale wolał mówić o sobie Sam. W poprzednich wyprawach, które wykonywał dla Braterstwa, rzadko używał tego imienia. Był absolwentem uniwersytetu i kierownikiem średniego szczebla w prywatnym banku w londyńskim City. Gdyby ktoś chciałby go sprawdzić, nawet policja, szybko by to odkrył, a potem mógłby szukać dalej i nie wiadomo co by znalazł. Nawet na wizytówce miał napisane Sam Bolton.

Zanim dojechał na miejsce, zatrzymał się na poboczu i wyszukał informacji o Zion w kupionej książce. Miał doskonałą pamięć, więc bez trudu zapamiętał wszystkie dane o bagnach wokół Zion, rezerwacie, jaki tu utworzono i o domu, który, jak mówił przewodnik, był niedostępny dla osób z zewnątrz.

- Pewnie przyjechał pan, żeby pooglądać ptaki, co? - zagadnęła go właścicielka, gdy położył książkę na stole. - Sporo tu takich przyjeżdża.

Opowiedział jej historijkę, którą wcześniej wymyślił.

- Pracuję w Londynie w finansach. Czasem są tak stresujące sytuacje, że człowiek czuje się jak w klatce. Myśli się tylko o tym, żeby móc wyrwać się na kilka dni. Mam niedaleko znajomych, w Aldwick Bay, po drugiej stronie Bognor Regis. Tam są piękne zwirowe plaże. Właśnie wracam od nich, ale w sumie nie śpieszę się aż tak bardzo, a tu przeczytałem, że bagna w Zion są szczególne urokliwe.

- Tak mówią. Co podać?

- Piwko poproszę.

Starzec, siedzący przy ogniu, dopił swoje piwo i wtrącił się do rozmowy.

- W zeszłym miesiącu skończyłem osiemdziesiąt siedem lat i całe życie pracowałem na roli. Kiedy byłem młodym chłopakiem, ptaki były po prostu ptakami. Był normalną częścią życia, które się po prostu przyjmowało jak leci. A teraz zjeżdżają tu tacy jak pan, co to ptaki podglądają i biorą to na poważnie. W zeszłym roku przyjeżdżali tu nawet autokarami, żeby zobaczyć na bagnach jedną marną czajkę. Bóg jeden wie, dlaczego to takie niezwykle.

- Dobrze pana rozumiem. Ale przyznam się, że nie podchodzę do tego aż tak poważnie. Pracuję bardzo długo w biurze i lubię wyrwać się na świeże powietrze, ale lubię też mieć przy

okazji jakiś powód, więc zacząłem od ptaków. Postawię panu piwko, co? Widzę, że nic pan już nie ma.

- Nie odmówię. Czemu tak patrzysz, Annie?

- Wstydź się, Harker, pasażycie jeden.

Nalała piwo, Bolton zapłacił i przyniósł je razem ze swoim.

- Mogę się przysiąść?

- A zapraszam.

- Dobre piwko. - Bolton wypił łyk. - A ci od ptaków, to robią tu jakieś szkody?

Przeszkadzają może?

- Szkody? Dla rezerwatu? A co oni mogą zrobić? Przynajmniej dają zarobić. Teraz czasy są takie, że każdy turysta jest dobry. Ludzie mają robotę, jest kemping, pensjonaty.

- Wszystko dzięki ptakom.

Harker się zaśmiał.

- No, jak się zastanowić, to tak.

- Kiedy jechałem tutaj, to przejeżdżałem obok dużej posiadłości. W książce napisali, że nie można tam wchodzić. To był ten Zion House?

- A tak. Tam jest wstęp zakazany. To rządowa posiadłość, i to od kiedy pamiętam. Nie mogłem zaciągnąć się do wojska podczas wojny, bo byłem rolnikiem, rozumiesz pan, żywiciel kraju, więc byłem tu przez cały czas. - Pokiwał głową. - Wtedy co tam się działo. Samoloty przylatywały i odlatywały, głównie nocą. Ale wszystko było tajne i nikt o tym nie gadał.

- Naprawdę?

- I Ministerstwo Obrony nadal tak robi - potaknął Seth Harker. - Ochrona, zasieki na płocie, strażnicy w mundurach.

- Ale miejscowi mają tam zatrudnienie?

- A skąd. Wszyscy tam są z zewnątrz. Mieszka tam gospodyni, niejaka Tetley, i trzy pomocnice, które gotują i sprzątają dla gości. Kitty, Ida i Vera. Fajne dziewczyny, ale też nie stąd. I nie pokazują się tutaj.

- Gości? Czyli to jakiś hotel?

- Hotel, w którym nikogo nie widać? - Harker zarechotał. - Nikt stamtąd nigdy nie zaszedł do wioski.

- No dobra, ale jakoś muszą przyjeżdżać? Nie wpadają do pubu?

Bar był pusty, Annie na zapleczu, a Seth Harker już dość pijany.

- Oni zawsze przylatują samolotem. Obok domu jest betonowy pas startowy. Tak było podczas wojny i tak jest teraz. - Miał pusty kufel i patrzył na piwo Boltona. - Coś nie pijesz pan.

- Wie pan jak to jest. Przyjechałem samochodem, a muszę zaraz wracać do Londynu. A jaka jest teraz policja, to szkoda gadać.

- Szkoda, żeby się zmarnowało. - Bolton podał mu kufel, a ten wychylił go do dna. - Moje gospodarstwo jest na wzgórzu, w tamtą stronę. Widać z niego całą okolicę. Nazywa się Fern End. Dobrze z niego widać lotnisko. Od lat patrzę, kto i kiedy przylatuje i odlatuje. Mam starą lornetkę. Dzisiaj rano, na przykład, przyleciał gdzieś koło jedenastej mały samolot. Wsiadły dwie kobiety, dziewczynka i trzech mężczyzn. Zabrał ich do domu kapitan Bosey, szef ochrony. - Dotknął palcem nosa. - Ale ja tam wiem swoje, poradziłbym sobie z tą ich fortecą. - Wstał i opierając się o Boltona poszedł do toalety.

- Harker nie robił żadnego problemu? - zapytała Annie wracając z kuchni.

- Absolutnie nie, to porządny człowiek. Wróci sam do domu? Mówił mi gdzie mieszka.

- Poradzi sobie. Jeśli będzie chciał się zdrzemnąć, to położy się na zapleczu. A potem ktoś go podrzuci do wioski. Podać coś jeszcze?

- Nie, dziękuję. Będę już chyba jechał.

- Jeśli jednak będzie pan chciał zostać, to mam wolne cztery pokoje, no i zawsze jest kemping. Też jest mój. - Poszła z powrotem do kuchni, a Seth Harker wrócił z toalety, w trochę lepszym stanie.

- Już pan jedzie?

- Muszę.

Ale Harker był rzeczywiście pijany i zaczął gadać.

- A o czym to mówiliśmy? A, o ochronie. To wszystko śmiech. Zawsze jest jakiś sposób. Ten Zion House, mury, druty pod napięciem, kamery. Wszystko na nic, bo tam można wejść pod spodem.

- Jak to pod spodem?

- W 1943, jak była wojna, był tam tylko trawiasty pas startowy i nocą odlatywały z niego małe samoloty w kierunku Francji. Ale jak padało, to wylewały bagna i nie można było z niego korzystać, więc wykopali tunel, który zaczynał się w lasku i szedł pod murami, aż do ogrodu.

- A po co?

- Zrobiono drenaż pod całym terenem. Od lotniska do tego właśnie tunelu. A przedłużono go pod ogród, bo chciano podłączyć do niego rynny z dachów.

- Skąd pan o tym wie?

- Powiedzieli mi chłopaki z RAF-u, którzy tu stacjonowali, i paru inżynierów. Wszystko zrobiono po cichu, potem przyjechał jeden kapitan, obejrzał i powiedział, że to wszystko do lotu. Dlatego zarządzili, że zrobią betonowy pas, żeby można było lądować nawet wtedy, gdy będzie stała na nim woda. I tak zrobili.

- A tunel i ten drenaż?

- Przerwali robotę, wejście w lesie zablokowali pokrywą od studzienki i przykryli darnią. Paskudnie tam jest. Obok studzienki stoi granitowy słupek. Nawet był tam jakiś napis, ale już go chyba nie widać. Czas go zatarł.

- Był pan tam kiedyś?

Harker się uśmiechnął.

- Pewno, że byłem, pięćdziesiąt lat temu, zaraz po wojnie. Wszystko tam było jak trzeba. Stalowa drabinka na dół. Ale było tam dużo wody, która sięgała wysoko. Nie wiem, jak to teraz może wyglądać.

- A ten wylot w ogrodzie?

- Była tam druga studzienka, której pokrywy nie mogłem dźwignąć. Nie wiem, jak ją zakryli. Nigdy potem nie byłem tam na dole, ale zawsze śmiałem się z tych nowych zabezpieczeń.

- I nikt o tym nie wie?

- A kto ma wiedzieć? Była wojna, wszystko było tajne, poza tym nikt się tym nie interesował. Kogo obchodziłoby po tylu latach, kiedy to zrobili i gdzie to jest? A informacje o tunelu były na pewno w jakichś starych aktach RAF-u, ale pewnie już ich nie ma.

- Rozumiem. - Bolton wstał i wyciągnął rękę. - No dobrze, będę się zbierał.

- A jak ty się w ogóle nazywasz, chłopcze?

- Bolton, Sam Bolton.

Oczy Harkera patrzyły na Sama badawczo i chytrze.

- Mam nadzieję, że przyjazd tutaj nie poszedł na marne?

- Poznaliśmy się, pogadaliśmy, jak miał pójść na marne?

Wyszedł, a chwilę później do baru wróciła Annie z tacą umytego szkła i zaczęła ustawiać

je na barze.

- Pojechał już, co? Miły chłopak.

- Dobrze nam się gadało - powiedział Harker. - Nalej mi jeszcze jedno.

* * *

Bolton pojechał w kierunku Zion House, minął posiadłość przyglądając się bramie i strażnikowi w mundurze, który stał i palił papierosa. Pojechał dalej, aż dotarł do tablicy informacyjnej rezerwatu. Obok był mały parking, a za nim las, który rozciągał się w jedną stronę aż do murów posiadłości, a w drugą w kierunku bagien i pasa startowego.

Było pochmurno i powoli ściemniało się. Na parkingu nie było ani jednego samochodu. Zaczęło kropić, ale Boltonowi to nie przeszkadzało. Szybko podniósł dach, otworzył bagażnik i wyjął z niego stalową łyżkę do opon.

Gdy wszedł do lasu, deszcz zaczął mocniej padać. Przystanął, spoglądając w kierunku lądowiska. W tym miejscu teren podnosił się i można było ujrzeć zza muru kawałek ogrodu. Wyjął lornetkę i obejrzał taras, chociaż widok zasłaniały mu tablice ostrzegawcze. Poszedł dalej, kierując się w stronę widocznego granitowego słupka, który stał lekko przechylony na jedną stronę.

Wokół niego trawa rosła po pas. Nie zważając na coraz bardziej padający deszcz zaczął szukać pokrywy łyżką wbijając ją w trawę. W końcu usłyszał szcęknięcie łyżki o metal. Uklęknął i zaczął odrywać trawę i darń łyżką trzymając ją obiema rękami. Kawałek po kawałku ukazywała się jego oczom pokrywa wjazdu do studzienki. Spróbował ją podważyć, ale nie udało się. Potrzebował lepszego narzędzia, ale to nie był już jego problem. Rozejrzał się. Był osłonięty krzewami i drzewami, poza tym i tak nikogo w okolicy nie było.

Wrócił do samochodu zadowolony z obrotu spraw i szczęścia, że spotkał starego Harkera. Wsiadł do audi i zadzwonił do Alego Hassima. Tamten gościł właśnie u siebie Hussajna i Khazida, którzy przed chwilą przyjechali. Od razu odebrał telefon.

- Gdzie jesteś?

- W Zion. Zaraz wracam. Będę za jakieś trzy godziny.

- Nie zostajesz tam na noc?

- Załatwiłem wszystko, co miałem załatwić. Zion House to rządowa kryjówka i rzeczywiście pilnie strzeżone miejsce. Wszyscy przylatują tu samolotami. Posiadłość ma własny pas startowy. Dzisiaj około jedenastej przyleciał samolot z dwiema kobietami, dziewczynką i trzema mężczyznami. Nie mam pojęcia, kim są ale podejrzewam, że ty wiesz.

- Niewiarygodne - powiedział Ali.

- E tam. Niewiarygodne jest to, że pomimo tych wszystkich zabezpieczeń, znalazłem sposób jak wejść do środka.

- Jeśli to prawda, to Allah nam sprzyja.

- Wiedziałem, że to powiesz. - Bolton ruszył w drogę powrotną.

Ali Hassim odłożył telefon, odwrócił się i przekazał Hussajnowi i Khazidowi, czego się dowiedział.

Harry i Billy siedzieli w swoim boksie w Dark Manie, obok siedział w swoim wózku Roper. Za nimi, oparci o ścianę, stali Joe Baxter i Sam Hall, i po cichu rozmawiali. Sierżant Doyle, który przywiózł Ropera bussem, został na parkingu. Siedział za kierownicą i czytał książkę. Wszyscy mieli dość nietęgą minę. Harry wypił właśnie dużą szkocką i zawołał do Ruby, której w barze pomagała Mary O'Toole, żeby naląła jeszcze po jednej jemu i Roperowi.

- Już się robi, Harry. - Naląła alkohol do szklaneczek. - Jeszcze nigdy nie widziałam u was takiej wściekłości, ani zaciekłości. Jeszcze mam ciarki na plecach.

- Czy Hussajn znał profesora Stone'a?

- Według Billy'ego, współpracowali ze sobą dwa, trzy lata temu, gdy profesor miał w Hazarze jakieś kłopoty.

- Ruby, co cię gryzie? - Mary wzięła tacę. - Dobrze, zostaw to, ja się tym zajmę.

Harry milczał, wpatrując się w dal, jak zastygły. Ferguson zadzwonił do Billy'ego i powiedział mu, że chirurg, profesor Vaughan ze szpitala w Cambridge, nie był zadowolony ze stanu zdrowia Stone'a, i że będzie musiał powtórzyć operację.

Billy pokręcił głową, czując ogromną wściekłość.

- Ciekawe, gdzie te sukinsyny są teraz?

- Tego nie wie nikt. - Roper dopił szkocką.

- Oni muszą mieć jakiś plan - ocknął się Harry. - Ten Hussajn to cwany gość. Nie robi niczego, jeśli nie ma zabezpieczonych tyłów.

- Słusznie - potwierdził Roper. - Nawet nie myślałby o przyjeździe tutaj, gdyby nie miał pewności o jakimkolwiek wsparciu. Musiał wiedzieć, że organizacje ekstremistyczne to wsparcie mu zapewnią.

- Znamy ich - stwierdził Harry. - Fanatyków, którzy głoszą terror i z telewizji, i na ulicach Londynu.

- Niestety, prawa człowieka wiążą nam ręce - wtrącił Billy. - Wiemy, kim oni są i nie możemy nic z tym zrobić.

- A mnie się wydaje, że możemy. - Harry spojrzał na Ropera. - Jak się nazywał ten frajer od Armii Boga? Dreg Chan?

- Nie do ruszenia. Jest kryty, jak tylko się da.

- Cholera jasna - zaklął Harry.

- Greta mówi po arabsku - powiedział Roper. - Słyszała rozmowę tych dwóch w domu Caspara i wiemy, że byli podkomendnymi Chana. Kiedy zrobiło się gorąco, zwiął do Brukseli. Jest tam przewodniczącym komisji do spraw harmonii rasowej. Ale w tej chwili jest tutaj.

- To czemu nikt go nie aresztował? - dopytywał się Harry.

- Ma immunitet dyplomatyczny ONZ. - Roper zaczął wyjaśniać. - Wiemy, że to bandzior i terrorysta, ale udowodnienie tego, to zupełnie inna sprawa. Nawet gdyby w tej sprawie wypowiedział się Ferguson, Chan by wszystkiemu zaprzeczył i ośmieszył go w sądzie, a przy swoim międzynarodowym statusie, zwiąłby potem gdziekolwiek.

- Nie podoba mi się to, ale mimo wszystko chciałbym zamienić z nim kilka słów. Podejrzewam, że masz jego adres?

- Armia Boga to zarejestrowana organizacja - odpowiedział Roper. - Jest w książce telefonicznej.

- Myślałem o bardziej prywatnej pogawędce.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, Harry? - Roper uśmiechnął się. - Chan to niebezpieczny człowiek. Choć muszę przyznać, że ja też mam go powyżej uszu.

Zadzwoił do Holland Park i połączył się z elektroniczną wyszukiwarką adresów. Podał nazwisko Chana i po chwili usłyszał głos syntezatora mowy, który podał mu adres.

- Huntley Street Apartments - powtórzył Roper.

Harry wstał a wraz z nim Billy.

- To moja sprawa, Harry. Dorwę go razem z chłopakami.

- Myśl lepiej o swojej przyszłości, Billy.

- Jako agent wywiadu Jej Królewskiej Mości? Harry, dziś tu, jutro tam. Poza tym, ja też jestem na niego wściekły. - Spojrzał na Halla i Baxtera. - Jedzicie?

- Natychmiast - odpowiedział Baxter.

- W porządku - wtrącił Harry. - Zobaczymy się na którymś z moich statków. Chyba najlepsza będzie „Linda Jones”. A ty, Roper, wracaj do Holland Park.

- Czyli mam na to nie patrzeć?

- Nie chcę, żebyś brał w tym udział.

- Harry ma rację - rzucił Billy. - Idziemy chłopaki. - Baxter i Hall poszli za nim do alfa romeo, które stało przy busie. - Major Roper wychodzi - krzyknął do pochłoniętego lekturą

Doyle'a. Wskoczył razem z pozostałymi do alfy i odjechali.

W drzwiach pojawił się Roper z Harrym za plecami. Doyle otworzył tylne drzwi busa i opuścił pochylnię.

- Zadzwoń. - Harry położył rękę na ramieniu Ropera.

- Nie zabijajcie go - poprosił Roper. - Czasem mam tego dosyć. Wiesz Harry, że nie miałem lekkiego życia.

- Wiem, stary. Zrobię, co mogę i dam ci znać.

Roper wjechał pochylnią do środka. Gdy Doyle odjechał, pojawiła się Ruby.

- Wszystko w porządku, Harry?

- Jadę na „Lindę”, słodziaku. Mam tam sprawę do załatwienia, i kilka telefonów. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano, dobrze?

- Załatwione, Harry.

Wróciła do pubu, a Harry ruszył powoli wzdłuż nabrzeża.

* * *

Chan siedział za biurkiem w swoim gabinecie i przeglądał dokumenty, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi wejściowych na klatkę schodową. Jadąc do Chana, Billy wymyślił sposób jak do niego dotrzeć. Było oczywiste, że Chan był zamieszany w całą sprawę, co oznaczało, że na pewno widział zdjęcia Salterów i Dillona. Dlatego to Baxter podszedł do drzwi z odznaką Billy'ego w rękę i zadzwonił. Chan spojrzał na niego przez wideodomofon.

- Słucham?

- Profesor Chan? Tu sierżant Jones, Wydział Dochodzeniowy Paddington Green. Napadnięto na młodą muzułmankę. Radiowóz przywiózł ją do nas, ale ona nie mówi po angielsku. Wymieniła pana nazwisko, dlatego tu przyjechaliliśmy. Proszę o pomoc.

- Oczywiście. Z miłą chęcią.

Gdy Chan otworzył drzwi, Baxter doskoczył do niego i uderzył w brzuch. Billy i Hall wbiegli za nim. Zdjęli z wieszaka płaszcz i kapelusz, włożyli to na niego siłą i wyprowadzili do samochodu. Usadzili z tyłu między sobą i odjechali.

* * *

Harry siedział na rufie „Lindy Jones” pod dachem, pod którym paliła się niewielka lampka. Trzymał w ręce szklanekę szkockiej, kiedy przyjechali. Baxter z Hallem wlekli Chana na pokład. Oparty o reling Billy patrzył na nich w milczeniu.

Śmiertelnie przestraszony Chan doszedł do siebie, ale nie poznawszy Saltera próbował blefować.

- Co tu się dzieje?

- Nazywam się Harry Salter, a ty jesteś Dreg Chan. Zadam ci teraz kilka pytań, jeśli mi nie odpowiesz, zabiję cię i wrzucę do rzeki.

Chan poczuł, jak ściska mu się żołądek.

- Czego wy chcecie?

- Hussajn Raszid i jego kumpel Khazid. Wiemy, że jechali do Anglii. Chcę, żebyś potwierdził, że przyjechali.

- Co to za bzdury?

- Nie denerwuj mnie. Mój dobry znajomy z Cambridge, profesor Hal Stone, wrócił właśnie z Hazaru po tym, jak pomógł Dillonowi i Billy'emu odzyskać Sarę Raszid. Został postrzelony we własnym domu i zostawiony, żeby umarł. Według nas była to robota Hussajna i Khazida. Co masz do powiedzenia na ten temat?

- Nie wiem, o czym mówicie - odpowiedział z desperacją w głosie Chan.

- Marnujemy czas. Billy, przyszykuj podnośnik.

Baxter i Hall ściągnęli z Chana płaszcz i marynarkę, Billy wziął linę przywiązaną do wyciągarki i obwiązał nią kostki Chana. Baxter i Hall podciągnęli go i zawiesili za burtą głową w dół.

- Krótkie pytanie - szepnął mu do ucha Billy. - Czy są w Anglii i czy widziałeś się z nimi?

Nie czekając na odpowiedź wrzucili go do Tamizy. Chan zanurzył się w wodzie, a gdy wypłynął natychmiast zaczął wrzeszczeć. Wolne ręce pozwalały mu płynąć, ale związane nogi utrudniały przeciwstawienie się nurtowi. Gdy osłabł, Harry kiwnął głową, żeby go wyciągnęli. Opadł na pokład, kaszląc i plując. Już nie miał ochoty stawiać się.

- Postawmy sprawę jasno - odezwał się Harry. - Jeśli jeszcze raz będziemy musieli wrzucić cię do wody, odetniemy linę.

- Nie, nie, powiem wszystko. - Chwyając się relingu Chan wstał. - Są tutaj. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Wszystkim kieruje Makler, człowiek Osamy, i nie pytajcie mnie o jego numer. Nikt go nie ma i nie można się do niego dodzwonić. To on się kontaktuje z ludźmi. Hussajn i Khazid przyплыли łodzią z Francji i gdy Hussajn zadzwonił do mnie, byłem bardzo zaskoczony. Powiedział, że był w jakimś gospodarstwie o nazwie Folly Way w Peel Strand w Dorset, ale nie powiedział u kogo, przysięgam.

- Mów dalej.

- Prawdą jest, że Armia Boga ma siatkę szpiegów, którzy są zwykłymi ludźmi. Obserwowano dom Raszidów i jeden z moich obserwatorów powiedział mi, że wyjechali. Śledził ich aż na Farley Field, skąd odlecieli w nieznanym kierunku.

- Hussajn był pewnie wściekły, gdy się o tym dowiedział.

- Owszem. Powiedziałem mu, że nie mogliśmy ustalić dokąd polecieci, ale zapewnił mnie, że i tak się dowie gdzie są.

- I co dalej?

- Powiedział, że jedyną osobą, od której może cokolwiek się dowiedzieć jest profesor Stone, bo Makler poinformował go, że to kuzyn Fergusona. - Chan kłamał. - Dlatego pojechał do niego do Cambridge.

Harry milczał zastanawiając się nad tymi słowami.

- Łże jak pies - rzucił Billy.

Harry pokręcił głową.

- To, że Hussajn nie wiedział, gdzie są Raszidowie, może być prawdą. Po co by jechał do Cambridge? Jego przypuszczenia, że Hal Stone może coś wiedzieć, są prawdopodobne. - Wstał, poszedł do salonu i nalał sobie szkockiej. Billy poszedł za nim zamykając za sobą drzwi.

- Wierzysz temu śmieciowi?

- Pamiętasz, co powiedział Hal? - zapytał Harry. - Że byli tam obydwaj, postrzelił go drugi, i że nie pisał ani słowa o Zion.

- No tak. Ferguson przyznał się, że powiedział Stone'owi o tej posiadłości.

- Dlatego go szukali i o to pytali, ponieważ nie mieli pojęcia, gdzie są Raszidowie. To, że powiedział, iż nie zdradził miejsca ich pobytu, tylko to potwierdza.

- A więc to z tego powodu Stone zaczął uciekać i zarobił kulkę - stwierdził Billy. - To co robimy z tym dupkiem? Kończymy z nim?

Harry otworzył drzwi i wyszedł. Baxter i Hall posadzili Chana na krzesło. Widać było po nim, że goni resztkami sił.

- Gdzie teraz może być Hussajn?

- Nie wiem. To szalenie. Przyjechał tu pomimo tego, że jego twarz jest wszystkim znana.

- I to jest właśnie najdziwniejsze - zdumiał się Billy. - Już w parę godzin po przybyciu powinien siedzieć.

Chan nagle przypomniał sobie rozmowę z Hussajnem.

- Kiedy dzwonił do mnie z Peel Strand i powiedział, że wybiera się do Cambridge, poinformowałem go, że musi przesiąść się w Londynie, ale dodałem również, że ta wyprawa nie jest dobrym pomysłem, bo może zostać rozpoznany.

- I co on na to? - zapytał Harry.

- Że już się tym zajął i nikt go nie rozpozna. Dodał, żebym mu zaufał. To wszystko.

- Co on pieprzy - rzucił Billy. - Przecież nie miał czasu na operację plastyczną.

- Ale coś musiał zrobić, skoro nikt go nie złapał. - Harry spojrzał na Chana. - Panowie Baxter i Hall odwiozą cię do domu. Zabierzesz ubranie, pieniądze, karty kredytowe, paszport i wszystko co chcesz. Potem odwiozą cię na Heathrow i poczekają, aż odleczysz pierwszym samolotem.

- Nie zabijecie mnie? - Chan zgłupiał.

- Teraz nie, ale jeśli kiedykolwiek pojawisz się w Londynie, to już następnego dnia będą cię skubały ryby na dnie rzeki. Zabierzcie go, chłopaki.

Chan nie wierzył własnym uszom. Wziął marynarkę i płaszcz i zszedł z łodzi z uczuciem ogromnej ulgi. Czuł satysfakcję, że udało mu się całą winę za skierowanie Hussajna do Stone'a przypisać Maklerowi, nie wydając jednocześnie Alego Hassima.

- Ty chyba zacząłeś mięknąć, co? - zapytał Billy.

- Roper prosił mnie, żeby delikatnie się z nim obejść. Tak czy inaczej wiemy na pewno, że Hussajn nie wie, gdzie są Raszidowie. Chodź, jedziemy do niego.

* * *

Roper uważnie słuchał relacji Harry'ego z wydarzeń.

- Myślisz, że właściwie postąpiliśmy? Wyjedź stąd?

- Pytanie, czy osoby, które nim kierują pozwolą na to. Wiemy od dawna, że Al-Kaida ma wpływ na Armię Boga. Nie wiem, co Osama pomyśli o gościu, który stąd zwieje, ale na pewno nie będzie tym zachwycony. Tak samo będzie wściekły Makler. Ci ludzie są ważni dla świata terroryzmu i nie spodoba się im to, że coś poszło nie po ich myśli.

- Mam gdzieś Osamę i jego ludzi - oświadczył Harry. - Musimy mówić dobitnie, co o nich myślimy, niezależnie od konsekwencji.

- Zgoda, ale iraccy przywódcy Al-Kaidy zrobią wszystko, żeby o nich było głośno w Anglii. Może to być Big Ben, może Buckingham Palace? Mają naprawdę wiele możliwości.

- Byliby do reszty szaleni - stwierdził Harry.

- A gdyby jeszcze w pałacu była królowa - wtrącił Billy - to z radości skakaliby pod niebiosami.

- Sukinsyny - warknął Harry.

- Mogę wam pokazać raporty wywiadu pokazujące, ilu Brytyjczyków służyło w oddziałach Al-Kaidy w Iraku. Oczywiście, opinia publiczna nie ma o tym zielonego pojęcia. A ci ludzie nie ograniczyliby się tylko do podkładania zwykłych bomb, równie chętnie podłożyliby brudną bombę. Kilka prób zdetonowania takiego ładunku w Wielkiej Brytanii już udaremniono - mówił Roper. - To ewidentnie stan wojny.

Zaległa cisza. Po chwili odezwał się Billy.

- Ale co z Hussajnem. Co on zamierza?

- Nigdy nie był specjalistą od bomb - stwierdził Roper. - Moim zdaniem będzie planował zabójstwo.

- Myślisz, że może celować w premiera albo kogoś na tym szczeblu? - zapytał Harry.

- Spójrzcie. Jego plany wobec Raszidów zostały pokrzyżowane, przynajmniej w tej chwili, więc musi zająć się czymś innym. Poza tym, w jakiś sposób zmienił swój wygląd - to powiedział nam Chan. Warto było jednak go zamoczyć, żeby dowiedzieć się o tym.

Zadzwoił telefon. To był Ferguson i Roper przełączył rozmowę na system głośnomówiący.

- Co słyhać?

- Jest po operacji. Profesor Vaughan powiedział, że było rzeczywiście kiepsko i Hal potrzebuje dużo czasu, żeby dojść do siebie, ale wyliże się z tego.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Udało ci się z nim porozmawiać? - zapytał Roper.

- Tylko przez chwilę. Najwyraźniej strzelał do niego Khazid, który chciał dowiedzieć się, gdzie są Raszidowie. Hal odmówił odpowiedzi i udało mu się zwać do ogrodu. Gdy próbował odryglować furtkę, Khazid strzelił mu w plecy. Zapamiętał, że furtkę otworzył ktoś inny, ale go nie zobaczył.

- Szkoda - westchnął Roper. - Harry zajął się dzisiaj Chanem. Dowiedzieliśmy się ciekawych rzeczy. - Opowiedział o rewelacjach wyciągniętych z Chana.

- Boże święty, czyli nadal nie wiemy, jak ten skunks w tej chwili wygląda!

- Nie wiemy jak wygląda, i nie wiemy też co zamierza, ani gdzie jest - powiedział Roper.

- Wiemy tylko na pewno, że nie zna miejsca pobytu Raszidów.

- Chwała Bogu.

- Wiemy też - ciągnął Roper - że kiedy dzwonił po raz pierwszy do Chana, powiedział, iż przyłączyli się z Khazidem łodzią z Francji i zatrzymali się u człowieka Maklera w miejscowości Peel Strand w Dorset, w gospodarstwie o nazwie Folly Way.

- W porządku, zaraz zadzwonię do komendanta policji w Dorset. Coś jeszcze?

- Trzeba poinformować Raszidów o zamachu na Hala Stone'a.

- To przerazi Molly. Może na razie nic im nie mówmy, bo to przyniesie więcej szkody niż pożytku.

- A reszcie? Też nic nie mówić?

- Porozmawiam z Lewinem. On, tak samo jak Czomski i Greta, powinni jednak o tym wiedzieć. Nie wiem jeszcze, kiedy tam polecę. Jak będę wiedział to zadzwonię i poinformuję cię. Wolałbym powiedzieć Raszidom o wszystkim osobiście. Za pół godziny wracamy śmigłowcem z Dillonem. Na razie.

* * *

Hussajn i Khazid siedzieli na zapleczu sklepiku Alego Hassima i słuchali opowieści Boltona, wypytyując go o najdrobniejsze szczegóły. Dostali też płytę CD z informacjami od chłopaka, który wcześniej przyjeżdżał z laptopem, i która zawierała wszelkie informacje na temat

wioski i posiadłości w Zion, nawet listę z nazwami ptaków żyjących na pobliskich bagnach. Khazid bardzo się zdziwił.

- Najmądrzejszymi ptakami są wrony. Potrafią komunikować się ze sobą i liczyć. Czy taka wiedza wystarczy, żeby uchodzić za ornitologa?

- Najlepiej być sobą - powiedział Bolton - tak, jak ja to zrobiłem, i dopasować się do sytuacji. - Spojrzał na Alego. - Pójdę kupić im te same rzeczy, buty i tak dalej. Co z samochodem?

- Tym zajął się jeden z braci, który pracuje w komisie samochodowym. Mamy mikrobus kempingowy z łózkami i aneksem kuchennym. Bardzo popularny wśród rodzin, które jeżdżą po kraju. Są też w nim narzędzia, które powinny wystarczyć do sforsowania tego tunelu. Przyjedzie dzisiaj wieczorem.

Gdy Bolton podniósł się, Hussajn zapytał:

- Jeszcze jedna rzecz. Mówiłeś, że z brzegu lasu można zajrzeć ponad murem w głąb ogrodu, na tył domu, na taras i tak dalej. Widziałeś tam kogoś?

- Nie, mocno padało i nie miałem dobrej lornetki.

- Możesz załatwić mi porządną lornetkę z największym przybliżeniem, jakie jest możliwe? - zapytał Hussajn spojrzawszy na Alego.

- Oczywiście - odpowiedział i kiwnął na Boltona. - Wiesz, do kogo zadzwonić.

- Zajmę się tym. - Bolton spojrzął na Hussajna. - To zaszczyt pomóc sprawie. - Pożegnał się i wyszedł.

- Dobry jest - stwierdził Hussajn.

- Jeden z najlepszych. Czy jest coś jeszcze do zrobienia?

- Chyba nie. Gdyby zadzwonił Chan, powiedz proszę, że się jeszcze z tobą nie skontaktowałem i nie wiesz, gdzie jestem.

- Jak chcesz.

- Maklera biorę na siebie.

- Dobrze. - Wstał, żeby wyjść i w tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Otworzywszy je zobaczył dziewczynę ze sklepu z najnowszym wydaniem „Evening Standard” w ręku. Od razu rzucał się w oczy artykuł o wszczętym przez policję śledztwie dotyczącym nieudanego zamachu na profesora z Cambridge, Hala Stone'a, który powoli dochodził do siebie po przeprowadzonej operacji.

- Powinniście chyba to przeczytać. - Położył gazetę na stole i wyszedł.

Khazid przeczytał artykuł pierwszy i wybuchł gniewem.

- A mówiłeś, że nie żyje! Powinienem był go wykończyć!

- Takie rzeczy się zdarzają - odpowiedział spokojnie Hussajn.

- Wcześniej czy później zaczniesz gadać.

- No i co z tego? Nie może opisać mojego wyglądu, bo mnie nie widział, a to chyba dobra wiadomość. Druga dobra wiadomość to ta, że Ferguson nie wie, że my wiemy o Zion. Uda się, kuzynie, czuję to. To, że Selim Bolton znalazł sposób przedostania się do środka, to widoczny znak od samego Allacha.

- Zejdź na ziemię, kuzynie. Nawet nie wiemy, czy damy radę tym pokrywom. Nie wiemy, co jest na dole, jeśli nawet uda nam się tam dotrzeć, nie mówiąc o drugiej stronie. Wyjście może być półtora metra pod ziemią, pod kamieniami, gdziekolwiek.

- Rozejrzemy się - powiedział Hussajn. - Ile razy musieliśmy to robić przez ostatnie dwa lata wojny i nam się udawało, co?

- Ale jaki jest cel tego wszystkiego? Powiedzmy, że uda nam się przedostać do ogrodu przez ten tunel. Będziemy siedzieć w krzakach i czekać, aż Sara wyjdzie się pobawić? I co wtedy? Zastrzelisz ją?

- Co ty opowiadasz?

- Dobra, powiedzmy, że będzie sama, ogłuszymy ją, weźmiemy pod pachę, przeniesiemy przez tunel i odjedziemy. - Hussajn siedział i patrzył na niego w milczeniu, Khazid kontynuował.

- Oczywiście trzeba będzie zastrzelić każdego, kto będzie przy niej. Nawet jej rodziców.

- Przysiągłem dziadkowi Sary przed Allachem, że będę ją chronił i strzegł, jak tylko będę mógł - odpowiedział Hussajn z ponurą miną. - Zawiodłem na tym polu fatalnie. Gdzie się nie ruszyliśmy, tam czekała śmierć. Nasi przyjaciele zginęli z rąk Dillona i Saltera. Mój wuj, przybity wstydem, zmarł przedwcześnie. Masz całkowitą rację. Nie wiem, co robić, nawet nie wiem, co jej powiedzieć, gdy ją zobaczę. Allach wybiera mi drogę, po której podążam.

- Uważam, że prawda jest taka, iż nigdy nie wiedziałeś, dokąd cię to może zaprowadzić. - Khazid wstał. - Gdybyśmy ścigali tych, których nam wyznaczono, czyli Ferguson i resztę, miałyby to wszystko jakiś cel, ale tu...

- Wszystko ma swój cel i Allach wskaże, jaki on był. Muszę jechać do Zion, nie mam wyboru.

- Ani ja - westchnął Khazid. - W końcu przyjąłem do wiadomości, że przez dwa ostatnie lata służyłem jako żołnierz pod rozkazami obłąkanego człowieka. Jakoś nie uspokaja mnie to, że jestem w rękach Allacha.

- Więc chcesz mnie opuścić? - Hussajn wyprostował się, z pobladłą nagle twarzą. - Tak to ma się zakończyć?

Khazid zdobył się na uśmiech.

- A czy wyglądam na takiego, bracie? Nie, pójdę z tobą nawet do piekła, jeśli zechcesz.

Wrócił Ali.

- A więc czekamy. Powiedziałem Dżamalowi, żeby pojechał na Farley Field busem i zaparkował na publicznym parkingu. Będzie na wszelki wypadek czekał i obserwował, gdyby tamten samolot miał znowu odlatywać. Dżamal zna twarze ludzi Fergusona i zadzwoni, gdyby coś się działo, a ja wtedy od razu dam wam znać.

- Dobry pomysł - powiedział Khazid. - Zadzwoił telefon Hussajna.

- To ja - powiedział Makler. - Nie poszło najlepiej w Cambridge, co?

- Nic nam to nie dało i nie mieliśmy szczęścia. Nie wiemy, gdzie Ferguson przetrzymuje Raszidów.

- Zapomnij o tej dziewczynie - poradził Makler. - Zajmij się ważniejszymi celami. Skontaktował się z tobą Chan?

- Nie.

- Dziwne, ja też nie mogę się z nim zdzwonić.

- Nie potrafię ci pomóc w tej sprawie.

- Gdzie jesteście?

- W bezpiecznym miejscu. Tyle mogę powiedzieć. Do usłyszenia. - Hussajn spojrzał na Alego i Khazida. - Ot, i cała rozmowa z Maklerem. Możemy dostać kawę?

* * *

Rosjanie siedzieli w bibliotece w Zion House i rozmawiali o zamachu na Stone'a, popijając drinki. Caspar i Molly oglądali film w telewizji a Sara układała pasjansa.

- To swołocz - oburzył się Lewin.

- Dwa strzały w plecy - dodał Czomski. - Trudno się z tego wylizać, nawet po dobrze zrobionej operacji.

- Sara wydaje się opuszczona - mruknęła Greta. - Idę pogadać z nią.

Usiadła po drugiej stronie stołu.

- Jak tam?

- Straszna nuda. Jak tam profesor Stone?

- Skąd wiesz? - Greta nie wierzyła własnym uszom.

- To mój sekret. Mam bardzo dobry słuch. Słyszę cichą rozmowę z kilkunastu metrów i gdyby do ciebie ktoś teraz zadzwonił, to słyszałabym rozmowę, nawet gdybyś trzymała tylko słuchawkę w ręce. W szkole koleżanki przezywały mnie „suką z Gestapo”, bo wiedziały, że wszystko słyszę. Więc słyszałam, że profesor Stone ma za sobą operację?

- Tak.

- I strzelał do niego Khazid. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Niestety.

- A jak myślisz, gdzie są teraz Hussajn z Khazidem?

- Nie mamy pojęcia, ale na pewno nie wiedzą, że ty i twoi rodzice jesteście tutaj.

- Tak myślisz? Wam się wydaje, że Młot Boży śpi, to po pierwsze. Po drugie, jak już mówimy o telefonach, to moja mama musi mieć drugi telefon. Słyszałam, jak rozmawiała z doktorem Samsonem na temat tej dziewczynki w szpitalu. - Pokręciła głową. - Niemądrze zrobiła.

- Muszę powiedzieć o tym Fergusonowi - odpowiedziała Greta z poważną miną.

- Pewnie tak. - Sara wstała. - Idę spać. Nie powiem im o tej rozmowie. Tobie pozostawiam decyzję. - Poszła na górę, zaś Greta wróciła do pozostałych i przekazała im, czego dowiedziała się od Sary.

Lewin od razu zadzwonił do Fergusona, który siedział z Roperem w Holland Park, i przekazał mu złe wiadomości.

- Co za głupie postępowanie - krzyknął Ferguson. - Ale nic jej nie mów, sam to załatwię. Przylatuję rano z Dillonem i Billym. Poza tym mam więcej złych wieści. Pamiętasz to gospodarstwo w Peel Strand, w Dorset, Folly Way? Tamtejsza policja sprawdziła to miejsce. Znaleźli właściciela, Darcusa Wellingtona, zastrzelonego.

- Niedobrze - powiedział Lewin.

- Bardzo niedobrze. Jego samochód stał przy stacji kolejowej w Bournemouth, skąd pewnie nasze ptaszki poleciały do Londynu. Widać, że nie marnowali czasu. Widzisz, Igor, wszystko zaczyna do siebie pasować.

* * *

Ferguson siedział w pokoju komputerowym w Holland Park z Billym i Dillonem. Roper trzymał w ręku szklanę ze szkocką.

- No to za zdrowie doktor Molly Raszid, wspaniałej chirurg i humanitarystki.

- Problem polega na tym, że dla niej najważniejsza jest praca - powiedział Dillon. - Jest tak ważna, że wszystko inne musi zejść na bok.

- Co miałeś na myśli, wygłaszając ten toast? - zapytał Ropera Ferguson.

- To, że gdybym był z al-Kaidy, powiedziałbym komu trzeba, że potrzebuję najdrobniejszego okrucha informacji, gdzie teraz przebywa doktor Raszid.

- Bez przesady, Roper - uciął Ferguson. - Ponosi cię fantazja. Tak czy inaczej wylatujemy na miejsce o dziewiątej.

* * *

Samochód kempingowy był wyposażony we wszystko, co im było potrzebne. Ali, Hussajn i Khazid usiedli na zapleczu sklepiku i przez chwilę milczeli.

Pierwszy odezwał się Hussajn.

- Chodźmy spać. Wyruszmy o szóstej rano. Myślę, że na miejscu będziemy o dziewiątej.

- Może powinniśmy ruszyć w sobotę - powiedział Khazid. - Będzie więcej obserwatorów ptaków.

- Im mniej ich będzie, tym lepiej - zgasił go Hussajn i wstał. - Obudzisz nas, przyjacielu? - zapytał Alego.

- Miałem przyjaciela o nazwisku Hassim. Dillon i Salter zabili go w Hazarze. Może to jakiś krewny? - zapytał Khazid.

- Chyba nie. Ale niech spoczywa w pokoju.

Hussajn poszedł na górę, Khazid za nim. Ali położył każdego z nich w oddzielnym pokoju. Stali na korytarzu, patrząc na siebie bez słowa, a potem rozeszli się do swoich pokoi.

Khazid położył na łóżku lotniczą torbę, wyjął z niej waltera, uzi i magazynki, które związał taśmą, żeby móc w razie potrzeby szybko je wymienić. Wszystko było przygotowane, nawet ręczny granat, który wziął bez wiedzy Hussajna. Położył się na łóżku, zamknął oczy i szybko zasnął.

Hussajn w pokoju obok również sprawdził broń i odłożył ją do torby. Potem położył się i zmówił modlitwę, jak zwykł to czynić od dziecka. Zamknął oczy. Był teraz w rękach Allacha. Nigdy przedtem nie miał aż takiej pewności.

Roper drzemał w wózku przed swoimi monitorami, co przydarzało mu się całkiem często, nie tylko w nocy. Zwykle budził się po godzinie, sprawdzał informacje, potem znowu zasypiał i otwierał oczy dopiero wtedy, gdy ból stawał się nie do wytrzymania. Jego pokiereszowane ciało leczyło już wielu lekarzy i Roper miał przepisane multum lekarstw, ale sam uważał, że najlepiej pomagają mu papierosy i, jak je nazywał, małe kapki whisky.

Sierżant Doyle, który miał nocną służbę, zajrzał, jak co pół godziny, przez małe okienko w drzwiach. Widząc, że major nie śpi, poszedł do kuchni i zrobił mu kanapkę z jajkiem i bekonem, które Roper bardzo lubił i przyniósł mu. Było tuż przed piątą rano.

- Bardzo proszę, panie majorze. Nie robiłem herbaty, bo wiem, że i tak o tej porze nie wypiłby jej pan. Jak minęła noc?

- Proszę tu usiąść na chwilę, sierżancie. - Roper zaczął jeść kanapkę. - Czas między północą a brzaskiem, to taki niezwykły moment. Gdy się pozostaje z samym sobą, myśli o przeszłości, wiedząc, że czasu nie da się cofnąć.

- A chciałby pan to zrobić? Jak jestem od dwudziestu lat żołnierzem, to nie spotkałem odważniejszego wojaka od pana.

- Tak? I co z tego. Rozbroiłem tyle bombek w Irlandii, mniejszych i większych, aż w końcu popełniłem głupi błąd wsiadając do tamtego samochodu...

- Wypełniał pan obowiązki, robił swoje. Wszyscy wiemy, jak może smakować żołnierski chleb. Nie ma rady. Jak się nosi mundur, to trzeba to robić do końca.

- No tak - westchnął Roper. - Był pan w Irlandii?

- Odsłużyłem sześć zmian.

- Więc wie pan, że członkowie Provisional IRA uważali się za żołnierzy. Jak pan na to reagował?

- Nieprzychylnie - odpowiedział Doyle. - To nie jest w porządku, że strzela do ciebie facet, który nigdy nie miał na sobie munduru.

- Ale to samo robili partyzanci podczas drugiej wojny światowej. Gość, który zrobił bombę, która mnie poharatała, nazywał się Murphy. Gdy zeznawał w sądzie, nie uznawał go.

Mówił, że jest żołnierzem i podlega sądowi wojennemu.

- I co było potem?

- Potrójny wyrok śmierci i więzienie Maze. Zmarł tam na raka.

Doyle zamyślił się.

- Dokąd zmierza ten świat, panie majorze?

- Tak, jak mówiłem, noc to najlepszy czas na wspomnianie. Widziałem niedawno w telewizji film o Brytyjczyku, który wstąpił do al-Kaidy. On też twierdził, że jest żołnierzem i bierze udział w wojnie.

- Widziałem to - powiedział Doyle. - Kiedy to się skończy?

- Wróćmy jednak do naszego głównego problemu, czyli Hussajna Raszida. Założę się, że gdybyś zadał mu to samo pytanie, odpowiedziałby tak samo, jak tamci.

- Więc może to tylko wymówka? Pan przynajmniej miał wtedy na sobie mundur. Ten sukinsyn Murphy nie miał. - Wstał. - Ale na takie rzeczy nie ma mocnych. Zrobię sobie herbaty. Panu też zrobić?

- Poproszę.

Doyle podszedł do drzwi i zatrzymał się.

- Oho, zaczyna padać i wiatr jest coraz silniejszy. Może się okazać, że samolot nie będzie mógł odlecieć z Farley.

- Dobrze, dziękuję za informację.

Sprawdził prognozę pogody, która rzeczywiście nie była korzystna, potem wziął kubek herbaty, który przyniósł mu Doyle i dolał do niej whisky. Powiększył jeszcze raz zdjęcie Hussajna. Wpatrywał się w niego, ale cały czas widział w nim młodego Che Guevarę.

- Wiem, że już tak nie wyglądasz. Gdzie teraz jesteś?

A Hussajn był bardzo blisko, w pokoju nad sklepikiem w West Hampstead. Ali Hassim właśnie pukał do drzwi i też trzymał w ręku kubek. Włączył światło i wszedł. Hussajn już nie spał.

- Jest odrobinę wcześniej, ale pogoda nie jest najlepsza. - Postawił obok łóżka kubek zielonej herbaty.

Poruszona wiatrem okiennica, zastukała.

- Wielkie dzięki za herbatę - powiedział Hussajn. - Będę niedługo gotowy, ale muszę się pomodlić. Mógłbyś zgasić światło?

- Oczywiście.

Ali wyszedł, zapukał do drzwi Khazida i zszedł na dół.

* * *

Roper zasnął ponownie i obudził się dopiero o siódmej. W tym samym czasie samochód kempingowy zatrzymał się przed motelem za Guildford. Wiał bardzo silny wiatr i padał ulewny deszcz, ale Hussajn i Khazid nie zwracali na to uwagi. Mieli nieprzemakalne ubrania, które kupił im Bolton - oliwkowe kurtki z kapturami i pojemnymi kieszeniami, w których z łatwością mieściły się waltery z tłumikami oraz zapasowe magazynki. Kompletu dopełniały nieprzemakalne kapelusze, spodnie i buty.

W kawiarni siedziało kilkanaście osób, głównie kierowców ciężarówek. Hussajn i Khazid usiedli w rogu, z dala od pozostałych.

- Co zjemy? - zapytał Khazid.

- Zobacz w menu. Ale i tak wszyscy jedzą tu angielskie śniadanie z herbatą.

- Co oznacza bekon.

- Allah jest litościwy. Idź i zamów dwa zestawy, tylko nie zapomnij o francuskim akcencie. Jestem głodny, a przed nami ciężki dzień.

Khazid poszedł i zamówił u młodej dziewczyny śniadanie. Gdy wrócił, zapytał:

- Co myślisz o tym samochodzie? Trudno nim będzie uciec, silnik rzezi, gdy doda się więcej gazu.

- Uważam, że jest idealny na takie rzeczy. Policja zwykle goni najszybciej jadących, a nie starego rupiecia na wolnym pasie.

- No nie wiem - odpowiedział bez przekonania Khazid.

Dziewczyna przyniosła tacę z jedzeniem i postawiła je przed nimi.

- Mój instruktor w Algierii mówił nie raz: „Kiedy tylko to jest możliwe, idźcie spokojnie, nie biegnijcie”. Jedz, bracie, śniadanie i nie gadaj.

* * *

Dillon i Billy przyjechali do Ropera o ósmej. Nie miał dla nich najlepszych wieści.

- Rozmawiałem z Lacey'em. Przyleciał z Parrym na Farley. Pogoda jest paskudna. Mówił, że wylot o dziewiątej jest niemożliwy. Chcą poczekać, aż pogoda się trochę poprawi. Rozmawiałem też z Fergusonem, przyjedzie tu za pół godziny. Powiedział, żebyście coś zjedli.

- W porządku - powiedział Dillon. - Zjesz z nami?

- Chyba nie. Miałem paskudną noc, do tego jeszcze to niskie ciśnienie... - Przetarł oczy dłońmi. - Sprawdzę, co w Zion. Zobaczymy się niedługo.

Dillon i Billy zeszli do kuchni, a Roper zadzwonił do Lewina.

* * *

Lewin, Czomski i Greta siedzieli w jadalni. Deszcz dzwonił o szyby, taras za oknami spływał wodą, która uciekała strumyczkami przez ogród w kierunku muru i lasu za nim. Mgielka towarzysząca takim opadom, nadawała całemu miejscu niesamowitej scenerii, którą potęgowały wyrosnięte i rozłożyste drzewa, różaneczniki, wierzby, stary letni domek i wijące się ścieżki obsadzone żywopłotami.

Greta piła kawę patrząc przez okno.

- Deszcz, ciągle deszcz, ale dobrze zrobi ogrodowi.

Sara podeszła do niej.

- Ooo, jest jak w Jane Eyre Charlotte Bronte. Ciemno i straszno.

- Usiądziesz z nami? - zapytała Greta.

- Nie, zaraz schodzą rodzice, ale przyjdę po śniadaniu.

Pobiegła na drugi koniec sali, machając po drodze ręką do kapitana Bosey'a oraz Fletchera i Smitha, dwóch strażników jedzących razem śniadanie. Chwilę później zeszli Caspar i Molly i dołączyli do córki. Jedna z dziewczyn, Kitty, przyjęła od nich zamówienia i poszła do kuchni.

Zadzwonił telefon Lewina. Dzwonił Roper.

- Jak tam nastroje?

- Deszcz i mgła. Ogród wygląda bardzo romantycznie.

- A lotnisko?

- Stąd nic nie widać. Poczekaj, wyjdę na taras. - Wyszedł, biorąc po drodze parasol spod drzwi. Otworzył je i wyszedł na zewnątrz. - Ten deszcz chyba nigdy nie przestanie padać. Jest trochę mgły, ale widzę pas startowy. A co u ciebie?

- No cóż, Lacey uważa, że wylot o dziewiątej jest mało prawdopodobny. Będą czekać na chwilową poprawę pogody.

- W porządku, będziemy w kontakcie.

Lewin odwrócił się i wszedłszy do domu przekazał reszcie wiadomość od Ropera.

* * *

Tymczasem na Farley Field, Dżamal zaparkował samochód na parkingu przed bramą. Doskonale widział ze swojego miejsca pas startowy. Samolot, który go interesował, stał obok terminalu.

Żółty van, którym przyjechał, wyglądał na samochód firmy telekomunikacyjnej. Dżamal otworzył tylną klapę, która utworzyła dach i stanął pod nią. Była siódma trzydzieści. Z tyłu samochodu leżały szpule z kablami, skrzynki z narzędziami i żółte kombinezony. Całość nie mogła wzbudzać niczyich podejrzeń.

Ali Hassim, który dzwonił do niego kilkakrotnie, zadzwonił ponownie o ósmej trzydzieści.

- Nadal nic?

- Nic. Zadzwonię, jeśli coś się będzie działo.

Wyjął z torby banana i jogurt, który zjadł powoli łyżeczką, potem obrał owoc ze skóry, cały czas obserwując lotnisko. Nagle pojawił się mikrobus, ten sam, który śledził kiedyś motocyklem z Holland Park, i przejechał przez bramę. Patrzył, jak zatrzymuje się przed terminalem i wychodzi z niego trzech mężczyzn. Zauważył, że jeden z nich to Ferguson, którego rozpoznał ze zdjęcia, pokazanego przez Hassima. Od razu zadzwonił do Alego.

- Przyjechali. Ferguson i dwóch innych. Nie rozpoznałem pozostałych, za szybko wbiegli do budynku.

- Allah jest wielki. Zadzwon, kiedy będą odlatywać.

- To może chwilę potrwać. Pogoda jest paskudna.

- Więc siedź tam i czekaj.

* * *

- To co robimy? - zapytał Ferguson Lacey'a.

- Nie jestem pewien, czy polecimy równo o dziewiątej. Lot z powodu wiatru zajmie godzinę, może dłużej. Na pewno półtorej. Czyli moglibyśmy być na miejscu najwcześniej około dziesiątej trzydzieści. Zresztą zobaczymy. Może kawy, generale?

- Poproszę. - Ferguson, niezadowolony, zadzwonił do Lewina.

- Jest dziewiąta, a my nadal czekamy. Ale Lacey ma nadzieję, że nam się uda. Zadzwonię.

- Spojrzał na Dillona i Billy'ego. - Nic nie zrobimy. Chodźcie na kawę.

* * *

Hussajn z Kahzidem przyjechali do Zion dwadzieścia minut wcześniej, niż planowali. Przejechali przez wioskę i pojechali dalej zgodnie ze wskazówkami Boltona, mijając dom i zamkniętą bramę ze stróżówką. Jadąc dalej natrafili na parking, otoczony po jednej stronie żywopłotem i murem. Zauważyli jedną rzecz, o której Bolton nie wspomniał - murowane publiczne toalety. Na parkingu nie było ani jednego samochodu. Khazid wysiadł.

- Mam pomysł. - Podeszedł do toalet, zajrzał za nie i wrócił. - Może schowamy samochód za nimi, co?

- Nie - powiedział Hussajn. - Zapomniałeś, co mówiłem? Idź, nie biegnij. Jesteśmy nieszkodliwymi ekscentrykami, którzy lubią łązić po deszczu i patrzeć na ptaki, zamiast siedzieć w domu. Nie mamy nic do ukrycia. Zaparkuj od strony lasu. I tak strażnicy niczego nie zauważą.

Zadzwonił telefon. To był Ali, który opisał sytuację na lotnisku. Hussajn zareagował spokojnie.

- Daj znać, kiedy samolot odleci.

- Gdzie jesteście?

- Na miejscu. Nie dzwoń, dopóki nie będziesz czegoś wiedział.

- Co się stało? - zapytał Khazid.

- Dżamal widział na Farley samolot. Przyjechał też Ferguson z dwojgiem ludzi, pewnie Dillonem i Billym Salterem. Poinformuje Alego, gdy samolot odleci. Biorąc pod uwagę dzisiejszą pogodę, będą tu godzinę później, może trochę dłużej.

- Allach nas ochroni - odpowiedział Khazid. - Ferguson na tarasie tego domu? Szef bezpieczeństwa premiera, który rozmawia z samym prezydentem USA? Co za cel! To wszystko zmienia. Nasze miejsce w raju jest gwarantowane.

- To niczego nie zmienia - odparł Hussajn. - Najpierw musimy tam wejść. Kieszenie kurtek zmieszczą broń. Wejdzie tam nawet uzi, jeśli złożysz kolbę. Tak samo magazynki. Torby lotnicze zostawimy zamknięte w samochodzie. Weź torbę z narzędziami, ja wezmę lornetkę i idziemy w las.

- Oglądać ptaki - dopowiedział Khazid.

- Oczywiście. Ale jeśli pomimo tej pogody trafi się jakiś prawdziwy gość od ptaków, to pamiętaj, że jesteś Francuzem. - Poszedł przez las w kierunku lotniska, patrząc na zegarek. Była dziewiąta.

Opis miejsca przygotowany przez Boltona był bardzo dobry. Hussajn skręcił w kierunku sosen. - Zatrzymajmy się na chwilę, chcę się rozejrzeć. - Popatrzył przez lornetkę na dom. Obejrzał ogród, a potem spojrzął na taras rozciągający się od strony ogrodu. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i wyszła z nich Sara z parasolem nad głową. Za nią wyszedł Caspar, najwidoczniej prosząc, żeby nie chodziła po deszczu i wróciła do domu. Przystanęła na chwilę, potem odwróciła się i weszła do środka. Drzwi się zniknęły.

- Właśnie zobaczyłem Sarę na tarasie, a za nią Caspara - powiedział Hussajn. - Schowali się do środka. Popatrz.

Khazid wziął lornetkę, spojrzął i oddał ją z powrotem.

- Bierzemy się do roboty.

Po chwili, trzymając się wskazówek Boltona, przeszli przez zarośla i znaleźli kamień.

- Dobrze. - Przeszedł dookoła, rozgarniając trawę butami, podczas gdy Khazid otwierał torbę. Były w niej dwie saperki i dwa, średniej wielkości, łomy. Była też niewielka, ciemnozielona plandeka, żeby zamaskować w razie potrzeby otwór. Wyjął z torby młot i latarkę. Pamiętając opis Boltona, Hussajn zaczął wbijać łom w torf, aż usłyszał uderzenie o metal.

- Daj saperkę - poprosił. - Ty też kop.

Zaczęli odrzucać darń i po chwili ich oczom ukazało się wejście do studzienki. Pokrywa zasłaniająca wejście była pordzewiała i zniszczona, ale nadal można było przeczytać nazwę producenta. Patrzyli na nią w milczeniu.

- Nieźle - stwierdził Khazid. - Po tylu latach. Będzie wiadomo, do kogo w razie czego dzwonić.

- Chodź, podważymy ją - powiedział Hussajn.

W środku pokrywy był uchwyt. Khazid włożył łom i spróbował ją podnieść. Nie drgnęła nawet na milimetr. W tym momencie zadzwonił telefon. To był Ali.

- Dzwonił Dżamal. Samolot wystartował pomimo złej pogody. Jest w pół do dziesiątej. Wszystko w porządku?

- Jesteśmy przy studziencie, nie mogę rozmawiać. - Włożył telefon do kieszeni, wziął drugi łom i też spróbował podważyć pokrywę, ale bez powodzenia.

- Weźmy coś mniejszego, może śrubokręty i spróbujmy oczyścić brzeg. Dzwonił Ali. Samolot odleciał o dziewiątej trzydzieści. - Drapali brzeg pokrywy. - To oznacza, że mogą przylecieć około dziesiątej trzydzieści plus przejazd z lotniska, więc w domu będą gdzieś za piętnaście jedenasta. Bierzemy się do roboty, bracie.

W końcu udało im się podważyć i podnieść pokrywę, którą po zdjęciu wrzucili w krzaki obok.

- Ty idziesz pierwszy - powiedział Hussajn do Khazida i wyjął z torby plandekę. - Trzymaj. Tam chyba są jakieś stopnie.

Khazid poświecił latarką i zszedł na dół.

- Ma około półtora metra średnicy. Daj torbę. - Jego głos odbił się echem.

Hussajn rzucił mu torbę, rozłożył plandekę na ziemi, i wszedłszy do studzienki zamaskował otwór plandeką. Przy odrobinie szczęścia nikt jej nie zauważy.

* * *

Khazid świecił latarką w głąb tunelu. Wybudowany był z betonu, bardzo wilgotny i słychać było kapanie wody.

- Gdzieś przecieka - stwierdził Khazid.

Ruszyli do przodu mocno schyleni. Buty ślizgały się w szlamie na dnie. Nie śmierdziało, ale zapach nie był przyjemny. Hussajnowi zaczęły przelatywać przed oczami obrazy. Widok Sary z parasolem wytrącił go z równowagi. Namacalność jej obecności po tym wszystkim co przeszedł, żeby znaleźć się blisko niej, po podróży z Hazaru, zabitych ludziach i innych okropieństwach, obezwładniła go. Sara była blisko, ale nie miał wątpliwości co do tego, co będzie chciał zrobić Khazid, a miał prawo do tego. Byli żołnierzami walczącymi na wojnie, jednej z najgorszych, jakie widział współczesny świat, wojnie, która kosztowała życie tysięcy Irakijczyków, w tym jego rodziców. Byłoby największą hańbą zawieść ich teraz, nawet gdyby miał zapłacić życiem. Rozumiał to doskonale, w końcu był Młotem Bożym, który nigdy nie zawiódł na polu walki.

W ceglanej ścianie ujrzeli drabinę.

- Wejdz na stopnie i spróbuj podważyć pokrywę - powiedział Hussajn. - Podtrzymam cię.

Khazid odłożył latarkę, wszedł na szczebel i wziął łom, a Hussajn zaparł się w niego z całą siłą. Nie było łatwo, ale w pokrywie widoczne było pęknięcie powstałe prawdopodobnie na skutek działania czasu.

- Spróbuję włożyć łom w tę dziurę, przytrzymam go, a ty uderz młotem w drugi koniec. - Hussajn wykonał polecenie. Gdy zamachnął się młotem, czubkiem uderzył w ścianę, z której odkruszyły się kawałki cegieł. Uderzył obuchem w koniec łomu i pokrywa odskoczyła, zaś do środka wsypało się sporo ziemi. Hussajn otrząsnął się z niej.

- Wyjrzyj i zobacz, gdzie jesteśmy - zarządził.

Khazid wszedł wyżej i zepchnął pokrywę na bok.

Nadal lało jak z cebra. Gdy wysunął głowę zobaczył, że wyjście ze studzienki jest osłonięte ogromnymi różanecznikami z jednej strony, zaś z drugiej wierzbami. W pobliżu stał letni domek stylizowany na pagodę. Studzienka była schowana przed ludzkim wzrokiem, choć obok biegła wąska ścieżka. Gęste krzewy pozwalały doskonale się ukryć. Ujrzał dom z tarasami po obu stronach i zauważył, że ktoś z niego wychodzi. Były to Kitty i Ida, które sprzątały jadalnię przed obiadem. Khazid cofnął się do środka i przedstawił sytuację Hussajnowi. Ten spojrzął na zegarek.

- Idealnie. - Była dziesiąta dwadzieścia i nagle usłyszeli warkot samolotu, który lądował na lotnisku obok. - Dziesięć minut za wcześnie. Trudno.

- Ale i tak czekamy na Fergusona, więc wszystko jest w porządku, tak?

- Całkowicie. - Hussajn wyjął i sprawdził waltera.

Khazid zrobił to samo, zostawiając w kieszeni uzi, załadowanego i gotowego do strzału. Granat, który wziął z kolekcji Darcusa Wellingtona, trzymał w kieszeni na piersi.

- Czy to znaczy, że Sara nie jest już dla ciebie największym kłopotem? - zapytał. - Tylko Ferguson?

Hussajn kiwnął potakująco głową.

- Oczywiście, że Ferguson, tak musi być. Teraz rozumiem, jak bardzo się myliłem myśląc tylko o niej. Moim obowiązkiem jest coś innego. - Uśmiechnął się. - Czasem łatwiej dostrzegasz prawdę niż ja. To dla mnie trudna lekcja. - Ucałował Khazida w oba policzki. - Spotkamy się w raju, bracie.

- Na pewno. - W oczach Khazida pojawiły się łzy. Uścisnęli się mocno.

- Chodźmy. Czeka nas dobra śmierć - powiedział Hussajn. - Zaczekał, aż Khazid wyjdzie i ruszył za nim.

* * *

Kapitan Bosey stał na pasie startowym z przygotowanym parasolem, aby osłonić generała Fergusona przed ulewnym deszczem. Dillon i Billy wyszli za nim. Ferguson odwrócił się do Lacey'a wyglądającego przez drzwi.

- Na pewno zostaniemy tu kilka godzin, więc możecie jechać z nami.

- Dziękujemy, ale mamy tu jeszcze kilka spraw do załatwienia. - Spojrzał na Bosey'a. - Mógłby pan przyjechać po nas za godzinę?

- Załatwione. - Bosey otworzył drzwi land rovera i Ferguson, Dillon oraz Billy wsiedli do środka.

- Cholerna pogoda - rzucił rozzłoszczony Billy.

- Jak w Belfaście w sobotni wieczór, co? - odpowiedział mu Ferguson, kiedy Bosey ruszył. - Muszę powiedzieć, że Lacey i Parry spisali się na medal. Były chwile, że miałem ciarki na plecach. - Spojrzał na Bosey'a. - Jak.

- Idealnie, panie generale. Jak dotąd, nie mieliśmy żadnych problemów. Raszidowie dobrze znoszą pobyt, a pańscy ludzie też wyglądają na zadowolonych.

- Wspaniale. Jedyne minus to pogoda, ale rozumiem, że czeka na nas jakiś smaczny obiad.

- Na pani Tetley można w tych sprawach polegać, panie generale.

* * *

Dźwięk silnika samolotu sprawił, że w Zion House nastąpiła atmosfera wyczekiwania. Szczególnie odczuwała to Molly Raszid, która czuła się tu coraz gorzej.

- Bogu dzięki, że przylecieli. Już myślałam, że przez tę fatalną pogodę w ogóle się nie pojawią. Muszę pogadać z generałem. - Siedziała na kanapie obok Caspara i Sary. Troje Rosjan siedziało w kącie i rozmawiało. Wstała. - Idę na chwilę na górę.

- Chcesz zadzwonić, mamo?

- Tak, za chwilę wracam. - W tej samej chwili Molly zdała sobie sprawę z błędu, który popełniła; na jej twarzy z miejsca wymalowała się konsternacja. Rosjanie przerwali rozmowę i patrzyli na nią w milczeniu, a Molly, nie wiedząc co zrobić, uciekła na górę.

- O co tu chodzi? - zapytał Caspar.

- Zapytaj mamę. - Sara wstała. - Wiesz, jak lubię deszcz, idę na spacer po ogrodzie.

- Przemokniesz do suchej nitki.

- Nie, Igor pożycz mi swój płaszcz, poza tym będę miała parasol. - Podeszła do Rosjan. - Igor, bierz swój płaszcz. Idę się przejść.

- Mogę iść z tobą? - zapytała Greta.

- Jak chcesz.

- Mogę iść z tobą? - zapytała Greta.

- Jak chcesz.

- To zaraz do ciebie przyjdę, poczekaj.

Greta założyła płaszcz przeciwdeszczowy i kilka minut później obydwie wyszły na dwór, trzymając się za ręce. Przystanął przy balustradzie. Hussajn i Khazid, ukryci w rododendronach przy domku, zauważyli je. Hussajn spojrział przez lornetkę.

- To Sara i jakaś kobieta. - W tym samym momencie przez główną bramę wjechał land rover i podjechał pod wejście.

- O, już przyjechali - stwierdziła Sara zwracając się do Grety. - Szkoda, że tak wcześnie. Przejdźmy się, chociaż kilka minut.

- Dobrze.

Zbiegły po schodkach i poszły ścieżką prowadzącą na koniec ogrodu, w kierunku pagody. Odwróciły się i zauważyły Lewina i Czomskiego podchodzących do frontowych drzwi i witających Ferguson, Dillona i Billy'ego. Po krótkiej wymianie zdań Ferguson wyszedł na taras i spojrzał na ogród, wypatrując Sary i Grety.

* * *

- Jest Ferguson, idealnie. - Khazid nie mógł już wytrzymać. Wyszedł na ścieżkę, wrywając się Hussajnowi, i stanął przed Sarą i Gretą z walterem w dłoni. Sara spojrzała na niego.

- Khazid, to ty? - zapytała zdziwiona. - Nie do wiary!

Zza krzaków wyszedł Hussajn i zdjął kapelusz.

- Witaj Saro, dawno się nie widzieliśmy.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Mój Boże, Hussajn, jak ty się zmieniłeś!

- Wszystko się zmienia, kuzynko.

- Nie wiem, jak się tu dostaliście, ale ja z wami nigdzie nie idę.

- Ooo, czyżby notowania Młota Bożego były już tak niskie? - zakpił Khazid.

Wtedy Sara powiedziała coś dziwnego.

- Hussajnie, jesteś takim dobrym człowiekiem, pomimo tego, jaki jesteś.

- Wystarczy tych głupot - krzyknął Khazid. - Wyjął granat, wyciągnął zawleczkę i rzucił go w kierunku domu. Granat odbił się od schodów i wylądował na rabatce.

Eksplozja wybiła szyby w oknach, wszyscy natychmiast padli na ziemię i wyjęli broń. Greta, która miała waltera w kieszeni, wyjęła go. Khazid złapał ją za przegub i wykręcił rękę, ale zdążyła dwa razy strzelić na ślepo. Jedna kula przeszła bark Khazida, druga trafiła Hussajna w brzuch.

Khazid strzelił z bliska do Grety, ta upadła na plecy na ziemię. Khazid rzucił się do

przodu jak w amoku, wyciągnął uzi i zaczął coś krzyczeć do Fergusona, ale Dillon i Billy strzelali do niego raz po raz.

- Nie strzelajcie! Nie strzelajcie! - Sara krzyczała głośno z rękami uniesionymi do góry.

Z domu wybiegli jej rodzice, Molly rzuciła się w kierunku Sary.

- Przerwać ogień - krzyknął Ferguson.

Sara spojrzawszy na Gretę zawołała:

- Chodźcie i zabierzcie szybko major Nowikową, ale już nie strzelajcie. - Odwróciła się do Hussajna i patrzyła na niego, przez doświadczenia nagle dorosła i dojrzała, mimo swojego wieku.

- Co teraz będzie, kuzynie? - zapytała.

Oparł się o domek, a potem wpadł do środka, trzymając się za brzuch. Krew płynęła mu między palcami.

- Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

- Twoja matka zadzwoniła do szpitala... Pielęgniarka, która była naszym człowiekiem, usłyszała wszystko... Ale to już nie ma znaczenia... Saro, to nasze ostatnie spotkanie... Niech Allah ześle na ciebie wszelkie łaski, ale idź już stąd... Posłuchaj mnie po raz ostatni...

- Ale nie zabijaj już więcej. - Już wystarczy.

Odwróciła się i pobiegła do domu, mijając Dillona, Billy'ego i Lewina pochyłającego się nad Gretą. Gdy weszła do domu, matka wzięła ją w objęcia.

- Wszystko w porządku?

- Tak, ale nie dzwoń już więcej. Jak dotąd, mam, zbyt dużo nas to kosztowało. Poinformowanie doktora Samsona gdzie jesteśmy, było niedobrym pomysłem. Ta wiadomość dostała się w niepowołane ręce. - Poszła korytarzem w kierunku schodów i weszła na górę.

Na twarzy Molly widać było przerażenie, gdy zdała sobie sprawę, co uczyniła. Zdenerwowany Caspar zapytał:

- O czym Sara mówiła, możesz mi wyjaśnić?

- To wszystko, co się wydarzyło, stało się przez mnie. Zadzwoniłam kilka razy do doktora Samsona do szpitala z zapasowej komórki, którą mam zawsze w torbie lekarskiej. Nie mogłam się powstrzymać.

- Jak mogłaś? Jak mogłaś zrobić coś tak nieodpowiedzialnego?!

Molly zwiesiła głowę i poszła na górę. Westchnął i poszedł za nią.

* * *

Hussajn był nadal w letnim domku. Próbował zdjąć kurtkę, krew płynęła coraz mocniej. W końcu zdołał wstać. Wyrzwał na zewnątrz trzymając waltera w prawej ręce.

- Panie Dillon... panie Salter... - Wyszli do niego z bronią gotową do strzału. Gdy podniósł rękę, każdy z nich oddał po dwa strzały zabijając go na miejscu.

Billy podniósł z trawy pistolet, obejrzał go i spojrzał na Dillona.

- Nienaładowany.

Dillon był blady.

- Nie miał jak uciec. - Spojrzał na Fergusona, który właśnie nadszedł. - Jak tam Greta?

- Lewin mówi, że będzie wszystko w porządku. Karetka jest w drodze.

- A ciała?

- Zajmą się nimi ci co zawsze. Zaraz zadzwonię do Ropera. Jednym słowem Hussajn Raszid i jego kumpel Khazid przestali istnieć. Wszystko, co zaszło, nigdy się nie wydarzyło.

Dillon pokiwał głową.

- Zastanawiałeś się kiedyś, o co w tym wszystkim chodzi?

- Nie, nie miałem nigdy, cholera, czasu. Taki już jest ten świat, w którym żyjemy. Musimy to robić, żeby przetrwać, żeby dać sobie radę z takimi jak Makler, Osama, Chan i im podobni. Wracajmy do Londynu i bierzmy się za inną robotę.

Odwrócił się i odszedł. Przyjechał ambulans i trzech sanitariuszy przybiegło z noszami po Gretę, przy której klęczał Lewin.

Dillon spojrzał na Billy'ego.

- Słyszałeś, stary - i poszedł za Fergusonem do domu.